



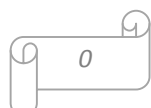
***Melanie George***



***Zakładniczka***

---

Tytuł oryginału: „The Devil's Due”



***Bardzo wyjątkowemu przyjacielowi...***

***Wiesz, kogo mam na myśli.***

*Patrzali w niebios szafirowe pole,  
Ubrane w chmury jako listki róży,  
I poglądali znów na morze w dole,  
Gdzie topił jasne oko księżyc duży,  
Bawił ich plusk fal i wiatru swawole,  
A potem oczy zatrzymali dłużej  
Na własnych twarzach; twarze się zbliżyły,  
Usta się zeszły, przyłgnęły, spoiły...*

*W pocałowanie długie, lube, świeże,  
Miłosne, jak ognisko skupiające  
Rozkosze, w rajskiej urodzone sferze,  
Młodością tylko pojęte, niosące  
Ciało, myśl, duszę miłości w ofierze –  
Całus serdeczny - grom; jego wartości  
Dochodzić trzeba - sędzę - po długości.*

G. Byron, „Don Juan” (przeł. E. Porębowicz)

## Prolog

*Wigilia, 1910*

- Opowiedz nam bajkę, dziadziu!

Gray skulił się, gdy w uszach mu zadzwoniło od zgodnego duetu podniesionych dziecięcych głosików. Co za tym idzie, przysł błogostan, w który wprowadził się łowieniem napływających z kuchni aromatów; tłuszczutka kaczka z mnóstwem jarzyn pachniała tak intensywnie, że ślina napływała mu do ust.

Wnuczka Maggie delikatnie przysiadła mu na prawym ko-lanie. W ciepłej poświacie kominka mahoniowe kędzierzawe włosy dziewczynki upodobniły się do świetlistej aureoli, zaś gładkie i krągłe jak u cherubinka policzki oblekły się złotem.

Liam, bliźniak Maggie, podskakiwał radośnie na lewym ko-lanie Graya, wymachując małym drewnianym mieczykiem, jakby bronił się przed chmarą niewidzialnych wrogów. Był tak dalece zaaferowany zabawą, że kilka energicznych sztychów niebezpiecznie zbliżyło się do głowy jego siostrzyczki.

Gray przytrzymał wnuka za nadgarstek, zanim drewniane, ostrze zdążyłoby trącić jeden mahoniowy kosmyk i podniósł by się straszny krzyk, po czym z kuchni wypadłaby jego ukochana małżonka, żeby uspokoić wnuczkę i sztyletować Graya spojrzeniem, jakby to on był wszystkiemu winny, z miną: „Oj, mężu, toż prosiłam cię o jedną jedyną rzecz”.

Owszem, jedną jedyną. Zająć czymś dzieci. Zadanie zgoła ponad ludzkie siły.

Gray podejrzewał, że jego żonie zależało raczej na tym, by to on miał jakieś zajęcie. Twierdziła, że plątał się pod nogami i przeszkadzał o wiele bardziej niż dzieci: zawsze musiał skubnąć potraw przewidzianych na kolację i spróbować skraść żonie pocałunek, do czego się zresztą przyznawał, aczkolwiek jego zdaniem nie usprawiedliwiała to wyroku wieczystej banicji z kuchni. Na los wygnańca nie został skazany żaden z jego braci i z bezwstydną satysfakcją przypominali mu o tym, ilekroć pod swoim adresem słyszał nienawistne: „a sio!”.

- Bajkę, hmm? - Gray podrapał się po brodzie.

- Babcia mówi, że opowiadasz bajki jak nikt na świecie - zapewniła Maggie; jej oddech pachniał miętówką, którą przed chwilą poczęstowała ją babcia.

- Taak, może i ma się tę smykałkę do opowieści - przytaknął, czując, jak goi się jego zraniona duma.

- Babcia mówi, że to dlatego, że jesteś samochwałą. No wiesz, jak ta krowa, co dużo ryczy... - poczuł się w obowiązku uściślić Liam, a Gray poczuł się jak balonik z nienacka nakłuty szpilką.

Parsknął z irytacją. Samochwałą i krowa, co dużo ryczy, też coś. Nie było w historii dziejów takiego Sinclaira, który musiałby uciekać się do fantazjowania. Przygody i skłonność do awanturnictwa mieli po prostu we krwi.

- Może tamtą o małych ludzikach, co to cię ganią z rzutkami? - zaproponowała Maggie.

-Jakie znowu „małe ludziki” - poprawił Gray z urazą w głosie. - Kanibale z plemienia Pigmejów, którzy usiłowali mnie zabić zatrutymi strzałami, kiedy gołymi rękoma walczyłem z krokodylem. Oni uważają krokodyle za zwierzęta święte.

Maggie zachichotała.

- To było strasznie śmieszne, dziadziusiu!

- O, o! - Liam zaczął znowu podskakiwać na Grayowym kolanie.

- Albo opowiedz nam o tamtej grubej pani, co to ścisnęła cię i ścisnęła, aż się zrobiłeś siny?

Gray z marsową miną spojrzał na wnuczka.

- Gdyby ścisnęła odrobinę mocniej, was, niedowiarki, nie byłoby na tym świecie.

Maggie splotła paluszki z jego palcami i zamrugła, podnosząc na niego oczy pełne ufności i miłości.

- Ja ci wierzę, dziadziu. Nawet jeśli to nieprawda.

Gray roześmiał się serdecznie.

- Dziękuję ci, szkrabie. Nawet jeśli mi nie wierzysz. - Potem otoczył dwoje małych psotników ramionami i przygarnął ich do siebie. - No dobrze. To o czym mam opowiedzieć? Jak przechytryłem Jednookiego Jacka, najokrutniejszego pirata, jaki żeglował po siedmiu morzach i oceanach? Czy o tym, jak przez pięć dni i nocy siedziałem w podziemnej jaskini bez jedzenia i picia, za całe towarzystwo mając szczury wielkie jak ulubiony żelazny rondel waszej babci?

Dzieci pokręciły główkami.

Najwyraźniej niektórym trudno jest zaimponować. Pod tym względem ta dwójka do złudzenia przypominała swoją babcię.

- Hmm. Może i racja. Pewnie za dużo się w nich dzieje, żebyście się mogli połączyć. A co powiecie na opowieść wigilijną? Jesteście ciekawi, co się wydarzyło pewnej śnieżnej nocy dawno, dawno temu? Otóż siedziałem sobie w domu, gdy niespodzianie odwiedził mnie uroczy, stareńki elf. Wylądował na dachu czerwonymi saniami zaprzężonymi w osiem latających reniferów. - Latające renifery. Nawet nieźle to sobie wymyślił. Może mimo wszystko naprawdę nadawał się na bajarza.

- Och, dziadziu - zaśmiała się wesoło Maggie. - Przecież już nam o tym opowiadałeś! Zaczyna się tak: „W wigilię Bożego Narodzenia...”

Gray uśmiechnął się z niezbyt mądrą miną.

- Wiem, wiem. Chciałem się tylko przekonać, czy pamiętacie.

- My chcemy, żebyś opowiedział inną, no wiesz, którą... - odezwał się nagle Liam.

- Którą? - Gray zmarszczył czoło.

- Tę o bezcennym klejnocie - dokończyła przyciszonym głosem Maggie.

Aa, bezcenny klejnot. Gray uśmiechnął się pod nosem. Bo też i była to wyjątkowa opowieść.

- Obiecałeś, dziadziu - dopraszał się Liam. - Mówiłeś, że jak będziemy już dość duzi, to nam opowiesz. A teraz Mags i ja mamy po osiem lat... a to naprawdę dużo, słowo daję!

Gray zachichotał.

- No cóż... sam nie wiem. To historia dla dorosłych.

- Proszę, proszę, proszę! - zawołały jednym głosem bliźnięta, gotowe błagać dopóty, dopóki dziadek nie ustąpi.

Ogromnie przejęta Maggie ciągnęła go za rękaw tak długo, aż się pochylił w jej stronę.

- Nie powiemy babci, gdybyś mówił brzydkie wyrazy -szepnęła mu do ucha. - Słowo honoru. - Następnie spojrzała na brata. - Prawda, Liam?

- Prawda!

Któż zdołałby się oprzeć tak kuszącej propozycji? pomyślał Gray i ucałował wnuczęta, najpierw jedno, potem drugie, prosto w nadstawione czołka. W dodatku mógł przecież pominąć fragmenty „dla dorosłych”, tak by rozgrywały się wyłącznie w jego wyobraźni.

- Zgoda. Niech zatem będzie o bezcennym klejnocie.

W pokoju rozległo się dźwięczne „hurra!” i melodyjne, pełne żaru zapewnienie, że jest najwspanialszym dziadkiem na świecie. Potem wrzawa zaczęła cichnąć, oddalać się, Gray zaś wrócił myślami do przeszłości.

Bezwiednie spojrział ku oknu, lecz oczami duszy ujrzał krystaliczne wody oceanu, sięgając pamięcią wstecz... i wstecz... by zatrzymać się na owych dniach przed wielu, wielu laty, kiedy żegłował po burzliwych morzach, przeświadczony o sensowności swej misji, lecz niepewny jej końca.

A kiedy wokół domu zawirował wieczorny wiatr i na zaśnieżonych wzgórzach, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki,

zapadła głucha cisza, podjął opowieść o tym, jak to pewien  
poszukiwacz przygód zdobył prawdziwy skarb.

- Dawno, dawno temu...

RS



*Trzydzieści lat wcześniej*

Gray miał kaca nad kacami.

Albo przynajmniej piekielny ból głowy.

Całe jego jestestwo przeistoczyło się w jedną wielką letargiczną pulsację, zmysł równowagi sygnalizował, iż ziemia dryfuje pod nim łagodnie, co dowodziło niezbitcie, iż nadal pozostawał w upojeniu. Czuł się tak, jakby jego mózg uparcie kołatał o ściany czaszki, czekając, aż ktoś zareaguje i uwolni cisnące się do Grayowego gardła morze żółci, zanim nagromadzi się jej tyle, że sama znajdzie sobie inne ujście.

Pozostała część jego ciała, znana także jako Niewinna Ofiara Grayowego Opilstwa, miała się nie lepiej; Gray zrozumiał, jak czuje się dwieście funtów ziemniaków wrzuconych do pięćdziesięciofuntowego worka.

Nawet gdyby jego język nie leżał niczym ołowiany ciężarek w spieczonej pieczarze, w którą zmieniło się wnętrze jego ust, oddanie słowami tego, jak się w tej chwili czuł, choćby tylko w monosylabach, zdecydowanie przerastało jego możliwości. Nie było go stać na nic oprócz słabego jęku, ale przyłożył się do niego z całą żarliwością, jakiej domagała się jego opłakana kondycja.

Gray skoncentrował się na rozproszeniu mgły, zasuwającej nieszczęsne rumowisko, w które zmienił się jego umysł. Próbował

sobie przypomnieć, co takiego wydarzyło się w ciągu ostatniej doby, że znalazł się w tym haniebnym stanie, by nie powiedzieć, że zrobiony na szaro.

Najwyraźniej podano mu jakąś truciznę - albo też znalazł się pod wpływem straszliwego zaklęcia w rodzaju voodoo, hoodoo, „złego oka” czy jakiejś apokaliptycznej klątwy, która uczyniła jego umysł i wszystkie bez wyjątki członki praktycznie bezużytecznymi. Jednak jeśli iść dalej tym tropem, to owo spostrzeżenie - aczkolwiek w pokrętny sposób - zdawało się nieuchronnie prowadzić do punktu wyjścia.

Był zalany, i to w takim stopniu, że pozostawało jedynie ze wstydu zwiesić głowę.

Z drugiej strony... równie dobrze może już być nieboszczykiem.

Niemniej logika podpowiadała, że gdyby istotnie był martwy, nie czułby się aż tak fatalnie, by życzyć sobie śmierci.

Wniosek: pośmiertne katusze nie wchodzą w rachubę -podobnie jak voodoo, chociaż w dalszym ciągu błąkał mu się po głowie obraz wyklętego przez rodzinę i samotnego dziewczęcia, piastującego w białych jak lilie dłoniach lalkę zrobioną na jego podobieństwo; widział niemal złowieszczy uśmiech na twarzy dziewczyny, długie ostre szpilki i to, jaki mogłaby zrobić z nich użytek dla zabicia czasu.

I tak koło się zamykało, a Gray wracał do wniosku, który chwilę wcześniej odrzucił.

Myśl! Do diabła!

Strumień chaotycznych myśli zaczął się mozolnie przedzierać przez tamę alkoholowego zamroczenia. Wspomnienia napływały i

znikały jak niesione przez wiosenny wiatr pierzaste nasionka mlecza. Przez głowę przemknęło Grayowi kilka niepokojących obrazów, ale kładł je na karb wczorajszych ekscesów. Widać wychylił o jedną szklaneczkę za dużo i stąd te niejasne wspomnienia rozlicznych kolejek płynnej błyskawicy zwanej „szkocką z wodą”, o której mocy przypominały mu wciąż jeszcze odrętwiałe zakończenia nerwowe.

Jezu Chryste, z czego oni robią tę gorzałkę, że trzeba znosić potem takie męki? Butelkują pioruny, że tak człowieka zwala z nóg i dosłownie paraliżuje? Tył jego przekłętej czaszki rwał jak wszyscy diabli, rzecz dziwna o tyle, że leżał na brzuchu, z twarzą w jakimś błocie - jeśli ohydną skorupę na spierzchniętych wargach traktować jako wskazówkę, zakładając jednak, że kubki smakowe na jego języku mimo wszystko funkcjonowały należycie.

Do stu diabłów, zaczynał się robić za stary na takie rzeczy, a że czas nieubłaganie pędzi do przodu, młodszy już nie będzie. Pora, postanowił, przerzucić się na mniej męczące zajęcia - jak chociażby drzemka.

Z wysiłkiem okupionym dość żałośliwym jękiem Gray przewrócił się na bok. Liczył na to, że zmiana pozycji przyniesie mu bodaj chwilową ulgę, natychmiast jednak stwierdził, że jakiś kamyk boleśnie wrzyna mu się w żebra.

- Litości, o Panie! - wymamrotał. Następnie rozwarł powieki, czy też raczej spróbował je rozewrzeć, bo czuł się tak, jakby ciążyły na nich wszystkie grzechy tego świata.

Upłynęła prawie cała minuta, zanim oczy przestały mu się wywracać i zdołał zogniskować wzrok. Jednakże trzeźwe spojrzenie

nie zawsze stanowi powód do radości, zwłaszcza wtedy, gdy człowiek budzi się w scenerii rodem ze średniowiecznego koszmaru.

Dookoła cztery obdrapane ściany, powietrze przesycił intensywny, przytłaczający smród, a do tego wszystkiego dochodził fakt, iż był skuty kajdanami jak pospolity rzezimieszek, okoliczność, mówiąc oględnie, przydająca całej sytuacji dodatkowej dramaturgii.

Wzdrygnął się i usiadł gwałtownie - była to czynność czysto odruchowa, która nie przypadła jednak do gustu jego zmaltretowanemu ciału. Świat zaczął wesoło płasać mu przed oczami, toteż Gray szybko doszedł do wniosku, iż pozycja pionowa to nie najlepszy pomysł, jeśli nie chce ponownie stracić przytomności.

Obolałe członki zaprotestowały, kiedy znowu przybrał pozycję horyzontalną i zagapił się tępo w sklecony byle jak drewniany dach, znowu popadając w stan odrętwienia umysłowego. Przez prześwity między deszczułkami zaglądało światło i miarowo spadały krople wody, które - jakby nie dość było pozostałych tortur - za cel obrały sobie jego czoło.

Kap, kap, kap... piii, piii, piii.

Piii? Jakie „piii”?

Wreszcie coś ciekawego.

Gray ponownie skupił wzrok i zwrócił go w stronę, skąd dochodził odgłos, by chwilę później uczynić to samo z całą głową. Prócz tego, iż jednostajne kap-kap-kap wody ląduje teraz na jego pulsującej skroni, stwierdził, iż nie jest w tym raju całkiem sam. Spod pryczy łypały na niego dwa okazałych rozmiarów szczury. Właściwie to dostrzegł jedynie ich demonicznie połyskujące, czarne jak paciorki

ślepia, i dośpiewał sobie resztę. Odnosił przy tym nader nieprzyjemne wrażenie, iż nie zamierzały czekać na jego ostatnie tchnienie, by się na niego rzucić; uczynią to, ledwie opadnie z sił.

Ale prędzej piekło go pochłonie, nim pozwoli, by cudownie niemoralny i błogo próżniaczy żywot, który dane mu było wieść, skończył się z nim w roli głównego dania dla przerośniętych gryzoni, będących siedliskiem wszelkiej zarazy, w tej nędznej dziurze na samym końcu świata. Miałby zniknąć bez śladu, bez choćby jednej łagodnej niewiasty oplakującej ostatnią podróż człowieka zwanego Czarodziejem z racji finezji, z jaką władał swoją „ródźką”? Zostawić po sobie napis na nagrobku o treści: „TU SPOCZYWA SYMPATYCZNY IDIOTA, KTÓRY PRZENIÓSŁ SIĘ DO WIECZNOŚCI Z CZERWONYM NOSEM I KIELISZKIEM W RĘKU”?

Marne, do diabła, szanse. Bądź co bądź był Sinclairem. Jeśli już przyjdzie mu umierać, to odejdzie z honorem, przebiwszy się własnym mieczem czy coś w tym guście.

Zmeł w ustach szpetne przekleństwo, kiedy ukłucie bólu jak korkociąg wwierciło się mu w kręgosłup: przebiegło od karku po czubki palców u stóp, z nich w ziemię i powrotną drogą przez cały krzyż, ledwie spróbował się dźwignąć na nogi.

Złapał się za dolną szczękę i gwałtownym szarpnięciem przekręcił głowę w lewo, potem w prawo, żeby pozbyć się skurczu szyi. Ćwiczenie to odbyło się przy orkiestrowym zgoła akompaniamencie, każdy bowiem kręg wracał na miejsce, wydając

inny ton od altu do sopranu. Następnie spojrzął w dół, by sprawdzić, jak prezentuje się reszta jego osoby.

Matko Boska, wyglądał koszmarnie, aż strach myśleć, jakie musiał mieć za sobą przejścia. Przypominał jakiegoś dziwaczного stwora, który po czterech dniach nieprzerwanego picia wypelzł w końcu na światło dzienne. Na śnieżnobiałej niegdyś koszuli ziała wielka dziura o postrzępionych brzegach, odsłaniająca lewą rękę od ramienia do łokcia. Czarne skórzane spodnie - które kosztowały życie trzech jego najlepszych krów - pokrywała gruba warstwa brudu. A jego nowiutkie długie buty były tak podrapane, jakby wleczono go po kamieniach.

- Do zapamiętania - mruknął Gray ochrypłym głosem, przywodzącym na myśl spaloną słońcem Saharę. - Rzucić picie.

Ostrożnie dotknął tyłu głowy i skulił się, czując pod palcami pokaźnego guza, który wydawał się obalać teorię kaca, wyjaśniał natomiast, skąd brało się potworne łupanie pod czaszką.

Co mu się, u diabła, przydarzyło? I gdzie się, na miłość boską, znajdował? Pierwszą jego myślą była Szkocja. Chociaż nie, równocześnie przyszedł mu do głowy czyściec.

Przerwał litanie mamrotanych pod nosem nieparlamentarnych słów, kiedy usłyszał czyjeś głosy, coraz donośniejsze i wyraźniej się zbliżające. Motłoch ciągnie tu, żeby go zlinczować? Możliwe. Pytanie brzmi: za co?

Na sztywnych nogach dokuśtykał do niewielkiego wyłomu w kamiennej ścianie: krata z czterech solidnych prętów ostatecznie dowodziła tego, iż nie był tu gościem honorowym - nawet gdyby

obecność kajdan nie mówiła sama za siebie. Zmrużył oczy i próbował cokolwiek wypatrzeć, ale oślepiało go słońce.

Ktoś się zbliżał.

W następnej chwili cztery olbrzymie postacie wypadły biegiem zza rogu przerośniętego kolczastego żywopłotu, oglądając się co chwila i nieomal potykając jedna o drugą w panicznej ucieczce.

- Won mi z drogi, ty durna ofermo! - zaryczała jedna basem.

- To ty patrzaj, jak leziesz, tumanie głupi! - odwrzasnęła druga, także bezsprzecznie męskim głosem.

- Zamknijcie się obaj i zróbcie przejście! - dodała trzecia równie tubalnie, w popłochu przepychając się między dwiema pierwszymi

- O nie, niedoczekanie wasze - zagrzmiała czwarta basowo. - Nie zostawicie mnie tak z dupskiem do wiatru. Rozsuńta się!

Mężczyźni rozpierchli się w różne strony, niemniej jakimś cudem wszyscy czterej wylądowali finalnie za kępą zarośli nieopodal niegościnnej klitki, służącej Grayowi za celę.

No cóż, pomyślał, opierając się ramieniem o ścianę, dobre i to, że nawet w tym przybytku rozpaczy nie odmawia się „gościom” odrobiny rozrywki. Tylko co, u licha, mogło przerazić takie wielkie chłopiska?

Uśmiech spętał mu z twarzy, gdy pojawił się ktoś jeszcze. Gray patrzył pod słońce, toteż dostrzegł same tylko kontury, ciemną sylwetkę obrysowaną złotymi promieniami, widoczną jedynie przez dwa uderzenia serca. Nadal nie znał więc oblicza bestii, przed którą czterej Szkoci z gór czmychali, jakby goniły ich spuszczone ze smyczy piekielne ogary.



Postać wyłoniła się z oślepiającego światła, tocząc wokół oczami, w których pałała żądza mordy. Gray przełknął ślinę, bo rozumiał już, jaka bestia wzbudziła paniczny strach u czterech osiłków, którzy razem wzięci ważyli prawie pół tony, i kazała im pędzić przez las, jeden za drugim, na podobieństwo wykolejonego pociągu towarowego.

O tak, Gray także ją znał, widział ją wcześniej raz czy dwa i wiedział, że na jej widok każdy mężczyzna trzęsie się jak osika.

Jej miano: Rozzłoszczona Kobieta.

Mężczyźni ostrożnie wyjrzeni z za kępy zarośli w kierunku dziewczyny, zajętej obrzucaniem ich wszystkim, co tylko nawinęło się jej pod ręce, a że blisko miała i ogródek warzywny, i kurnik, na brak amunicji nie mogła narzekać.

- Słodka Matko w niebiesiech, cóżeś powiedział tej sikorce, bracie mój? - spytał jeden oskarżycielskim tonem. Wszyscy czterej byli podobnie zbudowani, mieli czarne, sięgające do ramion włosy i niechlujne, nieogolone twarze.

- Nic, toż ci mówiłem!

- Łżesz, Ian - warknął drugi, plując ziemią, która trafiła do jego ust w chwili, gdy zbyt gwałtownie wykonał pad na brzuch, uchylając się przed rzuconym z wielką wprawą nożem, który, wirując wdzięcznie wokół osi, o włos minął jego głowę. - Do diaska, człowieku! Co żeś takiego zrobił tym razem, na litość boską, żeby aż tak ją zadrzaźnić?



Ian, pod którego adresem skierowana była ta reprimenda i który wydawał się z całej czwórki najmłodszy, ze zniekaną miną wzruszył ramionami.

- Ehem, ino raz przebąkiwałem, coby nie zapominała o kobiecych powinnościach względem przyszłego męża. Temu wyznaniu towarzyszył potrójny jęk.

- Czy ty się nigdy nie nauczysz trzymać gęby na kłódkę, jak idzie o te sprawy, pacanie? Przeca znasz jej zdanie co do „kobiecych powinności”. Kiedy dotrze do tego twojego zakutego łba, że ona nie jest taka jak inne kobiety?

- A niby czyja to wina? - odwarknął Ian. - Toż po śmierci mamy gadałem, coby nająć niańkę. Ale nie, musieliście ojca przekonywać, że obejdziemy się bez niańki. Jeszcze głowę żeście dawali, że sami się nią świetnie zajmujemy. - Wytknąwszy rękę nad wierzchołek krzaka, kiwnął palcem mniej więcej w kierunku dziewczyny i omal natychmiast go nie stracił. -

I widzisz, co nam z twoich mądrości przyszło, Aidan?

Gray wyteżał wzrok, chcąc przyjrzeć się dziewczynie, która spowodowała całe to zamieszanie. Panna jednak przez cały czas była w ruchu, zbyt zajęta szukaniem nowych pocisków, którymi mogłaby cisnąć w kłócaącą się czwórkę - i przy odrobinie szczęścia upuścić im trochę krwi - aby Gray zdołał przypatrzeć się jej twarzy.

Za każdym razem, kiedy akurat zwracała się przodem do niego, kaskada długich mahoniowych włosów śmigła w powietrzu niczym pejcz i przesuwiała się na twarz dziewczyny, całkowicie ją zasłaniając. A włosy ta piekielnica miała piękne, tak długie, że sięgały sporo

poniżej pośladek, mieniające się ognistą czerwienią i setkami nieuchwytnych odcieni, wydobywanych przez słońce.

- Wyłazić mi stamtąd, wy parszywe kundule! - krzyknęła. - Już ja wam pokażę moje „kobiece powinności”! Pięścią je wybębnę na waszych pustych łbach!

Aidan z westchnieniem potrząsnął głową.

- Jużem wiedział, jak ta sikorka nie płakała podczas chrztu, że to zły znak. Diabeł dalej w niej siedzi, miarkujcie moje słowa.

- Ano... - mruknęła zgodnym chórem pozostała trójka. Następnie Aidan gniewnie zmarszczył brwi i spojrzał na braci z wyrzutem.

- Któremu strzeliło do głowy, coby nauczyć małą rzucania nożem? Robbie?

- Co się tak na mnie gapisz...? Toć to Fergus.

- Ja?! A gdzie tam! To Ian!

Szóstka oczu wlepiła się w Iana.

- Ee... yy... trza było sikorkę nauczyć, jak ma się bronić -bąknął, po czym dodał szybko: - Ale to Aidan nauczył ją strzelania.

Aidan energicznie pokręcił głową.

- Nie ja, bracie. Ja żem ją ino uczył walki wręcz. To Robbie, osioł jeden, pokazał jej, jak obchodzić się z bronią.

Robbie zbył ten zarzut wzruszeniem ramion.

- Z tych samych powodów, dla których sam żeś ją uczył walki wręcz, a Ian rzucania nożem. Niebezpiecznie jest na tym świecie.

Wszyscy czterej wyjrżeli zza kępy zarośli, obserwując dziewczynę z niepokojem.

- Ano - mruknął Ian. - Niebezpiecznie, łoj, niebezpiecznie...

- Ciekawi mnie ino, jak długo będzie się żliła tym razem.  
- Ostatnio żołądkowała się prawie cały tydzień.  
- Ano, i dalej głowę dają, że nafaszerowała mi żarcie tym  
ziółkiem, co to go daje staremu Cheeversowi, jak mu się kiszki zaprą -  
sarkał Fergus. - Trzy dni nosa żem nie wyściubił z wychodka. -  
Podrapał się po głowie, osłupiały. - A ja ino wspomniałem tej naszej  
sikorce, coby się zastanowiła, czy nie warto od czasu do czasu upiąć  
włosów, zamiast nosić je rozpuszczone i skołtunione jak u Baby Jagi.  
Toż to nieprzyzwoite, jak słowo dają.

Aidan westchnął z głębi serca.

- Ale jak tu winić małą, że taka twarda, skoro zabrakło kobiety,  
która nauczyłaby ją, co i jak? - Dał Robbiemu kuksańca w bok. -  
Porozmawiaj z nią, człowieku. Ciebie posłucha. Tyś jej chyba  
najbliższy.

Robbie skrzywił się gniewnie.

- O nie, mowy nie ma! Ostatnim razem, jakżeś kazał mi z nią  
pogadać od serca, zamierzyła się na mnie sierpem. A ja nie dam se  
skosić głowy... ani niczego innego, serdeczne dzięki. Ty idź, Ian.

- Co to, to nie - zaperzył się Ian. - Lepiej ty, Fergusie.

- Ani mi się śni. Niech Aidan się tym zajmie. Jest najstarszy.  
Aidan kolejno zmierzył wzrokiem każdego z braci.

- Tchórzeście, wszyscy trzej. Niech będzie, że ja. - Zrobił  
głęboki wdech, przełknął ślinę, ale nie ruszył się z miejsca.

- No, na co jeszcze czekasz? Aż święty Ninian sfrunie z nieba na  
błyskawicy? Bierz się do dzieła, człowieku!

Aidan zbył tę uwagę lekceważącym machnięciem ręki.

- Idę, idę! Nie popędzajcie mnie! - Powoli prostował plecy, aż górna połowa jego ciała znalazła się na linii ognia; dolną wolał mieć osłoniętą krzakami. - No, Bonnie, dość już tych żartów. Co ty na to? - Spore jabłko śmignęło w kierunku jego głowy; uchylił się dosłownie w ostatniej chwili. -Twoja kolej, Ianie.

Ian łypnął na niego spod oka i dla kurażu odetchnął głęboko.

- Bonnie? Maleńka? - Powoluteńku, cał po calu, podnosił głowę. - No już, przecież sama wiesz, że wcale nie myślę tego, com wtedy powiedział. A przynajmniej trza mi się było zawczasu zastanowić, jak się delikatniej wyrazić. Bo widzisz, naprawdę uważam, że powinnaś starać się zachowywać krztyne... - Nie udało mu się dokończyć, bo Fergus szarpnął go gwałtownie i pociągnął w dół.

- Czyś ty zgłupiał, człowieku? Chcesz, cobyśmy tu wszyscy śmierć ponieśli? Miałeś dziewczynę udobruchać, a nie jeszcze bardziej rozzłościć. Ba! - Machnął z irytacją. - Jesteś kiep i tyle. - Wychylił się ostrożnie. - Cóż mi się widzi, że nie mam wyboru, jak ino samemu popróbować. Kryjcie mnie, chłopcy. - Wynurzył się zza krzaków, lecz tak, że odsłonięte były tylko jego głowa i ramiona. - Bonnie, dziewczyno, to ja. Twój ulubiony brat Fergus. To dobra chwila, coby przypomnieć sobie, co o zemście powiada dobra księga. „Niech nad waszym gniewem nie zachodzi słońce!.”\* Ja se myślę...

*\*Według Biblii Tysiąclecia, Nowy Testament (List św. Pawła do Efezjan 4, 26).*

W odpowiedzi dziewczyna wykonała piękny, podkrecony rzut zgniłym jajkiem; rąbnęło go w czoło i rozbryznęło się, a białko

spłynęło mu po policzku i zaczęło skapywać na koszulę. Tyle w kwestii „ulubionego brata”.

Gray nie był w stanie dłużej nad sobą panować. Zgiął się wpół i ryknął śmiechem; błyskawicznie wlepiło się w niego dziesięcioro łyskających gniewem oczu.

- Dobry Boże, spuść tu na nas cyrkowy namiot - wykrztusił, kiedy zdołał złapać oddech; starał się nie śmiać, bo bał się, że zaraz pęknie. - Bo trupę już mamy. Większego stada bełkoczących klaunów w życiu nie widziałem.

- No proszę, proszę. Nasz gość się obudził! - zauważył kąśliwym tonem Aidan. - Jak twoja głowa, angielski psie? Bardzo boli? - Wyszczrzył zęby w złośliwym uśmiechu, a Gray zapragnął sięgnąć rękami przez kraty, ucapić rechoczącego wesołka za gardło i wyrwać mu tchawicę.

- Otwórz mi drzwi, sukinsynu w spódnicy, to zobaczymy, kto będzie się śmiał ostatni.

Aidan otrzepał ręką kilt i założył ręce na piersi.

- To zaproszenie do bitki, Angolu? - zakpił, unosząc ironicznie brew.

- A co ty na to, żebym odciął ci rękę i dał ci nią po gębie? Słowa Graya starły Aidanowi uśmiech z twarzy. Kark mu poczerwieniał.

- Wielki z ciebie bohater, że mi grozisz w twojej sytuacji - wycedził przez ściśnięte gardło. - Tym bardziej, że nas jest czterech, a tyś jest sam jak palec.

- Czterech osiłków, którzy nie dają sobie rady z takim chucherkiem. Ja się nie boję.

- Cóż mi się zdaje, że on pije do naszej pięknej siostrzyczki, bracia.

Siostry? Te cztery bezmózgie góry miecha miały siostrę niewiele większą od naparstka? Aż trudno uwierzyć.

- Z bólem serca, ale muszę wam coś powiedzieć. Ta wasza siostrunia nie jest żadnym słoneczkiem w ludzkiej postaci. Nie bije od niej anielskie światło. Prawdę powiedziawszy, to przydałoby się, żeby ktoś porządnie dał jej w skórę, aż się jej zrobią bąble na czterech literach. Może to utemperuje jej charakterek.

Górale wymienili między sobą znaczące spojrzenia, po czym jeden, zdaje się, Robbie, odezwał się głośno:

- Słyszycie to, bracia? Ten tu uważa, że sikorce dobrze by zrobiło parę klapsów.

- Z chęcią sam to leczenie na niej zastosuję - zgłosił się na ochotnika Gray. - Jak żyję, nie widziałem takiej zaciętej smarkuli.

- Ach, tak. A nie wiesz ty może, komu zawdzięczasz pobyt w tej uroczej kwaterze?

- Najwyraźniej jeden z was, obmierzłe bękarty, rąbnął mnie w głowę, kiedy byłem odwrócony plecami.

Na ustach Aidana błąkał się tajemniczy uśmiezek.

-I grubo byś się pomylił, Angliku. Nie załatwił cię żaden z nas.

- No to kto?

Drobna postać przepchnęła się między dwoma stojącymi najbliżej Graya olbrzymami. Z gniewnych oczu dziewczyny bił żar zdolny obrócić śmiałka, który odważyłby się w nie spojrzeć, w garstkę popiołu; Gray poruszył nozdrzami, spodziewając się nieomal, że

poczuje zaraz zapach siarki. W tej samej chwili rzucająca zbukami diablica odezwała się wyzywającym tonem:

-Ja-

Nonszalancja Graya znikła bez śladu. Wytrzeszczył oczy na drobną istotę, twierdzącą, iż w pojedynkę rozłożyła go na łopatki - jego, Sinclaira, człowieka, nad którym nie zatryumfowała dotąd żadna kobieta... oprócz matki.

- No i jakie to uczucie, dowiedzieć się, że znokautowała cię niewiasta, Angliku? - zakpił jeden z górali.

- Taa, nie mówiłeś aby, coby dać komuś klapsa? Bo mnie się widzi, że to ta sikorka dała klapsa tobie.

Gray ignorował docinki tych cholernych idiotów. Zmrużył oczy i zaczął przyglądać się dziewczynie, nie przejmując się zbytnio tym, iż w dalszym ciągu piorunowała go wzrokiem. No, po prostu wierzyć mu się nie chciało. Ta filigranowa, acz wojownicza kobietka miałyby odpowiadać za koszarne łupanie pod czaszką oraz fakt jego uwięzienia? Jakże to możliwe?

Musiła ważyć „całe” pięćdziesiąt kilo; zgrabną figurkę podkreślała nie suknia, lecz obcisła, przewiązana w talii biała bluzka, na tyle krótka, by mógł podziwiać kuszący pępek dziewczyny. Do tego płożółte bryczesy, opinające szczupłą talię i długie, smukłe nogi. Stroju dopełniały wysokie brązowe buty z miękkiej skóry.

Jednak to jej oczy na dobre przykuły jego uwagę. Oczy o szczególnym odcieniu błękitu, przy którym lazur morza szarzał i blakł z zazdrości, tak głębokie, iż można w nich było zatonać, w przyływie gniewu złowieszcze jak burzowe niebo, lecz nie mniej przez to



urzekające. Wystarczyło jedno ich spojrzenie, by Gray poczuł niewyjaśnioną pewność, iż ta kobieta nie dba o to, co o niej sądzą inni. Że zawsze postępuje tak, jak dyktuje jej serce.

- Zaszłaś mnie od tyłu - powiedział przeciągle. - To raczej nie fair.

- I zrobiłabym to jeszcze raz, jakbym musiała. - Jej chłodna, cierpka mina aż nazbyt jasno dowodziła braku skruchy.

Gray skonstatował z przykrością, iż nikt się z nim tutaj nie liczy.

- Jeśli wolno mi zapytać, szczeka nie wypada ci z zawiasów, kiedy zatapiasz zęby w ofiarę?

Dziewczyna odpaliła natychmiast:

- Wysiłasz się, coby wyjść na głupka, czy to przychodzi samo z siebie?

W duszy Graya zaczął kiełkować zaprawiony urazą szacunek. Na palcach jednej ręki potrafił zliczyć osoby zdolne dotrzymać mu kroku w słownych potyczkach, ale ta dziewczyna nie dawała się łatwo zbić z pantałyku. Niemniej jednak Gray nie wytoczył jeszcze swoich najcięższych dział.

- No, powiedz, czym ci sprawiłem przykrość, ślicznotko?

Inna bardziej mi się podobała? Stąd w tobie tyle jadu? A może zawsze bijesz znieczeka Bogu ducha winnych mężczyzn po głowie, bo taką już masz naturę? Czyżby to taki rytuał godowy?

- Jakby to ode mnie zależało, nie użyczyłabym ci haustu powietrza, ty tchórzliwa świni, a co dopiero pozwoliła ci się tknąć.

Był to umiarkowanie bolesny cios: Grayowe ego odniosło jedynie lżejsze obrażenia. „Przegrupować wojska i wziąć odwet przy



użyciu prostej, acz skutecznej męskiej taktyki". Lubieżny uśmiezek w połączeniu ze zdrową dawką erotycznych aluzji z gatunku tych, które przekonałyby ją, iż świadomie prosił się o powtórkę z pałkoterapii, a przynajmniej policzek dla odświeżenia pamięci.

- Idę o zakład, że w łóżku zachowujesz się jak dzika kotka.

O dziwo, nie rzuciła się na niego z pięściami, tylko zrobiła zaintrygowaną minę: być może zorientowała się, że znalazła równego sobie przeciwnika w tej niebezpiecznej zabawie, jaką jest słowna szermierka. Jej bracia jednak najwyraźniej nie widzieli całej rzeczy w tym samym świetle. Dwie gorylowate sylwetki stojące najbliżej dziewczyny pochyliły się groźnie i uczyniły po wielkim kroku w kierunku celi.

Panna szybko oparła braciom dłonie na ramionach.

- Zostawcie go - rzuciła i podeszła do krat.

Była tak blisko, że Gray z łatwością by jej dosięgnął i udusił na miejscu, gdyby tylko przyszła mu na to ochota, ale spoglądała na niego bez cienia lęku. Uniosła drobne dłonie i zacisnęła palce na chłodnym metalowym pręcie.

Gray stanął naprzeciw niej i oparł ręce tuż pod jej dłońmi. Wściekłość ulatywała z niego niepostrzeżenie, kiedy zastygł wpatrzony w piękne oczy dziewczyny i dumął, czy podczas swoich rozlicznych podróży zdarzyło mu się kiedyś widzieć taki odcień niebieskiego - jak płatki niektórych irysów, ale przetykany tysiącem odcieni wisterii i oproszony drobinami złota - lecz tę możliwość niemal natychmiast odrzucił. Nic nie mogło się z nim równać.

Piękna góralka pochyliła głowę i wspięła się na czubki palców. Wyglądała zjawiskowo. Gray nie był w stanie oderwać wzroku od jej piersi, unoszących się i opadających hipnotyzująco, krągłych i kształtnych, napierających na materiał bluzki. Bezwiednie zacisnął palce na kratkach, napiął wszystkie mięśnie, stwierdzając, że świat odpływa w dal i rozmywa się, czarowne zaś zjawisko przed nim zaciska usta... I spluwa mu prosto w twarz.

Gray zareagował szybko, tak szybko, że dziewczyna zdążyła jedynie wydać okrzyk przestachu, a już była pojmana. Dłonie więźnia zaciskały się na jej nadgarstkach równie pewnie, jak kajdany na jego własnych i zdawała sobie sprawę, że choćby szamotała się z całych sił, nie zdoła się uwolnić.

- Ani mi drgnąć! - syknął Gray przez zęby, widząc, że czterej opiekunowie dziewczyny jak jeden mąż rzucają się ku niemu. - Połamie jej ręce, zanim zrobicie po jeszcze jednym kroku.

Mężczyźni zawahali się, potem ten, któremu było Aidan, stwierdził zwięźle:

- Kop dalej, Angolu, bo kopiesz swój grób.
- Proszę, proszę, jakież to oryginalne - stwierdził Gray z sarkazmem. - Nie stać, was na nic lepszego?
- Puść ją, to się zastanowimy, czy darować ci twoje nędzne życie.

Gray zaśmiał się; zabrzmiało to jak szczeknięcie.

- A co takiego mi zrobicie, bo umieram z ciekawości?  
Napuście na mnie to dziewczątko, żeby obrzuciło mnie

kamyczkami? - „Dziewczątka” syknęło na niego, w dość osobliwy sposób wykręcając ręce, żeby rozorać mu paznokciami przedramiona. Patrząc jej prosto w oczy, szarpnął nią tak, że zatoczyła się w kierunku ściany z grubo ciosanego kamienia, i wycedził cicho, z groźbą: - Ja nie podkulę pod siebie ogona, jak te dragale. Pamiętaj o tym, moja droga, zanim znowu zachowasz się niemądrze.

- Wydrę ci ten jęzor z gęby i upiekę go nad ogniskiem! -odpaliła ze wściekłością dziewczyna. Jej pociemniałe z gniewu oczy barwy nocnego nieba zmieniły się w dwa sztylety.

Usta Graya wykrzywiły się w dziwnym grymasie.

- Niezłe z ciebie ziółko, ale jak tylko się stąd wyrwę, z rozkoszą cię poskromię.

- Nikogo nie będziesz poskramiał, ty ryczący osłe - nieomal wypluła te słowa. - Pierwej każę cię ugotować w kotle z oliwą, a twoimi gnatami nakarmię kundle, nim pozwolę ci się dotknąć!

- No, no, aleś ty porywcza, ładnie to tak? Ale jeszcze wrócimy do twoich obietnic. - Gray przyciągnął ją do siebie, a kiedy twarz dziewczyny znalazła się tuż przy kracie, nachylił się nad nią i powiedział cicho: - Co więcej, moja słodka, nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, jak się do tego zabierzesz.

- Będziesz tego żałował, jak niczego w całym swoim parszywym życiu, jeśli się ino do mnie zbliżysz.

Gray patrzył na jej pełne, pięknie zarysowane wargi, na sposób, w jaki wymawiała te słowa, i znienacka ogarnęła go wielka ochota, by zakosztować tych kuszących usteczek.

- Ja już żałuję, dziewczyno - odpowiedział półgłosem.

- Wiesz, kto ty jesteś? - spytała sucho, czekając, aż Gray podniesie wzrok i odwzajemni spojrzenie jej roziskrzonych błękitnych oczu.

- Nie. A kto?

- Taki, co to mocny tylko w gębie... pastwi się nad słabszymi... tchórz.

Z wprawą ewidentnie wynikającą z dłuższej praktyki dziewczyna zdołała mu zadać perfekcyjnie wymierzony, druzgoczący cios, tyle że za broń posłużyły jej słowa. Tchórz. Ostatnią osobą, która nazwała go tchórzem i pozostała przy życiu, była jego matka.

Wypuścił dziewczynę tak gwałtownie, że przewróciłaby się, gdyby nie podtrzymał jej któryś z braci. Gray usiłował odszukać w sobie niedawną złość, ale ta utonęła w lawinie wspomnień, pośród obrazów zagubionego, załamane go jedenastolatka, spoglądającego milcząco w zimną, obojętną twarz matki.

„Zawsze był z ciebie żaloszny mały tchórz” - mówiła, patrząc na niego z pogardą. - „Zawsze wolałeś, żeby Damien toczył twoje bitwy za ciebie, ty nieudaczniku. Jesteś do niczego”.

Od tamtej chwili Gray każdego dnia starał się dowieść, że nie jest tchórzem, że nie jest do niczego i że kiedyś to on pomoże Damienowi, choć zwykle było odwrotnie. Ale Damien nigdy pomocy nie potrzebował. Aż do teraz.

I liczyła się każda sekunda.

Gray zacisnął zęby. Coraz gorzej znosił obelgi i zamknięcie w czterech ścianach. Ogarnęła go zimna furia.

- Macie mi natychmiast powiedzieć, dlaczego trzymacie mnie pod kluczem - rzucił tonem nie znośnym sprzeciwu. -Jaki cięży na mnie zarzut?

Odpowiedź należała do tych, które podawane są bez wahania, z prostotą mrozącą krew w żyłach, i w których pobrzmiewa bezgraniczne potępienie.

- Morderstwo.

RS

To słowo odbiło się echem od brudnych ścian celi, która nagle zdała się Grayowi grobowcem, trącając tę strunę jego duszy, której brzmienia większość ludzi przez całe swoje życie nie słyszy ani razu, chyba że im właśnie zarzuca się tak potworną zbrodnię.

- Morderstwo? Żartujecie chyba... - Odpowiedziała mu martwa cisza, która odarła go z resztek złudzeń. Cisza absurda i absolutna, pod której wpływem zaczęło mu dudnić w uszach i zbierać się na mdłości. Nerwowo przegarnął palcami włosy. Przed oczami przewijały mu się jakieś niewyraźne obrazy, te same, które wcześniej bagatelizował, uważając je za wytwór przesiąkniętej szkocką wyobraźni. Wydawały mu się dotąd zbyt niewiarygodne, by traktować je poważnie. - To jakiś obłąd. Ja nikogo nie zamordowałem.

- A właśnie, żeś zabił - rzucił Fergus z nienawistnym grymasem. - I za to będziesz sądzony, a jeśli rada uzna cię za winnego, połuścisz się na szubienicy.

Gray czuł się tak, jakby został brutalnie przeniesiony do jakiegoś koszmarnego snu, i nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy i gdzie koszmar się rozpoczął. Gorączkowo szperał w pamięci, usiłując poskładać pojedyncze zdarzenia w ciąg prowadzący do chwili, w której z nóg zwałił go potężny cios w głowę.

Wyłynął statkiem z Ballycastle, wysuniętego najdalej na północ skrawka Irlandii, dokąd udał się po swojego pierwszego oficera imieniem Prorok, czym wprowadził go w nie lada zdumienie, jako że

zaledwie tydzień wcześniej udzielił mu zgody na złożenie dłuższej wizyty u brata.

Na krótko po tym, jak Irlandia znikła im z oczu, rozpętał się szkwał, gwałtowny i niespodziewany jak grom z jasnego nieba. Zanim blisko dobę później nawałnica wreszcie ucichła, zdążyli kompletnie zboczyć z kursu i mieli poważnie uszkodzone żagle.

Gray znalazł osłoniętą zatoczkę i kazał załodze rzucić kotwicę, bez powodzenia usiłując nie dopatrywać się w tym, co się stało, złego omenu dla dopiero co rozpoczętej wyprawy. Niemniej jednak złe przeczucia nie opuszczały go ani na chwilę.

Nieprzewidziane opóźnienie fatalnie podziałało na jego skołatane nerwy. Trawiła go potrzeba działania. Prorok, który znał swego kapitana nie gorzej, niż znali go jego dwaj bracia, i świetnie rozumiał, dlaczego tak wielką wagę Gray przywiązywał do tego rejsu, zasugerował zejście na ląd i przeprowadzenie małego rekonesansu, ot, tak, może coś znajdą.

Znaleźli tawernę.

A jedna szklaneczka, która miała zagłuszyć narastające zniecierpliwienie Graya, zmieniła się w kilka kolejek.

W pewnym momencie Gray wytoczył się na dwór z niejasnym wrażeniem, że czas ulżyć pęcherzowi. Na chwiejnych nogach dotarł jakoś do ciemnego zaułka za rogiem budynku i omal się o coś nie przewrócił.

Właśnie wtedy ją zobaczył.

Młodą dziewczynę, nie więcej niż siedemnastoletnią, leżącą na ziemi u jego stóp. Nieruchome brązowe oczy wpatrywały się w niego

bez zmrużenia powiek, przepastne, tchnące martwością, zastygłe w niemym świadectwie grozy śmierci i pytające, dlaczego przyszedł zbyt późno, by ją uratować.

Na jej szyi ziała poprzeczna, otwarta rana, sięgająca od ucha do ucha na podobieństwo makabrycznego uśmiechu i aż nazbyt jasno mówiąca o ogromie męczarni, w jakich musiała konać. Wokół niej powoli wsiąkała w ziemię szkarłatna kałuża krwi, jeszcze cieplej, jeszcze, zdawałoby się, tętniącej życiem.

Gray ją rozpoznał, pamiętał jej twarz, pamiętał, jak pięknie wyglądała z rumieńcem, nim jej policzki przyoblekła śmiertelna bladość. Była to jedna z młodych kobiet tłoczących się wokół stołu, przy którym biesiadował z Prorokiem, promienna, skora do śmiechu i zalotna. Jednak z każdą chwilą tamtego wieczoru wyraz jej oczu stawał się coraz bardziej zamyślony.

Gray ukląkł przy dziewczynie i delikatnie domknął jej powieki, zniżając bezgłośnie modlitwę za jej duszę. Nagle kątem oka złowił jakiś błysk, ruchomą plamkę srebrnego światła. Spojrzał w tamtym kierunku i dostrzegł fragment okrwawionego ostrza, wystającego spod rozpadającej się drewnianej skrzyni.

Z poczuciem, że śni na jawie, sięgnął po sztylet i uniósł go do góry. Białe księżycowe światło padło na trójkątną klingę, która zaśniła złowieszczo. Spojrzał na najbliższą ścianę i zobaczył powiększony cień swojej ręki ze sztyletem.

Równocześnie na palce ściekł mu strumyczek jasnoczerwonej krwi. Zastygł w bezruchu, niezdolny oderwać od niej oczu. Żółć podeszła mu do gardła i miał wrażenie, że zaraz się udławi.



Raptem za jego plecami rozległ się przeraźliwy krzyk. Czas musiał widać zwolnić swój bieg, bo Gray czuł się tak, jakby poruszał się w zwolnionym tempie. Zaczął się obracać, przed oczami mignęła mu stopa w długim bucie, a potem jakiś twardy przedmiot z potworną siłą zderzył się z tyłem jego czaszki, pograżając go w całkowitych ciemnościach, z których ocknął się już w celi, aby przekonać się, że koszmar zmienił się w rzeczywistość.

Ze ściśniętym żołądkiem i uczuciem, że zaraz zwymiotuje, spojrzął na swoich oskarżycieli; twarze mieli jak wykute z kamienia.

- Nie zabiłem tej dziewczyny - powtórzył, oddychając z trudem.  
- Była martwa, kiedy ją znalazłem.

- A już ci, że byłoby ci na rękę, co byśmy w to uwierzyli - rzucił Aidan szyderczo, oskarżycielskim tonem.

- Mówię prawdę, do cholery!

- Mamy świadka. Widziano cię, jak żeś klęczał przy tej biduli z nożem w garści. Jeszcze z niego krew ciekła.

Świadek.

Ostatni kawałek układanki bezszelestnie wsunął się na właściwe miejsce, gdy Gray spojrzął w pełne wrogości błękitne oczy świadka, osoby, którą z takim upodobaniem prowokował, próbował wyprowadzić z równowagi.

Nieprzychylnej mu osoby, w której kapryśnych rękach spoczywał teraz klucz do jego wolności.

I zrozumiał, że jest zgubiony.

Gray leżał na obskurnej pryczy z rękami podłożonymi pod głowę i Bóg jeden wie, od jak dawna gapił się z głuchą nienawiścią w

jedno i to samo cholerne pęknięcie w dachu. Noc wlokła się niemiłosiernie i z każdą chwilą coraz bardziej się w nim gotowało. Jego nastrój oscylował od niedowierzania, oburzenia, oszołomienia po wściekłość.

Koniec końców została sama wściekłość.

Pod pryczą niestrudzenie grasowały te przekłete szczury. Gray był w wystarczająco krwiożerczym nastroju, żeby poczęstować je miażdżącym ciosem, zadany grubym obcasem buta. Ale kto wówczas dotrzymywałby mu towarzystwa przez te niekończące się nocne godziny poprzedzające świt? W chwilach wewnętrznej szczerości, gdy jątrzące myśli niczym woda przez szczeliny w tamie wsączały się w jego mózg, a ból, który nieustannie nosił w sercu, wybuchał nagle żywym ogniem, bezsilną furia, że oto znowu przyklejono mu jakąś etykietę, jeszcze jedną w długim szeregu innych. Morderca. Tchórz. Nieudacznik.

Bękart.

A do tego ostatniego miana dochodził cały asortyment mniej lub bardziej oryginalnych wariacji, z których większość zdarzyło się Grayowi usłyszeć pod swoim adresem na tym czy innym etapie długiego skoku prosto w mętne bajoro, do którego coraz bardziej upodobniało się jego życie.

Prawda jednak była taka, że był bękartem w najstarszym, najbardziej pospolitym i dosłownym znaczeniu tego słowa, a ten chlubny tytuł nosił od dnia swoich narodzin. Był wstydliwym sekretem. Mroczną tajemnicą z przeszłości. Zakałą rodziny.

Gray zasłonił oczy przedramieniem, jakby mógł tym gestem odgrodzić się od wspomnień, których lepiej nie wywlekać na światło dzienne, wyzbyć dojmującego, palącego wstydu, który starał się spychać w najciemniejsze zakamarki umysłu.

Umysł jednak bywa nierzadko najgorszym wrogiem tego, kto się nim posługuje; pozostawiony samemu sobie, popycha swego właściciela ku ścieżkom, na które tamten nie chce wkraczać, szczyje go strzępami bolesnych wspomnień z dzieciństwa, przypomina bez końca, dlaczego tak wiele osób nie powinno mieć dzieci, nie zasługuje na to, by je mieć, że mocą jakiegoś edyktu winno się tego zakazać mężczyznom i kobietom, którzy są wyzuci z ciepła, współczucia. Miłości.

I to on nie pozwalał Grayowi zapomnieć, iż jego krew skalana była zdradą matki - że jej niewierność skazywała go na życie w hańbie, na wieczne błąkanie się na obrzeżach przyzwoitego świata, raz na zawsze pogрузyła go w moralnej dwuznaczności.

Grzechy matki skaziły syna - niczym trucizna.

Całymi latami świadomość, że pochodzi z nieprawego łoża, wypalała Graya wewnątrz, dopóki nie powstała w nim taka pustka, że nie był w stanie już niczym się przejmować. Wreszcie przestał cierpieć i znalazł w sobie dość siły, by zamknąć uszy na wygłaszane szeptem uwagi na temat matki i jej kochanka.

Jednak nigdy do końca nie wyleczył się z zazdrości, biorącej swój początek w wiedzy, iż jego bracia są prawdziwymi Sinclairami, połączonymi więzami krwi, on tymczasem pozostaje niepożądanym owocem jednego ze skandalicznych romansów matki.

Ani Damien, ani Nicholas nie znali prawdy. Gray nie zdobył się na szczerą rozmowę, matka zaś wydawała się uszczęśliwiona faktem, iż może zrzucić ciężar swoich grzechów wyłącznie na niego. Gray zastanawiał się czasami, czy ojciec czegokolwiek się domyślał - czy dobroduszny hrabia Blackstone świadomie ofiarował dom dziecku spółdzonemu przez innego mężczyznę. Jeśli nawet tak było, to zachował tę wiedzę dla siebie. Taka postawa ojca zresztą nawet w najmniejszym stopniu nie zaskoczyłaby Graya: Niles Sinclair był skrajnym przeciwieństwem swojej żony. Niestety, nie był też dla niej równorzędnym partnerem.

Gray przyglądał się bezsilnie, jak z ojca uchodziły siły życiowe, najpierw krztyna po krztynie, potem coraz szybciej, jakby wysysał je z niego każdy mijający rok, ponieważ zbytnio się wszystkim przejmował i kochał niemądrze. Coraz bardziej przypominał ducha, a w końcu ciemności pochłoneły go ostatecznie.

Gray nadal pamiętał przelotny dotyk ojcowskiej ręki, kruche palce zaciskające się mocno na jego własnych, ciało powleczone woskową bladością nadchodzącej śmierci.

„Mój synu” - wyszeptał i wydał ostatnie tchnienie.

Syn. Ot, zwykłe słowo, lecz przecież jego znaczenia nie sposób przecenić.

Gdy zmarł Niles Sinclair, odszedł ze świata ostatni przedstawiciel swej epoki, ostatni z rodu szlachejnych. Pozostało jedynie trzech młodych, twardych mężczyzn, którym słowo „przebaczenie” było zupełnie obce. Mężczyzn, których wychowano tak, by wierzyli, iż życzliwość równa się słabości, uczuciowość

proceedzi do zguby, a wierność kobiety zależy jedynie od tego, czy ma okazję do zdrady.

Z gniewnym pomrukiem Gray zerwał się ze swego prowizorycznego posłania i podszedł do jedynejo okna w celi, przez które widać było świat zewnętrzny. Szukał zapomnienia, czegoś, co pozwoli bez bólu przeżyć kolejną godzinę, dzień, rok.

Uczepił się chłodnej kraty jak rozbitek koła ratunkowego i skoncentrował na oddychaniu: wdech, wydech, dopóki nie przycichł wewnętrzny niepokój, a smutne zjawy nie powróciły wreszcie do świata umarłych.

Pod oknem na rozchwierutanej drewnianej ławce „czuwał” samotny strażnik: siedział przygarbiony i przy każdym wydechu poświstywał śmiesznie przez nos. Obok stał do połowy opróżniony kufel piwa.

Gray z irytacją przegarnął palcami włosy. Ale kabała, psiakrew. Aż szkoda, że nie mogą go teraz zobaczyć jego bracia i przekonać się na własne oczy, jakie poniżenie zawdzięczał drobnej szkockiej góralce groźniejszej niż zmija.

Ledwie pomyślał o dziewczynie - Bonnie albo sikorce, jak nazywali ją bracia, co ewidentnie nie odnosiło się do jej usposobienia - krew w nim zawrzała.

W tej samej sekundzie kątem oka złowił jakieś poruszenie. Ktoś lub coś czaiło się tuż za linią drzew, poza zasięgiem jego wzroku. Kiedy chmura przesłoniła tarczę księżyca, jakaś postać rozgarnęła listowie i zaczęła skradać się w kierunku celi; strażnik pochrapywał miarowo, nieświadomy zagrożenia.

Postać przystanąła przy ławce, uniosła rękę jak do ciosu... i użyła drugiej, by szturchnąć strażnika w ramię: spadł z ławki jak wór ziemniaków i z równym wdziękiem obalił się na ziemię, nawet na chwilę nie przerywając błogiego pochrapywania.

- Niech mnie kule biją, to naprawdę działa. Gray natychmiast rozpoznał ten głos.

- Prorok?

Postać gwałtownie podniosła głowę; księżyc właśnie wyłonił się zza chmury i Gray ujrzał znajome ogorzałe oblicze.

- Ano, chłopcze, któż by inny. Staruszek Prorok przyszedł ocalić twój żaloszny zadek.

Palce Graya odnalazły między kratami stwardniałą od pracy rękę, za pośrednictwem tegoż ramienia zespoloną z antańkowatym tułowiem; broń Boże nie był zbyt tęgi, jak zaklinał się sam Prorok, a jedynie nie dość wysoki w stosunku do obwodu w pasie.

- A niech mnie, po prostu nie mogę się na ciebie napatrzeć - zaśmiał się Gray, po czym nieznacznym skinieniem głowy wskazał strażnika. - Coś ty mu zrobił?

- Dolałem mu do piwa mikstury, com ją dostał od jednego starego marynarza. Wyśpi się porządnie i obudzi z pianiem koguta.

- Po co takie ceregiele? Dostałby raz pałką po łbie i skutek byłby taki sam. - Kto jak kto, ale Gray wiedział coś na ten temat. W głowie nadal mu pulsowało w tempie dwukrotnie szybszym od tego, w którym biło jego serce.

- O nie, chłopcze, przecież wiesz, że unikam rozlewu krwi, jeśli się ino da.

Gray przewrócił oczami. Były pirat, który brzydzi się przemocą. Tylko w kominie węglem zapisać - podobnie jak wzmiankę o stosunku niegdysiejszego korsarza do kobiet: Prorok był równie chutliwy jak porośnięta glonami pąkla, przyczepiona do kadłuba statku.

- Mniejsza o twoje metody. I tak jestem ci niepomiernie wdzięczny.

Prorok wymamrotał coś pod nosem, wyraźnie skrepowany słowami podziękii.

- Chyba przyjdzie mi kiedy związać cię sznurkiem, co byś przestał się ciągle pakować w kłopoty - odezwał się zrzędlwym tonem. - A to przez tę twoją przystojną gębę, a to znowu przez ten bezczelny uśmieszek, co to aż się prosi, co by go zetrzeć pięścią. Albo cię ratuję przed rozkochanymi kobietami, albo mężczyznami, co patrzą ino, jak by ci przyłożyć.

Z przyczyn, których Gray nie zdołał jeszcze rozszyfrować, Prorok uznał za konieczne sprawować nad nim pieczę, jakby Gray był nieopierzonym młokosem. Niech Bóg pobłogosławi to kochane chłopisko z bakami.

- Czy muszę przypominać, że ten pozaplanowy wypad do siódmego kręgu piekieł to twój pomysł?

Prorok chrząknął.

- Widzę, że więzienie nie dodało twojemu obejściu słodyczy.

- Przyszedłeś tutaj, żeby prawić mi kazania?

- A wiesz, rzeczywiście przemknęło mi to przez głowę. No bo i jak tu liczyć na lepszą okazję, skoro w tej pełnej owiec dziczy aż huczy od plotek, że już ci kręcą stryczek?

Gray parsknął pogardliwie.

- Proces i wyrok jeszcze przed śniadaniem. Nie do wiary, jacy ci tutejsi są szybcy.

- Nie przepadają za tobą, chłopcze.

Gray nie potrzebował, by ktokolwiek zwracał mu uwagę na ten bezsprzeczny fakt - to się wprost rzucało w oczy. Rojąca się od szcurów nora, do której go wtrącono, aż nazbyt dobitnie dowodziła uczuć miejscowych względem jego osoby.

- Chcą, coby sprawiedliwości stało się zadość. Za każdą cenę - dodał poważnie Prorok.

- Tyle tylko, że to ja miałbym ją zapłacić, o to ci chodzi?

- Ano, tak to wygląda - potwierdził Prorok i pokiwał smętnie głową. - I właśnie dlatego tu jestem. Wyciągnę cię stąd, zanim się obejrzysz, i będziesz mógł o wszystkim zapomnieć. -Energicznym krokiem zbliżył się do drzwi celi i zaczął szarpać za rygiel, pozostawiając Graya własnym myślom.

Zapomnieć. Tylko czy potrafi? Czy zdoła zapomnieć bezkrwistą twarz tamtej młodziutkiej dziewczyny? Jej niewidzące, puste oczy? Szkarłatną kałużę krwi wypływającej z jej ciała?

Jeśli teraz ucieknie, piętno mordercy przylgnie do niego na całe życie. Nie dowiedzie nigdy swej niewinności. Nad jego głową już zawsze będzie wisieć czarna chmura, kładąc się cieniem na przyszłości, jaką chciał sobie zbudować. I zawsze musiałby uciekać, a



świadomość ciężących na nim zarzutów dręczyłaby go do końca jego dni.

Uciekając, stałby się- dokładnie tym, za kogo miała go Bonnie: tchórzem.

Odgłos przesuwającego się rygła wyrwał Graya z zadumy.

Prorok wszedł do celi i rozejrzał się skrzywiony.

- Przytulnie tu - mruknął. - No, chodźże, chłopcze. Nie ma czasu do stracenia.

Gray nie ruszył się z miejsca.

- Nie mogę - stwierdził cicho. Prorok ściągnął krzaczaste brwi.

- Jak to, nie możesz?

- Muszę tu zostać i oczyścić swoje nazwisko. - Bo tylko nazwisko mu pozostało, tylko ono łączyło go z rodziną i niech go diabli, jeśli pozwoli, by ta banda wypasionych Filistyńczyków odebrała mu całe jego dziedzictwo.

Twarz Proroka przybrała wyraz zatroskania.

- Wiesz, że ino rozglądają się za kimś, kogo by mogli ukrzyżować.

- Wiem. Ale muszę spróbować. Nie mogę do końca życia co chwila oglądać się przez ramię.

- A ja nie chcę, cobyś zawisł za morderstwo, którego żeś nie popełnił.

Gray uśmiechnął się w duchu: dopiero teraz uzmysłowił sobie, jakie to dla niego ważne, by choć jedna osoba wierzyła w jego niewinność, rozumiała, że nie był zdolny do popełnienia takiej straszliwej zbrodni.

- Głowa do góry. Nie zabawię dość długo, żeby zdążyli mnie powiesić, jeśli przyjdzie co do czego.

Prorok odetchnął z widoczną ulgą.

- Czy twoja nagła ochota, coby tu zostać, nie wiąże się aby z dziewczyną, która tak cię ładnie załatwiła?

Wdzięczność, którą Gray odczuwał chwilę wcześniej, błyskawicznie ustąpiła irytacji.

- Wcale mnie nie załatwiła - oznajmił sucho, ale nie zaprzeczył, że jego decyzja po części wiązała się z osobą Bonnie.

Uważała go za mordercę i tchórza. Dowiedzie jej, że nie jest ani jednym, ani drugim. I nie przeszkodzą mu w tym ani kamienne mury, ani czterech wielkich jak mamuty braci, ani wizja rozpętania piekła na ziemi.

- Nie? - Siwa krzaczasta brew uniosła się ironicznie. -Stąd, gdzie stoję, sytuacja przedstawia się całkiem inaczej.

- Już ty się o tę dziewczynę nie martw - uciął dyskusję Gray i wyjrzał przez okno prosto w bezwietrzną noc. Spoglądając ku samotnej sylwecie zamku, stojącego na skalistym zboczu, pomyślał, że Bonnie śpi właśnie w jego czeluściach, bezpieczna, spokojna - i, na jej szczęście - całkowicie nieświadoma tego, iż przysparza bólu niewinnemu człowiekowi. - Sam z nią sobie poradzę.

- Wybij ją sobie z głowy, chłopcze - ostrzegł Prorok, jakby odgadł Grayowe myśli i nie był zachwycony jego planami względem pięknej złośnicy. - Bo na tej drodze czekają cię tylko kłopoty.

Ta dziewczyna była wierną służką Antychrysta. Drobna jak naparstek wiedźmą sprzysiężoną z siłami ciemności.

Chociaż całkiem możliwe, że nie tyle Antychrystowi służyła, co nim była, tyle że w kobiecej postaci, doszedł do wniosku Gray następnego ranka, kiedy przeraźliwy brzęk przy samym uchu brutalnie wyrwał go ze snu, aż przydzwonił głową o ścianę i z mrozącym krew w żyłach łoskotem rąbnął z pryczy na posypaną słomą ziemię. Podniósł się tuman pyłu, zatykając mu nos i usta.

Kiedy udało mu się wykasłać ostatnią garść ziemi i wy-mrugać spod powiek jakieś paprochy, na linii jego wzroku znalazła się para drobnych stóp w długich, czarnych butach. Świetnie wiedział, do kogo i jedne, i drugie należały.

Zacisnął zęby i spojrzał w górę.

- Znowu ty...

Dziewczyna uniosła wąską, gładką brew.

- Dobrze ci się spało?

Sarkastyczny ton jej głosu był niczym w porównaniu z pełnym szyderstwa uśmiechem, który wykwitł na ustach dziewczyny. Wielka szkoda, że rysy jej twarzy nie odpowiadają jej usposobieniu, pomyślał smętnie Gray. Bo na jego nieszczęście, panna była urodziwa. Po prawdzie, to aż nazbyt urodziwa, psiakrew.

Na domiar złego miała na sobie jeden z tych wiązanych w talii fatałaszków, które obejmują kobiece piersi niczym dłonie kochanka i

niemiłosiernie dręczą widokiem gładkiego, płaskiego brzucha, pępka, który zdawał się wołać: „a kuku!”. Toteż w chwili, gdy w umyśle Graya odżyła wściekłość i uraza, niżej położone partie jego ciała przypomniały o sobie, sygnalizując gwałtowną chętkę na amory - zjawisko wprawdzie spotykane, niemniej w zaistniałych okolicznościach wybitnie frustrujące.

Gray nie zainteresował się trzymaną przez dziewczynę tacą z jedzeniem; wiedział, że do życia potrzebna mu nie strawa, a ujście dla gniewu, który trawił z wolna jego trzewia.

Nigdy w życiu nie klęczał u stóp kobiety i prędzej piekło go pochłonie, nim pozwoli, by to się dzisiaj zmieniło. Co więcej, śmiała ślicznotka stanęła tak blisko niego, że okazja popełnienia występku sama mu się pchała w ręce. Dostarczyłby przynajmniej braciom tej „sikorki” konkretnego powodu, by mogli go powiesić z czystym sumieniem.

Gray zaczął się podnosić, nie zdążył jednak do końca wyprostować pleców, gdy czyjaś dłoń zacisnęła się ostrzegawczo na jego ramieniu i gruchnęła na kolana. Łypnął okiem ku serdelowatym paluchom o włochatych knykciach.

Następnie powiódł wzrokiem po przedramieniu grubym jak pień dębczaka ku klatce piersiowej o obwodzie, jak oceniał na oko, około czterdziestu czterech cali i kształcie piecyka wyposażonego dodatkowo w wydatne brzuszysko.

W końcu jego zbaraniałe spojrzenie zatrzymało się na pełnej groźby twarzy. „Szpetny” nie wydawało się trafnym określeniem aparycji stojącego za Grayem olbrzyma. Podobnie jak „groteskowy”.

„Niepowtarzalny w swojej ohydzie" było, zdaniem Graya, o wiele bardziej na miejscu. Nos, czoło, policzki, broda, wszystko jak wgniecione do środka, zupełnie jakby coś ciężkiego leżało na jego twarzy tak długo, aż przednia część czaszki uległa wyraźnemu spłaszczeniu. Oto człek, uznał Gray, z niepokojem myśląc o tym, co jeszcze może czekać jego porządnie zmalretowane jestestwo, który lubuje się w odgryzaniu łebków żywym kurczakom.

- Przyniosłam ci śniadanie, więźniu - oświadczyła dziewczyna aksamitnym głosem, szyderczo, najwyraźniej zachwycona rolą strażniczki.

- Oj, to świetnie, bo myślałem już, że będę musiał zjeść własną stopę.

Gray nie wiedział, co w niego wstąpiło, skąd brała się pokusa, żeby ciągle się z dziewczyną droczyć - tym bardziej, że powinno mu zależeć na pozyskaniu jej życzliwości, skoro chciał odwołać się do dobroci jej serca - zakładając, że takowe miała.

Być może ta potrzeba dokuczania jej brała się stąd, że wciąż jeszcze nie darował jej wczorajszych obelg, tego, że go opluła, obudziła po pięciominutowej płytkiej drzemce, w którą udało mu się zapaść gdzieś pomiędzy podawaniem w wątpliwość własnych zdrowych zmysłów, że nie uciekł stąd, kiedy miał okazję, nasłuchiwaniami najróżniejszych nocnych stworzeń, hałasujących godzinami, i zachodzeniem w głowę, czy te cholerne szczury w dalszym ciągu nie ostrzą sobie na niego zębów.

Widok gniewnie zmrużonych oczu dziewczyny stanowił dla Graya ewidentną wskazówkę, iż kolejny raz zdołał wyprowadzić ją z

równowagi, a co za tym szło, powinien spodziewać się kolejnego imponującego wybuchu złości.

- Ależ zjedz ją koniecznie! - Parsknęła z urazą. - Nie mrugnęłabym okiem, nawet jakbyś tu zgnił.

Wykonała zwrot w tył z iście żołnierską energią.

Gray nie umiał później powiedzieć, co dokładnie wydarzyło się w następnym momencie. Chciał zatrzymać dziewczynę, bo wydało mu się, że zamierzała wybiec z celi. Ani mu było w głowie łapać ją za pierś, ale jego ręka przypadkiem właśnie tam wylądowała.

O dziwo, nie od razu spadł na głowę Graya pozbawiający przytomności cios, po którym zobaczył wszystkie gwiazdy. Widać nawet milczące monstrum znieruchomiało na sekundę, jakby szok obezwładniający trzymał wszystkich w swoich objęciach - ściślej biorąc, wszystkich oprócz Graya. Gray bowiem doszedł do wniosku, że póki co, może sobie tę pierś potrzymać. Taka okazja nie nadarzała się co dzień, a z niejasnych powodów - czyżby skutek przejściowego zaćmienia umysłu? - odczuwał nader silny pociąg do tej szkockiej rozłupywaczki czaszek. Jego lędźwie ogarnął żar gorętszy od ogni piekielnych.

Jak na taką drobną dziewczynę miała niesamowite piersi, pełne i ciężkie. Przyjemną niespodziankę stanowił fakt, iż poczuł, jak sutek jej twardnieje. Jego ciało - skądinąd ostatnimi czasy ciężko zmaltretowane i zaniedbane - zareagowało natychmiast.

A potem dosłownie znikąd zjawiała się pięcha wielkości schabu i łupnęła go w szczękę; rozkoszna chwila prysła. Ostatnim, co zobaczył, była ziemia w wielkim pędzie śpiesząca mu na powitanie.

Gray potrząsnął głową, żeby na nowo zogniskować wzrok, i dla próby poruszył obolałą szczęką: kółko w lewo, kółko w prawo, ot, tak, żeby się przekonać, czy nie wypadła z zawiasów. Przesunął językiem po zębach; kilka wydawało się jakby obluzowanych.

Zerknął na dziewczynę. Nadal wyczuwał w niej gniew, w jej twarzy wyczytał jednak jeszcze jakieś inne uczucie. Troskę? A niech go diabli, jeśli inaczej to wyglądało.

Przez chwilę rozważał możliwość wykorzystania swoich obrażeń jako atutu w tej rozgrywce: udawać rannego i bezradnego, sprawdzić, czy dzięki temu coś wskóra. Niestety, plan nie skryształizował się dostatecznie szybko, twarz dziewczyny bowiem zdążyła znowu zastygnąć w dobrze Grayowi znany wyraz szyderstwa.

Zasepiony, spojrzął na dziewczynę, skinieniem głowy wskazując olbrzymia.

- Powiedz swojemu przyjacielowi, że bije jak mała dziewczynka.

Mężczyzna oderwał stopę od ziemi, ale Bonnie pospiesznie zastąpiła mu drogę. Następnie pochyliła się, aż jej twarz znalazła się na wysokości twarzy Graya, i zapytała przyciszonym głosem:

- Tak ci spieszno spotkać się ze Stwórcą?

Gray omiółł spojrzeniem jej zgrabny nos, wydatne kości policzkowe, po czym na chwilę zatrzymał wzrok na pełnych, czerwonych ustach dziewczyny. Dopiero później spojrzął jej w oczy, odwzajemniając iście mordercze spojrzenie.

- A czemu pytasz? Tęskniłabyś za mną? Wyprostowała plecy tak gwałtownie, że Gray nie zdziwiłby się, słysząc głośny trzask.

- Trzymaj język za zębami, bo jak nie, to Selwyn dopilnuje, cobyś gorzko pożałował swojego gadulstwa!

- Selwyn? Jaki, u licha...? - Kątem oka dostrzegł zawstydzoną minę giganta, z którego pięścią niedawno się zapoznał, i doznał olśnienia. - Selwyn?

Olbrzym zazgrzytał zębami i warknął jak pies. Gray zgiął się wpół i zawył ze śmiechu. Zaśmiewał się tak serdecznie, że omal się nie przewrócił.

Piękna strażniczka rzuciła mu zagniewane spojrzenie.

- Selwyn będzie mi pomagał, więc dobrze ci radzę: uważaj, co mówisz, bo się doprosisz następnego guza.

Gray ze śmiechem podniósł się na kolana.

- A w czym ci będzie pomagać? W młóceniu kamieni na proszek? Podniesie całą Amerykę, żebyś mogła pod nią pozamiatać? Odsunie ocean, żebyś mogła pozbierać z dna muszelki?

Selwyn wydał dziwny odgłos. Albo był to śmiech, albo pierwszy sygnał ostrzegawczy, iż lada chwila olbrzym wpadnie w nieokiełznaną, zwierzęcą furję.

- Traktuj ino jego obecność jako przypomnienie, coby nie nadużywać mojej dobroci - stwierdziła sucho strażniczka.

Ta zawoalowana groźba natychmiast podkusiła Graya do tego, by tę rzekomą dobroć poddać próbie.

- Chcesz powiedzieć, że nie mogę ci wsadzić języka do pępka, choć z takim wdziękiem mi go podsuwasz?

Dziewczyna błyskawicznie opuściła wzrok: zobaczyła, gdzie znajduje się głowa więźnia, i zdała sobie sprawę, że skrawek jej



odsloniętego brzucha miał dosłownie przed nosem. Roziskrzzone błękitne oczy nabrały chłodu stali. Tym razem to Gray odpłacił się jej szyderczym uśmiechem -a chwilę później pochylił do przodu.

Zostało mu do pokonania zaledwie parę cali, gdy jego plan spalił na panewce: olbrzym poderwał go w górę jak piórko i odrzucił na pryczę. Z uczuciem, że porwał go huragan, Gray zaczął machać rękami, próbując rozproszyć chmurę kurzu.

Tym razem na twarzy dziewczyny nie malowała się troska, a furia. Czysta, niepohamowana furia.

- Będziesz trzymał gębę na kłódkę, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, Angliku.

Gray zaczął ugniatać lewe ramię, którym rąbnął o ścianę podczas upadku. Ułańska fantazja opuściła go w mgnieniu oka.

- Nie mam na imię Anglik... ani, gwoli ścisłości, wieźień albo świnia, tylko Gray. Spróbujesz powtórzyć? Gray. To wcale nie takie trudne...

Parsknęła pogardliwie, ale przez najkrótszą z chwil wyraz mściwości znikł z jej twarzy. Potem dziewczyna lekko potrząsnęła głową, zacisnęła usta w sposób znamionujący wrodzony upór i pomaszerowała ku pryczy szybkimi, oszczędnymi krokami.

- Twoje żarcie. - Postawiła tacę.

Kaskada jedwabistych włosów musnęła kolano i rękę Graya; odczuł to jak smagnięcie pejcem. Bez zastanowienia uniósł chłodne, lśniące pasmo, oplótł je sobie wokół palców, rozkoszując się jego aksamitną miękkością i zastanawiając się, dlaczego przy tej wiedźmie o twarzy dziecka czuł się jak zadurzony młokos.

- Przestań! - fuknęła, kiedy zobaczyła, co robi, i cofnęła się gwałtownie.

Posłał jej zbolące, urażone spojrzenie człowieka, który doznał niezasłużonej przykrości.

- Ty mnie dotknęłaś pierwsza.

- Jeśli tak, to niechąco.

- A to już sprawa dyskusyjna. Czas pomyśleć o upinaniu włosów, żeby nigdy więcej nie doszło do czegoś równie potwornego. Może i jestem twoim więźniem, ale mam prawo do tego, byś mnie nie zaczepiała.

- Ja wcale... ja nie... - zająknęła się Bonnie. W tej chwili szczerze go nienawidziła, bo podejrzewała, że z rozmysłem wprowadził ją w zamieszanie, że chciał ją zażenować i swój cel osiągnął.

Bardziej jednak niż jego słowa złościł ją fakt, że nic nie przygotowało jej na uśmiech, który nieoczekiwanie opromienił twarz Anglika. Uśmiech pełen leniwej zmysłowości i dosłownie zapierający dech w piersi, tak że musiała się w duchu upomnieć, by znowu zaczerpnąć powietrza. Od pierwszej chwili, kiedy skrzyżowały się ich spojrzenia, wiedziała, że w końcu trafił się jej przeciwnik po mistrzowsku władający wyjątkowo niebezpieczną bronią.

Właściwie to dlaczego się uparła, że sama zanieśie mu śniadanie? Oświadczyła, że to do niej, siostry przywódcy klanu, należy opieka nad więźniami, choć nigdy dotąd się nimi nie zajmowała.

Gdyby stać ją było na zupełną szczerłość wobec samej siebie, musiałaby przyznać, że ten brutal ją zaintrygował. A to wstyd widzieć interesującego mężczyznę w mordercy.

Od momentu, gdy zobaczyła go po raz pierwszy, w jej sercu szalała przedziwna burza. Kiedy na nią patrzył, doznawała błogiego, choć niepokojącego uczucia, ogniskującego się w dole brzucha.

Był niczym anioł rodem z piekła. Pociągający jak grzech, nieludzko wręcz doskonały, po męsku intrygujący z tym swoim dołkiem w brodzie i niepokojąco lubieżnym uśmiechem - całkowite przeciwieństwo tego, jak wyobrażała sobie mordercę. Dlaczego nie może mieć kurzajek na nosie i dziobów po ospie wietrzej? Albo nosić na oku czarnej klapki i pokazywać w uśmiechu częściowo bezzębnych dziąseł?

Czy musi być taki szeroki w barach? Mieć tak cudownie gładką, opaloną skórę? Włosy, których odcień przywodził na myśl bezksiężycową noc, dziką i roziskrzoną gwiazdami, tak długie, że w malowniczym nieładzie muskały jego silne ramiona? I twarz tak niebiańska, że patrząc na nią, zapominało się o wszystkim?

Nawet w tym brudnym ubraniu przypominał jej wojownika. Przerazał ją i wprawiał w dziwne drżenie, choć przecież nigdy dotąd nie czuła się onieśmielona w obecności mężczyzny. Żaden nie stanowił wyzwania. On zmienił jedno i drugie.

Dlaczego musiał być mordercą?

Co gorsza, dlaczego musiał być Anglikiem?

Obróciła się jak fryga i ruszyła ku drzwiom, starając się nie biec.

- Czeka! - zawołał za nią.

Bonnie zatrzymała się, choć sama nie była pewna, dlaczego to zrobiła. Powinna wyjść i zatrzaskać mu drzwi przed nosem, zamiast sterczeć w drzwiach celi, niezdolna ani iść dalej, ani się obejrzeć.

- Proszę - odezwał się niewyraźnie. - Zostań.

Co takiego miał w sobie ten mężczyzna, że nie sposób mu się było oprzeć?

Bonnie odetchnęła głęboko, by dodać sobie odwagi, i odwróciła się powoli. Modliła się, by nie patrzył na nią łakomym wzrokiem, taksując jej postać z sugestywną poufałością, nie wodził za nią oczami, które pozwalały odgadnąć, iż dobrze znał cielesne rozkosze, by znowu nie musiała się czuć, jakby fizycznie jej dotknął.

- Ano, Angolu? O co się rozchodzi? - spytała i ucieszyła się, że głos jej nie zadrżał.

- Na imię mi Gray - przypomniał.

Gray\*, powtórzyła Bonnie bezgłośnie. Pasowało do niego. Miał oczy koloru zimowego nieba o świcie, przejrzyste i proszące w jednej chwili, pociemniałe i złowieszcze w następnej. I urok - uroku rzeczywiście mu nie brakowało. Jednak Bonnie już wcześniej poprzysięgła sobie nie poddawać się jego działaniu.

Teraz umocniła się jeszcze w swoim postanowieniu.

*\* Gray (ang.) - szary (przyp. tłum.).*

- Czego chcesz? Uprzedzałam, co byś ze mną nie zadzierał. Uśmiechnął się. Jego pełen słodczy, aksamitny uśmiech, jak podejrzewała Bonnie, musiał dotąd stopić niejedno kobiece serce - pozwalał również z odległości tysiąca kroków rozpoznać w nim starego lubieżnika.

- Zadzierać z tobą? Gdzież bym śmiał, Szkotko.

- Jak nie masz nic ważnego do powiedzenia, to żegnaj. -Zaczęła się obracać w kierunku drzwi.

- Nie zabiłem tej dziewczyny.

Na to oświadczenie znowu zastygła w bezruchu, tym razem jednak z całkowicie innego powodu. Z jego głosu biła szczerłość.

Ta sama szczerłość, która zeszłej nocy przyprawiła ją o chwilowe wahanie, kazała się zastanowić - choć trwało to nie dłużej niż jedno uderzenie serca - czy może rzeczywiście był niewinny.

Lecz przecież sama go widziała, przykucniętego nad ciałem zamordowanej, widziała ociekający krwią nóż w jego ręce... i potworną ranę na szyi Sarah. Zbladła na samo wspomnienie.

Jakiż to sekret chciała jej powierzyć Sarah, kiedy prosiła o rozmowę w odludnym zaułku za tawerną jej ojca? Czy czuła się tam bezpieczna? Nie przeczuwała, co ją spotka, czekając na Bonnie w miejscu, które tak dobrze obie znały?

Bonnie już nigdy się nie dowie, co zamierzała jej powiedzieć przyjaciółka. Mimo to nie była w stanie oprzeć się wrażeniu, iż Sarah zginęła właśnie dlatego, że chciała swoją tajemnicę zdradzić.

Jeżeli się jednak nie myliła, to jakim cudem mężczyzna, który siedział naprzeciwko niej, mógł ponosić odpowiedzialność za śmierć Sarah? Był przejazdem, dopiero co zawitał w te strony. Relacje świadków zgadzały się co do tego, że wychylił w tawernie kilka szklaneczek, dokazywał z kobietami - i w jedno, i w drugie nietrudno było Bonnie uwierzyć.

- Nie zabiłem jej - powtórzył; oczy, pociemniałe, pełne uporu, zdawały się przenikać ją na wskroś.

- Widziałam cię - powiedziała niewyraźnie, zła, że głos jej drży.

- Widziałeś człowieka klęczącego obok rannej dziewczyny, nic więcej.

Mimo że nie widziała tego, jak padał morderczy cios, obecność Anglika na miejscu zbrodni była wystarczającym dowodem. Teraz tylko od Bonnie zależało, czy występek zostanie ukarany, a Sarah dostanie choć takie nędzne zadośćuczynienie za swoją krzywdę. Nagle poczucie odpowiedzialności wydało się Bonnie tak przytłaczające, iż niemal nie do udźwignięcia.

- Dziś wieczorem rada omówi twój los. Policzek zaczął mu dziwnie drgać.

- Omówi mój los. Rozumiem. Tylko dlaczego odnoszę przedziwne wrażenie, że wyrok już zapadł?

- Będziesz mógł wypowiedzieć się w swojej obronie - rzuciła machinalnie. Ledwie jednak wyrzekła te słowa, wiedziała, że w lot ją przejrzał, że wiedział, iż była to tylko próba podniesienia go na duchu. Ale też jak mogłaby przyznać, że ma wątpliwości co do tego, czy mógł liczyć na sprawiedliwy proces?

Po tym, co zeznała na temat wczorajszych wydarzeń, mieszkańcy wioski wielkim głosem domagali się bezzwłocznego wymierzenia kary, ale nikt się nawet nie zająknął o sprawiedliwości czy uczciwości względem oskarżonego i ta myśl zasiała w jej umyśle ziarno niepokoju. W powietrzu iskrzyło się od emocji. Oczekiwano egzekucji i na egzekucji wszystko się najpewniej skończy.

- Zdajecie sobie chyba sprawę, że skazując niewinnego człowieka, nie ukarzecie prawdziwego mordercy. Nadal będziecie mieć na rękach krew tej dziewczyny. - Wypowiedział głośno myśl, która prześladowała Bonnie od chwili, gdy więzień spojrzał jej w oczy i zapewnił o swojej niewinności.

- Ano - odezwała się cicho. - Rozumiem to. Aż za dobrze.

RS

- Powiadam, obwiesić taką kanalię to za mało!
- Ano! Niech cierpi tak, jak cierpiała biedna Sarah!
- Parszywy morderca!
- Angielski kundel!

Gray wpatrywał się beznamiętnie w zionący nienawiścią tłum mężczyzn o zaciśniętych pięściach i oczach, z których biło pragnienie zemsty, pobladłych na twarzach kobiet wyzywających go od czarciego pomiotu, dzieci zza matczynych spódnic rzucających na niego wylęknione spojrzenia, jakby był jakimś upiorem, który właśnie wyłonił się z piekielnych czeluści, by gnębić dobrych ludzi.

Gray miał dotąd nadzieję, że jakoś to będzie, teraz jednak zrozumiał, że o sprawiedliwym procesie może sobie tylko pomarzyć.

Był winny w oczach motłochu, w tym sądzie, w którym emocje przeważały nad logiką, uprzedzenia nad otwartym umysłem. Zresztą tak wiele razy oskarżano go o coś, czego nie zrobił, że powinien być do tego przyzwyczajony.

Boże, żeby tak się nad sobą roztkliwiać, użalać, aż wstyd... Damien nigdy się nie uskarżał na swój los, choć przecież jeśli ktokolwiek miał powody do narzekania, to właśnie on. Ostatnio życie porządnie mu dopiekło.

Towarzystwo ochrzciło Damiena „Diabłem”, choć był jednym z najpocziwszych spośród znanych Grayowi ludzi. Osłaniał młodszego brata przed nienawiścią matki, ściągając na siebie pierwszą - i



najstraszliwszą w skutkach - falę jej gniewu. A teraz, kiedy Damien potrzebował pomocy, Gray musiał oczywiście wpakować się w sam środek kolejnej kabały.

Brat nigdy o pomoc nie prosił i nigdy nie poprosi. Gdyby nie Hugh Lennox, hrabia Myddleton - kanalia od lat nękająca ludzkość, a Sinclairów w szczególności - Gray nawet by się nie dowiedział, w jakie Damien zabrnął tarapaty.

W głowie by mu nie powstało, że jego rodzina może niebawem wszystko stracić - łącznie z ukochanym Silver Hills.

Rezydencja Silver Hills była dla Graya fortecą - prawdziwą, solidną, niezwyciężoną. Tam spędził najszcześniejsze dni swojego dzieciństwa, po części dlatego, że matka nienawidziła tego miejsca, nudziła ją jego historia, ręcznie robione flamandzkie gobeliny i stare zbroje uważała za bezguście, mierzilo ją życie na wsi: powietrze było w nocy zbyt zimne, poranki zbyt wilgotne, ludzie nazbyt prowincjonalni. Wolała bezmierną wesołkowatość i miłośność Londynu. I to Grayowi odpowiadało. Nic nie mąciło jego radości z wakacji.

Ojciec odżywał przez te letnie miesiące, napawał się niezakłóconą niczym swobodą, jakiej nie zaznawał pod ciągłym ostrzałem żoninych żądań i pretensji. Dni upływały na najróżniejszych sielankowych zajęciach: wędkowaniu, jeździe konnej, polowaniu. Nocami Gray na zmianę z braćmi grywał z ojcem w szachy - ojciec w nader finezyjny sposób zawsze starał się przegrać partię.

Podobnie jak Gray i jego bracia, ojciec także dorastał w Silver Hills - i jego ojciec, i ojciec jego ojca, do sześciu pokoleń Sinclairów wstecz, a każdy mężczyzna z rodu pozostawiał w tych uświęconych murach cząstkę siebie samego.

Także i Gray, mimo że nie zasługiwał na to, by być częścią tego dziedzictwa: jedynie Damien i Nicholas mieli do tego pełne prawa. I w tym właśnie Gray upatrywał swoją szansę, by uczynić coś ku pamięci ojca, a zarazem zrewanżować się Damienowi za wszystkie te lata... i przeprowadzić egzorcyzm, po którym przekłety Myddleton zniknąłby z ich życia raz na zawsze.

Myddleton, człowiek, który wiedział o interesach rodziny Sinclairów praktycznie wszystko, dysponował bowiem wekslem opiekującym na posiadłość Silver Hills - wekslem, który wisiał nad ich głowami niczym miecz Damoklesa.

Nawet jeśli będzie to ostatnia rzecz, jaką Gray w życiu zrobi, ocali dom przed wpadnięciem w łapy Hugh - nawet jeśli będzie musiał własnoręcznie zakatrupić tego protekcjonalnego sukinsyna.

Obojętnie czy był Sinclairem tylko z nazwiska, czy też nie.

Przyłapał się na tym, że od pewnego czasu znowu obraca na palcu złoty pierścień: skórę miał zdartą niemal do żywego. Było to przyzwyczajenie, któremu bezwiednie oddawał się w chwilach zamyślenia lub zmartwienia.

Ojciec nigdy się z tym pierścieniem nie rozstawał. Na łożu śmierci podarował go Grayowi: zacisnął jego palce na chłodnym metalowym krążku, mówiąc synowi, że pewnego pięknego dnia odnajdzie to, czego szuka.

Gray kochał swojego ojca, choć wiedział, że był z niego niepoprawny marzyciel. A w chwili, w której ojciec powierzył mu stary pierścień i pożółkłą ze starości mapę, mianował go zarazem powiernikiem swojego największego marzenia. Właśnie ono stanowiło Grayowe dziedzictwo, jego spuściznę. Bajki, mity i legendy niepoparte prawdą.

Nie chciał tego brzemienia, tej odpowiedzialności. Bólu rozczarowania. Jeśli jednak kiedykolwiek nade wszystko potrzebna była Grayowi wiara w marzenia, to właśnie teraz. Wpatrzył się w insygnia wyryte głęboko w złocie: orła z rozpostartymi skrzydłami, tarczę i koronę. Emblemat władzy onegdaj potężnego króla Hiszpanii, Ferdynanda II, pierścień, który na krótko przed swoją śmiercią w 1504 roku podarowała mu jedyna kobieta, jaką kochał, jego żona Izabela.

Ładna historyjka, ale z pewnością nic więcej, zwykła opowiastka wyśpiewywana przez trubadurów, której po wielu wiekach wiarę dawali jedynie ludzie tacy jak ojciec - marzyciele, a do marzycieli fortuna rzadko się uśmiecha. Tak też było z jego ojcem. Nie był jak król Midas - to, czego się dotknął, nie zmieniało się w złoto. Kiedy jakimś trafem szczęście dopisało mu w grze, nie wygrywał majątku wartego królestwa; mogli niebawem wszystko stracić właśnie dlatego, że tak często przegrywał. Nie, ojciec jak zwykle dał się wystrychnąć na dudka. To był jego największy talent.

I zanosilo się na to, że owa przypadłość niebawem dotknie także i Graya.

- Wszyscy na swoje miejsca!

Burkliwa komenda jednego z braci Bonnie ściągnęła Graya na ziemię. Wyglądało na to, że nadeszła chwila prawdy. Prawda - jakaż to interesująca i rzadko spotykana rzecz... i jakże bardzo Gray musiał się wszystkim uprzykrzyć dlatego, że jako jedyny był nią zainteresowany.

Pośród gromkich pomruków mężczyźni i kobiety zaczęli zajmować miejsca. Gray gapił się przed siebie tak samo jak wtedy, gdy wprowadzano go do sali, z łańcuchami krępującymi ręce i nogi.

Mimo to odgadł, kiedy pojawiła się Bonnie, choć weszła przez drzwi za jego plecami. Czuł na sobie jej wzrok, wiedział, że w duchu zadawała sobie pytanie, czy jest winny, czy niewinny, jakby chciała rozstrzygnąć, czy mógł skrywać w sobie dość zła, by popełnić morderstwo.

- Zebraliśmy się tutaj, coby zdecydować o losie tego człowieka.  
- Gray nie musiał się oglądać, by mieć pewność, iż Aidan wskazuje go palcem, mocą tych kilku słów piętnując go jako zbrodniarza. - Jest podejrzany o zamordowanie Sarah Douglas. - Tłum poruszył się gniewnie na przypomnienie o śmierci swojej krajanki. - Czy przyznajesz się do winy, więźniu?

Gray powoli obrócił głowę. Rozejrzał się, mierząc oczami ludzi zgromadzonych przy długim stole. Przemknął wzrokiem po twarzach ławników, nim zatrzymał go na Bonnie, która udawała, że tego nie zauważa.

Czekał. W końcu zwróciła na niego udręczone błękitne oczy. Zdało mu się niemal, że to, co wyziera z ich otchłani, to smutek albo

współczucie. Ale nie. Uważała go za mordercę. Bolał nad tym, choć nie potrafił zrozumieć, dlaczego.

- Jak brzmi twoja odpowiedź, więźniu? - ponaglił Aidan, a w jego głosie brzmiał z trudem powściągnięty gniew.

Gray się nie śpieszył. W końcu jednak zaszczyił górala spojrzeniem: Aidan zgrzytał zębami, wściekły, że więzień śmiało spojrzeć na jego siostrę.

- Nie zabiłem tej dziewczyny - odpowiedział, myśląc o tym, jak wiele razy powtarzał te słowa, choć za każdym razem wywoływały taką samą reakcję: niedowierzanie. - Nie żyła, kiedy ją znalazłem.

W oczach Aidana lśniła niesłabnąca wrogość. Tak on sam, jak i cały klan podjęli już decyzję.

- A niby czemu mielibyśmy ci wierzyć? Każdy mógłby tak powiedzieć, byle ocalić skórę.

- Ponieważ nie miałem powodu, by pragnąć jej śmierci.

- Ale w zaułku za tawerną to żeś był?

- Za potrzebą - odpowiedział Gray wprost i zauważył, że kilku mężczyzn kiwa głowami, potwierdzając, że nie był jedyną osobą, która zaglądała w tamte okolice we wspomnianym celu. Miał po prostu pecha, że pierwszy natknął się na zabita dziewczynę.

- I pić, to żeś pił?

- Wychyliłem kilka szklaneczek szkockiej. - Przypomniawszy sobie swoją pierwszą myśl, kiedy był pewny, że ból głowy to sprawka kaca, i zapał, z jakim przeklinał swoje opilstwo. W głowie mu nawet nie powstało, że przyjdzie taki moment, kiedy wymioty wydadzą mu się nader nęcącym finałem, bo alternatywą będzie powieszenie.

- Czyli byłeś pijany.
- Może trochę mi zaszumiało, ale nie do takiego stopnia, żeby...
- I o ile mi wiadomo, dokazywałeś z kobietami.

Gray domyślał się już, do czego Aidan zmierzał: radośnie torował mu tymi pytaniami szeroką, umajoną ścieżkę, na której końcu czekała szubienica.

- Rozmawiałem z kilkoma. Od kiedy to zbrodnia?

Aidan wyszedł zza stołu i w paru susach znalazł się obok krzesła, na którym siedział Gray. Nachylił się nad nim i syknął:

- To jest zbrodnia, jeśli się jedną z nich zgwałciło.

Zgiełk oburzonych głosów podniósł się pod sam sufit wysoko sklepionej sali, lecz Gray tego nie słyszał. Zerwał się z krzesła i rzucił na Aidana, wystarczająco szeroko rozcapierzając skute kajdanami ręce, by chwycić go za gardło i zacząć dusić.

Obalili się ciężko na ziemię. Tak długo buzowała w Grayu bezsilna wściekłość, że jedno słowo Aidana - gwałt - zerwało w nim wszystkie tamy. Nie był w stanie znieść jeszcze jednej oszczerczej etykiety, którą usiłowano mu przylepić. Kolejnego morderczego ciosu wymierzonego w jedyne, co mu pozostało. Jego dumę.

Wiele rąk usiłowało odciągnąć go od Aidana, dobiegały go jakieś przekleństwa. Tylko jeden głos zdołał przebić się przez mgłę, którą furia zasnuła jego umysł. Głos Bonnie.

- Gray, proszę! To mój brat!

Puścił.

W tej samej sekundzie rzucili się na niego pozostali bracia Bonnie. Chwycili go za ręce i brutalnie powlekli do tyłu. Uwolniony

Aidan odplącił mu się prawym sierpowym w szczękę, po czym poprawił lewym na tułów.

- Przestań! - krzyknęła Bonnie.

- Ty bękarcie - syknął Aidan, łypiąc na Graya z nienawiścią, i wierzchem dłoni otarł krew z kącika ust. - Dawać go z powrotem na krzesło, ino tym razem porządnie przywiązać tę gnidę.

- Nie! - Bonnie skoczyła jak sarna i jednym susem zastąpiła bratu drogę. - Ja na to nie pozwolę! To człowiek i trza go traktować jak człowieka. - Powiedziała to z takim żarem, że przez zebranych przetoczył się szmerek.

Bonnie nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego broni go z takim żarem - tym bardziej że sama traktowała Graya nie lepiej niż Aidan. Może nawet gorzej.

Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że pełne jadu oskarżenie Aidana jest całkowicie bezpodstawne i służy jedynie rozjątrzeniu tłumu. Co chyba najważniejsze, Bonnie widziała, jak bardzo Gray zmienił się na twarzy, kiedy padło to ostatnie oskarżenie. Nie mogła pozwolić, by odebrano mu resztki godności.

- Jestem lairdem\* tego klanu, Bonnie - wycedził Aidan. Ten groźnie brzmiący pomruk przestraszyłby może kogo innego, ale nie ją. Razem dorastali, znała go od czasów, kiedy biegał w krótkich porciętach, i nadal widziała w nim małego chłopca usiłującego zachowywać się jak dorosły.

*\* Laird (irl.) - przywódca, głowa klanu (przyp. tłum.).*

Pochyliła się i powiedziała na tyle cicho, by tylko on ją usłyszał.

- No to się zachowuj jak laird



Następnie okręciła się na pięcie i wróciła na swoje miejsce, modląc się, by nikt nie dostrzegł jej drżenia.

Minęła pełna napięcia chwila, zanim Aidan wycedził przez ściśnięte gardło:

- Darujcie sobie Wiązanie, psiakrew. Wracamy do sprawy.

Bonnie odetchnęła z ulgą, ale nie śmiała spojrzeć na

Graya, by sprawdzić, jak zareaguje. Zbyt wiele uczuć dostrzegała w jego oczach. A może tylko sobie wmawiała, że coś w nich dostrzega...

- Bonnie?

Drgnęła, bo uprzytomniła sobie, że brat coś do niej mówi. Widok jego nieznacznie zwięzionych oczu kazał jej przypuszczać, że zbyt długo bujała myślami.

- Ano...?

- Czas, cobyś przemówiła do tłumu. Chcą to usłyszeć od ciebie.

Bonnie była świadoma tego, że ta chwila się zbliża, lękała się jej i choć tak długo się do niej przygotowywała, wciąż jeszcze nie czuła się gotowa. Pojmowała, jak wielkie znaczenie będzie miało kilka najbliższych minut, w jak wielkim stopniu mogą one wpłynąć na życie ich małej społeczności. Na jednej szali ważył się los Graya, na drugiej ból całego klanu. Było to brzemień tak wielkie, iż dziewczyna ugięła się niemal pod jego ciężarem. Doskonale rozumiała, że musi starannie dobierać każde słowo.

Oczy wszystkich wlepiły się w nią, gdy wstała. Zrobiła głęboki wdech, próbując pozbyć się uczucia ucisku w żołądku, a potem zaczęła mówić:



- Moje serce, tak samo jak serce każdego z was, krwawi. Boleję nad odejściem Sarah i chcę tego samego, czego szuka tu każdy z was. Sprawiedliwości. Ino sprawiedliwości opartej na szczerym przekonaniu, pewności. Nie zaprzeczę, że zastała tego człowieka - tu wskazała Graya - pochylonego nad ciałem Sarah, z zakrwawionym nożem w rękach. Ale nie potrafię powiedzieć, co go sprowadziło w tamto miejsce o tamtej porze, czy jego zamiarem było krzywdzić czy też nieść pomoc. On sam mówi, że jest niewinny...

- Nie można wierzyć we wszystko, co Anglikowi ślina na język przyniesie! - oburzył się ktoś z głębi tłumu.

- Ano! Wcale żeśmy kłopotów nie mieli, dopóki on się tu nie przypętał! - sarknął kolejny.

Bonnie rozpoznała w nim kuzyna Sarah.

- Sam wiesz, że to nieprawda, Gawin. Mieliśmy swoje kłopoty, bo wszyscy jakieś mają. Tak szybko żeś zapomniał o owcach, które ktoś ci ukradł, będzie ze trzy tygodnie temu?

- A co ma jedno do drugiego? - odpysknął; kilka siedzących najbliżej osób przyznało mu rację skinieniem głowy. - To były tylko owce.

- Czyli kradzież owiec to nie przestępstwo, tak?

- No, przestępstwo, ale...

- Nie ma żadnych ale. Przestępstwo to przestępstwo, ino na niejednaką zasługuje karę.

Inny mężczyzna zerwał się na równe nogi. Zebrani ucichli, wpatrzeni w tego, dla którego śmierć Sarah była najcięższym ciosem. Jej ojca.

Ścisnął w palcach kapelusz tak mocno, że knykcie mu pobieleły, twarz miał zastygłą w grymasie udreki, w oczach miał łzy.

- Nie chcę, coby ktokolwiek zginął za zbrodnię, której nie popełnił. To nie pomściłoby śmierci mojej słodkiej Sarah -głos mu się załamał, kiedy wypowiedział imię córki. - Ale to jego - wygiętym haczykowato i drżącym z przejęcia palcem wskazał na Graya - zastano przy ciele mojej córki, jak leżała na ziemi bez życia. Tego przybysza, obcego w naszej cichej wiosce. I nawet jeśli jej nie zamordował, jak sam twierdzi, to i mojego najukochańszego dziecka nie uratował, nie wołał o pomoc. Nie zrobił nic.

Przez chwilę nie mógł dobyć głosu.

- Czyż to nie jest zbrodnią? Czy Sarah nie zasługiwała na więcej? - Stare, zmęczone oczy wpatrzyły się w Graya błagalnie i oskarżycielsko zarazem. - Dlaczego? Dlaczego właśnie ona? Taka z niej była słodka dziewczyna... jedyny skarb, jaki został mi na tym świecie. Dlaczego? - załkał.

Kobieta siedząca obok niego wstała i otoczyła ramionami jego wychudłe, drżące ramiona. Bonnie pomyślała, że ojciec Sarah wygląda tak, jakby przez tę jedną chwilę postarzał się o dobre dwadzieścia lat. Bała się, że ten kruchy starzec nie dożyje następnego roku. Śmierć córki wysssała z niego resztkę życiowych soków, aż pozostała jedynie pusta, wydrażona skorupa, cień człowieka, którego Bonnie kiedyś знаła.

Wyprawdzono go z pomieszczenia, pokonanego. Był zbyt zmęczony, by toczyć kolejną bitwę, ale też zbyt cierpiał, by zostać. Kiedy oczy członków klanu ponownie zwróciły się ku Bonnie, na

twarzy każdego mężczyzny i każdej kobiety wyryte było niezłomne postanowienie, że ktoś zapłaci za śmierć Sarah: Gray, na którym ogniskowała się powszechna nienawiść.

A potem z tłumu padło pytanie, którego najbardziej się obawiała.

- Ty wierzysz w winę tego człowieka?

Od rana nie zastanawiała się nad niczym innym: w głowie miała mętlik, w uszach rozbrzmiewało jej zapewnienie Graya, że jest niewinny, prześladował ją wyraz jego oczu. Coś się tu wyraźnie nie zgadzało. Przypomniała sobie swoją początkową reakcję: uwierzyła mu i wierzyła nadal. Można mu było wiele zarzucić, arogancję, upór, bezczelność, buńczuczność... ale zdolność do popełnienia mordu?

Mimo to, kiedy Bonnie rozejrzała się po morzu twarzy zastygłych w oczekiwaniu na odpowiedź, ogarnęła ją niepewność. - Ja... ja sama nie wiem.

- No to czemu żeś od razu dała mu w łeb, zamiast czekać, coby się wytłumaczył?

- Bo zdaniem tej sikorki najpierw trza działać, a potem dopiero bawić się w przesłuchania - rozległ się głos z tyłu sali, donośny i wyraźny. - Niech Bóg ma w opiece każdego, kto ściagnie na siebie gniew Bonnie MacTavish.

Bonnie zamknęła oczy. Nie musiała patrzeć, by wiedzieć, kto pozwolił sobie na tę żartobliwą uwagę. Ewan Cameron. Jej narzeczony.

Ewan był lairdem klanu Cameronów, człowiekiem znanym z tego, że zawsze dostawał to, czego chciał - a od kiedy Bonnie ukończyła trzynasty rok życia, chciał... jej ręki.

Ojciec Bonnie, oby Bóg dał mu wieczne odpoczywanie, przystał na ten związek w nadziei, iż doprowadzi w ten sposób do zawarcia pokoju między klanami. Było to jego ostatnie życzenie.

Dla ojca Bonnie uczyniłaby wszystko, nawet jeśli to oznaczało małżeństwo z Ewanem, mężczyzną, którego zbytnio nawet nie lubiła. Jednak miłość nie grała żadnej roli w mariażach takich jak jej z Ewanem. Przyszłe powodzenie i dobrobyt klanu zawsze były na pierwszym miejscu.

Przez wiele lat klany MacTavishów i Cameronów rywalizowały ze sobą. Były jak dwaj zaprzysiężeni wrogowie, a zadawniona nienawiść między nimi doprowadzała co pewien czas do rozlewu krwi, czemu przyglądały się milcząco piękne szkockie góry, które były dla Bonnie domem. Konflikt rozpoczął się od sporu o skrawek ziemi.

Cameronowie twierdzili, że MacTavishowie uciekli się do oszustwa, by wyłudzić od nich dwieście akrów gruntu podczas karcianej rozgrywki między dziadkami Bonnie i Ewana.

Czynnikiem dodatkowo pogłębiającym konflikt był fakt, że na tych ziemiach znajdowały się główne ujścia wody w promieniu wielu mil, co oznaczało, że ich właściciel miał prawo żądać opłat za ich

użytkowanie, a ceny ustalać wedle swojego uznania; zapotrzebowanie na wodę było ogromne, a jej źródeł niewiele.

Ponadto teren ten obfitował w torfowiec - niezbędny składnik do produkcji whisky - a właśnie z produkcji whisky miejscowa ludność się utrzymywała.

Ewan przedefilował przez sam środek sali; wysoki, szeroki w ramionach, o twarzy, którą niejedna kobieta określiłaby jako przystojną. Jego niespieszny krok świadczył o tym, jak mało się przejmuje faktem, iż zakłóca klanowe obrady. Zachowywał się tak, jakby już należał do rodziny. Bonnie nie była zachwycona ani tym niezapowiedzianym najściem, ani zuchwałym, aroganckim zachowaniem Ewana.

Podszedł do niej i chciał wziąć ją za rękę, ale Bonnie cofnęła je szybko. Nieznaczne zmrużenie powiek pozwalało się domyślić, iż Ewana z kolei nie zachwycała ta publiczna, choć milcząca reprimenda. Ale guzik ją to obchodziło.

- W czym mogę pomóc głowie klanu Cameron? Bo jesteśmy w samym środku obrad...

- Darujcie, że was nachodzę - przeprosił, choć nie wyglądał na skruszzonego. - Właśnie żem się dowiedział o straszliwej tragedii, która was dotknęła. Dziwię się tylko, że nie usłyszałem o tej sprawie z ust mojej narzeczonej. - Ten zawołany przytyk został wypowiedziany wystarczająco głośno, by usłyszeli go wszyscy.

Następnie Ewan zwrócił się przodem do tłumu. - Przyszedłem, coby złożyć moje kondolencje i wyrazić szczery smutek z powodu śmierci młodej Sarah. Chociaż nie znałem jej dobrze, zrobiła na mnie

wrażenie wspaniałej kobiety, kobiety, która nie zasługiwała na taką śmierć.

Bonnie wiedziała, że jej klan w pełni Ewana zaakceptował, i zastanawiała się czasami, czy aby nie jest dla niego niesprawiedliwa. Może źle go oceniała, a może po prostu miała lepszą pamięć od reszty współplemieńców. Albo też oni pragnęli pokoju za każdą cenę.

- Przyjmujemy je z wdzięcznością - powiedziała z całą cierpliwością, na jaką zdołała się zdobyć. - A teraz, gdybyś był tak miły...

Ewan puścił tę aluzję mimo uszu i podszedł do Graya.

- To ten potwór, co zasiada w ławie oskarżonych? Bonnie pośpiesznie stanęła między nim a Grayem – nie dlatego, by obawiała się, jak zachowa się jej narzeczony, lecz z obawy o to, co może zrobić Gray. Oczy pociemniały mu niebezpiecznie, z wyrazu twarzy emanowała tak czytelna groźba, że Ewan musiałby być głupi albo ślepy, by nie zorientować się, czym ryzykuje.

- Tylko na niego spojrzeć - wycedził Ewan nieprzejęty. - Cienia skruchy.

Szmer potakujących głosów przepłynął przez zebranych, pogłębiając jeszcze złowrogą atmosferę, a Bonnie poczuła się jak ładunek wybuchowy, na którego krótki lont pada iskra.

- Jeśli zamierzasz dłużej tu zabawić, przywódco klanu Cameron - odezwała się Bonnie sucho, z trudem nad sobą panując - muszę poprosić, co byś zajął miejsce.

Lodowate spojrzenie Ewana strzeliło ku niej błyskawicznie. Mięsień jego policzka podrygiwał jak w jakimś tiku.

- Ja tylko chciałem ci dopomóc, wesprzeć cię jako twój przyszły małżonek.

To, co Ewan rozumiał przez udzielanie komuś wsparcia, całkowicie zgadzało się z wyobrażeniami Bonnie na temat szarogęszczenia się. Zawsze traktował ją tak, jakby nie była w stanie sama o siebie zadbać, wolał widzieć ją w roli uległego kobieciątka - roli, której nie zamierzała przed nikim odgrywać.

Być może właśnie dlatego tak wielką przyjemność Bonnie znajdowała w doskonaleniu swych umiejętności w posługiwaniu się kozikiem. Chciała utrzyć Ewanowi nosa za to, że tak go zadzierał, i istotnie rzucała celniej od niego.

- Doceniam twoją troskliwość, ale obejdę się bez pomocy.  
- Zawsze byłaś krnąbrna, sikorko.  
- Święta prawda. I tylko głupiec by wierzył, że to się kiedyś zmieni.

Ścisnął ją za rękę.

- Będziesz moją żoną, Bonnie. I lepiej, żebyś o tym nie zapomniała.

- Jakże bym mogła, skoro codziennie mi to przypominasz? - syknęła Bonnie, rzucając wymowne spojrzenie w kierunku palców zaciskających się nad jej łokciem, potem ku twarzy Ewana.

Zaklął pod nosem i puścił ją.

- Przypominam, bo zachowujesz się tak, jakbyś na wszelkie sposoby próbowała mnie do siebie zniechęcić.

Na tę uwagę Bonnie nie znalazła dobrej odpowiedzi. Wiedziała, że powinna coś do Ewana czuć, szukać jego przyjaźni, nawet jeśli

nigdy nie miałyby się ona przerodzić w głębsze uczucie. Ale to po prostu przerastało jej możliwości. Być może z czasem połączy ich bodaj wzajemne zrozumienie.

Niestety, czas nie działał na jej korzyść. Ewan coraz natarczywiej domagał się wyznaczenia daty ślubu. Będzie musiała niebawem się na to zgodzić albo zerwać zaręczyny. Gdyby wybrała to drugie, pokój, do którego dążyły oba klany, stałby się odległym wspomnieniem. Ale nie musiała przecież decydować w tej chwili.

- To nie pora na omawianie tego, co nas łączy - rzuciła półgłosem.

- Albo tego, że nic nas nie łączy - odpowiedział z naciskiem. - Przecież wiesz, co do ciebie czuję, Bonnie.

Gray chrząknął głośno i oboje obejrżeli się w jego stronę. •Minę miał znudzoną, niemniej jednak wyraz jego oczu świadczył o czymś wręcz przeciwnym.

- Nie moglibyście przełożyć tej uroczej kłótni kochanków na kiedy indziej? Mnie tu właśnie sądzą za zbrodnię, której nie popełniłem, i chciałbym jak najszybciej mieć to za sobą.

Ewan napiął się na całym ciele, jakby chciał skoczyć Grayowi do gardła, Bonnie zaś stwierdziła, że znalazła się dokładnie pośrodku między więźniem a narzeczoną. Oparła dłonie na piersi Ewana.

- Proszę... po prostu idź. - Nie drgnął, więc popchnęła go lekko. - Chcę, żebyś stąd poszedł, mówię przecież!

Czarne oczy tak zwięzione, że upodobniły się do dwóch cienkich kresek, wlepiły się w nią i Bonnie przelekła się, że Ewan jej nie



posłucha. Nie należał do mężczyzn, którzy lubią, by im rozkazywać. Ku jej uldze cofnął się jednak.

- Dobrze - rzucił sucho uszczypliwym tonem. - Pójdę. Ale czas, cobyśmy porozmawiali, Bonnie. Nie możesz mnie dłużej unikać.

Sztyletując Graya spojrzeniem, okręcił się na pięcie i długimi krokami dopadł do tylnych drzwi. Masywne skrzydło gruchnęło o ścianę z głuchym hukiem, od którego sala zatrzęsała się w posadach. Bonnie zyskała nieprzyjemną pewność, iż narzeczony nie powiedział jeszcze ostatniego słowa.

- Zawsze jest taki, że do rany przyłoży?

Złośliwe pytanie Graya sprawiło, że spojrzenie Bonnie oderwało się od niknących pleców Ewana i zwróciło ku więźniowi. Spodziewała się, że dostrzeże na jego przystojnej twarzy wyraz rozbawienia. On jednak obserwował ją takim baczny wzrokiem, że na chwilę oniemiała.

Rozwścieczona swoją reakcją przystąpiła do natarcia.

- A tobie co do tego? Nie wścibiaj nosa w nie swoje sprawy!

- Widzę, że ty i twój kochanek obdarzeni jesteście takim samym specyficznym wdziękiem.

- On nie jest moim kochankiem! - warknęła Bonnie, zanim zdołała się powstrzymać, po czym przeklęła w duchu swój nieposłuszny język. Ale też ten człowiek miał wręcz wybitny talent do doprowadzania jej do białej gorączki.

Usta Graya rozciągnęły się w lekkim uśmiechu.

- Czy wolno skazańcowi pogratulować ci, pani, tak świetnie zapowiadającego się mariażu? A może buziaczka dla przyszłej

oblubienicy? - Zawisł spojrzeniem na jej ustach; Bonnie bezwiednie rozchyliła wargi, uzmysłowiła sobie, co robi, i rozzłościła się jeszcze bardziej.

Dlaczego ten dopiero co poznany mężczyzna, w dodatku bezczelny, zuchwały i wyjątkowo irytujący, napawał ją przedziwnym pragnieniem, by... Bonnie zabroniła sobie takich myśli. Najwyraźniej zdenerwowanie odebrało jej umiejętność trzeźwego rozumowania. Kiedy ta nieprzyjemna sytuacja się skończy, szybko wróć do siebie, pomyślała, choć równocześnie przyszło jej do głowy, że ani ta chwila, ani ten nieznajomy nie pozwolą szybko o sobie zapomnieć.

- Uważaj, jak się zachowujesz, więźniu, bo ockniesz się z kneblem w gębie - odparowała. No, świetnie, teraz sama przemawia do niego równie wdzięcznie jak Aidan.

Uśmiech zniknął z twarzy Graya jak zmyty gąbką. Wpatrzył się w dziewczynę wrogim wzrokiem.

- Jeszcze przyjdzie taki dzień, Szkotko, kiedy będziesz żałowała tego, że lubiłaś się ze mną przekomarzać.

Przebiegł ją dreszcz. Czuła się dziwnie onieśmielona i to pogłębiało jeszcze jej złość. Wszystkie jej pretensje skrupiły się na tym, kto był powodem jej zmieszania. Serce tłukło się jej w piersi, ale z pogardliwą miną pochyliła się nad Grayem, odwzajemniła jego spojrzenie, tak ostre, jakby chciał ją nim zasztyletować, i z opanowaniem, od którego była daleka, wycedziła:

- Nie bój nic. Już ty do niego nie doczekasz, Angliku, choćbyś dożył do swoich setnych urodzin.

Potem wyprostowała plecy i odsunęła się od niego gwałtownie, po czym podeszła do stołu, przy którym zasiadała rada. Bezgłośnie modliła się o to, by dane jej było przebrnąć jakoś przez dzisiejszy dzień - cokolwiek przyniesie. Proces zakłócony nieoczekiwaną wizytą Ewana został wznowiony.

Aidan podniósł się z krzesła. Przez jeden pełen napięcia moment z uwagą przyglądał się siostrze, po czym zwrócił się twarzą w kierunku zgromadzenia.

- Nie będziemy dłużej strzepić języka po próżnicy. Oto fakty, nagie i niepodważalne. Więzień klęczał przy zamordowanej, w ręce miał okrwawiony nóż. Poprzedniego wieczoru pił i sam się przyznaje, że przeholował.

- Gówno prawda! - nie wytrzymał Gray. Aidan zacisnął pięści.

- Lepiej, co byś zachował swoje uwagi dla siebie, więźniu.

Trzeba było powiedzieć swoje, kiedyś miał okazję.

- Czy wy w ogóle kogoś przesłuchaliście? - spytał Gray przerywanym ze wściekłości głosem. - Chociaż jedną osobę zapytaliście, gdzie była i co robiła w noc śmierci tej dziewczyny?

- Mówiłem, siedź cicho!

- A może tak się cieszyacie, że trafił się wam kozioł ofiarny, że nie widzicie powodów, by szukać dalej? Tak jest przecież o wiele wygodniej.

W oczach Aidana zapłonęła wściekłość, ale ręce nadal trzymał opuszczone wzdłuż boków. Widać było, że stara się nad sobą panować. Odwrócił się plecami do Graya i przemówił do członków rady:

- Głosujcie. Winny czy niewinny? - Poszukał wzrokiem osoby siedzącej przy samym rogu stołu.

- Winny - padła pierwsza odpowiedź. Potem druga. Bonnie uprzytomniła sobie z przerażeniem, że coraz mniej dzieli jej klan od podjęcia nieodwołalnej decyzji. Zerwała się z krzesła.

- Jak możecie skazywać człowieka na śmierć bez ostatecznych dowodów, że to on popełnił zbrodnię?

- Siadaj, Bonnie! - rzucił Aidan podniesionym głosem.

- Nie proszę o nic więcej, jak o to, co byście myśleli głową, a nie sercem, co byście zadali sobie pytanie, dlaczego ten człowiek miałby zamordować Sarah. Jaką macie odpowiedź? Bo jeśli żadnej, jak możecie decydować o jego losie?

- Palił się do Sarah, a ona mu odmówiła! - domyślał się ktoś z zebranych.

Zanim Bonnie pomyślała, jak zabrzmiały jej słowa, wskazała na Graya i rzuciła:

- Spójrzcie na niego. Widzicie tę twarz? Myślicie, że taki przystojny mężczyzna musi przemocą ciągnąć kobietę do swojego łóżka? - Jęknęła w duchu, zła, że się bezwiednie zdradziła, i to nie tylko wobec swojego klanu, ale i więźnia, który nie przestawał świdrować jej wzrokiem.

Ten osobliwy argument przemówił przynajmniej do garstki ludzi. Pomrukiwali coś między sobą, rzucając na Graya ukradkowe spojrzenia, jakby usiłowali wyczytać z jego twarzy ostateczny dowód jego winy lub niewinności, choć wyrok powinien się opierać na pewności, a nie przeczuciach.

A koniec końców do tego doprowadził się cały proces. Do domysłów opartych na chwilowych nastrojach i czysto intuicyjnych decyzjach.

Przecucia. Pozornie taka niewinna rzecz, choć przecież potrafiły tak dalece wszystko zagmatwać, zwłaszcza wówczas, gdy w grę wchodziły silne emocje. Ciekawe tylko, w jakim stopniu właśnie na emocjach opierało się przeświadczenie Bonnie o jego niewinności? Na błysku szczerości w oczach tego mężczyzny, kiedy przysięgał, że nie uczynił nic złego? Uwierzyła mu na podstawie czegoś równie ulotnego jak intuicja?

Doskonale rozumiała, że jego deklaracja mogła być w istocie równie zwodnicza jak to, co Bonnie zobaczyła w dniu śmierci Sarah, świadectwo jej własnych oczu z chwili, gdy Gray klęczał przy ciele dziewczyny, obojętnie czy był grzesznikiem, czy też to oni grzeszyli przeciw niemu, piętnując go jako mordercę.

- Dajcie mi dojść do słowa! - zawołał ktoś nagle.

Bonnie dojrzała sam czubek głowy ciemnowłosego mężczyzny, przedzierającego się przez tłum. Mimo to rozpoznała go natychmiast: w końcu zwykle chodził za jej narzeczoną jak cień.

Sean Cameron, kuzyn Ewana i mężczyzna, któremu Sarah oddała niegdyś swoje serce. Aidan wyszedł mu naprzeciw.

- Ano, mów, Sean. W czym rzecz?

Sean w zdenerwowaniu wyłamywał sobie palce i rozglądał się niespokojnie, bo ludzie cisnęli się wokół niego, ciekawi, z jakim przybył oświadczeniem. Mijały cenne sekundy, kiedy ważyła się przyszłość Graya.

- Jest jeszcze jeden świadek popełnionego na Sarah mordu - odezwał się w końcu. - Ktoś, kto tamtej nocy widział wszystko.

Wieść błyskawicznie rozniosła się po sali. Gruchnęła fala okrzyków.

- Nowy świadek? - Bonnie nie wierzyła własnym uszom.

- A cóż to za jeden, ten świadek? - dopytywał się Aidan. Sean z trudem przełknął ślinę, po czym rzucił:

-Ja.

- Toś ty był tamtej nocy w tawernie? Sean przytaknął i zwiesił głowę.

- Chciałem pomówić z Sarah o... o nas. Ale wymknęła się właśnie bocznymi drzwiami, tymi, co to wychodzą na dróżkę za budynkiem. Czekałem, ale nie wracała, no to żem poszedł jej szukać. - Sean podniósł twarz. Z oczami szklistymi od niewylanych łez, dodał ledwie słyszalnie: - Było za późno, cobym ją mógł uratować.

Bonnie nasunęło się mnóstwo pytań: dlaczego nie ujawnił tych informacji na samym początku, dlaczego pojawił się na procesie tak późno, bo na godzinę przed północą, dlaczego nie natknęła się na niego tamtej nocy, kiedy biegła po ludzi, czemu nie próbował schwytać zabójcy Sarah albo choćby wszcząć alarmu oraz jak oceniłby człowieka, który ucieka jak ostatni tchórz, kiedy kobieta, którą rzekomo kochał, leży bez życia na ziemi albo dogorywa.

Jednakże z chwili jej wahania skorzystał Aidan.

- I co żeś widział?

Zaległa dziwna, niesamowita cisza; wszyscy zamarli w oczekiwaniu na odpowiedź.

Sean szukał czegoś lub kogoś spojrzeniem. Uniósł drżącą dłoń i wskazał palcem Graya.

- Widziałem, jak ten tam zabił moją Sarah.

RS

Po nocnym niebie wspinała się okrągła, jasna tarcza księżyca w pełni, świetlista biała kula śląc wścibskie promienie prosto do Grayowej celi.

Królestwa skazańców.

Parę słów tego cherlawego, kłamliwego wora owczego łajna wystarczyło, by Gray został uznany za winnego mordu na Sarah Douglas i skazany na powieszenie z nadejściem ranka. Jednak oskarżyciele nie mieli jeszcze pojęcia, że rano zastaną tylko pustą celę.

Miał serdecznie dość całej tej farsy, tej kpiny ze sprawiedliwości. Powinien był posłuchać Proroka i dać nogę przy pierwszej okazji, położyć kres temu, co nie powinno się było w ogóle zaczynać, powiedzieć sobie: Pal to sześć!, zamiast starać się postąpić jak należy w imię jakiejś zamordowanej dziewczyny i łudzić się, że odzyska dobre imię.

Tylko dlaczego tak bardzo mu zależało, by dowieść swojej niewinności? Sądził, że już dawno temu nauczył się mieć wszystko gdzieś, że jako dziecko stoczył dość przegranych bitew, wystarczająco wiele razy krzyczał z bezsilnej rozpacz, choć odpowiadało mu tylko echo. Dlaczego spodziewał się, że tym razem będzie inaczej?

I dlaczego choćby przez chwilę trzymał się złudnej nadziei, że Bonnie wierzy w jego niewinność, zamiast oszczędzić sobie



rozczarowania, jakim było odkrycie, iż szukała jedynie dodatkowego potwierdzenia jego winy?

Ledwie pojawił się nowy świadek jego rzekomej zbrodni, to, co Gray uznał w pierwszej chwili za nieśmiałą próbę obrony, zmieniło się w bezwarunkową kapitulację; brzemień odpowiedzialności za jego rychłą śmierć przestało ciążyć wyłącznie na barkach dziewczyny.

Właśnie dlatego teraz na nią czekał. Powinna wkrótce przynieść mu jego ostatni posiłek - i obojętnie czy przyjdzie sama, czy w towarzystwie tamtego szpetnego olbrzyma - żadna siła nie odwiedzie Graya od uczynienia z dziewczyny swojego biletu do wolności.

Gray odsunął się od okna, wtopił w ciemności i czekał. Już wkrótce. Niebawem jego los się odmieni.

Tym razem na jego korzyść.

Bonnie odstawiła tacę z kolacją dla więźnia na stoliku przy ścianie, wyjęła kluczyk do kajdanek i zaparzyła się w niego w roztargnieniu. Rozpamiętywała niedawną scysję z bratem: usiłowała go przekonać, żeby poszedł za jej radą i przesłuchał Seana, zamiast traktować go jak jakiegoś bohatera, skoro - gdyby wierzyć w jego wersję - zasługiwałby jedynie na miano roztrzęsionego tchórza.

Aidan jednak nie chciał jej słuchać, jak Bonnie podejrzewała głównie dlatego, że przemawiały przez niego osobiste urazy. W końcu Gray rozłożył go na łopatki pomimo tego, że był skuty całym tym żelastwem, i Aidan czuł się publicznie upokorzony.

Rzecz jasna, fakt, iż Gray dopuścił się napaści, jeszcze bardziej mu zaszkodził. Członkowie rady jednogłośnie uznali go za winnego, nie rozumiejąc, że zareagował jak furia dlatego, że kolejny raz

podawano w wątpliwość jego honor. Bracia Bonnie, gdyby postawić ich w identycznej sytuacji, zachowaliby się kropka w kropkę jak Gray.

Bonnie dwoiła się i troiła, żeby otworzyć Aidanowi oczy, ale na próżno. Zrobiła wszystko, co w ludzkiej mocy. Teraz pozostawało pogodzić się z tym, co nieuchronne.

Będzie musiała uwolnić Graya.

Aidan nie dawał jej wyboru. Egzekucja miała odbyć się nazajutrz, a ona nie potrafiła stać z boku i beczynnie się przyglądać śmierci człowieka, co do którego winy nadal nękały ją wątpliwości. Gdyby tylko miała więcej czasu... Ale nie miała, a i ta odrobina, którą wciąż dysponowała, właśnie przeciekała jej przez palce.

Bonnie zgarnęła tacę ze stolika, wolną ręką chwyciła lampkę i ruszyła ku drzwiom celi. Postanowiła sobie w duchu, że urzeczywistni swój zamiar, nie oglądając się na konsekwencje.

Z dziwnym drzeniem zbliżała się do celi więźnia. Zdziwiła się, że lampka, którą mu zostawiła, jest zgaszona - oraz faktem, że Gray nie stoi przy drzwiach z twarzą przyciśniętą do zakratowanego okna, łypiąc na nią z wściekłością, jak zachowywał się zawsze, ilekroć przynosiła mu jedzenie. Czasem wręcz wydawało się jej, że posiadał magiczną zdolność odgadywania pory jej wizyty.

Bonnie uniosła lampkę na wysokość okna, żeby oświetlić tonące w mroku wnętrze. Więźnia nie było nigdzie widać i w sercu dziewczyny zaczęła kiełkować panika. Czyżby uciekł? Drzwi celi zamykały się od zewnątrz, a rygiel nadal tkwił na swoim miejscu.

Pośpiesznie postawiła tacę na ziemi i odryglowała drzwi drżącymi palcami, po czym, trzymając przed sobą lampkę, wpadła do środka.

Odetchnęła przeciągle, widząc Graya rozciągniętego na pryczy z rękoma założonymi pod głowę, skrzyżowanymi nogami i nieznacznym, szyderczym uśmiechem na przystojnej twarzy - uśmiechem, który dowodził, iż rozmyślnie zwabił ją do środka.

- Tak ci spieszo mnie zobaczyć?

Bonnie przebiegł dreszcz. Chwilę później kolejny, wyczuła bowiem z trudem powściąganą wściekłość skazańca. Z trudem powstrzymała się od ucieczki, choć cela wydała się jej nagle nie większa od naparstka.

- Myślałam, że coś ci się stało... - wyjaśniła niezręcznie. Obrócił głowę, by się jej przyjrzeć. Przez dłuższy czas nie odrywał od niej przenikliwych stalowych oczu, zasnutych teraz jakimś cieniem, czymś mrocznym i zimnym jak poblask księżyca odbity od tafli lodu. Zwichrzone włosy opadły mu na czoło, upodabiając go do upadłego anioła, potajemnie planującego nowy bunt.

- A gdyby nawet istotnie tak było, czy to miałoby jakiegokolwiek znaczenie, skoro jutro będę trupem?

Wprawdzie i tak zamierzała go uwolnić, niemniej te słowa głęboko ją poruszyły. On ją poruszył. Tylko jak to się działo, że bez wysiłku wytrącał ją z równowagi, choć zwykle była taka opanowana? Dlaczego drżała, choć dotąd nie onieśmielił jej żaden mężczyzna? Na miły Bóg, nie była nawet w stanie powiedzieć, dlaczego tak naprawdę tu przysła...

Nagle opadły ją wątpliwości. Mina Graya, jego zimne spojrzenie, groźba, którą wyczytała w jego twarzy, pozie, wszystko to sprawiło, że zaczęła się zastanawiać, czy podjęła słuszną decyzję. Przyszło jej do głowy, iż człowiek, który przyglądał się jej w tej chwili, uważnie, z iście nieludzkim chłodem, nie jest tym samym, którego zaczynała poznawać. Ten wydawał się bezlitosny.

Niebezpieczny.

- Ja... ja przyniosłam ci kolację - wyjąkała i zrobiło się jej gorąco, choć wieczór był rześki.

- Tak? - Gray ironicznie uniósł brew. - To gdzie ona jest?

Bonnie spłonęła rumieńcem. Dopiero teraz przypomniała sobie o pozostawionej przed sobą tacy. Żeby po nią pójść, musiałaby się odwrócić do Graya plecami.

- Nie ruszaj się - rozkazała surowo.

- A dokąd twoim zdaniem miałbym pójść? - rzucił z protekcjonalnym uśmiechem i potrząsnął kajdanami.

Pocieszając się myślą, że to nie potrwa dłużej niż sekundę, pomknęła po tacę i z powrotem. Sekunda jeszcze nie minęła... a więzień siedział na pryczy, niedbale oparty plecami o ścianę, jakby od wieków nie zmieniał pozycji.

Serce skoczyło jej do gardła, w uszach usłyszała szum własnej krwi. Bawił się nią? W subtelny sposób dawał do zrozumienia, że go nie doceniała? Że zdążyłby dopaść do drzwi, gdyby miał taki kaprys?

Bonnie tknęła nagle myśl, że w tej zabawie jemu przypadała rola kota... a jej myszki. Z trudem dławiona wrogość wyzierała spod maski pozornego spokoju, w której zastygła jego twarz. A kiedy dźwignął

się z pryczy, powoli, bez pośpiechu, niebezpieczeństwo stało się aż nazbyt realne.

- Mam przy sobie kozik! I nie myśl, że go nie użyję -ostrzegła.

- Nie wątpię w twoją prawdomówność. Ale czy naprawdę zamordowałabyś nieuzbrojonego człowieka?

- Jak mnie sprowokujesz, to owszem. - Modliła się, by nie pokusił się o próbę; wówczas to buńczuczne oświadczenie okazałoby się tym, czym w istocie było: zwykłym blefem.

- Doskonale. - Zaczął leniwie rozpinąć guziki koszuli, którą mu pożyczono, choć Aidan upierał się, by Gray wystąpił przed radą we własnej, podartej i upstrzonej plamami krwi.

- C... co ty wyprawiasz? - Oczy się jej rozszerzyły, kiedy koszula zsunęła się, obnażając szeroką, opaloną klatkę piersiową o pięknej muskulaturze.

- Śmiało - powiedział.

Ze wstydu żar oblał jej policzki. Gwałtownie podniosła oczy.

- Co...?

- Zabij mnie - odparł. - Nie będę cię powstrzymywał. Bonnie wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

- Zabić cię? Czyś ty zgłupiał?

- Przecież już skazałaś mnie na śmierć. Dlaczego sama nie wbijesz noża?

Czysty obłąd, szaleństwo w najgorszym wydaniu.

- Bo nie odbiorę życia drugiemu człowiekowi, oto czemu!

- Ale nie masz nic przeciwko temu, by mi je odebrał kto inny. Ciekawostka. Zaskakujesz mnie, wiesz? Nie sądziłem, że jesteś podszyta tchórzem.

Ten przytyk odebrała jak siarczysty policzek, bolesny i zupełnie nieoczekiwany. Kiedy się znów odezwała, nie potrafiła ukryć urazy.

- Czemu winisz mnie za swoje kłopoty?

- Och, ależ ja ciebie nie winię - odparł głucho, z wrogością. - Winię samego siebie za to, że mnie poniosło do tej barbarzyńskiej, zacofanej wsi.

- To po co żeś przyjeżdżał, skoro ci się tutaj nie podoba?

Przysunął się ukradkiem, nie spuszczać czujnego wzroku z twarzy dziewczyny.

- Sądzę, że lepiej byłoby zapytać, dlaczego ty tu przyszłaś... do mojej celi. Sama - dodał głosem ochryłym jak po whisky, żeby ją przestraszyć, z powodzeniem zresztą. -Czyżby pod tą warstwą lodu szalały dzikie żądze?

Bonnie czuła się przyparta do muru. Musiała się stąd wydostać, przemyśleć sobie wszystko. Wbiła wzrok w tacę z jedzeniem. W swoim przejęciu na chwilę zapomniała, że nadal kurczowo ścisną ją w palcach.

- Skoro nie jesteś głodny...

- Jedzenie to ostatnia rzecz, na którą mam teraz chrapkę. -Stał już tak blisko, że brzuchem dotykał niemal krawędzi tacy. Wyjął ją Bonnie z rąk i niedbale cisnął na ziemię; naczynia potłukły się, jedzenie rozbryznięło po podłodze.

Głośny brzęk wyrwał dziewczynę z oszołomienia, uzmysławiając jej, iż znalazła się w obliczu nader realnego zagrożenia, i rozbudził w niej uśpiony dotąd instynkt obronny.

Wyrwała zza cholewy buta niewielki kozik i wyciągnęła go przed siebie, mierząc nim w Graya. Ostrze znieruchomiało o mniej niż cal od jego piersi.

- Nie zbliżaj się, ty diabelski pomiole, bo ubiję jak psa! Gray uśmiechnął się, słysząc tę groźbę.

- Myślałem, że już to sobie ustaliliśmy, dziewczyno. Dałem ci szansę wyprawienia mnie na tamten świat, ale ty z niej nie skorzystałaś.

- Teraz skorzystam. Lepiej, co byś się co do tego nie łudził.

- Korzystaj więc. - Przysunął się nieznacznie, nie zważając na to, że czubek kozika opiera się o mięsień tuż poniżej żeber. Na skórze ukazała się kropla krwi. Spłynęła powoli i znikła pod szarfą, którą był przewiązany w pasie. - No dalej - odezwał się miękko, nachylając się nad dziewczyną. - Zabij mnie, Bonnie.

Ciepły oddech owiał jej ucho i pomyślała, że zaraz zemdleje. Ręka jej zadrżała.

- Dlaczego mi to robisz?

- A dlaczego nie? - zamruczał z ustami przy jej policzku, a Bonnie zapragnęła odchylić głowę i przekonać się, jakie to uczucie, kiedy delikatnie muskałby wargami jej szyję.

- Zostaw mnie w spokoju - poprosiła bez tchu. Wyprostował się. W jego oczach zabłysnął gniew.

- Nie myl mnie ze swoim narzeczonym. Ja nie położę uszu po sobie. - A potem opasał zaskoczoną dziewczynę ramieniem w talii, unieruchomił dłoń, w której nadal zaciskała kozik, i odsunął na bezpieczną odległość.

Bonnie krzyknęła z przestachu. W głowie się jej zakręciło od tej błyskawicznej napaści. Zaczęła się szamotać jak oszalała. Usiłowała wyrwać rękę, jednak równie dobrze mogła ona tkwić w imadle. Zdjęta coraz większym lękiem, wolną ręką okładała Anglika na oślep, ale nie na wiele to się zdało. Gray złapał ją za drugi nadgarstek, a po chwili unieruchomił Bonnie, przypartą do ściany, z rękoma uniesionymi nad głową, przesłaniając jej całe pole widzenia swoją masywną sylwetką.

Początkowy strach zmienił się w panikę w chwili, gdy pojęła, że jej rozpaczliwa szamotanina nie robi na nim najmniejszego wrażenia. Nawet nie próbował jej powstrzymać od podejmowania kolejnych bezowocnych, gorączkowych wysiłków. Spokojnie czekał, by doszła do wniosku, który dla niego od samego początku był najzupełniej jasny. O ucieczce nie było mowy.

Przestała się miotać i znieruchomiła, oddychając ciężko. Miała wrażenie, że czas stanął w miejscu. Bez słowa wpatrywała się w oczy Graya, kuszące jak leniwa z pozoru, choć pełna wirów rzeka - i jak ona śmiertelnie niebezpieczne.

- Czemu nie chcesz mi dać spokoju? - spytała drżącym głosem.

- Bo nie mogę - burknął; jego spojrzenie stało się twarde, twarz mu sposepniała, jakby poczynił to wyznanie wbrew swej woli, jakby zostało z niego przemocą wyciągnięte. - Bóg mi świadkiem, że



próbowałem o tobie nie myśleć, nie pragnąć ciebie. Nie czuć do ciebie nienawiści. - Skuliła się, przerażona bijącym od niego gniewem, ale też właśnie ów gniew czynił z niej zakładniczkę Graya, może nawet bardziej niż silne ramię oplatające jej kibić. - Ale wszystko, o czym byłem w stanie myśleć, to chwila... chwila, kiedy to ty będziesz zdana na moją łaskę i niełaskę.

Poczuła się, jakby wylał na nią kubek zimnej wody.

- Nie pozwolę, co byś się na mnie mścił za to, co cię spotkało!

- Nikt cię o zdanie nie pyta. - Pochylił głowę. Jedwabiste włosy miękko osunęły się na jego twarz. W słabym świetle lampki kładły się na niej dziwne, kanciaste cienie. - Za moment przypomnę sobie, po tej długiej przerwie, jaki smak ma wolność, i będę się nią delectował do syta. Chcę, żeby to trwało jak najdłużej.

- Na mnie nie licz! - zawołała Bonnie, próbując wyrwać się z żelaznych ramion Graya.

- Nie? - Zastygł z ustami tuż przy jej ustach. To jedno ochryple, niesamowicie zmysłowe słowo rozbudziło w Bonnie gwałtowne, choć nienazwane pragnienie. Całym swoim jestestwem reagowała na jego fizyczną bliskość, bez ratunku, bez nadziei na ucieczkę. W tym jednym momencie całym jej światem stał się cudownie niebezpieczny, wysoki na ponad sześć stóp mężczyzna. Nie poddała się jeszcze, lecz wzrokiem bezwiednie szukała już jego ust.

- Nie - powtórzyła z głuchym uporem.

Kącik jego ust uniósł się w lubieżnym uśmiechu; ten poczynił w sercu dziewczyny prawdziwe spustoszenie.

- Widzę, że nie tracisz werwy. To dobrze. Nie zamierzam ci jej odbierać, a jedynie znaleźć dla niej odpowiednie ujście.

- Niby jakie? - spytała z przekąsem, choć brakowało jej tchu i rozmyślała nad tym, jaki diabeł podsunął jej te słowa, kazał jej spojrzeć w oczy Graya i całkowicie się w nich zatracić, szukać choćby najbliższych powodów, by bitwa zakończyła się kapitulacją na jego warunkach.

- Pocałunek - odparł aksamitnym tonem.

- Jaki pocałunek?

- Ten. - Brutalnym gestem przycisnął ją do szerokiego, muskularnego torsu i pocałował w usta. Bonnie zapamiętała się w tej pieśczoście, która przeniosła ją w inny świat, gdzie nie istniało nic prócz zmysłowych doznań, odurzających i uzależniających jak narkotyk. Ogarnęła ją dziwna słabość i żal do własnego zdradzieckiego ciała.

Wargi Graya nakazywały posłuch, język szukał wstępu do jej ust. Nigdy dotąd Bonnie nie odczuwała tego, co w tej chwili, nigdy dotąd nie całował jej żaden mężczyzna, nigdy też nie pragnęła być całowana - aż do teraz.

Paznokciami nieśmiało przesunęła po jego skórze. Pod opuszkami palców czuła twarde, przeżące się mięśnie. Kiedy jego język odnalazł drogę do wnętrza jej ust, krew w niej zawrzała. Bez wahania odwzajemniła pocałunek. Wdała się w pojedynek równie zacięty jak ten na słowa, który toczyli zaledwie przed chwilą.

Gardłowy pomruk Graya zmieszał się ze słabym jękiem, przypominającym kwilenie, i pojęła, że ten dźwięk wyrwał się z jej

własnych ust, przypominając, że pozwoliła się ponieść tej chwili, bliskości tego mężczyzny i pragnieniom, jakie w niej budził.

Ta myśl wstrząsnęła nią, rozwiała pajęczynę euforii, którą Gray przemyślnie wokół niej tkał, a w uszach rozbrzmiały jej słowa:

„Nie zamierzam ci odbierać werwy, a jedynie znaleźć dla niej odpowiednie ujście”.

Dostał dokładnie to, czego chciał i co w całej swoje bucie dostać się spodziewał.

Z rozpaczliwym krzykiem odepchnęła go od siebie. Zaślepią pragnieniem natychmiastowej ucieczki, nie myśląc o tym, co robi, zamachnęła się kozikiem. Ostrze nakreśliło na brzuchu Graya łukowatą linię. Ukazała się szkarłatna krew.

Dopiero po fakcie Bonnie uzmysłowiła sobie, jaką cenę przyjdzie jej zapłacić za ten desperacki czyn. Ze zgrozą wpatrywała się w krwawą ranę, niezdolna uwierzyć, że świadomie posłużyła się nożem, by zrobić komuś krzywdę. Wprawdzie rozcięcie na skórze wyglądało na powierzchowne, lecz było to bez znaczenia - podobnie jak fakt, iż Bonnie szczerze żałowała swojego szaleństwa. Przebrała wszelką miarę, dała się ponieść emocjom. Przyszła do Graya, żeby mu pomóc, ale udało się jej wyłącznie pogorszyć jego sytuację.

Gdybyż tylko potrafiła wierzyć, że broniła się przed realnym zagrożeniem, że Gray naprawdę chciał zrobić jej krzywdę, ale i ta wąta pociecha została jej odmówiona. Doskonale rozumiała, iż jedyne niebezpieczeństwo, które rzeczywiście jej groziło, tyczyło jej zmysłów, jej uczuć, może nawet serca - i ta myśl przerażała ją chyba najbardziej.

Gdyby chciał ją skrzywdzić, miał na to aż nadto czasu i aż nazbyt wiele sposobów. On jednak posunął się zaledwie do przelotnego pocałunku. Z drugiej strony, być może była to dla Bonnie najdotkliwsza kara. Kiedy bowiem ich usta spotkały się, przez tę jedną upojną chwilę Bonnie czuła się tak, jakby jej życie rozpoczęło się na nowo, lecz już w następnej chwili pojawiła się myśl, że taka przyszłość, o jakiej by dla siebie marzyła, nigdy nie stanie się jej

udziałem. Dla niej wybrano już inną życiową drogę - i innego mężczyznę.

Czekała, by więzień jakoś zareagował, odezwał się albo coś zrobił. On stał jednak tylko, pozwalając, by krew powoli sączyła się po jego brzuchu.

Kiedy w końcu odważyła się spojrzeć mu w twarz, to, co zobaczyła, było nieporównanie gorsze od widoku krwi. Mordercza furia tliła się w jego półprzytomnych oczach, tak pociemniałych, że w stłumionym, dogasającym świetle lampki zdawały się całkiem czarne.

W pierwszej chwili zapragnęła mu wszystko wytłumaczyć, powiedzieć, że chciała mu tylko jakoś pomóc, że właśnie dlatego przyszła sama, a strażnika, który miał go nie odstępować, posłała gdzieś pod byle pretekstem.

Tylko po co? Przecież Gray nie uwierzy w ani jedno jej słowo. Nie teraz. W uszach rozbrzmiewał jej szyderczy komentarz, że osobliwy obrała sobie sposób, by okazać chęć niesienia pomocy. A może ten subtelny wyrzut to tylko wytwór jej wyobraźni? Patrząc na skamieniałą twarz Graya, przypuszczała, że miałby w tej kwestii więcej do powiedzenia - i na zdecydowanie mniej subtelną modłę.

- Ja nie chciałam...

- Owszem, chciałaś - przerwał. - Po prostu popełniłem błąd, że zapomniałem o twoich pazurkach. Ale to się więcej nie powtórzy. - Potrząsnął kajdankami. - Rozepnij je - mówił przyciszonym głosem, lecz brzmiało to nieomal jak brzęk stali. - Dość tych gier. - Nadstawił ręce. - Rozpinaj. Ale już.

Bonnie zastygła w bezruchu niczym sarna, która nagle widzi przed sobą lufę myśliwskiej strzelby, świadoma, że nie zdoła umknąć przed zgubą i pogodzona ze swoim losem, choć serce jeszcze w niej bije na alarm.

Drżącą ręką sięgnęła do kieszeni. Poczowała chłód metalu, obły kształt, który tak dobrze znały jej palce, symbol tego, w jakiej znalazła się sytuacji, i wszystko dotarło do niej z zadziwiającą jasnością. Wyjęła kluczyk, po chwili wahania wsunęła go do zamka... i więzień był wolny.

Odsunęła się i przyłgnęła plecami do zimnej kamiennej ściany, jakby mogła się w nią wtopić. Obserwowała Graya w całkowitym milczeniu. Rozmasował nadgarstki, patrząc na nią w takim samym skupieniu, w jakim lew obserwuje dostrzeżoną przed sekundą gazelę.

Na co on jeszcze czeka?

Nagle zaschło jej w ustach; Nie wiadomo kiedy Gray znalazł się przy niej, poruszając się z lekkością, która przywodziła jej na myśl wielkiego drapieżnego kota, i unióś rękę.

Bonnie rozpląszczyła dłonie na szorstkich kamieniach, ale nie zamierzała dać mu satysfakcji i okazać lęku. Uniosła twarz i spojrzała na niego gniewnie.

Nie uderzył, ale dotyk jego dłoni był równie nieoczekiwany i druzgoczący w skutkach. Nieskończenie delikatnym gestem gładził kciukiem policzek dziewczyny, a ona znowu zapadła w dziwny trans - równie szybko jak wówczas, gdy ją pocałował.

Szczęk stalowej obręczy zatrzasnącej się na jej nadgarstku sprawił, że oprzytomniała w mgnieniu oka. Spojrzała na swoją rękę i przekonała się, że tkwi w kajdankach.

Gwałtownie uniosła głowę.

- No co ty?! - Szarpnęła się. - Zdejmij to!

- Jakże to uczucie być moim więźniem? - spytał Gray uwodzicielskim tonem.

Bonnie przeraziła się nie na żarty. Z poczuciem, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi, szamotała się zaciekle, ale nic to nie dało. Nie zdołała się uwolnić.

- Puszczaj mnie!

- Nie ma mowy. - Drugą metalową obręcz zatrzasnął na własnym nadgarstku, przykuwając się do niej. Bonnie zobaczyła to i nogi omal się pod nią nie ugięły. Próbowwała mu wyrwać kluczyk z ręki, ale odsunął ją tak, że nie mogła dosięgnąć. - Nie tak szybko, moja panno. Najpierw wybierzemy się na małą wycieczkę.

- Nigdzie z tobą nie pójdę!

- Przykro mi, ale nie masz w tej kwestii prawa głosu. Wolność to piękna rzecz, ale ma jeden fatalny minus: to przywilej, którego utrata bywa trudna do przełknięcia. - Mina Graya, wyrażająca złośliwą satysfakcję i mściwość, mówiła sama za siebie: najwyraźniej napawał się jej bezradnością. Więzień stał się strażnikiem, strażniczka więźniarką: teraz to ona zdana była na łaskę Graya, jak wcześniej on uzależniony był od kaprysów jej braci.

- Nigdy stąd nie uciekniesz!

- O ludzie małej wiary! - westchnął Gray z drwiącym uśmiechem. - Jestem głęboko przekonany, iż z tobą u mego boku widoki na wyrwanie się z tego cyrku mam znakomite.

- Moi bracia cię znajdują, choćbyś się zapadł pod ziemię. Poszczują cię psami jak dzikiego zwierza, ty potworze!

Gray uniósł równą, gładką brew.

- Potworze, powiadasz? Ogromnie to ciekawe. Wszystkie potwory obcałowujesz z takim zapalem?

Bonnie poczuła, jak pieką ją policzki.

- Nie znam żadnego prócz ciebie!

- Chcesz powiedzieć, że oprócz mnie nikt cię dotąd nie całował?

- Jasne, że nie! To znaczy, nie chcę! Całowałam się, i to więcej razy, niż byś zliczył!

- Więcej, niż bym zliczył, hm? Proszę, proszę, a ja odniosłem wrażenie, że całujesz się jak dziewica bez doświadczenia w tych sprawach. Może spróbujemy jeszcze raz? Mogę się mylić.

Czegóż by w tej chwili nie oddała, żeby móc mu przyłożyć - jeśli to możliwe, to wiele, wiele razy.

- Jesteś obrzydliwy - rzuciła z nienawiścią, bo wydało się jej, że usta mu zadrgały jak do śmiechu. A to kanalia!

- A twój narzeczony? On też jest potworem, Bonnie? - Wypowiedział jej imię z taką słodyczą, tak pieszczotliwie, że mimowolnie zadrzała.

Szybko jednak wzięła się w garść. Znała już jego słaby punkt i tam właśnie uderzyła:



- Ewan jest, jaki jest, na pewno nie posłużyłby się mną, coby zwać cichaczem jak zwykły tchórz!

W ułamku sekundy wyraz łagodności zniknął z twarzy Graya. Z oczu posypały mu się iskry. Zgrzytając zębami, pochylił się nad dziewczyną.

- Ostrzegam cię po raz ostatni: uważaj na to, co mówisz. W Bonnie jednak skończyła dojrzewać wściekłość, dorównująca siłą jego własnej.

- Bo jak nie, to co? Zbijesz mnie? Złamiesz? Dogniesz do swojej woli? Ja się ciebie nie boję.

- Och, a powinnaś - powiedział cicho głosem czarnym jak noc. - Bardzo się bój. - Szeroki tors znalazł się tak blisko piersi Bonnie, że nie mogła oddychać.

Przecucie ostrzegało ją, że nie powinna się tak zachowywać, że głupi upór może zmusić ją do wstąpienia na ścieżkę, od której wolałaby się trzymać z dala. Ale nigdy dotąd nie bała się żadnego mężczyzny i nie zamierzała bać się teraz.

Kąśliwa uwaga, którą Bonnie miała na czubku języka, szybko poszła w zapomnienie, kiedy Gray pociągnął ją w kierunku drzwi. Z mściwą satysfakcją zaparła się obcasami w ziemię, ale nic tym nie wskórała; Gray był o wiele silniejszy. Tak gwałtownie szarpnął ją za rękę, że dziewczyna dosłownie zatrzymała się na jego plecach.

Gray pożegnał celę ostatnim, przelotnym spojrzeniem i wyszedł na dwór, nieledwie wlokąc Bonnie za sobą. Wyjrzała pośpiesznie zza jego pleców i stwierdziła, że są zupełnie sami. Zbierało się jej na płacz, przez cały czas jednak wierzyła, że zdoła się uwolnić.

Kopała, biła i drapała swojego porywacza przy każdej okazji. Raz próbowała usiąść na ziemi - wszystko na próżno.

- Stój, bo zacznę krzyczeć! - zagroziła później i dopiero tym zwróciła na siebie uwagę Graya.

Zatrzymał się raptownie, a Bonnie po raz kolejny odbiła się z boleściwym jękiem od jego pleców. Rzucił jej cierpkie spojrzenie sponad ramienia.

- Bądź grzeczna, bo będę cię musiał zakneblować. A obiecuję, że moje metody nie przypadną ci do gustu, więc lepiej staraj się nie nadużywać mojej dobroci.

Pierś Bonnie unosiła się ciężko z oburzenia i zmęczenia po marszu.

- Jakby było czego nadużywać, ty zarozumiały klocu!

- Gdyby nie mój niewzruszony spokój ducha, twoje kąśliwe docinki mogłyby mi sprawić przykrość, moja droga.

Och, no to już się w głowie nie mieści! Znosiła dotąd wszystkie jego bezczelne zagrywki, ale miarka się przebrała. Bonnie otworzyła usta, żeby krzyknąć tak głośno, jak nigdy dotąd, ale nie zdołała bodaj pisnąć: na jej ustach spoczęła dłoń jak z ołowiu.

- Czy ty nigdy nie posłuchasz dobrej rady? - warknął Gray z ustami tuż przy uchu dziewczyny; w chwili gdy ciepły oddech owiał jej szyję, przebiegł ją niepokojący dreszcz.

Zastygła w oczekiwaniu, milcząca i wyciągnięta jak struna. Niech już się wreszcie odsunie - albo pocałuje tam, gdzie tak kusząco błąkały się teraz jego usta. Oczy nagle jej po-ogromniały, bo zdała

sobie sprawę, że wbrew rozsądkowi, wbrew logice, pragnie, by...  
porywacz jej dotknął!

Wpadła w istną furię. Z całej siły ugryzła Graya w palec.

- Psssiakrew! - zaklął soczyście, potrząsając ręką. Bonnie odczuwała nieziemską satysfakcję - przez prawie całą sekundę, w następnej bowiem Gray podniósł ją z ziemi i przerzucił sobie przez ramię.

- Postaw mnie! - Szarpała się, zamiatając włosami po trawie, ale nic to nie dało. Gray ruszył w dół zbocza. Dość stromego zbocza. Oburzenie momentalnie wyparowało Bonnie z głowy. - Stój! Spadniesz!

- Na pewno spadniemy, o ile nie przestaniesz się wiercić, a że nigdy nie bierzesz sobie do serca tego, co mówię, wyobrażam sobie, że finał jest do przewidzenia.

Wizja stoczenia się po najeżonym ostrymi skałami zboczu wystarczyła, by Bonnie zaczęła walczyć o wolność ze zdwojonym wysiłkiem.

Ramię, które opasywało ją w talii, uniosło się i wymierzyło potężnego klapsa w jej pośladek.

Bonnie zamrugła powiekami, bardziej zdziwiona tym, że Gray w ogóle podniósł na nią rękę, niż siłą tego klapsa. Zdumienie szybko jednak ustąpiło miejsca głuchej wściekłości. Już ona mu oczy wydrapie! Jeszcze się nie zdarzyło, żeby jakiś mężczyzna ją tknął i mężczyzną pozostał. Jednak żeby rozkoszować się zemstą, musiała żyć dość długo, by móc ją wymierzyć, toteż przełknęła złość i

przestała wywijać rękoma i nogami - dopóki Gray bezpiecznie nie pokonał zbocza.

Wówczas obrzuciła go wszystkimi wyzwiskami, jakie tylko przyszły jej do głowy, a kiedy zapas się wyczerpał, uzupełniła je szeregiem całkiem nowych, wymyślanych na bieżąco. Ale ten potwór dreptał sobie spokojnie dalej, puszczać jej wrzaski mimo uszu.

Bonnie nie zorientowała się, że dotarli nad samą wodę, dopóki Gray nie zakołysał się dziwnie na boki... i nie puścił jej, skutkiem czego sturlała się z jego ramion prosto do lodowatego oceanu i podniosła iście obłąkańczy wrzask, który przybrał postać bulgotania dobywającego się spod powierzchni wraz z masą małych bąbelków powietrza.

Wychyła nad tafle, chlapiąc wodą na wszystkie strony, z twarzą oblepioną mokrymi włosami niczym pęczkami wodorostów. Odgarnęła ciężkie, ociekające wodą pasmo z czoła i zasztyletowała Graya wzrokiem.

- Ty... bydlę!

Spodziewała się typowego dla Graya żartobliwego tonu, ewentualnie groźnego marsa, który opanował do perfekcji. Czekala ją jednak nie lada niespodzianka: Gray rozpiął jej kajdanki, mówiąc:

- Traktuj ludzi jak bydła, to nie inaczej będą się zachowywać.

Nie zaszczycając jej spojrzeniem, zanurkował i zapadł się w ciemną, mętną wodę niczym pogański bożek nocy, bóstwo wszystkiego, co mroczne i nieprzeniknione. Bonnie zastanowiła się, czy to już koniec, czy widok jego szerokich barków będzie ostatnim, jaki zapamięta.

I dobrze! Oby się udławił, najlepiej jedną z tych kolczastych ryb, które nadymają się jak balony!

Dlaczego zatem stała jak słup soli, zamiast popędzić do domu ile sił w nogach?

Bonnie usiłowała przebić wzrokiem gęstniejące ciemności, wypatrując sylwetki Graya. Fale łagodnie opływały jej kibić, a ona czekała. Upłynęła odmierzana biciem serca minuta, potem druga... i trzecia. Przepadł? Czyżby to naprawdę... koniec?

Ledwie w jej umyśle zrodziła się ta myśl, Gray pojawił się ponownie, holując coś za sobą. Ogarnęła ją bezbrzeżna, acz niezrozumiała ulga - i jakieś inne uczucie, którego Bonnie nie potrafiła trafnie ująć w słowa, dziwne poruszenie w duszy na widok jego sylwetki spowitej ciemnym płaszczem wody. Wydał się jej piękny jak Adonis zrodzony przez ocean.

Zatrzymał się blisko brzegu. Czarne skórzane spodnie, nieodwracalnie już zniszczone, połyskiwały od wody, kusząco opinając muskularne uda. Jedwabiste, czarne jak noc włosy były mokre i, odgarnięte niedbale do tyłu, gładko leżały teraz na jego szyi i ramionach. Migotliwe światło księżyca zmysłowo kładło się na muskularnym, wyrzeźbionym torsie i rysowało srebrzyste ścieżki w poprzek otwartej jeszcze rany na jego brzuchu.

Bonnie zapragnęła jej dotknąć, otrzeć ostatnie ślady krwi, przeprosić, że zadała mu ból, choć rozumiała, że naraziłaby się tylko na śmieszność. Mimo to ręce same się jej wyciągały.

Przypomniała sobie chwilę, gdy przycisnął ją do zimnej, kamiennej ściany, odgrodził od świata swoim rosnącym ciałem, i serce

zaczęło jej bić odrobinę szybciej. Nawet kiedy jej nie dotykał, jego ciepło przenikało ją do cna i zapominała o bożym świecie.

Dopiero teraz poczuła, że jest chłodno. Zadrżała i objęła się ramionami. Zabroniła sobie podobnych myśli i nieśmiało zerknęła na Graya: zbliżał się do niej, a z każdym jego krokiem oddalała się wizja odzyskania wolności.

Choć przeczucie podpowiadało jej, że już za późno na próbę ucieczki, okręciła się na pięcie i, potykając się co chwila, pobiegła przez płyciznę ku brzegowi. Przemoczone spodnie krępowały jej ruchy, mimo to brnęła przed siebie, wzniesając miniaturowe fontanny wody, przekonana, że kiedy znajdzie się na suchym lądzie, będzie miała jakąś szansę.

Słyszała za sobą chłupot, kroki zbliżające się w zastraszającym tempie. Mimo że pogodziła się z myślą, że jest na straconej pozycji, nie zamierzała poddać się bez walki. Brodziła ku brzegowi najszybciej, jak się dało, upadając co parę kroków i krztusząc się wodą. Miała przedziwne wrażenie, że piaszczyste dno rozmyślnie umyka jej spod nóg. Jeszcze tylko parę kroków... jeszcze tylko dwa...

Nagle poczuła, że się dusi. Muskularne ramię na podobieństwo stalowej obręczy owinęło się wokół jej talii, wyciskając całe powietrze z płuc. Zatoczyli się oboje w stronę brzegu. W ostatniej chwili Gray rzucił się do przodu, tak że Bonnie wylądowała na górze.

Upadła na niego ciężko. Szum krwi w uszach i świadomość, że prysła ostatnia nadzieja na uwolnienie się, sprawiły, że Bonnie wpadła w szal. Zaczęła na oślep młócić rękami. Gray tymczasem usiłował złapać ją za nadgarstki i unieruchomić. Zmagali się zapamiętali,

owiewani przez rzešką bryzę, która studziła gniew, lecz za to rozbudzała inny, o wiele bardziej niebezpieczny płomień.

Znienacka uderzyła Graya łokciem w brzuch, aż jęknął. Szczerze się w tym momencie nienawidziła, bo przez chwilę pożałowała, że kolejny raz sprawia mu ból. Gray na sekundę poluźnił chwyt i pomyślała, że to daje jej jakąś szansę. Jednak w tej samej chwili to przekłete ramię jak ze stali ponownie się oplotło wokół talii dziewczyny i pociągnęło ją w dół.

Walczyła desperacko, ale wskórała tylko tyle, że wygodniej umościła się między parą ud jak z kamienia. Opuściła wzrok i przekonała się, że poły jej bluzki rozchyliły się szeroko, a jej nagie piersi rozpląszczyły się o szeroki tors Graya.

Skamieniała. Zacisnęła kurczowo powieki, modląc się bezgłośnie, by Gray nie spojrział w tym samym kierunku, by niczego nie zauważył, choć wiedziała, że to próżna nadzieja. Całe Bonnie ciało nadzwyczajnie się raptem uwrażliwiło, stało boleśnie wręcz świadome dotyku każdego cala jego mokrej skóry, każdej zawiłości mięśni rzeźbiących jego klatkę piersiową, ciała twardego tam, gdzie ona była miękka. Nie śmiała drgnąć ani nawet oddychać.

Pod palcami czuła krążącą w nim niespokojną, z trudem ujarzmianą energię. Mięśnie miał napięte jak postronki. Kiedy zaś czułym gestem odgarnął jej włosy z twarzy, pomyślała, że zaraz umrze. Gniew tego mężczyzny potrafiła znieść.

Przed kpina umiała się bronić. Lecz wobec czułości stawiała się całkowicie bezradna.

„Nie patrz na niego” - ostrzegwał rozsądek.



Jednak, jak Gray kiedyś jej wyrzucał, nie zwykła stosować się do dobrych rad. Zatrzepotała rzęsami i poszukała go wzrokiem. Spojrzenie szarych oczu o srebrzystym odcieniu zniewoliło ją i poczuła ciepło rozlewające się wokół serca.

Powiódł spojrzeniem po jej kształtnym nosie, konturze policzka, po czym zawisł nim na jej ustach. A potem nastąpiło to, co nieuniknione: gorące spojrzenie powędrowało w dół, ku miejscu, gdzie piersi Bonnie stykały się z szerokim torsem. Oddech uwiązał dziewczynie w gardle i zrobiło się jej dziwnie gorąco.

Patrzyła bez ruchu, jak Gray bawi się kosmykami włosów, które kleiły się jej do ramion, szyi... i kładły na piersiach. Instynkt albo też skrywane, potajemne pragnienie kazało jej poruszyć się na nim, mocniej przycisnąć do jego ud.

Gray przygryzł usta. Policzki mu drgały, jakby bezwiednie zaciskał zęby, resztkami sił broniąc się przed utratą samokontroli. Bonnie przebiegł rozkoszny dreszczyk. Czyżby pokonała tego potężnego wojownika? Odzyskała panowanie nad sytuacją, utracone wyłącznie z tego powodu, iż przeciwnik był fizycznie silniejszy? To była upajająca myśl.

Jego mina budziła w niej chęć poddania tej teorii próbie, zbadania jej w najdrobniejszych szczegółach. Może tak chwycić go za nadgarstki, jak wcześniej zrobił to on, i uczynić z nim, na co jej przyjdzie ochota? Czuła się rozpustna, lubieżna i godna pożądania. Szalona. Bo też to było szaleństwo.



Duża, lekko stwardniała dłoń przesunęła się po jej ramieniu, delikatne palce trąciły pasemko mokrych włosów, po czym objęły jej głowę, ciągnąc ją w dół ku nieuchronnemu pocałunkowi.

Kiedy usta Graya dotknęły jej warg, ziemia zatrzęsała się w posadach. Zniknął cały świat, istniała tylko ta czarodziejska chwila. W ich pocałunku nie było delikatności czy czułości, a jedynie dzika, gwałtowna i wszechpotężna żądza, zrodzona z pasji, której oboje mieli pod dostatkiem, ferworu niedawnej walki, satysfakcji z odniesionego zwycięstwa.

Wolną ręką powiódł po boku dziewczyny, wysunął skraj jej bluzki spod stanu spodni, pogładził ją po plecach... a potem objął palcami krągły pośladek.

Nie wiadomo kiedy przewrócił się na bok, nawet na chwilę nie wypuszczając Bonnie z ramion. Uprzytomniła to sobie dopiero wtedy, kiedy pod plecami miała chłodny, mokry piasek, a woda pieśczośliwie omywała jej skórę. Czuła ciężar jego sprężystego, rosłego ciała na swoim, na ustach nieprzerwany dotyk jego warg. Poruszył się niespokojnie i poczuła, jak twardnieją jej sutki.

Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Nie pojmowała, jak to możliwe, że tego mężczyzny nienawidziła, a zarazem czuła się wolna od wszelkiej nienawiści. Jego spojrzenie ją odurzało. Pocałunek sprawiał, że przestawała istnieć.

Uniósł się na łokciach, nie odrywając od niej oczu. Jego rozplómienny wzrok nie wyrażał skruchy. Bonnie wstrzymała oddech, gdy jego spojrzenie kierowało się coraz niżej, cal po calu, w końcu zatrzymało się na jej obnażonych piersiach. Nigdy dotąd tak

bardzo nie czuła się wewnętrznie rozdarta: chciała się zasłonić, ale też pragnęła, by dalej na nią patrzył, by dalej jej dotykał.

Objął jej pierś i zważył w dłoni.

- Piękna - zamruczał cicho przez ściśniętą krtani. To jedno słowo sprawiło, że Bonnie stanęła w płomieniach.

A potem pochylił głowę, końcami włosów muskając jej skórę, i wziął do ust sterczący, pulsujący sutek. Bonnie wygięła plecy w łuk, tak pełna słodyczy, taka niebiańska była przyjemność, która krążyła w jej ciele. Jego pieszczoty budziły w niej pragnienia, które Bonnie przerażały.

- Nie - wyszeptała błagalnie. - Proszę...

Gray uniósł głowę, ale nie patrzył na nią. Zamknięte oczy i kurczowo zaciśnięte usta zdradzały, jak trudno mu trzymać w ryzach rozbudzoną żądze, żądze, którą Bonnie rozumiała, lecz której zaspokoić nie mogła.

Jego nagła kapitulacja, bez słów, bez pytań, całkowicie ją zaskoczyła. Z drugiej strony, czego się po nim spodziewała? Sama nie była pewna. Może tego, że puści jej prośby mimo uszu, jak zawsze? Spróbuje nagiąć ją do swej woli, jak to miał w zwyczaju? Weźmie ją pomimo jej protestów i błagań?

Z nieoczekiwaną czułością ściągnął poły jej bluzki. Chciał pozapinać guziki, ale okazało się, że kilku brakuje; pamiątka po wcześniejszej szamotaninie. Podniósł się z ziemi i podał jej rękę. Po chwili wahania oparła na niej swoją dłoń.

Stali naprzeciw siebie w odległości zaledwie kilku cali. Kiedy na nią spojrział, w jego oczach ujrzała echo czułości sprzed chwili. Potem

wzruszeniem ramion zsunął z siebie koszulę i narzucił ją Bonnie na ramiona. Bez jednego słowa pozwoliła ubrać się jak dziecko. Choć koszula była o wiele za duża i równie mokra jak jej własna, Bonnie poczuła dziwne ciepło. Nagle ogarnął ją wewnętrzny spokój.

Księżyc wyjrzał zza chmury i skapał twarz Graya w srebrzystej poświacie. Podkreślił zdecydowany profil, świadcząca o uporze linie szczęki - obraz, który miał już na zawsze wryć się w pamięć dziewczyny.

Potem Gray się odwrócił. Zamiast jednak wyjść na brzeg, zaczął brodzić ku coraz głębszej wodzie, ciągnąc Bonnie za sobą.

- Co robisz?

- Pora się stąd zbierać - odburknął.

Dopiero teraz Bonnie spostrzegła, co takiego ze sobą przyciągnął na chwilę przed tym, jak podjęła próbę ucieczki. Łódkę na wiosła. I najwyraźniej doskonale się orientował, gdzie jej szukać. Tylko jakim cudem?

Chciała go o to spytać, ale ciekawość przeszła jej, ledwie uzmysłowiła sobie sens jego słów. Pora się stąd zbierać.

-A ja?

Gray wyjął z wody linę, której koniec przywiązany był do dziobu łódki, po czym zwrócił się twarzą ku dziewczynie i odpowiedział głucho:

- Idziesz ze mną.

Spod przymrużonych powiek Gray obserwował wyraz szoku, który zagościł na prześlicznej, złudnie niewinnej twarzy Bonnie, kiedy bez ogródek obwieścił swoje postanowienie, decyzję, która zaskoczyła nawet jego samego, kompletnie nieoczekiwaną - jak również nieprzemyślaną, dziwną i wręcz, psiakrew, absurdalną. Mimo to te słowa same mu się nasunęły i nic na tym świecie nie zmusiłoby go do tego, by się z nich wycofać.

Powinien teraz roześmiać się głośno, powiedzieć, że tylko żartował, że ani mu się śni ściągać sobie na kark upartą, ciętą jak osa, irytującą-do-granic-wytrzymałości pannicę, tym bardziej że wyruszał w podróż, która mogła okazać się najdonioślejsza w jego życiu.

Ale jakoś nie było mu do śmiechu. Milczał jak zakłęty.

Jedynym namacalnym dowodem, że to wszystko najzwyczajniej mu się nie śniło, było głucho pulsowanie obiegające w tę i z powrotem ranę na brzuchu, którą zawdzięczał Bonnie i jej kozikowi.

Chociaż nadal czuł do niej złość, nie mógł zamykać oczu na fakt, że sam był sobie winny, bo nie zwrócił na nóż należytej uwagi. Myślał tylko o tym, jak uwieść Bonnie. Obecność tej dziewczyny rozpalala w nim żądzę, przyćmiewala zdrowy rozsądek. Szukał jedynie pretekstu, by zakosztować tych jej satynowych usteczek, dać się ponieść gorącej, mrocznej fali pożądania. Może, gdyby dłużej się nad tym zastanawiał, doszedłby do nader nieprzyjemnego wniosku, że dostał dokładnie to, na co sobie zasłużył.

Wprawdzie uważał Bonnie za jedną z najodważniejszych kobiet, jakie dotąd poznał, niemniej musiała być przerażona, kiedy całował ją i pieścił człowiek skazany za morderstwo. Pragnął jej tak bardzo, że na samą myśl, iż mieć jej nie będzie, odczuwał tak silny ból i wściekłość, że ukrywał je z najwyższym trudem.

Powinien pozwolić jej odejść, dobrze to rozumiał. Odzyskał wolność, jeszcze kilka minut i wszystko wróci do normy. Będzie miał cały ten koszmar za sobą. Nie potrzebował jej. Kiedy jednak rzuciła się do ucieczki, kompletnie stracił głowę. Wiedział tylko, że musi ją zatrzymać - jakby od tego zależało jego życie.

Niech ją diabli.

A tym bardziej jego.

Co dziwne, nie stawiała oporu, kiedy uniósł ją z wody i posadził w łódce. Początkowy szok, jak przypuszczał, jeszcze nie minął. Lecz oszołomienie nie potrwa długo. Najlepiej się pośpieszyć i w drogę.

Wdrapał się do łódki i zaczął energicznie wiosłować. Bonnie nie odezwała się słowem, a Gray klął w duchu na czym świat stoi. Raptem odezwały się w nim wątpliwości - i, co gorsza, poczucie winy.

Nie powinien się tak czuć. W końcu to ona była wszystkiemu winna. Ona i jej parszywi braciszkiwie parli do egzekucji, najchętniej obwiesiliby go na pierwszej gałęzi. Dlaczego zatem miałyby się nad nią użalać? To było całkowicie pozbawione sensu, do jasnej cholery! Podobnie jak fakt, że budziła w nim iście huraganową żądzę.

Gray wiosłował w gorączkowym tempie, szukając ujścia dla swojej frustracji; pożądanie tliło się w nim nieustannie od chwili, gdy

ujrzał tę dziewczynę po raz pierwszy. Co też mu strzeliło do głowy, by pocałować nieprzyjaciółkę, tę samą osobę, która nie tak dawno napłuła mu prosto w twarz?

Odważył się rzucić na nią ukradkowe spojrzenie: siedziała w drugim końcu łódki, mokra i naburmuszona, lecz przez to chyba jeszcze piękniejsza. Luźna koszula podkreślała jej krągłości, oblepiała pełne piersi o sterczących sutkach, widocznych przez cienki materiał.

Aż go ścisnęło w dołku, kiedy przypomniał sobie, jaka jest w dotyku, jaki smak ma jej skóra, jak cudownie było odkryć w niej namiętność, głód, który dorównywał jego własnemu i rozpałał wszystkie zmysły. Tam na plaży chciał się tylko na niej zemścić, ale to ona zatryumfowała.

Gray odepchnął te myśli, by przygotować się do kolejnego, nieuchronnego ataku z jej strony, niepewny tylko, czy będzie to napaść słowna, czy też fizyczna - a może jedno i drugie naraz. Jakkolwiek jednak miała zamaniestować się jej furia, wybuchu należało się spodziewać w każdej chwili.

Bonnie go nie rozczarowała.

- Ty podlec! Tak żeś nisko upadł, że jak trza ci będzie urządzać pochówek, wystarczy, coby grabarz posypał cię z wierzchu ziemią - odezwała się jadowitym tonem.

Grayowi kamień spadł z serca. Wprawdzie złościwości Bonnie potrafiły boleśnie ranić jego męskie ego, niemniej był szczerze zadowolony, że nie zrezygnowała z ciętych przytyków na rzecz rzucenia się na niego z pazurami.

Z pewnym rozrzewnieniem myślał teraz o śmierci przez powieszenie, stojąc wobec wizji wypadnięcia za burtę ze śliską jak węgorz dziewczyną. Sytuacja była o tyleż bardziej niebezpieczna, iż piękna panna o wiele rzadziej doprowadzała go do szału, niż budziła w nim żądzę, toteż najpewniej zaraz zeszywniałby jak kołek i w niecałą minutę poszedł na dno oceanu.

Świadom tej ewentualności, powinien zapewne zachować dowcipne komentarze, które cisnęły mu się na usta, dla siebie, zamiast niepotrzebnie narażać się na odwet Bonnie. Jednak rozumiał już, do jakich szaleństw potrafi człowieka pod-kusić wszędobylski bies.

- A ty, dziewczyno, jesteś jak wrzód na czterech literach. Masz więcej tupetu niż rozumu, a uroku tyle co bezzębny uśmiech.

Wyprostowała się sztywno jakby kij połknęła.

- Skoro jestem taka okropna, to czemu żeś mnie nie zostawił na brzegu?

Szlag by to trafił, pomyślał Gray, musiała zadać akurat to jedno jedyne pytanie, na które nie potrafił znaleźć wiarygodnej odpowiedzi.

- Karta przetargowa - odparł z godnością. Gdyby jeszcze wiedział, co to, do diaska, miało znaczyć!

Bonnie zmrużyła zimne jak lodowiec błękitne oczy i spojrzała na niego.

- Zamyślasz posłużyć się mną, coby pozbyć się moich współplemieńców, jak już zaczną ci deptać po piętach?

Właściwie to Gray nie myślał o tym w ten sposób, ale skoro była tak uprzejma i podsunęła mu interpretację, która względnie trzymała się kupy, czemu nie miałby z tego skorzystać?

- Otóż to.

Założyła ręce, nadąsana. Wyglądała uroczo ze smukłymi przedramionami skrzyżowanymi tuż poniżej pełnych, zdolnych-przedcześnie-posłać-go-do-grobu piersi, całą swoją osobą wyrażając niemy bunt.

- Oj, czyś ty przypadkiem o czymś nie zapomniał, Angliku?

- Och? A o czym to, Szkotko?

Pochyliła się w jego stronę i oświadczyła groźnie:

- Najpierw będziesz miał ze mną do czynienia. Chcesz wojny... to ją będziesz miał.

Gray wolał się nie zastanawiać nad tym, dlaczego wizja szeroko zakrojonych działań wojennych przeciwko tej wietrznicy o zmijowatym charakterze wydała mu się nader nęcąca.

- Obiecujesz?

- Ano, obiecuję.

I tę właśnie obietnicę Bonnie zamierzała spełnić, choćby miała to być ostatnia rzecz w jej życiu. Już ona dopilnuje, żeby ten zarozumialec pluł sobie w brodę tak, jak nikt dotąd na tej ziemi, żeby gorzko pożałował, że ją uprowadził, a jeszcze bardziej tego, że ją pocałował. Bo jego pocałunek sięgał w głąb duszy, rozbudzał dziwne, bezimienne uczucia, których nigdy wcześniej nie doświadczyła.

Nie sposób jednak było skoncentrować się na planie zemsty, skoro Gray siedział naprzeciwko, rozebrany do pasa, piękny w swoim bezwstydzie. Kropelki wody połyskiwały na jego skórze, księżyc malował na muskularnym torsie srebrzyste ścieżki. Słona woda



oczyściła ranę; przestała krwawić. Jedynie cienka czerwona kreska przypominała o chwilowym szaleństwie Bonnie.

Dziewczyna starała się nie patrzeć na grę mięśni żłobiących jego tors, na te szerokie, silne barki. Nie podziwiać atletycznych ramion o tak wyraźnie zarysowanych mięśniach, iż nie mogła oprzeć się myśli, iż wyglądają jak rozdzielone wąwozami wzgórza.

Była tak pochłonięta pilnowaniem się, by nie wlepić w niego oczu, że dosłownie podskoczyła, kiedy powietrze przeszył przenikliwy gwizd. Oczy się jej rozszerzyły, gdy dostrzegła za burtą sylwetkę statku, tak niespodziewanie, jakby nagle wyłonił się z oceanu, podobny do olbrzymiego drapieżnego ptaka.

- Matko Bosko... co to?

Gray odparł zwięźle, nie odrywając się od wiosłowania:

- Wygląda jak statek.

Sarkastyczny ton nie ukoił starganych nerwów Bonnie.

- Co ty sobie wyobrażasz? Że nie wiem, jak statek wygląda? - napadła na niego.

- Pytałaś, więc...

- Wiem, o co pytałam! - fuknęła. - Przyjaciele to czy wrogowie, oto co mnie trapi.

- Przyjaciele. Przynajmniej moi. Czy twoi, trudno mi powiedzieć. Ostatnimi czasy jakoś nie oddają się pluciu, kopaniu, okładaniu pięściami, a już z całą pewnością dźganiu nożem, więc nie wiem, czy znaleźlibyście wspólny język.

Bonnie nie dała się sprowokować. Ograniczyła się do zmierzenia Graya podejrzliwym wzrokiem.

- A skąd ty możesz o tym wiedzieć?

- Stąd, dziewczyno, że ta pocziwa łajba to „Revenge”.

„Zemsta”. Dość trafna nazwa, uwzględniając okoliczności, nie zgodzisz się ze mną?

- A ty oczywiście znasz kapitana tego statku. Dobrze zgaduję?

- Co to, to tak. Powiedziałbym nawet, że bardzo dobrze... bo to ja jestem kapitanem.

Bonnie wpatrzyła się w niego z osłupieniem, ale czekała jeszcze na uśmiech, drgnięcie ust, które by zdradziło, że znowu próbował ją nabrać. Jednak spoglądał na nią z powagą.

- Ten statek... jest twój?

- Odnoszę wrażenie, iż odpowiedziałem już na to pytanie.

- Czemuś nie powiedział, że masz statek?

- Nie mówiłem też, że statku nie mam.

Bonnie nigdy nie zastanawiała się, w jaki sposób Gray dotarł do Szkocji. Ta kwestia najzwyczajniej nie wydała się jej istotna, biorąc pod uwagę okoliczności, które doprowadziły go za kratki.

- Był tu przez całusieńki czas? Gray kiwnął głową.

- Załoga czekała na mój powrót z o wiele większą niecierpliwością, niż wy na zrobienie ze mnie wisielca.

Bonnie usiłowała uporządkować uzyskane informacje.

- Skoro byli tutaj od samego początku, to czemu nikt nie przyszedł ci z pomocą?

- Ponieważ kazałem bosmanowi trzymać ludzi w pogotowiu.

- Ale kiedy żeś mu kazał?

- Rozmawiałem z nim każdej nocy.

Każdej nocy? Obcy człowiek kręcił się im pod samym nosem, a oni nie mieli o tym zielonego pojęcia? Nie. Niemożliwe. To jakieś kłamstwo.

- Jeśli żeście się widywali co noc, to czemu nie próbował cię uwolnić?

- Ależ próbował.

- Ale nie było sposobu?

- Był.

Bonnie dostała gęziej skórki, kiedy uprzytomniła sobie sens tej zaskakującej odpowiedzi. Podczas gdy ona zadreślała się myślą, że jej rodzony brat chce odebrać życie człowiekowi, który może być niewinny, Gray natrząsał się z niej w duchu, śmiał z naiwności całego jej klanu. Nie potrzebował niczyjej pomocy, ale chętnie wykorzystał słabość Bonnie dla swoich planów.

W ciemnościach rozległ się gromki okrzyk.

- Witaj nam wreszcie, chłopcze. Aleś nam napędził stracha! Przyszło nam do głowy, że z ucieczki nici i z nadejściem ranka znajdziemy cię w pięknym, konopnym krawacie.

Gray zarechotał i zerknął w kierunku, z którego dobiegły te słowa.

- Uchowaj Bóg, staruszku. Jestem o wiele bardziej zaradny niżli w twoich łaskawych oczach.

Bonnie nie słyszała dalszego ciągu rozmowy między jej porywaczem a, jak się domyślała, człowiekiem jego załogi. Czowała się oszukana i myślała wyłącznie o ucieczce. Teraz albo nigdy. Zerwała się na równe nogi i skoczyła na główkę do lodowatej, ciemnej wody.

Gray odwrócił się błyskawicznie. Zdażył jeszcze zobaczyć, jak dziewczyna znika w mętnych głębinach, po czym wyłania się o dobre dwadzieścia stóp bliżej brzegu.

- Do stu diabłów! - zaklął pod nosem, po czym wskoczył za nią. Bonnie była silną dziewczyną, a przy tym znakomitą pływaczką, ale on miał dłuższe ramiona, toteż szybko ją wyprzedził. Zemściła się kopniakiem w okolice między jego pachwinami i zaczęła płynąć jeszcze szybciej, chlapiąc wodą na wszystkie strony, dzięki czemu Grayowi trafiła się nader rzadka sposobność przepłukania gardła całym Atlantykiem. Krztusił się i pluł wodą, dziękując niebiosom za amortyzujące właściwości wody, które nie pozwoliły mu w pełni odczuć gniewu, który zdradzała siła tego kopniaka.

Za moment ponownie ją dogonił. Ramionami oplótł ciasno jej talię, lecz Bonnie nie zamierzała poddać się bez walki. Wiła się jak piskorz, nieświadoma, że jej szamotanina działa na Graya w sposób zupełnie inny od zamierzonego.

- Dość tych hocków klocek, dziewczyno, bo się oboje potopimy!

- Ty się utopisz, zarozumiały błaznie! A ja się będę tylko cieszyła!

Gdzieś pomiędzy myślą o obolałej „pachwinie” a tą o piekielnym szczypaniu w okolicach rany na brzuchu, w głowie Graya błysnęła całkiem inna myśl: że wcale by się nie zdziwił, gdyby złowieszcza prognoza dziewczyny okazała się trafna.

- Jeśli ja, to i ty. A na wypadek, gdybyś nie była tego świadoma, dodam, że w tych wodach roi się od rekinów, toteż większe szanse

mamy na to, że zostaniemy żywcem pożarci, niż na utopienie się. Zwietrzyły już pewnie zapach mojej krwi, więc wedle mojego szacunku za jakieś pięć minut będziemy kompletnie otoczeni.

Te słowa skłoniły Bonnie do zaprzestania wodnych ewolucji godnych węgorza.

- Rekiny? - Rozejrzała się nerwowo, jakby szukała trójkątnej płetwy tnącej łagodne fale.

- Owszem, rekiny. Ale wyobrażam sobie, że ich też się nie boisz. Parsknęła z irytacją.

- Oczywiście, że nie. - Mimo to nie zdołała ukryć lęku.

- Hej, tam, za burtą, wszystko w porządku? Panie kapitanie...?

- Znakomitym - odparł Gray sucho. Zastanowił się przelotnie, czy ktoś wychwyci kłamstwo w tym pojedynczym słowie. Bo w tej chwili mógł o swoim samopoczuciu powiedzieć dosłownie wszystko prócz tego, że jest znakomite. Nie opuszczało go nader przygnębiające wrażenie, że do jego zguby przyczyni się nie tyle porywcze usposobienie Bonnie, co jego własna niesłabnąca żądza, jaką budziła w nim ta śliczna sekutnica.

Woda poruszała jej długimi włosami. Mahoniowe ciężkie pasma, teraz ciemne jak niebo o północy, oplatały się wokół niego, a gdziekolwiek dotykały jego skóry, Gray czuł dziwne ciepło. Poły bluzki Bonnie uniosły się na powierzchni, toteż ramieniem obejmował śliskie nagie ciało, kciukiem zaś muskał skrawek krągłej piersi.

Zacisnął zęby, opierając się nagłej pokusie, by objąć palcami ten pagórek, którego rozkoszny ciężar w swojej dłoni pamiętał tak

wyraźnie, że słodycz tego wspomnienia przyprawiała go nieledwie o fizyczny ból.

Bonnie stężała. Może właśnie się zorientowała, gdzie znajduje się jego ręka - albo też przypomniawszy sobie, co wydarzyło się na plaży. Gray oddałby wszystko, żeby się dowiedzieć, czy cokolwiek poczuła w chwili, gdy ją pocałował - cokolwiek ponad falę gorąca, którą równie dobrze można było przypisać zaskoczeniu. Cóż za pomysł... Przecież ona go nienawidzi.

Ledwie o tym pomyślał, podniecenie minęło.

- Płyniemy - rzucił posepnie.

Posłuchała. Czy to dlatego, że wreszcie zrozumiała, iż to on wygrał tę bitwę, czy też jej ochoczą kapitulację zawdzięczał wzmiance o rekinach - tego Gray nie był do końca pewny. Tak czy inaczej stwierdził z ulgą, że dziewczyna niechętnie ruszyła w kierunku statku. Każda próba sił z Bonnie kończyła się tym, że coraz bardziej pragnął ją poskromić, znowu zobaczyć, jak odżywa w niej namiętność.

Przy sznurowej drabince zawahała się i przygryzła usta. Przyszło mu do głowy, że mogła obmyślać nowy plan ucieczki, więc podpłynął do niej szybko, by nie miała czasu wprowadzić go w czyn. Patrzył na nią i zabronił sobie w myślach zatonać w przepastnych błękitnych oczach dziewczyny - oczach, których więźniem był od pierwszej chwili i w których nadal wyczytywał nieme wyzwanie, by spróbował zgłębić tajemnice skryte na ich dnie.

Skrzywiła się i rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Jeśli masz bodaj trochę oleju w głowie, będziesz trzymał się ode mnie z daleka.

Gray rozłożył ręce w geście kapitulacji. Uznał, że to nie jest najlepszy moment, by powiadomić ją, że będzie dzieliła z nim kwaterę, co zresztą powinno się okazać nader interesującym układem - pod warunkiem, że będzie żył dość długo, by się nim nacieszyć.

Miał jednak swoje powody, by dzielić kajutę z kobietą, która najpewniej wbije mu nóż w plecy przy pierwszej okazji. Już dawno temu wziął sobie do serca złotą myśl Damiena: mądry człowiek stara się mieć przyjaciół blisko siebie, a wrogów jeszcze bliżej niż przyjaciół. Niestety, Damien nie precyzował nigdy, jak blisko ów mędrzec powinien trzymać wrogów płci pięknej, na których widok ślinka sama napływa do ust.

Jeszcze bliżej, pomyślał z przekonaniem.

Bonnie, jakby czytała w jego myślach, wycedziła znienacka:

- Ale ostrzegam. Ja tak łatwo nie skapituluję.

- Wytocz swoje najcięższe działa, dziewczyno. Przeżyłem gorsze rzeczy niż to, co może mnie spotkać z twojej ręki.

Nieznacznie przekrzywiła głowę z miną wyrażającą powątpiewanie.

- A to zabawne. Zupełnie jakbym słyszała Shamusa Gordona, kiedy byliśmy dziećmi, a ja ostrzegłam go, coby przeprosił moją przyjaciółkę za to, że ochlapał błotem jej najlepszą sukienkę.

Teraz to Gray przygryzł wargę, żeby nie wyszczerzyć zębów w uśmiechu, kiedy pomyślał o tragicznym losie, jaki musiał spotkać biedaczynę Shamusa.

- I co? Przeprosił?

- Ano, ale najpierw przemówiłam mu trochę do rozumu... Tym razem nie zdołał się powstrzymać. Uśmiechnął się, bo wyobraził sobie młokosa przywiązanego do koła i poddawanego zabiegowi łamania kości, lśniące, zaostrome wahadło kołyszące się coraz niżej nad jego głową oraz Bonnie, uradowaną i zaśmiewającą się do łez.

- Spytałbym, jak się to odbyło, ale chyba się boję...

- Dość powiedzieć, że osoba o jednym całym oku i z przetrąconymi kulasami ma ważniejsze sprawy na głowie od dręczenia innych. Zwykle tak się dzieje, że wcześniej czy później każdy łobuz napyta sobie biedy. - Spojrzała na niego znacząco. - Ponoć mądrej głowie dość dwie słowie...

W powietrzu wisiała zawołowana groźba. Bonnie obróciła się gwałtownie, zamiatając masą splątanych włosów, po czym wdrapała się po drabinie. Gray natomiast wybuchł tak niepohamowanym śmiechem, że omal się nie utopił.



Graya wcale to nie śmieszyło.

Prawdę mówiąc, zaczynało mu się marzyć, żeby w pojedynkę wszcząć bunt na pokładzie, dobrowolnie przespacerować się po trapie i ze szczerego serca modlić się, by na dole czekały rekiny.

Po niecałych siedemdziesięciu dwóch godzinach na pełnym morzu równowaga sił uległa zmianie i teraz to Bonnie z zapalem godnym lepszej sprawy poddawała jego cierpliwość nieustannym próbom.

Pierwszego dnia na statku wsypała mu do kawy tonę soli, drugiego był to pieprz, a że Gray okazał się przeklętym idiotą, kapuścianym głąbem, niezdolnym do tego, by wyciągnąć wnioski z tego uroczego wstępu, jeszcze dwa razy pozwolił się złapać na tę samą sztuczkę, zanim poszedł wreszcie po rozum do głowy.

Następnie nie wiadomo jakim cudem ta złośliwa strzyga z piekła rodem znalazła igły i nici, które trzymał w jednej z szuflad w swojej kajucie, i pozaszywała na amen rękawy trzech jego ulubionych koszul - nie wspominając o tym, co zrobiła z jego szlafrokiem z najprawdziwszego jedwabiu!

Jakby tego było mało, został wyeksmitowany z własnej koi i relegowany na hamak, który to podstępne ziółko już pierwszej nocy nieodwracalnie zmieniło swoimi białymi rączkami w jeden wielki, splątany supeł, skutkiem czego do dyspozycji pozostała mu jedynie zimna podłoga.

Uchowaj Bóg, by miał zapomnieć o mroźnych krew w żyłach wrzaskach...

Nie sposób było przewidzieć, kiedy dziewczyna wyda z siebie kolejny z serii przeraźliwych krzyków, i to tak przeszywający, że za każdym razem Gray był na wpół przekonany, że drewniany kadłub statku zaraz trzaśnie, cała zaś załoga pędziła ile sił w nogach, pewna, że zaraz zobaczy na ziemi kałużę krwi i drgające jeszcze damskie zwłoki z należącym do Graya nożem do papieru wbitym w serce.

Znając jego przekłętą pecha, Gray akurat klęczałby przy ciele Bonnie, próbując wyciągnąć nóż dokładnie w chwili, gdy reszta załogi stanęłaby w drzwiach. Nim by się obejrzał, toczyłby się przeciw niemu kolejny proces o kolejne niepopelnione morderstwo - choć w tym przypadku nie mógł powiedzieć, że nawet nie pomyślał o krwawym mordzie. Przeciwnie, rozmyślał o nim nie rzadziej niż raz na godzinę.

Bonnie była jak płomyk pełgający po statku pełnym dynamitu: wystarczyło, żeby jedno weszło w kontakt z drugim, a cały wschodni pas przybrzeżny poszedłby z dymem. Gray myślał o tej chwili z obawą, którą przyplącił notorycznym pulsowaniem u nasady karku i takim samopoczuciem, jakby połknął rozgrzany kamień, który na stałe ulokował się w samym środku jego klatki piersiowej.

No cóż, Bonnie obiecała, że zmieni jego życie w koszmar i ze swojej obietnicy wywiązywała się nad podziw. Wystarczył rzut okiem na fragmenty jajecznicy oblepiające włosy bosmana i dżem truskawkowy spływający po jego czerstwym, zaczerwienionym

policzku, by Gray zrozumiał, iż z nastaniem świtu rozpoczął nowy dzień piekła.

O bogowie, czyż te katusze nigdy się nie skończą?

- Co tym razem? - spytał Gray i zawstydził się lęku w swoim głosie.

- Dzisiaj też nie jest głodna - odparł mężczyzna, po czym dodał wstydliwie: - Nie uchyliłem się dość szybko.

Gray ucisnął grzbiet nosa, wewnątrz rozdygotany, Bonnie atakowała kolejno każdego marynarza, którego do niej posyłał, obojętnie jak się starali. Amunicję wybierała spośród rozmaitych potraw, przy czym półpłynne wiktuały, jak pudding czy owsiankę, przedkładała nad wszystkie inne, chociażby plasterek boczku czy płat smażonej wołowiny.

Gray łudził się jeszcze, że będzie mógł liczyć na więcej szczęścia, jeśli do jaskini lwicy pośle swojego bosmana, bądź co bądź Szkota, krajana Bonnie i bratnią duszę - a raczej tak to sobie wyobrażał. A powinien już zmądrzeć...

Kolejny plan wziął w łeb.

- Mówiłem, żebyś ją przywiązał do krzesła i nakarmił, jeśli nie skończy z tą dziecinadą - mruknął Gray i zmrużył powieki; ośrodek bolesnego pulsowania lokalizował się teraz dokładnie w pół drogi między jego uszami.

- Za przeproszeniem, nie żeby nie próbował. Ale, ehem, ona mnie ugryzła. - Bosman uniósł do inspekcji czerwony, spuchnięty palec. Gray obejrzał go ze współczuciem, bo na ten widok przypomniał mu się jego własny, wciąż jeszcze noszący ślady zębów

Bonnie. - Oj, już ona nie ułatwia człowiekowi robienia tego, co do niego należy, panie kapitanie.

Grayowi nie trzeba było o tym przypominać. Miał okazję odczuć to na własnej skórze. No, po prostu koszmar.

- Podła z niej bestyjka, wiem.

- To nie to, sir. Sęk w tym, że ta sikorka wygląda na taką...

- Niewinną? - podpowiedział Gray. - Niezdolną do złośliwości? Jak się uśmiecha, to jest zupełnie tak, jakby słońce wyszło zza chmur?

- Ano - potaknął bosman i westchnął. - Fakt, że jak się ino uśmiechnie, to człek ma takie wrażenie...

Gray uciszył go zdecydowanym gestem. I tak wiedział, jak brzmiałaby reszta tego zdania.

- Kiedy się uśmiechnie, to myślisz sobie, że jesteś jedynym człowiekiem na tym świecie, którego obdarza takim uśmiechem... i zastanawiasz się, jak to możliwe, by taki cudowny uśmiech skrywał podobnie krwiożercze zamiary?

Bosman przytaknął smętnie i zwiesił głowę.

Gray rozumiał, jak biedaczysko musiał się czuć. Aż za dobrze znał ten uśmiech, promienny, jaśniejący. Kilkakrotnie omal nie dał mu się zwieść. Omal nie uwierzył pod jego wpływem, że ta dziewczyna nie nienawidziła go aż tak bardzo, jak przypuszczał. Że w jej oczach mógł nie być mordercą.

Odprawił bosmana i patrzył odrętwiały, jak Szkot pędzi się obmyć, ścigany docinkami załogi. Grayowi jednak nie było do śmiechu.

Pograżył się w zadumie. Nieczęste zjawisko u człowieka, który z reguły nie dawał niczemu wytrącić się z równowagi, a jeśli już coś go nurtowało, przenigdy tego nie okazywał. Mimo to jakimś cudem Bonnie potrafiła odrzeć go z tej zewnętrznej warstewki spokoju, choć może trafniejsze byłoby tu stwierdzenie, że mozoliła się nad nią dopóty, dopóki jak w starym łażu nie zaczęły się w niej pojawiać dziury.

Na sztywnych nogach podszedł do relingu. Korciło go, żeby sprawdzić, co u Bonnie, na własne oczy przekonać się, co nabroiła tym razem, nie wątpił bowiem w to, iż jej płodna wyobraźnia zdążyła już podsunąć kolejną metodę dręczenia jego skromnej osoby. Miała cały arsenał sztuczek; człowiek wiedział, że coś się wydarzy, tyle że nigdy nie wiedział kiedy.

Powinien przestać się wygłupiać i zwrócić jej wolność. Zakończyć ten obłęd. Mógł ją wysadzić w tym czy innym porcie i dać pieniądze na powrót do domu. Raptem kilkugodzinne zejście z kursu, wielka rzecz. Klejnot spokojnie poczeka, by dalej dręczyć go tak, jak teraz dręczyła go Bonnie, prowokując Graya, by spróbował go odnaleźć, urzeczywistnić marzenie ojca i ocalić rodzinę przed bankructwem.

Chryste, ze szczętem już chyba oszalał, skoro wyruszył na poszukiwanie skarbu, który przypuszczalnie istniał jedynie w legendach, podjął bezowocny wysiłek, rozumiejąc, że jeśli już coś przywiezie, to nie klejnot, a, posługując się dziecięcą terminologią, zwykłą figę z makiem.

Mimo to... dopóki nie można było z całą pewnością wykluczyć tego, że klejnot istnieje, Gray musiał spróbować go odnaleźć. Tym, czego Damien potrzebował - czego potrzebowała cała ich rodzina - było stworzenie nowego dziedzictwa i odbudowanie tego, co utracili. I jednorazowy fart w kartach albo wyprzedaż części majątku, by spłacić kilka z Damienowych długów, problemu nie rozwiązywało.

Jedno podejście. Jedna próba. I nigdy więcej.

Gray zorientował się, że ktoś za nim stoi. Nie musiał się oglądać, by wiedzieć, że to Prorok, który z pewnością nie mógł się już doczekać, by wydzielić swemu młodemu przyjacielowi codzienną rację uwag w guście: „A-nie-mówiłem”? Gray westchnął, doszedłszy do wniosku, że lepiej zacisnąć zęby i mieć całą sprawę jak najszybciej za sobą, niż odwlekać to, co nieuniknione.

- No dobra, mów, co ci leży na wątrobie.

- A niby co ma leżeć? - Prorok zrobił niewinną minę. -

Przystanąłem na chwilę, coby się nacieszyć pięknym dzionkiem - bąknął, a dopiero potem dodał tonem przytyku: - Jeśli nawet faktycznie się niepokoję, to że ta pannica będzie tak długo tupać nogą, aż wytupie dziurę w kadłubie i wszyscy pójdziemy na dno. Poza tym nie mam żadnych zmartwień.

- Daruj sobie - warknął Gray. - Nie jestem w nastroju.

- Nie dziwota. Brak snu każdemu daje się we znaki. Ale ty, mój chłopcze, zmieniłeś się nie do poznania od czasu, kiedy żeś sprowadził na pokład tę dziewczynę. I jak tu winić ludzi, że nie mogą pojąć, co też cię podkusiło. - Prorok wzruszył ramionami. - Ale

kapitan to kapitan. Osobiście nie ośmieliłbym pytać o twoje powody, nawet jeśli wydają się osobliwe. Gray sapnął z irytacją.

- Wypytywałeś mnie o wszystko i wszystkich od czasu, kiedy się poznaliśmy. Skąd ta nagła powściągliwość?

- Być może stąd, że w grę wchodzi kobieta, a w przeszłości nigdy nie łączyłeś interesów z przyjemnościami.

- Twoim zdaniem mieć na pokładzie harpię o jadowym języku to przyjemność? Lepiej się jeszcze zastanów, przyjacielu.

- Och, czy ja wiem. Dla mnie to, co jest między wami, wygląda na przypadek miłosnego amoku.

Gray zmrużył gniewnie oczy; miał dziwne przeczucie, że dalszy ciąg przyjacielskich wywodów nie przypadnie mu do gustu.

- Co to za brednie, do ciężkiej cholery!

- Krótko i węzłowato: masz na Bonnie chrapkę i staniesz na głowie, coby tę dziewczynę mieć. Stąd pomysł holowania jej za sobą, choć spokojnie mogłeś ją zostawić na brzegu.

- Chrapkę? Ja? - Gray gapił się na Proroka, osłupiały. - Czyś ty zgłupiał? Owszem, wszystkie moje uczucia względem jej osoby sprowadzają się do żądzy... ale mordy! Co za pomysł, to już chyba wolałbym sobie wbijać w stopy zardzewiałe gwoździe. -Oto jaka nagroda spotykała Graya za to, że strzeliło mu do głowy, żeby jako pierwszego oficera zatrudnić człowieka mądrego, a przy tym kutego na cztery nogi, który na domiar złego był święcie przekonany o tym, że dawny pobyt w seminarium duchownym czynił z niego osobę wszechwiedzącą. - Jedyne, do czego mi była potrzebna, to zwiększenie szans na ucieczkę.



- Hmm. I na plaży nie mogliście się rozejść każde w swoją stronę? Albo później nie mogłeś jej zostawić w łodzi, kiedy sam bezpiecznie znalazłeś się na statku? Musiałeś koniecznie zabrać ją ze sobą, mimo że ucieczka się powiodła?

Gray skrzywił się jeszcze bardziej - w nadziei, że to zniechęci Proroka do wysuwania kolejnych zarzutów, które trafiały coraz bliżej dziesiątki. Niestety, mordercze spojrzenia i groźba rękoczynów nigdy na Proroka nie działały.

- Miałem swoje powody - mruknął w końcu Gray. Prorok uniósł brew, ale przestał drażnić temat. To jednak nie powstrzymało go przed powrotem do pierwotnego wątku dyskusji.

- Darujmy sobie te wszystkie „po co” i „na co”. Otóż odnoszę wrażenie, że Bonnie także czuje do ciebie miętę, chociaż to, dlaczego tak się dzieje, skoro ją porwałeś, a teraz trzymasz pod kluczem we własnej kajucie, jest nie do pojęcia.

Oczy Graya zwięziły się niebezpiecznie.

- Czyś ty aby nie zmienił bandery? Prorok nawet się nie zachnął.

- Sam przyznasz, że nie jesteś obdarzony szczególną subtelnością w kontaktach z kobietami.

- Sugerujesz, że brutalnie się z nią obszedłem?

- Próbuję tylko powiedzieć, że z twoją twarzą i posturą nie musiałeś się zbytnio przejmować tym, że nie umiesz się zachować w towarzystwie, bo nie na tym kobietom zależało. Ale atutów towarzyskich to ty nie masz. Wdzięku, chociażby.

Gray nie wierzył własnym uszom. To teraz mu się zarzuca brak wdzięku? Co gorsza, korepetycji ze sztuki uwodzenia udzielał mu



ogorzały od słońca i wiatru były pirat, który uśmiechając się, świecił dziurą po straconym zębie. Co dalej?

- Pozwól, że odświeżę ci pamięć. O mały włos, a zawisłbym za zbrodnię, której nie popełniłem plus - Gray wskazał swój brzuch - ona mnie dźgnęła.

Prorok zaszczyił go spojrzeniem, które zdawało się mówić: „Ale żyjesz, prawda? Nie mazgaj się, człowieku”.

- Przystawiałeś się do niej, co? - Ten człowiek zawsze widział więcej niż inni. Samorodny talent, który bywał jednak czasami piekielnie irytujący dla otoczenia. - Zawsześ miał fatalne wyczucie czasu, chłopcze.

- A nawet jeśli ją pocałowałem, to co? Całowałem kobiety na pęczki.

Prorok pokiwał głową, układając twarz w maskę mędrca--i-światowca.

- Prawda, nigdy jednak nie ciągałeś za sobą tych, co się całować nie chciały.

- Bo takich nie było.

- Aaa... czyli ta sikorka to dla ciebie wyzwanie? Odmowa nie poszła ci w smak, wniosek: trzeba ją więzić tak długo, aż ci ulegnie.

Także i kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa, nieszczególnie był Grayowi „w smak”.

- Jeszcze nie wiem, co z nią zrobię - uciał.

- Ale wypuścić jej nie zamierzasz. Przynajmniej nie w najbliższym czasie. Umawiamy się, że takie są nagie fakty?

W pierwszej chwili Gray chciał zaprzeczyć, dotknięty tym bezceremonialnym nazywaniem rzeczy po imieniu, ale wiedział, że przypominałoby to plucie pod wiatr: jedyne, co można przez to osiągnąć, to „rykoszet” prosto w twarz.

- Tak.

- Rozumiem - mruknął Prorok. - A co z kamieniem?

- A co ma być?

- Tak się tylko zastanawiam, czy zamierzasz powiedzieć tej sikorce o swojej wyprawie poszukiwawczej.

Wyprawa poszukiwawcza. To brzmiało tak oficjalnie. Tak... realnie. I z powodów, których Gray nie potrafiłby nazwać, zapragnął nagle zwierzyć się Bonnie, sprawdzić, jak zareaguje, czy uzna go za tak pomyłonego, za jakiego sam zaczynał się uważać.

Gray nie potrafił powiedzieć, dlaczego w obecności Bonnie zawsze ogarnia go chęć zwierzeń, dlaczego korciło go, by jej wyjawić tajemnice, które zamierzał wcześniej zabrać ze sobą do grobu. Ale zdradzenie Bonnie tej konkretnej tajemnicy przypominałoby wręczenie jej siekiery i poproszenie o to, by łaskawie porąbała go na kawałki.

Z drugiej strony... może nie uznałaby go za kompletnego wariata?

Może by w niego uwierzyła?

- Jeszcze nie wiem - opowiedział szorstko i uciekł spojrzeniem ku połyskliwym wodom oceanu.

Za niecałe dwa tygodnie - gdyby obeszło się bez nieprzewidzianych kłopotów, a to wydawało się raczej mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę niebezpieczny ładunek ze

Szkocji rodem - będzie miał ostateczną pewność. Odpowie sobie na pytanie, czy jest łatwowiernym głupcem, który dał się nabrać bajdurzeniu o skarbach, czy niegodnym synem, któremu udało się spełnić ojcowskie marzenie. Prorok świdrował Graya wzrokiem.

- Jak na człowieka, który zwykle bez mrugnięcia okiem podejmuje setki decyzji dziennie, ostatnimi czasy strasznie żeś się zrobił niezdecydowany.

- Mam dużo na głowie.

- Ano - przytaknął Prorok uroczyście - znowu bierzemy na barki wszystkie problemy tego świata...

- Nie całego świata - zachnął się Gray.

- Tylko twojej rodziny. - Z wyraźnym wahaniem Prorok dodał po chwili: - Nie wszystkie okropieństwa, jakich doświadczyli twoi bracia i wasz ojciec, spotkały ich z twej winy. Musisz przestać się ciągle obwiniać.

Gray zeszywniał, zbyt rozgniewany, zbyt wytrącony z równowagi, by słuchać kazań Proroka na temat nierozdrapywania starych ran. Prorok nie pojmował, że są i takie rany, które nie goją się nigdy, za to - jeśli ktoś próbuje zedrzeć z nich strupy - jątrzą się, pozostawiając trwałą bliznę.

- To koniec tej rozmowy.

- Dobrze - skapitulował Prorok; w jego głosie słychać było zwątpienie i rozczarowanie. - Pozwól zatem, że wrócę do kwestii twojego barwnego gościa.

- Wolałbym, żebyś tego nie robił - mruknął Gray pod nosem.

- Zdajesz sobie sprawę, że bracia tej dziewczyny będą chcieli ją odbić, prawda?

- Owszem.

- I co zamierzasz wtedy zrobić? Dobre pytanie.

- Wymyślę coś, kiedy przyjdzie na to pora. Póki co, wszystko zostaje po staremu, będziemy dalej ignorować jej wybryki.

- Będziemy ją ignorować, hmm? - Prorok był wyraźnie ubawiony.

- Przy odrobinie wysiłku to najzupełniej wykonalne. Ona po prostu sprawdza, jak się zachowamy. Jeśli żadnej reakcji się nie doczeka, w końcu da sobie spokój.

- Tak uważasz?

- Ja to wiem. - I istotnie, im dłużej Gray zastanawiał się nad swoimi słowami, tym bardziej w nie wierzył. - Nie dam się wyprowadzić z równowagi. Niech zobaczy, że te jej dziecinne wybryki po mnie spływają.

- Spływają, e?

- Jak woda po gęsi.

- Rozumiem. W takim razie nie zirytowałbyś się, dajmy na to, gdyby zaczęła wyrzucać twoje rzeczy przez bulaj?

Gray oparł się biodrem o burtę i skrzyżował nogi w kostkach.

- Ani tro... - słowa zamarły mu na ustach, gdy pojął, że uwaga Proroka nie jest czysto hipotetyczna.

Odwrócił się w chwili, gdy przez bulaj wyleciały jego nowe buty z cholewami. Zaczęły kołysać się na wodzie jak dwa spławiki obok dziesiątki, jeśli nie więcej, książek, drogiego chińskiego wazonu, który Gray wygrał w pokera, i pozłacanej mahoniowej laski, którą dostał od Nicholasa w ubiegłym roku, kiedy zwichnął nogę w kostce.

Jednak dopiero wtedy, kiedy pierwsza z jego map zakreśliła w powietrzu łuk i wpadła do wody, poczuł się w obowiązku zareagować i pogalopował przez pokład, ścigany gromkim śmiechem Proroka.

Bonnie uśmiechnęła się pod nosem, obserwując podrygujące na falach części Grayowego dobytku, coraz dalej i dalej od rufy płynącego szybko statku; pomyślała, że wyglądają jak małe sierotki.

Gray często jej zarzucał, że zachowuje się jak dziecko, i może faktycznie tak było, ale czuła wewnętrzną potrzebę uprzykrzania mu życia na wszelkie możliwe sposoby. Nie zamierzała dać temu draniowi satysfakcji, a przecież zdawała sobie sprawę, że wprost nie posiadałby się z radości, gdyby szlochała od rana do nocy albo wodziła za nim przerażonymi oczami, jakby był panem świata. Bądź co bądź była

Szkotką, a jak to ujął największy szkocki patriota, sir William Wallace z Elerslie, wszystko „Pro libertate! ”

- Za wolność! - powtórzyła, podniesiona na duchu, i złapała następną ze sterty map na sekretarzyku.

Nim zdążyła cisnąć dzieło anonimowego kartografa do wody w ślad za pozostałymi rzeczami Graya, by podzieliło ich smutny los,

drzwi kajuty rąbnęły o ścianę, a framugę wypełniła masywna postać i zastygła w bezruchu na podobieństwo antycznego posągu.

Wróg stanął u bram.

Zbytnio mu się nie śpieszyło.

Bonnie zaczynała już myśleć, że ten podlec najzwyczajniej w świecie pozwoli jej wyrzucić za burtę cały jego dobytek i nawet nie kiwnie palcem. Takich jak on niełatwo zdenerwować.

Poprzednim razem, kiedy wylała do nocnika zawartość stuletniej butelki koniaku, a pustą rzuciła mu w twarz - spudłowała zaledwie o włos - ograniczył się zaledwie do jednego, pełnego wyższości spojrzenia. Następnie wykonał zwrot w tył i odszedł bez słowa. Tego wieczora już się nie pojawił.

Bonnie gratulowała sobie w duchu, zadowolona, że się go pozbyła. Jego obecność ją niepokoiła. Zawsze patrzył na nią jakoś tak osobliwie, jakby potrafił przejrzeć ją na wskroś, aż zaczynała drżeć na całym ciele.

Jak już był, to naprawdę był.

W końcu jednak dostała nagrodę za swoje wysiłki. W tej chwili skupiała na sobie jego niepodzielną uwagę, choć musiała przyznać, iż jego mina nie wróżyła najlepiej. Twarz Graya była mroczna i złowieszcza jak niebo przed nawałnicą. Istny Adonis powracający z piekieł, pomyślała i przebiegł ją dreszcz.

- Odłóż to - powiedział aksamitnym głosem, w którym czaiła się groźba, i strzelił oczami ku mapie, którą Bonnie nadal ścisnęła w palcach.

W chwili gdy rzucił tę komendę nieznoszącym sprzeciwu tonem, zdenerwowanie dziewczyny znikło jak kamfora.

- A jak nie odłożę? - Zmrużyła oczy. - To co mi zrobisz?

Zamkniesz mnie w szafie? Zakujesz w dyby? Wyrzucisz za burtę? Wychłószczesz nahajem po białych plecach?

- To byłoby zbyt łatwe - odparł Gray przerażająco spokojnym tonem. - Skręcę ci ten twój śliczny karczek, a ciało rzucę tam, gdzie ty wcześniej moje buty. No - wycedził przez zęby - oddaj mi tę mapę.

Przecucie ostrzegało ją, by przestała go prowokować, by cieszyła się z tego, że w końcu zdołała wyprowadzić go z równowagi, a przecież właśnie to było jej głównym celem, bo Gray nie pozostawiał jej wyboru. Nigdy jednak nie słuchała tego wewnętrznego głosu. Przynajmniej nie wtedy, kiedy powinna.

- A dostanę coś w nagrodę?

- Dostaniesz. Daruję ci życie.

Bonnie nie przejmowała się zbyt wiele tą odpowiedzią.

Wielokrotnie słyszała z jego ust podobne groźby, ale na tym to się kończyło, choć poddawała jego cierpliwość próbom, których nie zdzierżyłaby większość mężczyzn. Gdyby istotnie chciał ją zamordować, skorzystałby z którejś z dziesiątek okazji. Mógł to zrobić chociażby w tamtej celi, kiedy skaleczyła go kozikiem, lecz nie skrzywdził jej, choć powodów mu nie brakowało.

I chyba właśnie w tamtej chwili zyskała absolutną pewność, że Gray nie był mordercą Sarah Douglas. Robił groźne miny i grzmiał, ale nic więcej.

- A co ci tak na niej zależy? - spytała przekornie, zaintrygowana napięciem, z jakim Gray śledził każde jej poruszenie, i lekko potrząsnęła mapą.

- Odłóż ją wreszcie, a może pozwolę ci wychodzić z kajuty - wykrztusił przez ściśnięte gardło.

Na samą myśl, że mogłaby zobaczyć cokolwiek oprócz tych czterech ścian, Bonnie omal nie cisnęła mapy na podłogę i nie rzuciła się do drzwi. Przeważyla ciekawość, dlaczego stara mapa okazała się kluczem do tego, by zwrócić na siebie uwagę przystojnego porywacza.

- Czyżby to poźółkły papierek miał dla ciebie jakąś wartość, Angliku?

- Na twoim miejscu nie kusiłbym losu, dziewczyno - ostrzegł Gray głucho.

Bonnie uznała to za potwierdzenie swoich domysłów.

- A co to za mapa? - Mijały kolejne sekundy bez odpowiedzi. Bonnie wysunęła mapę przez bulaj, trzymając ją samymi koniuszkami palców. - No?

Gray poruszał szczękami, jakby coś przeżuwał. W jego oczach wyczytywała zapowiedź piekła, jakie się rozpęta w chwili, gdy dostanie winowajczynię w swoje ręce.

- Z trasą do zaginionej wyspy - odparł, zgrzytając zębami.

- A co takiego jest na tej wyspie?

- Nic, wedle mojej wiedzy.

Bonnie nie potrafiła orzec, czy to prawda, czy kłamstwo: Gray wzrok miał posępny, minę nieprzeniknioną.



- To ty jesteś piratem? Szukasz zaginionych skarbów? Dziwny wyraz przemknął przez jego twarz, nim rysy mu stężały, a dziewczyna zrozumiała, że powiedział wszystko, co powiedzieć zamierzał. Ale upór Graya zwiększył jedynie jej pragnienie dowiedzenia się czegoś więcej.

Zauważyła kilka słów w jakimś dziwnym języku nagryzmoonych na środku mapy. Wskazała to miejsce palcem i spytała:

- Co to za napis?
- „O coracao sagrado”.

Sposób, w jaki Gray wypowiedział te słowa, sprawił, że przebiegł ją dreszcz.

- A co to znaczy?
- To „święte serce” po portugalsku.
- A co to takiego, to „święte serce”? - spytała, niezdolna ukryć zaciekawienia.

- Legenda - odpowiedział wykrętnie. - A może zwykłe ludzkie gadanie, w które wierzą tylko głupcy i marzyciele.

Legenda. To brzmiało tak tajemniczo, zagadkowo.

- A ty w nią wierzysz?

Odwzajemnił jej spojrzenie i po raz pierwszy od czasu, kiedy się poznali, Bonnie dostrzegła w jego oczach wyraz absolutnej szczerości. Fałsz, drwina ani rozgoryczenie nie przyćmiewały ich piękna - jedynie błysk bólu, który zdawał się zawsze wyzierać z ich głębi, cierpienia, którego Bonnie starała się nie dostrzegać. Broniła się przed miłością

do tego mężczyzny, a najbardziej już przed pragnieniem, by odkryć, co go tak potwornie dręczy - bo tego, że cierpiał, była zupełnie pewna.

- Sam nie wiem, w co wierzyć. - Te słowa, choć tak ogólnikowe, powiedziały jej wszystko.

- Ale teraz płyniemy na tę wyspę?

- Być może.

- Będę mogła wsiąść na ląd? - Bonnie sama nie wiedziała, dlaczego o to pyta. Ostatnią rzeczą, jaką powinna sobie w tej chwili zaprzętać głowę, było zwiedzanie zaginionych wysp i słuchanie zapomnianych legend. Ale, choć miała dwadzieścia dwa lata, pierwszy raz znalazła się poza Szkocją i ekscytowała ją myśl o takiej przygodzie.

Gray przyglądał się jej przez dłuższy czas, po czym spytał:

- A chcesz tego, Bonnie?

Dlaczego musiał wypowiadać jej imię w taki sposób? Głosem tak ściszym i gardłowym, iż zabrzmiało to jak daleki pomruk burzy? I tak aksamitnym, że robiło się jej gorąco? Jego uroda, drzemiąca w nim siła, widoczna w każdym jego poruszeniu, przyprawiała ją o zamęt w głowie, podsuwała dziwną myśl, że był niczym cudowny prezent, proszący się wręcz o to, by go rozpakować.

Powróciły wspomnienia chwil na plaży, wspomnienia tak gorące, że odciskały się na jej sercu niezniszczalnym piętnem, rozpały jej zmysły. Nieomal słyszała szelest wiatru pośród drzew, czuła dotyk chłodnego, szorstkiego piasku - i jego ciężkie, rozgrzane ciało na swoim. Gardziła Grayem, a mimo to nie znikał z jej myśli. Był jak zakazany owoc, nieosiągalny, lecz kuszący do grzechu.

Bonnie stała nieruchomo jak kamienny posąg, patrząc, jak Gray zbliża się do niej, bezsilna i niezdolna go powstrzymać. Zamknęła oczy z cichą nadzieją, iż dzięki temu zdoła jakoś oprzeć się jego urokowi, wszak nie widząc go, nie będzie się mogła przekonać, że zawisł na jej ustach spojrzeniem, pod którego wpływem serce przestawało w niej bić.

Ciepłe palce zmusiły ją do uniesienia twarzy dotknięciem tak nagłym, tak nieoczekiwanym, że zadrżała; mapa, która wobec jego bliskości poszła natychmiast w zapomnienie, wysunęła się jej z palców.

Bonnie powoli rozchyliła powieki; zmysłowe spojrzenie Graya zdawało się parzyć, przenikać ją na wskroś, jakby znał jej wszystkie sekrety. Jego gęste, jedwabiste włosy przesunęły się miękko ku policzkom, prosząc, by przegarnęła je palcami. To pragnienie było takie silne, że kiedy się powstrzymała, odczuła fizyczny ból.

Dłoń, która dotykała ostrożnie jej policzka, pogładziła go delikatnie, a Bonnie pomyślała, że chyba zemdleje.

- Zaraz cię pocałuję - zamruczał cicho Gray. Nie pytał, czy mu wolno, ani nie rozkazywał, stwierdzał tylko fakt, jasno, precyzyjnie i nieodwołalnie.

Bonnie otworzyła usta, niepewna, co chce powiedzieć, ale nie znajdowała żadnych słów. W głowie miała pustkę. Oddech uwiązał jej w gardle, kiedy Gray nachylił twarz i...

Pierwsze dotknięcie jego warg przypominało najłżejsze muśnięcie, choć nie było przez to mniej odurzające, mniej upojne jak pocałunki na plaży. Poczuła, że nogi się pod nią uginają, i zapomniała

o wszystkich urazach, pretensjach. Boże drogi, czuła się tak, jakby miała rozpaść się na tysiące malutkich kawałków.

Ten pocałunek... jakże się w nim zapamiętała... Usta Graya nie pozwalały na żaden sprzeciw. Domagały się bezwarunkowej kapitulacji oraz czegoś jeszcze, na co zdobyć się nie potrafiła - czegoś, o czym myślała z drzeniem.

Napawała się jego zapachem, korzennym i przypominającym woń morza. Przytuliła się do niego i pomyślała, że nigdy nie zdoła się nacieszyć tą cudowną chwilą. Chciała zawisnąć mu na szyi i obejmować go tak mocno, jakby od tego zależało jej życie. Jednak myśl, że tak właśnie jest - że jej los zależy wyłącznie od jego kaprysu - sprawiła, że Bonnie natychmiast otrzeźwiała.

Oparła drżące dłonie na piersi Graya, poczuła gorączkowe bicie jego serca i z całej siły odepchnęła go od siebie.

Uniósł twarz i rzucił jej pytające spojrzenie. Doskonale rozumiała jego zaskoczenie. Miała w głowie nie mniejszy mętlik niż on sam. Wciąż jeszcze czuła smak jego ust i chciała, by pocałował ją znowu, ale zabroniła sobie tej radości. Sobie i jemu.

- Dlaczego tak trudno się przed tobą bronić?

- Dlaczego tak trudno trzymać się od ciebie z daleka? -

odpowiedział pytaniem. Jego głos emanował niszczycielską zmysłowością. - Zbliżył usta do jej ucha i szepnął: - Przestań się bronić. Poddać się. Przysięgam, że cię nie skrzywdzę.

Poddać się. Bonnie nigdy nie przypuszczała, że wizja złożenia broni może okazać się niemal upajająca. Dotąd nie rozważała takiej możliwości. Aż do tej chwili. Do chwili, kiedy w jej życiu pojawił się

Gray. Widziała, że nigdy rozmyślnie by jej nie skrzywdził, że nie żywił względem niej złych zamiarów. Nie rozumiał tylko, że zło już się stało.

- Nie mogę - odparła, wkładając w te dwa słowa całą stanowczość, na którą było ją stać. - Powody znasz nie gorzej ode mnie.

Powoli wyprostował plecy, po czym zmrużył oczy i spojrzał na nią.

- Ponieważ ty i reszta twojego klanu wierzycie, że jestem mordercą.

Bonnie chciała zaprzeczyć, wytłumaczyć mu, że jest pewna, że nikogo nie zabił. Tylko po co niepotrzebnie wszystko utrudniać? Mimo to słowo „tak” nie przeszło jej przez usta.

- Rzecz w czym innym.

- Nie - nieomal wypluł to słowo. - Ja myślę, że właśnie o to idzie.

Odsunął się gwałtownie; z jego twarzy znikło ciepło, ustępując miejsca lodowatej pogardzie.

Zgarnął mapę z podłogi, okręcił się na pięcie i podszedł do drzwi. Nie oglądając się, rzucił od progu:

- Chociaż uważasz mnie za mordercę, nie jestem całkowicie wyzuty z ludzkich uczuć. Możesz wychodzić z kajuty, kiedy ci przyjdzie ochota.

- A zejść ze statku? - Bonnie zmusiła się, by zadać to pytanie.

- Na to, obawiam się, nie będę mógł pozwolić. - I już go nie było, choć te słowa dźwięczały jeszcze w powietrzu, a w sercu dziewczyny w miejsce ciepła zakradła się dziwna pustka.

RS

Kiedy następnego ranka Bonnie pokonała kręte schodki i znalazła się na głównym pokładzie, złote promienie słoneczne podziały na nią jak kojący balsam. Osłoniła ręką oczy przed oślepiającym słońcem i czekała, aż przyzwyczają się do ostrego światła, rozkoszując się ciepłem i nieskończenie piękną pogodą.

Przed nią rozpościerał się zapierający dech w piersiach bezkres błękitów i zieleni, wzajemnie się przenikających i tworzących żywy gobelin, który rozciągał się we wszystkich kierunkach. Atlantyckie fale błyskiwały złociście, gdzieś wybuchając białymi grzywami, gdzie indziej, posłuszny podmuchowi wiatru, zastygał w gładką taflę, potężny, majestatyczny. Widoczna w oddali długa srebrzysta linia horyzontu przyzywała, nęciła, by poznać jej tajemnice.

Bonnie stała nieruchomo wśród krzątających się marynarzy, obserwując płynącą po niebie chmurę, zwiewną, jakby była z koronki. Na statku wrzało. Atmosfera niezwykłego ożywienia była tak wyczuwalna, że udzieliła się i Bonnie. Dzień wydał się jej nagle pełen obietnic, tchnący zapowiedzią przygody, która tylko czekała, by porwać dziewczynę i ponieść ją ze swoim nurtem.

Zamknęła oczy i odchyliła głowę. Zaciągając się głęboko słonym oceanicznym powietrzem, słuchała szumu, z jakim statek przelatywał fale. Spod dziobu bryzgała woda, której drobiny przesycały powietrze i osiadały na skórze dziewczyny.

Cichy wewnętrzny głos, który tak często puszczała mimo uszu, przypomniał, że powinna się rozejrzeć za nowymi metodami dokuczenia kapitanowi i zastanowić się nad przygotowaniem do ucieczki. Równocześnie jednak dał się słyszeć inny głos, wesół, jakby jego właściciel cieszył się szczęściem Bonnie ze świeżo zdobytej swobody, zagłuszając ten pierwszy, wewnętrzny - nawet jeśli tylko na krótko.

- Piękny dzionek, prawda?

Bonnie aż podskoczyła. Błyskawicznie otworzyła oczy: koło niej stał mężczyzna o wyglądzie starego wilka morskiego. Twarz miał ogorzałą, jakby latami przebywał na słońcu i wietrze, i pooraną zmarszczkami, ale głębokie bruzdy wokół ust przydawały jej tylko charakteru. Uśmiechnął się do niej niepewnie, jakby obawiał się, jak ta poufałość zostanie przez nią przyjęta. Zielone oczy mężczyzny patrzyły z życzliwością, która natychmiast podbiła serce Bonnie.

- Ano - odparła z wahaniem - rzeczywiście piękny.

- Cieszę się, że mam wreszcie okazję cię poznać, dziewczyno.

Bonnie powiedziała sobie w duchu, że powinna trzymać się na dystans od wszystkich osób związanych z kapitanem tego statku, człowiekiem - jej zdaniem - słabującym na umyśle, ale szeroki, rubaszny uśmiech starszego mężczyzny był taki zaraźliwy, że odwzajemniła go bezwiednie, zapominając o swoich obiekcjach.

- Oj, czy aby na pewno? - spytała. - Większość załogi nie podzieliłaby tego zdania.

- Ale też większość załogi nie przekonała się o potędze twojego uśmiechu. Ponadto - wzruszył ramionami - niewola nawet najśłodsze



usposobienie może zmienić w kwaśne jak ocet siedmiu złodziei. Ot, choćby nasz kapitan stanowi najlepszy tego przykład - dodał i mrugnął okiem.

Wzmianka o kapitanie starła uśmiech z twarzy Bonnie; przypomniała sobie swoją wczorajszą prośbę, by pozwolił jej opuścić statek, i jego chłodną odpowiedź: „Na to, obawiam się, nie będę mógł pozwolić”. Ha! Nie mógł, dobre sobie. Zwykły despota - niestety, despota zbyt przystojny, by nie musiała się martwić o spokój swojej duszy.

Najbardziej ją chyba irytowała świadomość tego, jak żywo reagowała na jego fizyczną bliskość, fakt, że jej zdradzieckie ciało nie umiało zdobyć się na obojętność, kiedy był w pobliżu. I choćby tylko z tego powodu powinna się trzymać jak najdalej od niego.

Tylko jak mogłoby się to okazać łatwym zadaniem, skoro została uwięziona na jego statku i ulokowana w jego kajucie? Kiedy odkryła, do kogo należało jej tymczasowe lokum, wpadła w taki szal, że nie tylko sama załoga, ale i szanowny kapitan tego statku, jak podejrzewała, uznali ją za idealną kandydatkę do domu wariatów.

Ale wcale jej to nie przeszkadzało. Lepiej, żeby cały czas zachodzili w głowę, do czego może się okazać zdolna następnym razem. Prawdę mówiąc, to zachowanie całej załogi -czujne spojrzenia rzucone w jej stronę i dbałość o to, by nie wchodzić jej w drogę - wydawało się jej co najmniej śmieszne: porwana stała się dręczycielką swoich porywaczy. I nie mogła się tą myślą nacieszyć.

- Nie może być! To on nie jest skończonym gburem od urodzenia? - spytała kąśliwie. Uznała, że lepiej nie taić swoich

poglądów na temat charakteru Graya na wypadek, gdyby jej rozmówca okazał się jedynym człowiekiem na statku, który nie zdążył się jeszcze zorientować, jakie Gray budził w niej uczucia.

Marynarz zarechotał.

- Nie daj się zwieść jego pozornej szorstkości, dziewczyno. W głębi serca jest łagodny jak baranek.

Bonnie fuknęła, szykując się do tego, by oświecić swego słuchacza w kwestii szlachetności pana kapitana - barbarzyńcy, który ją uprowadził, włókł za sobą jak wór ziemniaków, wrzucił do lodowatej wody tak, jak rozczarowany łupem wędkarz pozbywa się zbyt małej makreli... całował czule i namiętnie, nie reagował, kiedy ciskała w niego czym popadnie, pozwolił jej wyjść z kajuty, chociaż chwilę wcześniej wyrzuciła większość jego rzeczy do wody i nie chciała mu oddać jego bezcennej mapy.

Po namyśle doszła do wniosku, że równie dobrze może otworzyć mu oczy przy innej okazji. Tknęła ją bowiem pewna myśl.

-To ty?

- Co, ja?

- Jesteś pierwszym oficerem. To ty przyszedłeś go uwolnić.

- To on ci powiedział...? - Marynarz podrapał się po głowie; wydawał się zaniepokojony. - Znaczy się, owszem, przyszedłem, coby go wypuścić. Było nie było to mój kapitan... i przyjaciel. Czuję się za chłopaka odpowiedzialny.

Chłopaka. Bonnie to określenie szczerze rozbawiło.

O Grayu można było powiedzieć wiele rzeczy, ale na pewno nie to, że był „chłopakiem”.

- Mówił, że nie uciekł, chociaż miał okazję. To prawda?

- Ano, prawda.

- To bez sensu. Po co miałby zostawać?

- Coby oczyścić swoje nazwisko, oczywista. - Ta uwaga została wypowiedziana w taki sposób, jakby dziwił się, że sama się tego nie domyśliła.

- Toć mógł za to zapłacić gardłem.

- Kto jak kto, ale kapitan nie jest tchórzem.

Bonnie przypomniała sobie chwilę - nie tak dawno temu -kiedy dokładnie o to Graya oskarżyła. Pamiętała także jego reakcję. Patrzył na nią wypisz, wymaluj tak, jak śmiertelnie ranny człowiek patrzy na swojego zabójcę. Wyraz jego twarzy zmroził ją do szpiku kości.

Nazwała go tchórzem, choć wcale tak nie uważała. Chciała go jedynie zranić, bo czuła się dotknięta. A w sytuacjach, kiedy brakowało na podorędziu innej amunicji, zwykła niczym bronią posługiwać się słowami. Musiała przyznać, że człowiek, który w takich okolicznościach decyduje się zostać i oczyścić swoje imię, stawić czoło gniewnemu tłumowi -i Aidanowi, który wręcz wychodził z siebie, żeby Grayowi dopiec - na pewno tchórzem nie jest.

Jednak upór i duma nigdy nie pozwoliłyby Bonnie przyznać się do pomyłki.

- Za to ma źle w głowie - rzuciła z sarkazmem, choć w jej ustach ten zarzut brzmiał raczej osobliwie; to samo mogła powiedzieć o sobie.

- Ano - przytaknął marynarz - chłopak rzeczywiście zachowuje się czasem, jakby był w gorącej wodzie kąpany.

- Czasem?

W zielonych oczach pojawiły się iskierki rozbawienia.

- No dobrze, często. Ale serce ma złote.

Bonnie skrzyżowała ręce na piersi i przyjrzała się rozmówcy z miną wyrażającą powątpiewanie.

-I to z dobroci serca zaciągnął mnie na statek, bo bardzo ciekawa?

- A to już trudniejsze pytanie. - Mężczyzna podrapał się po zarośniętym podbródku. - Gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że masz widać coś, na czym mu zależy. Coś, co ty jedna możesz mu dać.

W pierwszej chwili odczuła osobliwą, acz niepokojącą satysfakcję, ledwie jednak przemyślała sobie sens słów marynarza, zatrzęsała się ze złości.

- Już ja wiem, co mogę! Dać mu w ten zakuty łeb, aż mu w uszach zadzwoni!

Ta zapalczywa odpowiedź została nagrodzona rubasznym rechotem.

- Nie sądzę, coby istniała na tej ziemi para bardziej upartych ludzi jak wy dwoje. Idealnie do siebie pasujecie.

- Idealnie?! Ha! Ten twój kapitan jest uparty jak muł, zawsze musi postawić na swoim i nie cofnie się przed niczym.

- Widzi mi się, że ciebie można by opisać podobnie - odparł marynarz z niesłabnącym uśmiechem. Zanim Bonnie zdążyła obmyślić kąśliwą ripostę, dodał: - Ależ palnąłem gafę. Nawet się nie

przedstawiłem, jak należy. - Wyciągnął rękę. - Jestem O'Brien. Prorok O'Brien.

Bonnie zawahała się ułamek sekundy, po czym podała swoją.

- Bonnie McTavish.

- Bonnie... Piękne imię dla pięknej kobiety.

Kolejny uwodziciel z bożej łaski, pomyślała. Kropka w kropkę jak jego kapitan.

- Prorok to raczej niecodzienne imię.

- Tak naprawdę to na imię mam Joseph, ale już od najmłodszych lat wszyscy mówią mi Prorok. Każdy na inny sposób tłumaczy to przezwisko, ale póki co nikt nie trafił w dziesiątkę.

- Nawet prześwietny pan kapitan? - zakpiła Bonnie, rozglądając się za Grayem.

Stał za sterem. Jego gęste czarne włosy połyskiwały w świetle jak sierść gronostaja, opalona twarz zastygła w maskę skupienia i powagi. Wydawał się całkowicie pochłonięty rozmową z kilkoma członkami załogi i nawet na nią nie spojrział.

Powinna być zadowolona, że starał się jej unikać, że przywoływał minę kamiennej, lodowatej uprzejmości, ilekroć na siebie wpadali, patrzył na nią tak, jakby na jej czole widniał napis „zguba ludzkości”.

Przepaść między nimi rozrosła się do niewyobrażalnych wręcz rozmiarów, ale tak było lepiej. Dzięki temu mogła skoncentrować się na swoim celu: ucieczce. Bo wtedy, kiedy Gray był blisko, trudno jej było się skupić na czymkolwiek. Dlaczego zatem jego obojętność tak bardzo ją drażniła? To nie miało sensu.

- Nawet on - potwierdził Prorok. - Ale tobie zdradzę prawdę. - Nachylił się i powiedział konspiracyjnym tonem: - Za młodu chciałem zostać księdzem.

Bonnie zamrugała ze zdumienia.

- Księdzem? - Zaczynała rozumieć, dlaczego nikomu nie udało się odgadnąć prawdy. Prorok był ostatnim człowiekiem - oprócz kapitana - którego wyobrażała sobie w sutannie. Wyglądał na urodzonego marynarza.

- Ano. - Kiwnął głową. - Byłem na seminarium w Montalegre, starym, ale urokliwym portugalskim miasteczku pośród wzgórz przy granicy z Hiszpanią. Ale pewnego ranka obudziłem się i pojąłem, że to pragnienia rodziny bardziej niż własne popychały mnie na tę drogę.

Bonnie usłyszała z tego wszystkiego jedynie słowo Portugalia; przypomniało się jej to, czego dowiedziała się wczoraj od Graya. O coracdo sagrado. Zastanowiła się, jak wiele o tajemniczym „świętym sercu” wiedział Prorok.

Zamierzała dyskretnie go wybadać, lecz w tej samej chwili rozległo się głośnie, mrozące krew w żyłach skrzeczenie.

Osloniła ręką oczy i spojrzała w górę, szukając źródła tego potwornego dźwięku. Równocześnie z bocianiego gniazda poderwało się jakieś ogromne, drapieżne z wyglądu ptaszysko i zanurkowało w jej stronę.

Krzyknęła przestraszona i uchyliła się, a to opierzone diabelstwo śmignęło gładko tuż nad jej głową, wykonało duże kółko nad pokładem, po czym wylądowało wdzięcznie koło steru, tuż za plecami

Graya. Siedziało przycupnięte na kabestanie, jakby czekało, by ktoś wyzionął ducha, żeby spokojnie odrzeć mu mięso z kości.

- O święta Katarzyno... toż to...

- Sęp? - wyręczył ją Prorok. - Szpetne z niej stworzenie, co? „Szpetne” wydawało się niemal komplementem, biorąc

pod uwagę, że ptaszysko miało haczykowato zakrzywiony dziób, nagi żółty łebek i szyję otoczoną pierzastym czerwonym kołnierzem, białą upierzoną pierś, czarne skrzydła i kilka obrzydliwych, pomarańczowych narośli.

- Czego ten stwór tutaj chce? Prorok wzruszył ramionami.

- Pewnie jedzenia. Wiecznie toto głodne. Bonnie wbiła w niego zdumione spojrzenie.

- To wy go karmicie?

- Właściwie to głównie kapitan ją karmi.

- Trzyma sępa, jak inni trzymają psa czy kota? Krzaczaste brwi Proroka ściągnęły się, jakby mężczyzna dumiał nad tą kwestią.

- Lady Beatrice to nie tyle jego ulubienica, co rozpieszczana towarzyszka. Gray znalazł ją w jednym z indyjskich doków, ledwie żywą, i pielęgnował ją tak długo, aż wróciła do zdrowia. Od tamtej pory wszędzie ten ptak mu towarzyszy. Zresztą Lady B. zarabia na swoje utrzymanie. Potrafi wypatrzeć ład i inne statki szybciej niż człowiek. A że to piekielnie dziwaczne, to fakt.

Dziwaczne? Fakt, że sęp nie tylko występował w roli Grayowego załoganta, ale wręcz pełnił wachtę na bocianim gnieździe, był wręcz nie do pojęcia.

Sęp przydreptał do Graya, kołysząc się śmiesznie na boki, i szturchnął go dziobem w plecy. Gray pogłaskał go po szyi bez cienia obawy, mimo że jedno kłapnięcie silnym dziobem zdolne było z łatwością obciąć ludzki palec.

- Ale co to za imię dla sępa, „Lady Beatrice”? - zdumiała się Bonnie, choć sam fakt, iż w ogóle dano sępowi jakieś imię, także przechodził, jej zdaniem, ludzkie pojęcie.

- Imienniczka tego ptaka też jest sępem... ino w ludzkiej skórze. Stąd to skojarzenie.

Bonnie nie spodziewała się równie zagadkowej odpowiedzi.

- A kto to taki, ta prawdziwa lady Beatrice?

- Matka kapitana - odparł Prorok z miną, jakby właśnie wgrzyzł się w cytrynę.

Bonnie otworzyła usta ze zdumienia, choć nie było to może szczególnie eleganckie, ale ta odpowiedź po prostu zbiła ją z nóg. Jakąż niechęcią Gray musiał pałać do matki, żeby jej imieniem ochrzcić sępa! Skąd w nim tyle urazy?

Zerknęła ukradkiem w jego kierunku, zamyślona. Zastanawiała się, nie po raz pierwszy zresztą, co ukształtowało jego życie, uczyniło go takim człowiekiem, jakim się stał - do przesady dumnym, często udreńczonym, a czasem wzruszająco bezradnym.

Ponownie kierując wzrok na Proroka, spytała cicho:

- Jest aż taka zła?

- Gorsza, niż możesz sobie wyobrazić. Jedyna różnica między matką Graya a tym sępem jest taka, że prawdziwa lady Beatrice nie czeka na śmierć ofiary, by zacząć ją drzeć na sztuki. Ta kobieta



traktowała tego chłopaka i jego braci tak, jakby nie byli warci zlizywać błota z podeszew jej butów. Nie wiem, jak matka może być tak okrutna wobec własnych dzieci. On się tylko z tego śmieje. Właśnie tak sobie radzi z problemami, udaje, że ich nie ma albo wmawia sobie, że nic a nic się nimi nie przejmuję.

Bonnie zdążyła się przekonać - i to na własnej skórze -na jakie stać go było opanowanie. Podczas procesu chociażby albo wtedy, kiedy próbowała mu zagrać na nerwach -a miała do tego istny dar boży.

- Jak to jest, że tak dużo wiesz o jego matce? - spytała.

Prorok wsunął palce za okucie wanty, kiedy statek przechylił się nieznacznie do przodu.

- Ojciec Graya dał mi posadę majtka, będzie przeszło trzydzieści lat temu, kiedy niewielu ludzi, a co dopiero angielskich arystokratów, skłonnych było dać pracę Irlandczykowi, mniejsza o to, że urodził się w Ameryce. Właśnie takim człowiekiem był Niles Sinclair.

Człowiekiem o wielkim sercu, hojnym, prawdziwym dżentelmenem. Kochał te chłopaczyska jak żaden ojciec. Próbował ich chronić najlepiej, jak potrafił.

- Co się z nim stało?

Prorok ze smutkiem potrząsnął głową.

- Zmarł przed paroma miesiącami i żaden z jego synów nie jest już taki, jak przedtem. Omal im serca nie pękły. Czasem sobie myślę, że kapitan przeżył to najciężej z całej trójki. Jest jak dzieciak we mgle, a ja nie mogę nic na to poradzić, niech to diabli. Nikogo do siebie nie

dopuści, zupełnie jakby otoczył się jakimś murem. Nie przypuszczam, żeby nawet Damien czy Nicholas w pełni rozumieli, jak bardzo cierpi.

Bonnie pojęła, skąd brał się ból, który wyzierał z oczu Graya w tych rzadkich momentach, kiedy się przed nią odsłaniał. Dziwiła się tylko, że tak wielkiej ulgi doznała na myśl, że w trudnych chwilach Gray ma przy sobie życzliwego człowieka.

- Ale do jednej rzeczy nigdy się nie przyzna - odezwał się po chwili Prorok - choćbym obcęgami to z niego wyciągał. Nosi w sercu niewygojoną ranę, która nie zamknie się bez pomocy bliskiej osoby. Jemu się zdaje, że nikogo nie potrzebuje, że jest na wszystko odporny i nie ma niczego, co mogłoby go zranić, ale ja wiem, że tak nie jest. - A potem Prorok zaskoczył ją zupełnie, ujmując jej ręce w swoje i wypowiadając słowa, które głęboko nią wstrząsnęły. - Ty możesz mu pomóc, dziewczyno. Czuję to w kościach. Coś dla niego znaczysz.

Bonnie poczuła się jak ktoś, kogo przy samym brzegu morza, dotąd gładkiego jak stół, zalewa potężna fala.

- On mnie porwał, Proroku. Nie zapominaj o tym. Prorok machnął ręką, jakby się odpędzał od natrętnej muchy.

- Wypożyczył.

- Wypożyczył?

- Przecież cię wypuści.

- Kiedy?

- Kiedyś. - Potem mruknął niewyraźnie coś, co zabrzmiało jak: -

Chyba.

Bonnie miała szczerzy zamiar wyjaśnienia Prorokowi, że jego teoria to czysty obłąd, że jakkolwiek skończy się ta podróż, między

nią a człowiekiem, który uprowadził ją z domu, wykradł od rodziny, nie pozostanie nic do ocalenia, ale Prorok ją ubiegł:

- Po prostu zastanów się nad tym, co ci powiedziałem. -

Delikatnie ścisnął jej dłonie, po czym zniknął gdzieś do swoich obowiązków, nie dając Bonnie czasu na dalsze protesty.

Westchnęła z rezygnacją i stanęła przodem do burty. Prośba Proroka nieustannie brzęczała jej w głowie, choć starała się o niej nie myśleć. Nie potrafiła pomóc Grayowi, nie mogła mianować się osobą odpowiedzialną za uleczenie jego zadawnionych ran, nawet jeśli przez jedną szaloną chwilę miała na to ochotę. Dlaczego Prorok uważał, że taki cud leżał w jej mocy? Nie miała zielonego pojęcia.

Mimo to z dziwnym bólem pomyślała o chłopcu, który miał matkę bez serca, i młodym mężczyźnie, który niedawno stracił najważniejszego człowieka w swoim życiu.

Szybko zabroniła sobie takich myśli. Zamknęła oczy i zwróciła twarz tak, by owiewał ją wiatr. Starła się wymazać z pamięci słowa Proroka. Łagodna bryza muskała jej włosy, przegarniając je niczym tysiące niewidzialnych palców, ale jakkolwiek usilnie Bonnie się o to starała, obraz Graya nie zniknął spod jej przymrużonych powiek.

Wiedziała, że do niej podszedł. Dziwna rzecz, ta jej niepojęta, intuicyjna wiedza, że jest blisko, albo że do jego wzroku wkrada się ciepło, nawet wówczas, gdy przyglądał się jej z daleka.

Przypuszczała, że nawet gdyby stali w przeciwnych końcach zatłoczonej sali, po prostu wiedziałyby, gdzie go znajdzie. Było to dla niej czymś zupełnie nowym.

Leniwie rozchyliła powieki. Jej spojrzenie zderzyło się ze wzrokiem Graya, a w głowie ponownie rozbrzmiały jej słowa Proroka. „Ty możesz mu pomóc, dziewczyno. Czuję to w kościach. Coś dla niego znaczysz”.

A on, niech Bóg ma ją w opiece, aż za wiele znaczył dla niej.

- Jak się masz? - spytał cicho.

- Doskonale - odpowiedziała. Dziwnie ścisnęło ją w piersi, gdy dostrzegła jego oczy, tak uważne, że z trudem odwróciła wzrok. Gdyby tego jednak nie zrobiła, zawładnąłby nią czar, który Gray rzucał na nią nieodmiennie, uległaby sile zaklęcia, które - gdyby tylko do tego dopuściła - obróciłoby się przeciwko niej z niszczycielską siłą żywiołu.

- Widziałem, że rozmawiałaś z Prorokiem.

- Miły człowiek - odparła półgłosem. - Od razu go polubiłam.

- Ale mnie nie lubisz, prawda?

To pytanie całkowicie ją zaskoczyło, ale pomyślała, że Grayowi było to najpewniej na rękę. Dzięki temu przez cały czas panował nad sytuacją, a wiedziała, jakie to było dla niego ważne.

Gray stanowił dla niej prawdziwą zagadkę. Był nieznośny, lecz jego obecność działała na nią kojąco, skryty, lecz zarazem szczery, wybuchowy, a zarazem pełen zewnętrznego spokoju. Żył w świecie, którym rządziły mrok i cierpienie. Czasem wydawało się jej niemal, że brakowało w nim jakichkolwiek świętości.

- Przecież nawet cię nie znam - odezwała się jeszcze ciszej.

- A chciałabyś mnie poznać? A może nie mam prawa o to pytać, ja, morderca i porywacz?

Bonnie nienawidziła go, kiedy tak się zachowywał. Pozwalał, by dostrzegła jego wrażliwą naturę, choć wiedział, że znowu będzie musiała go zranić, odtrącić nieśmiałą propozycję zawarcia pokoju, zacisnąć zęby i modlić się, by serce jej nie pękło.

- Chcę się tylko dowiedzieć, dokąd płyniemy.

Piękne, pełne wargi, których smak tak dobrze Bonnie pamiętała, zacisnęły się tak mocno, że aż zbieleły.

- Dowiesz się niebawem. - Odwrócił się i chciał wyjść. Ale tym razem Bonnie nie zamierzała na to pozwolić; złapała go za rękę i własnym ciałem zablokowała mu drogę.

- Powiedz mi teraz. Nie możesz mnie ciągle zbywać.

- Bonnie, nie posuwaj się za daleko - syknął Gray, wpatrzony w drobną dłoń na swoim przedramieniu. Wiedział, że cokolwiek się wydarzy, już nigdy nie przestanie marzyć o tym, by ująć tę rękę o filigranowych palcach, oprzeć ją na swoim sercu i spytać Bonnie, czy czuje, jak mocno bije.... i czy wie, dlaczego.

Dlaczego tak rozpaczliwie mu zależało na tym, by w niego uwierzyła? By dostrzegła w nim człowieka, a nie potwora? To pragnienie go wypalało. Zraniła go - nie okrucieństwem, jak kiedyś jego matka, lecz swoją niszczycielską urodą, zdolnością budzenia w nim żądz. Pokonała go swoim hartem ducha, odwagą; niepostrzeżenie stała się dla niego jasnym światłem w mrocznym chaosie jego życia, cał po cał wyprowadzała go z uczuciowego wygnania, na które dobrowolnie się skazał.

Odsunął się od niej. Zamiast objąć Bonnie, zacisnął palce na relingu. Jaki demon podsunął mu myśl, by zabrać tę piękną, nieznosną

dziewczynę w podróż, której rezultat mógł okazać się równie zwiewny jak smuga dymu? Setki razy zadawał sobie to pytanie, nie znajdując odpowiedzi.

- Czemu ciągle prosisz o więcej, niż mogę dać? - spytała, miękko, błagalnie, wwiercając się w niego błękitnymi oczami, przed których spojrzeniem nie potrafił się obronić.

Graya poraziła prawdziwość tych słów. Równocześnie przyszła myśl, że już wie, czego od niej chciał. Czuł dziwną tęsknotę, chęć zawieszenia broni, pragnienie spokoju, który -był o tym święcie przekonany - mogłaby mu ofiarować. Mógłby się w tej dziewczynie zatracić.

Głupie mrzonki. W końcu okazał się podobny do ojca. To było jak jakaś klątwa.

- A proszę?

- Ano - wyszeptała. - Przecież wiesz, że nie mam wyjścia.

Muszę walczyć. Tu nie jest moje miejsce.

Zacisnął zęby.

- Czyżbyś tak bardzo się stęskniła za swoim przyszłym mężulkiem?

Bonnie aż się skuliła. Miałaby się stęsknić za Ewanem?

Odpowiedź pojawiła się natychmiast, pewna, zdecydowana: nie. Nie spieszyło się jej do niego wracać. Do tej pory nawet o nim nie pomyślała.

- To, co robimy, jest złe - powiedziała, próbując zmienić temat; nie chciała rozmawiać o tym aspekcie jej życia. - Przecież sam to wiesz.

- Kochasz go?
- Nic ci do...
- Kochasz go, Bonnie?

Dlaczego przy nim gubiła się we własnych uczuciach? Dlaczego zapuszczała się myślami na ścieżkę, na którą nie śmiała dotąd wstąpić, a jej uczucia urastały w lawinę i nic nie było w stanie ich powstrzymać?

Była zła na Graya, bo zbyt wiele od niej oczekiwał, ale i na siebie, bo nie umiała nim pogardzać. Te dwa rodzaje złości skumulowały się w gwałtownym wybuchu.

- Ano, kocham! - zełgała. - Jesteś zadowolony? To żeś chciał usłyszeć? Kocham go, kocham go, kocham go! A ciebie nienawidzę!

Minę miał posepną jak gradowa chmura, szczęki mu drgały. Kiedy zacisnął pięści, Bonnie pomyślała, że zaraz ją uderzy.

On jednak odwrócił się i sztywno wyprostowany podszedł do steru, Bonnie zaś wpatrywała się w jego plecy, próbując zrozumieć, dlaczego dzień nagle zrobił się taki szary, choć słońce nadal jasno świeciło na niebie.

Nazajutrz Bonnie obudziła się z uczuciem, że spała nie dłużej niż kilka minut. Większą część nocy przewracała się niespokojnie z boku na bok, a kiedy nawet zapadała w sen, śniły się jej koszmary. Prześladowała ją twarz Graya, wyraz jego oczu, kiedy rozmawiali wczoraj na pokładzie.

Czy właśnie dlatego nabrała nagle ochoty, by wyznać mu całą prawdę? Powiedzieć, że nic do Ewana nie czuje, że rozmyślnie kłamała po to, żeby... co? Odepchnąć Graya od siebie? Zapanować nad uczuciami, jakie w niej budził? Wyprzeć się tego niewidocznego płomienia, jaki ich ogarniał, gdy byli razem?

Tylko co z takiego gdybania? Gray nie dał jej szansy na wycofanie tamtych pochopnie rzuconych słów, bo więcej już do kajuty nie wrócił. Pozostała jedynie przygnębiająca pustka.

Co dziwne, dopiero wtedy zrozumiała, że jego obecność podnosiła ją na duchu. Z dnia na dzień narastał w Bonnie niepokój. Każdej kolejnej nocy z coraz większym trudem powstrzymywała się od rzucania ukradkowych spojrzeń w jego stronę, rozmyślania, co też porabiał na swoim prowizorycznym pośłaniu na podłodze, jakby naprawdę mógł myśleć o niej - tak jak ona myślała o nim.

Przed tamtą scysją kilka razy późną nocą śniło się jej, że stał obok jej łóżka i przyglądał się, jak spała. Czasem nawet bawił się kosmykami jej włosów i szeptał jej imię w taki sposób, że serce przestawało jej bić.



A kiedy sen rozplýwał się z nadejściem ranka, budziła się radosna, jakby otulona szczelnie kołderką zadowolenia, ze spokojem w duszy, jakiego nigdy wcześniej nie zaznała. Czuła się tak, jakby połączyła ich cienka nić porozumienia - choć istniejąca tylko w jej snach - której teraz nagle zabrakło, bo Bonnie wzniosła między nimi barierę. Bariere, której na imię Ewan.

Bonnie przewróciła się na plecy i nakryła twarz poduszką. W tej chwili marzyła jedynie o tym, by ukryć się przed światem na resztę podróży. Raptem jej uwagę zwrócił dziwny dźwięk, jakieś drapanie, jakby coś stało obok łóżka i skrobało szponami o podłogę.

Szpony.

Oczy się Bonnie rozszerzyły, w gardle jej zaschło, bo pomyślała o jedynym stworzeniu na pokładzie, które miało szpony.

Lady Beatrice. Sęp.

Ledwie zauważalnym ruchem przesunęła poduszkę tak, by odsłonić jedno oko, i ostrożnie, z duszą na ramieniu, rozejrzała się po wnętrzu kajuty. Spodziewała się, że coś się na nią zaraz rzuci. Nic się nie rzuciło, niemniej odgłos skrobania był nadal słyszalny.

Ze wstrzymanym ze strachu tchem Bonnie przewróciła się na bok, potem na brzuch. Koniuszkami palców złapała się krawędzi łóżka, przesunęła się równolegle do niej i wyjrzała ostrożnie...

A potem zamruęała.

Szpony, a właściwie pazurki, nie należały do lady Beatrice ani w ogóle do niczego, co zasługiwałyoby na miano „stwora”. Widok, jaki ukazał się oczom Bonnie, sprawił, że rozplýnęła się w uśmiechu,

rozczulona. Było to słodkie, śliczne szczenię. Zobaczyło ją i zaczęło poszczekiwać.

- Hej, szkrabiku. A skąd ty się tu wzięłeś, jeśli wolno mi spytać?

Bonnie wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać pieska po łebku.

Szczeniak wspiął się na tylne łapki, a przednie, białe i puchate, oparł na jej przedramieniu i zaczął energicznie lizać jej palce.

Zmierzwiała futerko między uszami psiaka; گیاł się na całym ciele, merdał ogonkiem, mrugając dużymi ślepkami barwy gorzkiej czekolady - wokół jednego miał czarną łatkę. Bonnie natychmiast go pokochała.

Przysunęła się szybko do krawędzi łóżka i porwała szczeniaka z ziemi; był leciutki, ale nieproporcjonalnie długie i grube łapy wskazywały, że wyrośnie z niego spory pies. Dobiegł ją ciepły zapach psiej sierści; mieszanka nieuchwytnych, typowo psich zapachów połączona z lekkim zapachem słonej wody i ziemi.

Szczeniak wskoczył jej na ręce, zapierając się łapami, o cokolwiek się mogły oprzeć, i natychmiast zajął się toaletą jej twarzy, zabierając się do dzieła z nie mniejszą werwą niż wcześniej do jej palców. Bonnie było tak lekko na sercu, jak nigdy.

- Masz jakieś imię, mój śliczny chłopczyku?

- Jack.

Odpowiedź padła, zdawałoby się, znikąd i tak niespodzianie, że Bonnie się przelękała, choć ten piękny męski głos rozpoznałaby zawsze i wszędzie.

Uniosła się nieznacznie - tylko tyle, ile potrzebowała, by zobaczyć cokolwiek ponad łebkiem szczenięcia - i ujrzała Graya. Stał

w wejściu, oparty ramieniem o framugę, a duże, muskularne ramiona, które tak dobrze wciąż pamiętała, miał skrzyżowane na piersi.

Na dźwięk głosu pana szczenię wysunęło się z jej ramion i popędziło na płaczących się jeszcze łapach przez podłogę. Ostatnie trzy stopy przejechało na zadku, zerwało się na łapki i zaczęło tańczyć wokół kostek Graya.

Gray zaśmiał się gardłowo - choć w sposób nie pozbawiony pewnego męskiego wdzięku - przykucnął i podrapał psiaka za kłapciastymi, długimi uszami.

- Już łobuzujesz, co? Nie mówiłem, żebyś leżał? Bonnie chciała się podnieść, ale przypomniała sobie, że ma na sobie niewiele więcej oprócz męskiej koszuli, którą bez pytania wzięła sobie z szafy, choć podejrzewała, że Gray nie odmówiłby, gdyby spytała, czy może ją pożyczyć. Ale z ubrań miała tylko to, w czym weszła na pokład, toteż musiała ogromnie się starać, by prezentowały się względnie przyzwoicie. Koszula Graya wyglądała na niej prawie jak szlafrok; była tak długa, że jej połę kończyły się tuż nad kolanami dziewczyny. Usiadła i szczelnie okryła się cienką kołdrą.

- Nie besztaj go, to przeze mnie. Na pewno chciał dobrze.

Gray zerknął na nią ukradkiem. Błyszczący ciemny kosmyk zsunął mu się na czoło, nadając mu wygląd rozczulający, ale równocześnie zawadiacki i ogromnie męski.

Słońce nadało jego skórze ciepły odcień mlecznej czekolady, który podkreślała rozpięta pod szyją lniana koszula. Z głębokiego wycięcia wyzierała cała szyja i duży fragment torsu, podwinięte rękawy odsłaniały muskularne przedramiona.

Bonnie zrobiło się nagle gorąco; przypomniała sobie, jak Gray wyglądał bez koszuli, ten sam tors zroszony kroplami wody. Tak się w tym wspomnieniu zapamiętała, że nie usłyszała początku jego odpowiedzi.

- ... rozpieszczony psiak z wilczym apetytem. Dla mnie wygląda trochę jak taki kosz na śmiecie, tyle że z zębami. Czai się wiecznie w kambuzie i wyczekuje, żeby kukowi upadły jakieś resztki. Obawiam się, że lada moment będzie ważył więcej niż my wszyscy razem wzięci.

Krzywy uśmieszek uniósł kącik jego ust, a Bonnie stopniało serce. Patrzyła, jak bawił się ze szczeniakiem: odsuwał Jacka od siebie, a kiedy żywiołowy psiak rzucał się w pogoń za jego ręką, drugą chwycił go za tylną łapę i okręcał go dookoła, śmiejąc się, kiedy szczeniak bez powodzenia próbował złapać zębami tę rękę, która znajdowała się najbliżej.

Bonnie z przyjemnością przyglądała się ich zabawie. Czuła się senna i dziwnie spokojna. Nagle jednak Gray niespodziewanie podniósł wzrok i przyłapał ją na tym błogim podglądactwie. Zaczęła gorączkowo zastanawiać się, co powiedzieć.

- Skąd pomysł, żeby wabił się Jack?

- Z początku wołałem na niego „Psiak”. Potem, kiedy odkrył w sobie wytrawnego wilka morskiego, któremu niestraszne ciągle kołysanie, wraz z wielkim entuzjazmem do pchania się we wszelkie możliwe tarapaty, przechrzcilem go na „Kłopot”. Niemal od razu stało się jasne, że to imię nie przypadło mu do gustu, bo nie raczył na nie reagować. Więc mianowałem go „Jackiem”, bo przez tę ciemną

obwódkę dookoła ślepka przypominał mi pewnego starego marynarza, którego kiedyś znałem i który nosił na prawym oku czarną klapkę.

Szczeniak przekrzywił łebek, jakby wiedział, że o nim mowa.

- A co to za pies?

- Kundel. Chyba. Znalazłem go, jak błąkał się po londyńskich pirsach załadunkowych, a to nie miejsce dla ludzi, a co dopiero zwierząt. - Serdecznym gestem poklepał szczenię po brzuchu i podniósł się z ziemi. - Ale piekielnie dobry z niego marynarz. To muszę mu przyznać.

Te nowe cechy Graya - dobre serce, troskliwość, współczucie dla zwierząt - całkowicie ją zaskoczyły, choć może stało się tak dlatego, że dotąd znała go tylko z jego najgorszej strony. Dopiero teraz, kiedy znalazł się u siebie i wśród swoich, zaczynała dostrzegać przebłyski jego prawdziwego charakteru, poznawać człowieka, który skrywał się za murem obojętności.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - spytał.

Bonnie ze zgrozą uświadomiła sobie, że znowu się w niego bezwiednie Wpatruje.

- Chyba dlatego, że się trochę zdziwiłam.

- A czymże to takim?

- Bom raczej sobie nie wyobrażała, że ktoś taki jak ty mógłby przygarnąć bezdomnego zwierzaka.

Zesztywniał ledwie zauważalnie, ale Bonnie wiedziała już, co to znaczy: obraziła go, choć nie miała wcale takiego zamiaru.

- Przypuszczam, że twoim zdaniem powinienem użyć Jacka jako przynęty dla rekinów albo w innym równie paskudnym celu?

- Nie o to mi chodziło - tłumaczyła się, ale było już za późno. Twarz Graya znowu zastygła w maskę chłodnej uprzejmości, jakby patrzył na kogoś zupełnie obcego.

- Zostawiłem tam coś dla ciebie. - Ręką wskazał coś obok łóżka.

Wdzięczna za zmianę tematu Bonnie obejrzała się szybko. Na krześle przy łóżku wisiała piękna niebieska suknia dzienna obrzeżona koronką.

Z rozchylonych ust dziewczyny wyrwało się ciche westchnienie zachwytu, w którym tyle było czysto kobiecego uwielbienia dla piękna, że byłaby zdumiona, gdyby mogła się w tej chwili usłyszeć: od tak dawna wypierała się swojej kobiecości, uwięziona w świecie mężczyzn, którzy oczekiwali od niej, by była równie silna jak oni, że siłą rzeczy stawała się coraz twardsza i coraz bardziej szorstka, a ta część jej samej, której próbowała się pozbyć, znikła, krztyna po krztynie.

Bonnie przewiesiła nogi przez krawędź koi i bez jednej myśli o skąpości swego przyodziewku pogładziła materiał sukni: aksamit mięciutki jak kocia sierść.

Przymknęła oczy i próbowała sobie wyobrazić, jak wyglądałaby w takim stroju, przeobrażona nagle z brzydkiej gąsienicy w motyla, i pomyślała, jak też Gray zareagowałby na taką przemianę.

Kiedy rozchyliła powieki, stał już obok niej. Oczy miał pociemniałe i pałające. Nie odrywał od niej spojrzenia.

- Podoba ci się? - spytał niepewnie, ale jakby z nadzieją.

- Jest... - Piękna, wspaniała, nikt nigdy nie podarował jej czegoś równie cudownego! - Jest bardzo ładna.

Wyraz jego twarzy zmienił się natychmiast: stał się jeszcze chłodniejszy, jeszcze bardziej obojętny, tak że Bonnie zaczęła żałować swojej nazbyt powściągliwej odpowiedzi, uporu, który kazał jej przemilczeć to, co czuła.

- Nie musisz jej nosić. Myślałem, że może... - umilkł i uciekł spojrzeniem.

- Z radością ją założę.

Strzelił ku niej oczami. Na ustach igrał mu lekki uśmiech. Ten widok tak ją oczarował, że zapomniała, co chce powiedzieć.

Przypomniała sobie dopiero po chwili.

- Kiedy ją tu zostawiłeś?

- Wczoraj, późno w nocy - wyjaśnił, delikatnie wsuwając jej zabłąkany kosmyk za ucho. Jego palce zabawiły tam o sekundę za długo, po czym zacisnęły się, a dłoń opadła wzdłuż boku. - Nie mogłem zasnąć.

Przestrzeń między nimi zdawała się emanować czystą energią. Nagle jej sny, w których widywała go przy swoim łóżku, tak jak przed chwilą dotykającego jej włosów, przestały się wydawać takie niewiarygodne. Zastanowiła się, czy jego bezsenność wiązała się w jakikolwiek sposób z jej osobą. Może Gray odczuwał taki sam dziwny niepokój, który i jej spędzał sen z oczu?

Niemalże z niechęcią Bonnie cofnęła się o krok. Rozumiała jednak, że powinna trzymać się od niego na dystans.

- Skąd ją wzięłeś?

- Moja kuzynka Jules podróżowała niegdyś ze mną i z moimi braćmi... dopóki się nie zakochała i nie wyszła za mąż. Gdzie nam było do świeżo upieczonego małżonka.

Bonnie sama się zdumiała, że odczuła taką wielką ulgę wobec faktu, że suknia nie należy do którejś z jego kochanek.

- Prorok wspominał, że masz dwóch braci. Gray kiwnął głową.

- Damiena i Nicholasa.

W dziewczynie na nowo odezwała się pałąca ciekawość, pragnienie, by dowiedzieć się czegoś więcej o tym zagadkowym mężczyźnie, dalekim i zimnym w jednej chwili, kochanym i dziwnie delikatnym w następnej.

- A gdzie oni teraz są?

- W domu, w Anglii. - Wykrzywił wargi w parodii uśmiechu. - Zapewne pakują się w kolejne kłopoty.

- Jak ty?

- Obawiam się, że niedokładnie tak samo. Oni raczej trzymają się z dala od ewidentnego mordu i porwania, bo to utrudnia życie towarzyskie. - Chociaż wypowiedział te słowa swobodnym tonem, intuicja podpowiadała jej, że oskarżeń, jakie mu postawiono, wcale lekko nie traktował.

- A dlaczego ty też nie jesteś tam, w Anglii?

- Mając okazję napawać się gościnnością twoich braci i pana kata?

Bonnie zmarszczyła brwi.

- Dlaczego zawsze musisz przeinaczać moje słowa?



Nie patrząc na nią, długimi, smukłymi palcami przegarnął potargane włosy.

- Nadmierna skłonność do cynizmu, jak przypuszczam. Wieczne dopatrywanie się ukrytych podtekstów. Siła przyzwyczajenia. A może żadna z tych trzech rzeczy. Co zaś do powodów, które skłoniły mnie do opuszczenia ojczystej Anglii, to mojej uwagi wymagały pewne sprawy.

Tajemniczy jak zawsze.

- A te „pewne sprawy” mają cośik wspólnego z tamtą mapą? - spytała z naciskiem, mając serdecznie dość zagadek.

Spodziewała się kolejnej zręcznej żonglerki słowami, z której nic by nie wynikało, a nie prawdy, ale czekała ją niespodzianka.

- Owszem... mają - przyznał.

Tym samym jakby dopuścił ją do siebie - w niewielkim stopniu, ale zawsze - pozwolił na ostrożne wejście w głąb jego duszy, choć ufność mogła ulecieć równie szybko, jak się pojawiła.

Z uczuciem, jakby wstępowała na dywan utkany z pierza, pod którym nie ma żadnego oparcia dla stopy, poprosiła nieśmiało:

- Chciałabym, co byś mi opowiedział o tym miejscu, które pochłania twoją uwagę.

- Nie całą - powiedział cicho. - Przynajmniej nie w tej chwili.

Oddech uwiązał Bonnie w krtani, spojrzenie samoistnie powędrowało ku jego ustom.

- Jak myślisz, gdyby wszystko inaczej się między nami ułożyło, gdyby nie stało się to, co się stało, moglibyśmy zostać przyjaciółmi? - spytał jeszcze ciszej.

To pytanie sprawiło, że Bonnie się zachwiała. Przyjaźń z Grayem: co by to oznaczało? Że nie wpatrywałby się łakomie w jej usta tak, jak w tej chwili? Że nie pławiłaby się w żarze, jaki od niego bił, tak jak teraz?

Czy jej ust nie obiegałoby rozkoszne mrowienie, gdyby byli przyjaciółmi? Nie czułaby cudownego dreszczyku, ilekroć te dymne oczy zwracałyby się ku niej?

Drgnęła gwałtownie, gdyż uświadomiła sobie, że niebacznie zapuściła się na sam skraj przepaści - i jak nigdy marzyła o tym, by zamknąć oczy i rozkoszować się poczuciem swobodnego spadania, myślami przenosząc się do świata marzeń, wyobrażając sobie rzeczy, które w prawdziwym świecie zdarzyć się nie mogły.

- Bonnie? - ponaglił łagodnie Gray. - I co mi powiesz?

- Ja... - Przygryzła usta. Czuła się rozdarta, bo miała wrażenie, że powinna odpowiedzieć zupełnie inaczej, niż chciała.

- A gdybym przeprosił? - mówił dalej. - Czy to by cokolwiek zmieniło?

Gdyby przeprosił? Jak to możliwe, by jedno słowo miało taką moc, tak ogromne znaczenie, że Bonnie zaczęła się zastanawiać, jakże inaczej mogłyby się potoczyć losy jej i Graya, gdyby nie zastała go przy ciele Sarah. Co by się stało, gdyby od tamtej chwili upłynęła zaledwie sekunda, a Gray zdążył obejrzeć się przez ramię, nim zadała cios? Co ujrzałyby w jego oczach? To samo, co słyszała w jego głosie? Smutek. Szczerość. Ból.

Gdyby tylko...

Ujął jej twarz w dłonie i uniósł delikatnie. Zmusił, by spojrzała mu w oczy, a zarazem pozwolił jej wejrzeć w swoją duszę, a kiedy to uczyniła, przebiegł ją dreszcz, zobaczyła bowiem coś, czego nie da się zważyć czy zmierzyć, a co podlega jedynie czysto intuicyjnej ocenie. To jak z jedną sekundą, która wyjęta ze strumienia czasu zdolna jest zawrzeć w sobie całą wieczność: tak samo jedno spojrzenie, jeden zwykły gest zdolny jest wyrazić naturę człowieka i stać się jej wyłączną miarą.

- Czy przeprosiny coś by zmieniły, Bonnie?

Czy ona sama mogła pozwolić, by coś zmieniły? Bo wiedziała, że pewne rzeczy nie zmieniają się, czy by tego pragnęła, czy nie. Choć zdawała sobie z tego sprawę, odparła ledwie słyszalnie:

- Tak... zmieniłyby.

Knykciami pogładził ją delikatnie po policzku.

- Przepraszam, Bonnie. - Jego słowa niosły w sobie pieśczętę równie słodką jak dotyk jego dłoni. - Proszę... przebacz mi.

W tej chwili Bonnie była gotowa wybaczyć mu wszystko, lecz nie mogła się do tego przyznać. Przy całej bowiem dziwnej i dotąd obcej jej naturze słabości, jaka ogarniała ją, kiedy Gray był blisko, instynkt samozachowawczy nie pozwalał jej na uczynienie kolejnego kroku, przestąpienie niewidocznej granicy, u której się znalazła. Niebezpiecznej granicy.

Pochylał głowę coraz niżej i niżej, a jej wydało się, że to trwa całą wieczność, zupełnie jakby świat czekał ze wstrzymanym oddechem na chwilę, w której ich wargi się spotkają, i dopiero wtedy wszystko wróci do normy. A może Gray dawał jej w ten sposób

możliwość odepchnięcia go od siebie, odmówienia samej sobie pocałunku, o którym rozmyślała od chwili, w której po raz pierwszy musnął jej usta swoimi.

A potem jego wargi, ciepłe i pełne, stopiły się z jej ustami w potyczce tak czulej, ale i tak żarliwej, że pomyślała, iż żadna chwila w przyszłości ani też żadna miniona niezdolna byłaby zawrzeć w sobie jej uwodzicielskiej siły. Pełen słodczy pocałunek skończył się jednak aż nazbyt szybko.

Bonnie zamrugła spłoszona, Otworzyła szeroko oczy i nakryła usta drżącymi palcami. Gray odsunął się, obserwując ją z niezmiennym nieprzeniknionym wyrazem twarzy, choć tors unosił mu się i opadał w tym samym urywanym tempie, co pierś Bonnie, zdradzając, że nie panował nad sytuacją aż tak bardzo, jak chciał, by w to wierzyła.

- Zjedz dziś ze mną kolację - poprosił.

Kolacja. Przez cały wieczór siedziałyby naprzeciwko niej, tak niebezpiecznie blisko, że zwykły uśmiech przyprawiałby ją niemal o utratę zmysłów. Powinna odmówić, stwierdzić sucho, że pocałunek niczego nie zmienia, że zakłęcie, jakie na nią rzucał, nie powstrzyma jej przed walką, że nie cofnie się przed niczym, póki nie będzie wolna.

Mimo to kiwnęła tylko głową. Wiedziała w głębi kobiecego serca, że nie zdoła mu odmówić.

Gray czaił się przy drzwiach do swojej kajuty; doświadczał zaskakującego poczucia zadowolenia, kiedy obserwował z ukrycia Bonnie bawiącą się w „przeciąganie liny” z Jackiem. Słuchał jej srebrzystego śmiechu: takiego, który wraca do człowieka nawet po latach, odurzającego jak śpiew syren i niebezpiecznego dla niejednego mężczyzny, który zapragnąłby ujrzeć usta zdolne do wydawania tak słodkich dźwięków. Śmiechu, który jednego mężczyznę - a mianowicie Graya - mógł przywieść do zguby, kazał bowiem na próżno szukać czegoś, co umykało mu przez całe życie.

Zapuściłeś się na niebezpieczne wody, Sinclair - odezwał się głos rozsądku, ordynując zmianę tematu rozmyślań i kierując uwagę Graya na zniekształcony przedmiot, którym Bonnie bawiła się z Jackiem; zwycięzca zmagania potrząsał czymś, co wyglądało kropka w kropkę jak jeden z jego długich butów.

Powinno mnie to zirytować, pomyślał. Z jednej strony wizja jego rzeczy używanych w roli zabawek dla psa, z drugiej Bonnie pozbywającej się nadmiaru jego garderoby przez bulaj - stawało się całkiem możliwe, że niebawem nie będzie miał czego włożyć na grzbiet, czego czytać ani w czym spać.

Fakty jednak były takie, że niewiele go to obchodziło. Ochoczo zgodziłby się na przepadek niemalże całego mienia, byle móc cieszyć się chwilą taką jak ta: widokiem opromienionej zachwytem twarzy Bonnie, tego, jak dziewczyna siedzi na podłodze w pozie

powściągliwej na tyle, na ile pozwalała suknia, i Jacka, nieustrudzenie płasającego wokół niej.

Na miły Bóg, ależ cudo było z tej kobiety. Swoją drogą Wszechmogący spletał mu piekielnie okrutnego figła, umieszczając na jego życiowej drodze tę prawdziwą perłę w postaci nieznośnej dziewczyny, która nie zdawała sobie sprawy z własnej urody, podczas gdy on nie umiał pozostać na nią obojętny. Piękne ciało tej kobiety kusilo go każdego dnia bardziej, tak że musiał trzymać się od niej z dala, bo inaczej przegrałby cichą wojnę, jaką ze sobą toczył, i porwał ją w ramiona.

Tylko co w takim razie tutaj robił? Skąd poryw szaleństwa, który skłonił go do zaproszenia Bonnie na wspólną kolację, skoro tak konsekwentnie unikał wszelkich z nią poufałości? Chodził z oczami wbitymi w pokład, byle nie ryzykować, że zobaczy ją przypadkiem w swojej własnej koszuli - tej samej, którą miała na sobie dzisiejszego ranka i w której wyglądała tak, że krew zawrzała mu w żyłach - i serce mu pęknie z zachwyty. Na nim ta koszula nigdy nie prezentowała się tak dobrze.

Być może, rozmyślał Gray, że przypadkowo trafiła na skuteczniejszą metodę zemsty, wpadła na to, jak zadać mu cios poniżej pasa - dosłownie. Nie przypuszczał, by etap knucia przeciwko niemu zostawiła już za sobą. Zapał, jaki wkładała w to, by się od niego uwolnić, działał na jego rozgorączkowany mózg jak kubek zimnej wody.

Niemniej podstawowe pytanie pozostawało bez odpowiedzi...  
Dlaczego wciąż tu był?

Dlatego, odzywał się w nim cichy głos, że odczuwał piekielną potrzebę zwierzenia się ze swojego sekretu.

Przez cały dzień usiłował sobie przetłumaczyć, że nie tyle wywnętrzałyby się dziewczynie, co raczej łaskawie oświecał ją w kwestii tego, ile czasu przyjdzie jej spędzić w roli zakładniczki. Mimo to ani przez chwilę nie opuszczało go piekielnie irytujące wrażenie, że całe jego rozumowanie jest śmiechu warte.

Zdradziło go radosne poszczekiwanie psiaka. W gruncie rzeczy to właściwie się ucieszył, że jego obecność została dostrzeżona, bo dzięki temu mógł przestać myśleć o Bonnie. Ukląkł na ziemi i poklepał Jacka po łebku.

- Witaj, Kłopotcie.

Bonnie znieruchomiała, słysząc jego głos, nagle czujna i niespokojna. Czekwała na ten moment od samego rana, i to z coraz większą niecierpliwością. W ciągu tych niekończących się godzin zdawało się jej, że czas odmierzany cichym tykaniem zegara stanął w miejscu.

Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić, i podniosła się z podłogi, zadowolona, że suknia jest dość długa, by ukryć nogi, które gięły się pod nią, jakby były z waty. Zajęła się poprawianiem dołu sukni, pozornie obojętna i odprężona, a w duchu przygotowywała się na to, jak Gray zareaguje na zmianę jej wyglądu.

Zanim się pojawił, prawie całą godzinę szcztokowała włosy; potrzebowała czegoś, co uspokoiłoby tak nietypowe dla jej palców drżenie. Teraz gęste, ciężkie loki kołysały się wdzięcznie przy każdym jej ruchu, jakby na nowo wstąpiło w nie życie. Całą tę burzę

włosów zebrała w gruby kucyk, obwiązany kilkoma pasmami, potem zaplotła w misterny warkocz, zostawiając kilka kosmyków wokół twarzy. W tej fryzurze czuła się zaskakująco wyzwolona - i niebywale kobieca.

Wiedziała, że nie może dłużej odwlekać tej chwili. Nakazała sobie spokój i zwróciła twarzą w kierunku Graya. Ale jakkolwiek długo by się przygotowywała, i tak nie zdołałaby uodpornić się na jego widok, jego urzekającą, męską urodę. Był piękny jak młody bóg, ciałem godnym olimpijskiego tytana zdawał się wypełniać framugę, połyskliwe, czarne jak heban włosy miał związane w prosty kucyk, podkreślający wyraźnie zarysowaną szczękę i wydatne, jak gdyby wyszły spod ręki rzeźbiarza, kości policzkowe.

Światło z najbliższego kinkietu wyczarowało na jego włosach płomiennozłote refleksy. Był w śnieżnobiałej koszuli i dopasowanych jasnobrązowych spodniach, które podkreślały jeszcze jego atletyczną sylwetkę.

- Witaj - odezwał się; jego głos był jak chłodna bryza w parną, gorącą noc.

-Witaj.

- To dla ciebie. - Wyciągnął rękę, a Bonnie krzyknęła z zachwytem na widok olbrzymiej spiralnej muszli, świetlistej i mieniącej się wszystkimi kolorami tęczy. - Wiem, że większość kawalerów przyniosłaby raczej kwiaty albo słodycze, ale...

- Jest przepiękna. - Delikatnie wzięła konchę z jego dłoni. Kiedy znowu podniosła oczy, baczne spojrzenie jego stalowych oczu zahipnotyzowało ją, ciepły, bogaty zapach jego ciała oszołomił.



Posłał jej niepewny, chłopięcy uśmiech.

- Podobno jeśli zadać pytanie i unieść muszkę do ucha, słyszy się odpowiedź.

Usiłowała się nie uśmiechnąć na to niedorzeczne stwierdzenie.

- W życiu żem czegoś takiego nie słyszała.

- Czekaj... pokażę ci. - Oburącz uniósł jej dłonie, tak że muszka znalazła się tuż przy jego ustach, i wyszeptał coś, ale nie dosłyszała, co takiego, choć nastawiała uszu. Potem przechylił głowę i przycisnął ucho do otworu w konsze. Po chwili pokiwał głową.

- No... o co żeś zapytał? - ponagliła Bonnie, bo nie odezwał się słowem; starał się przy tym ignorować mrowienie na swoich dłoniach w miejscu, gdzie czuła dotyk jego palców.

Płonące oczy barwy ołowiu zawisły na jej twarzy. Gray wyprostował się powoli.

- Spytałem, czy wierzysz w to, że przenigdy bym ciebie nie skrzywdził.

Wzruszenie chwyciło ją za serce, bo jego słowa były pełne szczerości i słodczy, a na jego twarzy malował się wyraz wyczekiwania. Pragnienie, by zapewnić, że w to wierzy, że po prostu wie, że nie zrobiłby jej krzywdy, przynajmniej świadomie, omal nie przeważało nad jej obawami.

Ale takie wyznanie mogłoby zbyt wiele zdradzić, dotknąć spraw, których lepiej głośno nie nazywać, szczególnie w zamkniętej sytuacji, w jaką oboje zabrnęli. Zatem zamknęła prawdę w sobie.

- Co ci odpowiedziała? - spytała cicho.

Gray wyjął jej muszlę z rąk i położył ją na krześle. Potem oplótł dziewczynę ramieniem w tali i przygarnął do siebie.

- Odpowiedziała, że przy odrobinie łagodnej perswazji wszystko jest możliwe. - Ściszym głosem zapytał: - Dasz mi szansę, abym cię przekonał, Bonnie? - Zawisł spojrzeniem na jej ustach, a Bonnie pomyślała sennie, jak cudowną metodę perswazji to zapowiadało.

Za ich plecami rozległo się donośne chrząknięcie. Bonnie w jednej chwili otrząsnęła się z oszołomienia, w jakie wprawiły ją słowa Graya, wyrwała się z osnutego mgłą świątka, w którym zamknął ich oboje, i odskoczyła od niego zawstydzona, z pałającymi policzkami.

Z groźnym pomrukiem Gray odwrócił się na pięcie, by stwierdzić, że na schodkach kręci się okrętowy kucharz, czerwony z zakłopotania, piastując w rękach dużą tacę z jedzeniem, a między jego nogami płacze się zachwycony Jack. Pojawienie się kuka podziałało na Graya jak kubeł lodowatej wody.

- Czego chcesz? - warknął. Kucharz uniósł tacę.

- Przyniosłem kolację, panie kapitanie.

Gray może i roześmiałyby się na myśl, że to nie pierwsza taca z jedzeniem, która stanęła między nim a Bonnie, gdyby nie fakt, że coś zawsze wydawało się stać im na drodze.

Mruknął coś z irytacją, wyrwał kucharzowi tacę i odprawił go z kwitkiem. Natomiast Jacka trudniej było nakłonić do zmiany lokalu; udało się to dopiero wówczas, gdy Gray odciął ze swojej porcji gruby płat mięsa i położył go za drzwiami kajuty. Nic jednak nie mogło przywrócić atmosfery sprzed chwili, czego dowodził chociażby fakt,

że Bonnie stała teraz w pół drogi do przeciwległego kąta kajuty i przyglądała mu się bacznie.

Gray zaklął w duchu. Tak mało brakowało! Tak malusieńko, psiakrew! Niemal czuł smak jej ust i apetyt, owszem, miał, ale nie na jedzenie. W takim razie najlepiej od razu przejść do rzeczy.

Postawił tacę na małym okrągłym stole w rogu pomieszczenia, po czym odsunął krzesło dla Bonnie i czekał, aż dziewczyna usiądzie; w nagrodę dane mu było przelotnie cieszyć się widokiem długiej, smukłej szyi, tak apetycznej, że z najwyższym trudem oparł się pokusie muśnięcia jej wargami.

Ustawił przed dziewczyną parujący talerz. Co na nim było? Nie wiedział ani o to nie dbał. Powietrze zdawało się iskrzyć, tak namacalna była atmosfera wyczekiwania. Czy to on sam na coś czekał, czy też raczej czekała Bonnie - na to pytanie także nie potrafił sobie odpowiedzieć.

- Pamiętasz tamtą starą mapę? - spytał, siadając do stołu. Nie był w nastroju do szczególnego przejmowania się ceregielami, toteż bez dalszych wstępów otworzył butelkę wina i nappełnił dwa kieliszki. - Wiesz, tę, którą chciałaś wyrzucić za burtę?

Spojrzała na niego szybko, jakby zdumiało ją to pytanie.

- Pamiętam. Trasa do zaginionej wyspy, tak żeś chyba mówił. A kiedym cię spytała, czy tam płyniemy, zacząłeś się zachowywać tak, jakbym cię poprosiła, cobyś wyjawiał mi swoją najmroczniejszą tajemnicę.

Mroczna tajemnica. Gdyby Bonnie ją poznała... Jakiego wówczas byłaby o nim zdania? Gdyby odkryła, że był poczętą z nieprawego łoża, żywą pamiątką cudzołóstwa matki.

- Nie tę najmroczniejszą, to jest pewne - powiedział z goryczą. - O niej lepiej nie mówić. Zanudziłbym cię na śmierć.

- Skąd ta pewność? - Ta uwaga była zupełnie nieoczekiwana i zaskakująca, podobnie jak wyraz powagi, malujący się w oczach dziewczyny.

I w chwili zamroczenia, dziwnego obłędu, Gray chciał się jej zwierzyć. Zrobiło mu się czarno przed oczami, świat jawił się jako ziejąca pustka rozwarta w zaproszeniu do wyznań, czekająca, by wyrzucił z siebie wszystkie brudy prosto w piękną twarz dziewczyny i patrzył, jak blednie, a wyraz jej oczu się zmienia.

Jednak w następnej chwili odegnał tę myśl, kazał ucichnąć ledwie zauważalnemu drzeniu, które ogarniało go, ilekroć dochodziły do głosu demony przeszłości.

- Podejrzewam, że o wiele bardziej zainteresuje cię to, dokąd zmierzamy, nieprawdaż? - Błysk zainteresowania w oczach dziewczyny zdradził Grayowi, że obmierzłe, wstydlive tajemnice z jego życia przestały ją nagle tak dalece frapować. - Słyszałaś kiedyś o Azorach?

Pokręciła głową.

Poniewczasie uprzytomnił sobie, że Bonnie najprawdopodobniej niewiele wiedziała o świecie. Znała tylko mały wycinek Szkocji. W pewnym sensie nawet jej tego zazdrościł. Sam zdążył aż nadto

napatrzeć się na ciemną stronę życia podczas swoich rozlicznych podróży - na nędzę, bezdomność, bezbrzeżne okrucieństwo.

Chryste, zaczynał mieć serdecznie dosyć samego siebie i dziwnie ckliwego toru, jakim pobiegły jego myśli.

Sięgnął ręką za siebie i złapał mapę rejonu północnoatlantyckiego. Rozpłaszczył ją na stoliku między nakryciami.

- Azory to archipelag, grupa wysp jakieś tysiąc pięćset kilometrów na zachód od Półwyspu Iberyjskiego, z grubsza między równoleżnikami na trzydziestym siódmym a trzydziestym dziewiątym stopniu północnej szerokości geograficznej. O tu. - Stuknął palcem w mapę. - Te wyspy powstały na skutek serii erupcji wulkanów, niektóre są czynne po dziś dzień.

Umilkł na chwilę, po czym mówił dalej:

- Można przyjąć, że archipelag został odkryty na początku czternastego wieku, choć zachowały się pisma, które sugerują, że badacze wiedzieli o Azorach tysiące lat wcześniej, może już nawet Fenicjanie w dziewięćdziesiątym piątym roku przed Chrystusem. Nawigatorzy początkowo dopatrzyli się tylko siedmiu wysp i dopiero jakieś trzydzieści lat później natknięto się na dwie kolejne.

Zaczerpnął powietrza i kontynuował:

-Jednak te ziemie nie zostały bliżej zbadane, dopóki u schyłku wieku nie zawitał tam Krzysztof Kolumb. Nie stanowiło to celu jego wyprawy. Jego karawela natknęła się na gwałtowny sztorm, kiedy zbliżała się do niezbadanych i zdradliwych wód w pobliżu Azorów, rozległego, niegościnnego rejonu zwanego przez miejscowych „misterios”, czyli „tajemnicami”.

- Zacumował u brzegu największej wyspy, znanej dziś jako Santa Maria, ale wszystkie źródła podają, że jego stopa nie postąpiła na suchym lądzie, bo był przekonany, że zostałby uwięziony i odwieziony statkiem do Portugalii, a tam sądzony za zdradzieckie oddanie swoich usług koronie hiszpańskiej.

- Według najbardziej rozpowszechnionej wersji, jaka podówczas krążyła, wyprawa Kolumba miała służyć odkryciu, czy ziemia jest płaska, czy też okrągła, ale prawda jest taka, że wtedy większość już wiedziała, jak się rzeczy mają. Kolumb wypłynął w rejs, żeby szukać nowych ziem... i przy odrobinie szczęścia powrócić ze złotem i drogocennymi klejnotami wartymi fortunę. Niektórzy spekulują wręcz, że wizja zdobycia bogactwa była prawdziwym motywem podjęcia podróży. Bądź co bądź Kolumb musiał okazać wdzięczność swoim dobroczyńcom, i to nie było jakim, chociażby królowej Hiszpanii, która miała ówczesne znaczne wpływy. A ostatnią rzeczą, na jakiej zależałoby rządowi, który wydał krocie na umożliwienie jego wyprawy, był poleć kamienistej ziemi.

Gray sięgnął ręką za swoją koszulę i wyjął znany już Bon-nie, zwinięty w rulon pergamin. Rozłożył mapę, przykrył nią tę leżącą na stoliku i wygładził ręką.

- Ta mapa to klucz do moich poszukiwań. Wątpię, żeby to był oryginał, raczej bardzo dokładna kopia. Oznaczenia, jakie na niej figurują, wydają się dość podobne do tych, jakie stosowali kartografowie w tamtych czasach, kiedy szerokość geograficzną potrafiono już określić w miarę dokładnie, natomiast długość geograficzna wciąż jeszcze stanowiła zagadkę. Nanosząc kurs na

mapy, kapitanowie zliczali pozycję z uwzględnieniem wpływu wiatru, a więc orientacyjnie, żeby nie powiedzieć z sufitu.

Bonnie otworzyła szeroko oczy, zdumiona.

- To ty chcesz powiedzieć, że ta mapa ma prawie czterysta lat?

- Jak już mówiłem, sama mapa może być kopią. Niezależnie od tego, wierzę, że to dość dokładne odwzorowanie, przynajmniej taką mam nadzieję. - Zsunął nieco poźółkły pergamin tak, by część nowej mapy stała się widoczna, i spytał: - Widzisz jakiegokolwiek różnice między moją mapą a tą drugą? - Wskazał na mapę rejonu północnoatlantyckiego.

Bonnie odsunęła nieuważnie talerz z nietkniętym jedzeniem i przyjrzała się mapom. Ta stara wyglądała na odrobinę mniej precyzyjną, brakowało też wszystkich tych krzyżujących się linii, które zaznaczono na nowszej, ale oprócz tego wszystko wydawało się podobne. Chyba że... Podniosła na Graya wzrok i zmarszczyła brwi.

- Tutaj, między tymi dwoma miejscami zaznaczonymi na czarno...

-Tak?

- No... przed chwilą żeś mówił, że jest dziewięć wysp, a na twojej mapie doliczyłam się dziesięciu.

- Otóż to. - Uśmiechnął się i przyciągnął bliżej swoje krzesło, rysując podłogę. - Sprawdzałem chyba na stu mapach, bo byłem pewny, że to jakaś pomyłka. Ta mała wyspa nie figuruje na żadnej mapie... oprócz mojej. - Urwał na chwilę, po czym stwierdził cicho: - Wierzę, że dziesiąta wyspa istnieje. - Zerknął na Bonnie, badając jej twarz. - I tam właśnie płyniemy.

- Ale sam żeś mówił, że wody w tych rejonach są zdradliwe.

- Może dla niektórych, ale mnie mówiono, że przeprowadziłbym statek nawet przez ucho igielne. Nie masz się o co martwić.

Jego słowa powinny dodać jej otuchy, tak się jednak nie stało. Ilekroć spojrzała tylko na obszar zaznaczony na mapie na czarno, przebiegał ją dreszcz, ścisnęło się jej w żołądku, ogarniały ją złe przeczucia, których nie umiała w sobie uciszyć.

- To zbyt niebezpieczne - odezwała się zdławionym głosem. Gray albo nie dosłyszał, albo wołał udać, że tych słów nie słyszy.

- Właśnie tu się kierowałem, zanim mój statek natrafił na szkwiał i został tak poważnie uszkodzony, że musiałem opuścić kotwicę w małej zatoczce u wybrzeża Szkocji... gdzie niebawem znalazłem się w roli oskarżonego o morderstwo.

Na te słowa Bonnie natychmiast spoważniała. Jej myśli oderwały się od mapy i pobiegly ku wciąż nierozwikłanej sprawie morderstwa.

- To dlatego żeś się pojawił w naszym miasteczku? Kiwnął głową.

- A w tawernie...?

- Pomysł Proroka. Dla zabicia czasu. - Usta Graya ułożyły się w pełnym goryczy uśmiechu. - Choć może powinienem poszukać zręczniejszego słowa niż „zabicie”.

Te wyjaśnienia nie tylko wydawały się zupełnie sensowne, ale też odpowiadały na wiele dręczących Bonnie pytań. Mimo to nadal czegoś nie rozumiała.



- Dlaczego żeś nawet o tym wszystkim nie wspomniał podczas procesu?

- Jak tylko otwierałem usta, twój brat wpadał mi w słowo.

Bonnie dobrze pamiętała tamten straszny dzień. Aidan praktycznie nie dał Grayowi szansy na wypowiedzenie się w swojej obronie i po części właśnie ten fakt doprowadził do spięcia między nią a bratem. To oraz wątpliwe oświadczenia kuzyna Ewana, Seana.

- Ale i tak nie sądzę, że opowiedziałbym o czymkolwiek twojemu bratu - dodał szczerze Gray. - Nie chciałem w to mieszać mojej załogi. Zbiorowy lincz, tylko tego mi jeszcze brakowało.

- Nigdy by do czegoś podobnego nie doszło - zaprotestowała Bonnie, odruchowo stając w obronie klanu. Jednak, gdyby tylko zdobyła się na całą szczerłość, musiałaby przyznać, że Grayowa ocena sytuacji była prawdopodobnie o wiele trafniejsza niż jej własna. W oczach współplemieńców widziała wtedy żądzę krwi, wyczuwała namacalne niemal napięcie, które łatwo mogło znaleźć ujście w przemocy.

Gray uniósł lekko brew. Minę miał sceptyczną.

- O ile pamiętasz, twój klan nie wydawał się skłonny uwierzyć choćby w jedno moje słowo. Moim zdaniem najchętniej powiesiliby mnie na pierwszej gałęzi.

Bonnie nie zdobyła się na dalsze komentarze odnośnie do śmierci Sarah; tamtego dnia sytuacja całkowicie wyrwała się spod kontroli.

Wpatrując się z zamyśleniem w swój kieliszek, rozpamiętywała tamte straszne chwile w sali rady, dopóki lekkie dotknięcie dłoni Graya nie kazało jej powrócić do teraźniejszości.

Trącił jej kieliszek swoim.

- Pijmy. - Następnie sam poszedł za swoją radą i pociągnął duży łyk.

Bonnie zawahała się, po czym ostrożnie skosztowała trunku, potem wzięła następny łyżeczek, przymknęła oczy i rozkoszowała się jego aksamitnym smakiem. Na chwilę zapomniała o morderstwie, o tym, że została porwana, że czekał ją ślub z człowiekiem, którego nie kochała, i pozwoliła, by mocne wino rozgrzało jej serce.

Kiedy otworzyła oczy, Gray siedział odchyłony w krześle tak, że jego twarz niknęła w półcieniu, a słaby blask samotnego ogarka świecy na środku stolika nadawał jej uroczysty wyraz.

- To czego tak naprawdę szukasz? - spytała, ledwie słysząc swój głos, w uszach bowiem miała osobliwie głośnie bicie własnego serca.

- A dlaczego myślisz, że czegoś szukam? - Wypowiedział te słowa swobodnie, ale jego spokój wydawał się wymuszony. -Może po prostu chcę ustalić, czy ta wyspa naprawdę istnieje.

Bonnie nie uwierzyła temu wyjaśnieniu. Dostrzegła dziwne iskierki w oczach Graya, nim zdążył odsunąć się od światła. Ponadto nieprzenikniony wyraz jego twarzy dowodził tego, że coś przed nią ukrywał.

- Czy twoja podróż ma coś wspólnego ze „świętym sercem” ?

Czarna brew Graya uniosła się nieznacznie.

- Widzę, że pamiętasz.

- Ja mało co zapominam.

- To zupełnie jak ja. - W jego głosie pojawiła się nutka, która sprawiła, że Bonnie oblała się gorącem, bo brzmiało to tak, jakby chciał powiedzieć, że pamięta każdy dotyk, każdy pocałunek, jaki dotąd wymienili. - I owszem, nie mylisz się. Chodzi o „o coracao sagrado”.

- A co to właściwie jest to „święte serce”?

Zakolebał kieliszkiem, po czym uniósł go na wysokość oczu, patrząc, jak ognik świecy rozświetla złocisty trunek.

- Jeśli ta historia nie jest wyssana z palca, byłby to wyjątkowej urody klejnot, jedyny w swoim rodzaju kamień szlachetny, jak twierdzą niektórzy, bezcenny. - Zogniskował spojrzenie na twarzy Bonnie. - Jedyny czerwony brylant na świecie, o jakim wiemy. Stąd jego nazwa.

Wprawdzie Bonnie niewiele wiedziała o drogocennych kamieniach, ale istnienie takiego skarbu wydało się jej nieprawdopodobne. Niemniej sama myśl o bezcennym czerwonym brylancie natychmiast ją oczarowała.

- A dlaczego uważasz, że nikt go jeszcze nie znalazł, choć minęło tyle czasu?

- Czy ja wiem... Muszę w to wierzyć, bo inaczej... - urwał nagle i zacisnął palce na nóżce kieliszka.

- Tak...? - spytała cicho.

Kąciki ust rozciągnęły mu się w autoironicznym uśmiešku.

- Bo spójrz tylko, na jakiego wyszedłbym głupca, prawda?

Bonnie zmarszczyła brwi.

- Niby czemu?

- Dlatego, że jedynie głupiec uwierzyłby, że taki kamień nie tylko istnieje, ale też nie został odnaleziony przez tyle lat.

- A jeśli on dalej tam jest? Gdyby nigdy nie znalazł się ktoś odważny, żeby spróbować czegoś nowego, innego, gdyby na świecie nie było nawet jednego marzyciela, jacy bylibyśmy dzisiaj, jak wyglądałby świat?

- Marzyciele - rzucił Gray głucho, cierpkim głosem. - Tacy jak mój ojciec z jego mrzonkami. Do dnia swojej śmierci wierzył w to, że kamień wciąż czeka na swojego znalazcę. - Skrzywił się lekko. - Ale stało się, jak się stało, i już nigdy nie będzie wiedział, czy miał rację. - Jednym haustem opróżnił swój kieliszek

- Będzie wiedział - zapewniła cicho Bonnie.

Gray rzucił jej spojrzenie z ukosa, ale się nie odezwał.

- Czyli ta mapa należała najpierw do twojego ojca? Gray przytaknął skinieniem głowy.

- Podarował mi ją na łożu śmierci... razem z tym pierścieniem. - Zapatrzył się w masywny, złoty pierścień, po czym zsunął go z palca i położył go na ręce dziewczyny.

Kiedy klejnot spoczął na jej dłoni, Bonnie poczuła w palcach dziwne mrowienie: pierścień był ciepły, jakby zapamiętał temperaturę Grayowego ciała. Bonnie uniosła go nieznacznie, by lepiej przyjrzeć się misternym insygniom wyrytym przez utalentowanego złotnika.

- Co to za znak?

- Królewska pieczęć Ferdynanda II, króla Hiszpanii. Mój ojciec utrzymywał, że pierścień ten znalazł się na prawicy króla tylko jeden

jedyny raz. Był to prezent od jego żony Izabeli. Ale później udało mi się ustalić, że kilku wiernych wasali otrzymało repliki. Mój ojciec wierzył, że ten pierścień dowodzi autentyczności mapy.

Bonnie ta odpowiedź wydała się podejrzenie wymijająca.

- A ty? Czy ty też w to wierzysz? Gray wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

Przez chwilę obserwowała go uważnie.

- Nie sądzę, cobyś przemierzył taki szmat drogi, gdyby ani trochę ci nie zależało na tym, co możesz znaleźć. - Zawahała się, po czym spytała jeszcze ciszej: - Robisz to dla siebie... czy dla twojego ojca?

Znieruchomiał na moment i pomyślała, że przypadkiem trafiła na jego czuły punkt.

- Może po trosze i jedno, i drugie - przyznał w końcu. - Ojciec latami marzył o tym, by urzeczywistnić swoje marzenie, wypłynąć hen, daleko, gdzie nie ma już wszystkich tych ograniczeń wynikających z posiadania tytułu, gdzie nie ma obowiązków... żony...

Bonnie zauważyła, że kiedy wypowiadał to ostatnie słowo, usta mu się nieznacznie skrzywiły, i przypomniała się jej rozmowa z Prorokiem, wzmianki o tym, jaką nieczułą matkę miał Gray i jego bracia. Pragnęła zapytać o nią Graya, ale uznała, że to nie jest odpowiednia chwila na podpytywanie go o taką delikatną sprawę.

- I co się potem stało?

- Nigdy nie zdołał spełnić tego marzenia. Ani tego, ani żadnego innego, ściślej biorąc. Zbyt wiele spraw wymagało jego uwagi. Tak

sobie myślę... - zawiesił głos. - Tak sobie myślę, że on chciałby, żebym dokończył to, co on zaczął.

- I właśnie to próbujesz teraz zrobić?

Gray nerwowo przegarnął palcami włosy.

- Właściwie to sam nie wiem, co takiego robię. Ciągle mam nadzieję, że kiedyś to zrozumiem, ale jeszcze mi się ta sztuka nie udała.

- A ja myślę, że już wiesz swoje, bo inaczej by cię tu nie było. Tylko chyba trochę się boisz, tak mi się przynajmniej zdaje.

Twarz mu się nachmurzyła i zastygła w posepnym grymasie.

- To by sugerowało, że jestem tchórzem, a ja, do jasnej cholery, żadnym tchórzem nie jestem.

Temat rzekomego tchórzostwa Graya wracał jak bumerang. Jakże gorąco Bonnie żałowała, że w ogóle wypowiedziała słowo „tchórz”.

- Bać się to nie to samo, co być tchórzem. Tchórz nigdy nie postawiłby się moim braciom, nie stawiał czoła tłumowi gniewnych ludzi, nie zostałby w więzieniu, choć mógłby swobodnie uciec, i to pomimo tego, że groził mu stryczek. Moim zdaniem ten opis nie pasuje do tchórza. - Wydawało się, że jej słowa działają na niego jak balsam; z twarzy Graya zniknął wyraz urazy i, tak, bólu.

Swobodnie zmienił temat:

- A ty? Czego ty się obawiasz, Bonnie... a może ciebie nic nie przeraża?

- Och, ja też wiem, co to strach. I to dobrze. Czasem jest taki silny, że niemal mnie paraliżuje, ale walczę z nim, bo gdybym przestała, całkowicie by mną zawładnął.

- Mnie też się boisz?

- Nie - odpowiedziała cicho, ale z przekonaniem.

Zrobił coś, czego zupełnie się nie spodziewała: raptem pochylił się w jej stronę i pocałował w usta; mocno, lecz aż nazbyt krótko. Potem się wyprostował. Wszystko to stało się tak nagle, że nikt by nie uwierzył, że kiedykolwiek jej dotknął, zupełnie jakby ich wargi nie spotkały się, jakby nie zaiskrzyło między nimi.

Gray wziął ze stołu bułkę.

- Chciałabyś teraz usłyszeć dalszą część tej historii?

- A to nie wszystko?

Uśmiechnął się, rozbawiony niedowierzaniem w jej głosie.

- Nie, nie wszystko. Dalszy ciąg jest chyba jeszcze bardziej fantastyczny niż wszystko co, co dotychczas usłyszałaś.

Bonnie nie mogła uwierzyć, by cokolwiek mogło przebić opowieść o „świętym sercu”.

- A co u nieba może być bardziej fantastyczne od opowieści o zaginionej wyspie i jedynym czerwonym brylancie na świecie?

- Może ta część legendy, która głosi, że owa wyspa stanowi wrota do innej krainy, takiej, która w całości mieści się pod wodą, do cywilizacji, która setki tysięcy lat temu na zawsze pograżyła się w Atlantyku.

Bonnie wpatrywała się w Graya, jakby zaczął znienacka mówić tajemnym, starożytnym językiem, nie słyszonym od czasów, kiedy ukrzyżowano Chrystusa.

- Niektórzy filozofowie utrzymują, że ląd, którego nie zalały wody, podzielił się na kontynenty z czasem skolonizowane przez ludzi. Tak miałyby na przykład powstać Anglia i Ameryka. Ląd, który znalazł się pod wodą, Platon określił mianem... Atlantydy. Ósmego kontynentu. - Gray sięgnął po jedną z książek ustawionych na półce; grzbiet miała wyblakły ze starości i od ciągłego czytania, znalazł pewną stronę i zaczął czytać: - „Naprzeciw przesmyków, które zwiecie[...] Słupami Heraklesa, leży wyspa większa niż Libia i Azja razem wzięte. Z wyspy tej podróźni mogli w onych czasach dotrzeć do innych wysp, z nich zaś do całego kontynentu po drugiej stronie, kontynentu, który otacza coś, co prawdziwie określić można jeno mianem oceanu. Wody bowiem między przesmykami, o których tu mowa, to w istocie zatoka o wąskiej gardzieli; ocean zaś po drugiej stronie prawdziwym jest oceanem, a ziemia, którą ze wszech stron otacza, słusznie nosi miano kontynentu. Na owej wyspie Atlantyda zwanej do władzy doszła dynastia królów potężnych i przez poddanych swoich poważanych... ”\*

- Zamknął księgę i zamyślony zapatrzył się w jej okładkę.

*\*Tekst zbliżony nieco do fragmentu „Timajos” Platona (przyp. tłum.).*

Kraina pod powierzchnią morza, zupełnie inny świat skryty pod falami. Myśl tak fantastyczna, że niemal nie do ogarnięcia umysłem.

- Toż to niemożliwość, coby taka kraina naprawdę istniała.



- A kimże ja jestem, by rozstrzygać, co istnieje, a co nie... czy raczej co było, a czego już nie ma? To, czy ta zaginiona wyspa stanowi przejście do innego świata, mnie nie interesuje. Moim celem jest odnalezienie klejnotu.

Bonnie podniosła się z krzesła i podeszła do bulaja. Zafascynowana mrocznym pięknem oceanu, rozmyślała nad tajemnicami, jakie mogła kryć jego połyskliwa tafla.

- Atlantyda.

- Wiem, że dość trudno to sobie wyobrazić... tym bardziej że mój ojciec wygrał tę osławioną mapę w karty, a w jego przypadku wygrana sama w sobie stanowiła kuriozum, wobec którego zaginione wyspy i bezcenne czerwone brylanty przestają się wydawać czymś osobliwym, zapewniam cię.

Bonnie doznała niezbyt przyjemnego skojarzenia.

- W karty?

- Niewiarygodne, ale prawdziwe. To wręcz zadziwiające, jak wiele rzeczy zyskano i stracono z powodu jednej rozgrywki.

Bonnie wiedziała o tym aż za dobrze.

- Można się na przykład dowiedzieć, że jest się po słowie - zachnęła się i zrobiła wielkie oczy, bo uświadomiła sobie, że pomyślała głośno.

Gray spojrział na nią z zainteresowaniem.

- Wychodzisz za męża, bo komuś karta nie podeszła? Bonnie skrzywiła się z irytacją. Nie przypadła jej do gustu rozbawiona mina Graya.

- Zapomnij, zem się w ogóle odzywała.

- Zapomnieć? Miałbym puścić w niepamięć takie intrygujące wyznanie?

- Ale nic więcej ze mnie nie wyciśniesz, więc lepiej się postaraj!

- zaperzyła się, choć wiedziała, że jej upór może się wydać śmieszny, ale guzik ją to obchodziło. A niech Graya lichy porwie razem z tym jego znakomitym słuchem!

- No, no, nie odymaj usteczek, dziewczyno. Nie zyskasz dzięki temu więcej czasu, jeśli taka myśl krąży ci po głowie. Będę cię najzwyczajniej nękał dopóty, dopóki wszystkiego mi nie wyśpiewasz. Zatem do dzieła. Skręcam się z ciekawości.

Bonnie popiorunowała go wzrokiem jeszcze chwilę, choć pogodziła się już z myślą, że Gray nie ustąpi. Mina Graya niezbitnie dowodziła tego, że zamierzał dowiedzieć się całej prawdy, a zapowiedź nękania jej po wsze czasy nie była pustą groźbą.

Poddała się z ciężkim westchnieniem.

- Będzie ze trzydzieści lat temu, jak doszło do utarczki między moją rodziną a klanem Ewana. Jego dziadek twierdził, że mój dziadek oszukiwał podczas gry w karty, a gdybyś tylko mojego dziadka znał, wiedziałbyś, że to po prostu śmieszne. To był jeden z najpocziwszych ludzi na tym świecie.

Gray rzucił jej sceptyczne spojrzenie.

- Wystarczająco pocziwy, żeby przegrać cię w karty?

- Nie przegrał mnie w karty! - odpaliła gniewnie, chociaż przy niejednej okazji sama to powtarzała.

- Ile byłaś warta jako oblubienica? Może tyle co strit z asem? A może zwykła para czwórek?

Bonnie zmroziła go wzrokiem i skrzyżowała ręce na piersi, wściekła.

- Idź do diabła!

- Ależ, kochanie, złość piękności szkodzi... Wprawdzie ręka Bonnie świerzbiała, żeby zetrzeć Grayowi z twarzy ten rozbawiony uśmiezek, niemniej musiała przyznać, że czuły zwrot, jakim się posłużył, sprawił jej przyjemność.

- Taak, czy coś jeszcze zostało... ehem... utracone w tej partyjce?

Bonnie zawahała się, niepewna, czy udzielając odpowiedzi, nie włoży Grayowi w ręce kolejnej informacji, którą mógłby wykorzystać, by jej dokuczyć. Z drugiej strony, jaki byłby sens w tajeniu reszty, skoro Gray poznał już najgorsze, czyli jej rolę w tej sprawie.

- W ostatnim rozdaniu Geordie Cameron, dziadek Ewana, postawił duży polec ziemi. Był pewny, że wygra.

- Zakładam, że tak się nie stało.

Bonnie pokręciła głową z uroczystą powagą.

- Ano, a przegrana była dla niego tym dotkliwsza, że szło o ziemię, na których leżały wszystkie źródła wody w promieniu wielu mil.

- Rozumiem - rzucił cicho Gray i spoważniał.

- Mojemu dziadkowi zależało na tym, coby właśnie między naszymi klanami wreszcie ustały. Chciał przed swoją śmiercią zyskać pewność, że pokój zostanie zawarty. Uzgodniono więc, że poślubię Ewana. - Zanim Gray zdążył wtrącić jakąś kaśliwą uwagę, dodała

pośpiesznie: - Oczywiście będę się starała, coby ten układ wyszedł wszystkim na dobre. Tak samo zachowałby się każdy MacTavish.

Gray obserwował ją przez dłuższy czas.

- Czy twój ukochany wie, ile pasji ma w sobie jego oblubienica?

Policzki Bonnie zapłonęły na tę uwagę i zadrżała, spłoszona przenikliwym wyrazem oczu Graya.

- Czy widzi, ile w tobie żaru? - pytał dalej. - Czy choćby w ogóle go dostrzega? - Poderwał się z krzesła i przysunął do zarumienionej dziewczyny. - Bo ja tak, Bonnie. Płonie w tobie ogień. Każdy mężczyzna byłby gotów zabić, byle go mieć dla siebie.

Bonnie zmusiła się do tego, by nie przestać oddychać.

- Ja do nikogo nie należę.

- Nie - mówił cicho Gray. - Nie, nie należysz, prawda? - Podszedł bliżej, szukając spojrzeniem jej ust, i wiedziała już, że chce ją pocałować. - Ale teraz, w tej chwili... jesteś moja.

„Jesteś moja”.

Dwa słowa, które sprawiły, że Bonnie zmiękła jak wosk, a zmysły w niej zagrały. Gray dał jej niewiele czasu na rozmyślanie nad podtekstami, jakie mogą kryć się za tą płomienną deklaracją, zbyt mało, by zdążyła zaprotestować, nawet gdyby miała na to ochotę - ale wcale tego nie chciała.

Duża dłoń oparła się mocno o ścianę na wysokości jej głowy, druga zamknęła dziewczynę jak w pułapce. Powieki zaczęły jej same opadać, oddech zamarł w piersi... świat zatrzymał się w miejscu.

Pierwsze dotknięcie jego warg było zaledwie muśnięciem, pieścizną tak lekką, jakby pogładził jej usta piórkiem. Drugie sprawiło, że w głowie Bonnie zaległa pustka. Trzecie zmusiło ją do rozchylenia ust. Gray wpił się w jej usta, oddychał jej oddechem, trawiony tym samym pragnieniem, które spopieliało dziewczynę.

Nieświadomie uniosła ręce i zawisała mu na szyi. Przycisnęła się całym ciałem, spragniona jego dotyku. Wówczas dłoń o długich, silnych palcach przesunęła się po jej boku, druga spoczęła na pośladku i przygarnęła tak, że Bonnie napała biodrami na jego uda.

Potem oderwał wargi od ust dziewczyny i zaczął kreślić ognisty szlak na jej skórze. Odchyliła głowę i odsłoniła dekolt, spragniona śmielszych pieścizot.

Z ust wyrwało się jej ni to kwilenie, ni to szloch, gdy przez cienką materię sukni zaczął pieścić jej sutki. Była tak podniecona, iż

odczuwała nieledwie fizyczny ból. Miała wrażenie, że Gray niesie ją ku skrajowi przepaści, ale nie bała się. Nie mogła się doczekać rozkosznego upadku.

Zręcznie poradził sobie z rządkiem guzików zapinanej na plecach sukni. Materiał z cichym, podobnym do szeptu szelestem zsunął się z ramion Bonnie. Spojrzała na niego, wystawiona na jego złakniony wzrok, i leciutki rumieniec oblekł jej dekolt.

Gray opadł na kolana. Zanim jednak to uczynił, ucałował najpierw jeden, potem drugi sutek dziewczyny, po czym posłał dłonie tam, gdzie przed chwilą bawiły jego usta.

- Ach, jaki masz słodki, śliczny pępuszek - powiedział ochryple, zmysłowym tonem i pochylił się, by dotknąć go językiem. Bonnie wbiła palce w jego miękkie włosy.

Szarpnięciem ściągnął jej suknię z bioder. Zza mgły, która zdawała się coraz szczelniej otulać dziewczynę, przedarła się ulotna myśl, by zaprotestować, błagać, żeby przestał, ale wcale tego nie chciała. Milczała więc. Kiedy jego palce, a potem wargi odnalazły miejsce u zbiegu jej ud, Bonnie pomyślała, że nogi odmówią jej zaraz posłuszeństwa. Miała wrażenie, że zaraz się roztopi, zupełnie jakby jej ciało, umysł i dusza powoli, ale nieubłaganie zapadały w sen pełen jaśniejącego światła.

- Gray... - jęknęła.

- Nie bój się. - Podniósł się w chwili, w której pod dziewczyną ugięły się nogi. Zaniósł ją do łóżka i położył na plecach tak, że nogi zwisały jej poza krawędź materaca, po czym pochylił się nad nią. - Teraz będę cię kochał, Bonnie, ale zostawię cię nietkniętą. Nie wezmę

tego, co należy do innego mężczyzny, ale muszę cię mieć. Jeśli mnie nie chcesz, powiedz to teraz, bo jak mi Bóg miły, za chwilę będzie za późno. Będę cię dotykał, będę całował jak w snach, które nie przestają mnie dręczyć.

Zostawiał jej wybór; chciał, by teraz kazała mu odejść albo pozwoliła na wszystkie uwodzicielskie, zmysłowe pieszczoty, jakimi pragnął ją obsypać. Zawisł na niej roziskrzonym spojrzeniem.

- Ja... ja też ciebie pragnę - wyszeptała.

Zacisnął na chwilę powieki i westchnął, jakby kamień spadł mu z serca. Kiedy znowu na nią spojrzał, Bonnie omal nie krzyknęła, tak wiele uczuć malowało się w jego stalowych oczach.

A potem było tak, jakby miał sto ust i sto języków. Były wszędzie: pieściły jej obojczyk, muskały gładką skórę po wewnętrznej stronie przedramienia, kreśliły ścieżki na jej brzuchu, wytyczały szlak pod każdą z piersi, nim sięgnęły po naprężony do bólu sutek.

Bonnie wygięła plecy w łuk, rozpalona, zapamiętana w cudownych doznaniach. Kiedy wsunął palec w jej jedwabiste wnętrze, poczuła, że świat przestaje istnieć. Pozostało jedynie Gray i to, co wyprawiał z jej ciałem. Rozkosz była niebiańska. Potęgowała się z każdą chwilą, każąc dziewczynie coraz niecierpliwiej wyczekiwać kulminacji. Kiedy nagle zawrotne doznania urwały się, pomyślała, że chyba zaraz umrze.

Jak dzikuska chwyciła go za ramiona, kiedy próbował się wyprostować. Zaśmiał się cicho i złożył pocałunek na jej ustach.

- Nie martw się, moja roznamiętniona gołąbeczko. To jeszcze nie wszystko. Masz moje słowo.

Potem znowu uklęknął i rozsunął jej nogi. Dotrzymał obietnicy; przed oczami dziewczyny rozbłysła nagle feeria kolorów.

Wstrząsające doznanie zdawało się trwać całą wieczność; raz za razem przywodził ją na skraj przepaści, ale w ostatniej chwili przerywał pieszczotę. Wtedy zbierało się jej na krzyk, miotła bezsilnie głową na boki, świadoma, że wszystko zależy od jego woli.

Zwróciła ku niemu zamglone oczy. Podniósł się z trudem, a potem zawisł nad nią. Pragnęła go tak bardzo, że całe ciało pulsowało jej boleśnie.

Zdarł z siebie koszulę, a Bonnie zamarła, zachwycona pięknem jego atletycznego ciała, jego grzeszną, nieokiełznaną męskością. Pragnęła, by te twarde mięśnie dotknęły jej skóry, ilekroć jednak próbowała go do siebie przygarnąć, odpychał jej dłonie.

Wydała zdławiony okrzyk, kiedy rozpiął spodnie i nic już nie kryło go przed jej wzrokiem. Patrzyła chwilę, zafascynowana, a potem uległa pokusie, by go tam dotknąć. Pod wpływem pierwszego nieśmiałego muśnięcia palców Gray zadrzał gwałtownie.

- Nie rób tak, ukochana - poprosił z trudem. - I tak moje panowanie nad sobą wisi na cieniutkim włosku.

Piękny jak posąg złotego bożka opadł na nią. Silne, umięśnione przedramiona oparły się wzdłuż jej boków i Gray znieruchomiał w tej pozycji. Pot zrosił mu czoło, twarz zastygła w bolesnym grymasie, który wiele mówił o toczącej się w nim wewnętrznej batalii.

- Nie wejdę w ciebie, przysięgam ci - odezwał się, z trudem łapiąc oddech, i otarł się o nią nieskończenie delikatnie.



Bonnie przygryzła usta, żeby nie jęknąć. Rozrzuciła szeroko ramiona, palce wbiła w prześcieradło, kiedy poruszył się znowu. Nie wszedł w nią, ale kołysał się coraz szybciej, w coraz bardziej gorączkowym, pierwotnym rytmie, a jej ciało zdawało się gorzeć.

Oplótł ją w talii ramieniem i przygarnął mocniej, wygiętą w łuk i napiętą jak struna. Potem sięgnął ustami do sutka i zaczął go ssać. Bonnie poczuła się tak, jakby krew w niej zapłonęła.

A potem świat rozpląnął się w nicości. Krew zaszumiała jej w uszach, głuszac zdławione okrzyki i pojękiwania. Odchyliła głowę z poczuciem, że w dole jej brzucha rozbłysło słońce, z którego na całe jej ciało promieniuje przyjemność; pierwsza fala kulminacji zawiesiła ją gdzieś między niebem a ziemią, druga zepchnęła ją w przepaść, wyczerpaną do nieprzytomności i senną, potem nadeszły kolejne.

Gray przetoczył się na bok, a Bonnie przytuliła się, błoga, do jego piersi. W ramionach tego mężczyzny czuła się dziwnie bezpieczna... i, kiedy zaczął delikatnie głaskać ją po włosach, niemal kochana.

I na chwilę przed tym, jak zmorzył ją sen, zdało się jej, że słyszy piękny, niski głos, wyszeptane cicho słowa, które mogły jednak być częścią sennego marzenia.

- Słodka Bonnie... jakże łatwo mogłabyś złamać mi serce.

Tydzień później nadarzyła się Bonnie sposobność zdobycia tego, o czym - jak chciała wierzyć - marzyła najgoręcej.

Wolności. Szansa pojawiła się w postaci ruchliwego lizbońskiego portu.

Wpatrzona w bulaj w kajucie Graya, nasłuchiwała podawanych z ust do ust komend, stanowiących zapowiedź rychłego cumowania. Postój spowodowany był koniecznością zaopatrzenia się w dodatkowe zapasy żywności przed ostatnim etapem podróży.

Właściwie to nie powinna mieć poczucia winy, skoro wiedziała, że robi to, co zrobić musiała, lecz mimo wszystko ogarnął ją wielki smutek. Jej postępek raz na zawsze zerwie cienką nić porozumienia, jaka zaczęła ją łączyć z Grayem, zniszczy wątłe zaufanie, na które, jak podejrzewała, i tak niełatwo mu się było zdobyć. Ponadto wyrzekała się tym samym jego pieścizot, dotyku, który stał się dla nich swoistą formą komunikacji - bo tylko w ten sposób Gray potrafił się z nią porozumieć - mową ciała.

Ostatnich kilka dni nie czekał nawet na zapadnięcie nocy, by rozpocząć korepetycje z niuansów fizycznej miłości między mężczyzną a kobietą. Żądza ogarniała go o różnych porach i coraz częściej, a Bonnie brakło sił, by położyć temu kres.

Jednego razu dosłownie zwlókł ją z pokładu na oczach wszystkich: w jednej chwili stał za sterem wyznaczając kurs, w następnej bez cienia żenady chwycił ją za rękę i bez słowa pociągnął

do swojej kajuty, zatrzasnął drzwi kopniakiem i kochał ją w wielkim, niemal szaleńczym zapamiętaniu.

Ale za każdym razem, kiedy Bonnie trafiała znowu w ramiona Graya, pragnęła go odrobinę mocniej, odrobinę śmielej otwierała przed nim duszę, coraz bardziej kruszały mury, jakimi się otoczyła, by nie wpaść w straszliwą pułapkę... taką, jaką miłość zastawia na serce kobiety.

Gray dotrzymał swojej obietnicy: Bonnie pozostała dziewicą. Jakkolwiek niecierpliwie garnęła się do niego, wierciła pod czarodziejskim dotykiem jego dłoni, spragniona czegoś, czego do końca nie pojmowała... odmawiał.

Ale pewnej nocy, chwilę po tym, jak osiągnęła rozkosz, leciutko wsunął się w nią. Trwało to nieskończenie krótką chwilę, lecz poczuła się wypełniona, jak nigdy dotąd. Powitała go westchnieniem, rozkoszując się tym śmielszym fizycznym kontaktem, i podała mu biodra. Nie broniła mu niczego, jednak ku jej żalowi natychmiast się wycofał.

- Nie zrobię tego - rzucił przez ściśnięte gardło, bardziej do siebie niż do niej, mrużąc coś o brzemiennych i dzieciach. Potem wydało się jej, że padło jeszcze jedno słowo, wypowiedziane zapiekłym tonem, głucho, brzmiące trochę jak „bękart”.

Od tamtego momentu oboje udawali, że do szczęścia niczego im nie brakuje. Pozwalali, by kochały się ich ciała, a sami próbowali zapomnieć o tym, że z woli przeznaczenia ich drogi miały się spotykać jedynie podczas owych sennych, pełnych słodczy godzin.

A teraz wszystko się skończy jak ucięte nożem. W ich idyllę niebawem wdrze się brutalna rzeczywistość. W chwili największej wewnętrznej szczerości Bonnie przyznała się przed sobą, że to nie przed Grayem chce uciec do ojczyznej Szkocji. Uciekała przed uczuciami, jakie w niej budził. Uczuciami, których - jak przypuszczała - nigdy by nie odwzajemnił. I właśnie ten fakt, bardziej niż cokolwiek innego, zmuszał ją do ucieczki.

Z zadumy wyrwało ją popiskiwanie Jacka. Uklękła przy piesku, który wpatrywał się w nią wielkimi, ciemnobrązowymi ślepkami z taką żalością, że łzy zakręciły się jej w oczach.

Pogłaskała go po łebku. Uwielbiał, żeby drapać go za uchem, i zawsze, kiedy to robiła, warował posłusznie obok niej, zachwycony. Tym razem jednak sztuczka nie poskutkowała. Psiak nadal był niespokojny i tulił się do jej nóg. Bonnie zastanawiała się, czy zwierzak nie wyczuł przypadkiem, że coś się zmieniło, czy nie rozumiał, że już nigdy się nie zobaczą.

Łzy, które usiłowała odegnać, popłynęły po policzkach. Wzięła Jacka na ręce i przytuliła go mocno.

- Będzie mi się za tobą cknęło. Ale nigdy o tobie nie zapomnę. Nigdy.

Postawiła go na ziemi i wyprostowała się szybko. Musiała się skoncentrować na ucieczce. Taka szansa mogła nigdy się nie powtórzyć, a czas uciekał.

Jedynym sposobem, by znaleźć się na nabrzeżu, była przeprawa wplaw. Bonnie zdawała sobie sprawę, że nie może tak zwyczajnie pomaszerować po trapie. Zresztą spodziewała się, że sama ucieczka ze

statku okaże się najmniejszym problemem. O wiele trudniej będzie namówić kogoś na zabranie jej z powrotem do Szkocji.

Bonnie nie umiała przewidzieć, po jak długim czasie Gray zorientuje się, że jej nie ma. Mogła tylko mieć nadzieję, że stanie się to nie wcześniej niż po kilku godzinach. Jeśli dopisze jej szczęście, może będzie już na statku płynącym ku brzegom Szkocji, zanim Gray zorientuje się, co się stało.

Z ciężkim sercem pomyślała, ile bólu mu sprawi to odkrycie, w jaki wpadnie szął, kiedy przekona się, co zrobiła, i zrozumie, jak daleko sięgała jej zdrada...

Zrozumie, z czego zamierzała uczynić swój bilet do wolności.

Była to pierwsza rzecz, jaka przyszła Bonnie do głowy, a przy tym dość cenna, by kapitan jakiegoś statku miał powody, by brać na pokład dodatkową pasażerkę - i to pasażerkę bez grosza przy duszy. Jedyna rzecz, którą marynarz uznałby za wartościową.

Nogi miała jak z waty, kiedy odwracała się w kierunku Grayowego biurka. To tam od kilku dni leżała bezcenna mapa Graya, tam Gray porównywał ją z mnóstwem innych, wyliczał kursy, usiłował rozszyfrować tajemnicze adnotacje na wielowiekowym pergaminie.

Drżącymi palcami ujęła mapę, powtarzając sobie w duchu, że Gray z pewnością zna ją na pamięć, że jej zniknięcie nie będzie się równało końcowi podróży.

Ale równocześnie coś jej mówiło, że ten pergamin jest dla niego czymś więcej, a nie tylko źródłem wskazówek, jak dotrzeć do zaginionej wyspy, częścią Grayowej spuścizny po ojcu.

Bonnie omal nie rozmyśliła się w ostatniej chwili. Chciała odwrócić się na pięcie i odejść, licząc na to, że jakoś to będzie. Ale to oznaczałoby narażanie się na ryzyko, że nie będzie miała jak wrócić do domu.

Ze łzami w oczach zwinęła pergamin w rulon, wsunęła go do pustej butelki po winie i szczelnie ją zakorkowała.

Z butelką pod pachą otworzyła ostrożnie drzwi kajuty. Przekonawszy się, że na schodkach było pusto, wyszła na korytarz. Jack nie odstępował jej ani na krok.

- Zostań tu, Jack - powiedziała, ale wydawało się, że pies nie ma najmniejszego zamiaru jej posłuchać. Bonnie próbowała zamknąć go w kajucie. - No, zmykaj już. Mam coś do zrobienia, a ty nie jesteś zaproszony. - Pies przekrzywił łebek, ale nadal ignorował jej komendy. - Masz tutaj zostać, rozumiesz? Nie bawię się z tobą. Zostań. - Bonnie skarciła go wzrokiem z nadzieją, że może to poskutkuje. Zrobiła krok i spojrzała w dół. Jack truchtał u jej boku.

Westchnęła, ale nie miała czasu na ceregiele. Zresztą Jack i tak mógł jej towarzyszyć tylko na rufę, skąd zamierzała skoczyć do oceanu. Piesek był zbyt mały, żeby wydostać się za burtę.

Potwornie zdenerwowana pokonała korytarz najszybciej, jak potrafiła. Zdążyła niemal dotrzeć do jego końca, kiedy raptem otworzyły się jakieś drzwi i nim się obejrzała, wpadła prosto na Proroka.

Jęknęła i omal nie wypuściła butelki. Szybko schowała skradziony lup za plecami, modląc się, by Prorok niczego nie zauważył.

- Przepraszam cię serdecznie, sikorko - odezwał się w swój zwykły jowialny sposób, z nieskończoną troskliwością pomagając Bonnie się wyprostować. - Nie patrzyłem, gdzie idę.

Bonnie usiłowała się odezwać, ale panika ścisnęła ją za gardło. Dręczyło ją poczucie winy i obawiała się, by Prorok nie wyczytał wszystkiego z wyrazu jej twarzy.

- Dobrze się czujesz? - spytał, spoglądając na nią badawczo, co spowodowało, iż nad górną wargą dziewczyny wykwitły kropelki potu.

- Świetnie - skłamała zdziwiona, że głos jej nie zadrżał. Nie wyglądał na w pełni przekonanego, ale nie drażył tematu.

- No cóż, w takim razie czy pozwoli pani, bym ją eskortował na pokład? Nie ma nic miłszego, jak przyglądanie się załodze tak zgranej jak ta. - Nadstawił ramię. - Co ty na to, sikorko? Każdy mężczyzna będzie mi zazdrościł, kiedy pokażę się z taką piękną kobietą, wspartą na moim ramieniu.

Dłonie Bonnie powilgotniały. Zaczynała się poważnie martwić, że butelka wysunie się jej z rąk, jeśli będzie musiała dłużej gawędzić z Prorokiem. Miała nadzieję, że spojrzenie, jakie posłała Prorokowi, okaże się wystarczająco pochlebne.

- Z chęcią przesłabym się na pokład z takim przystojnym mężczyzną, ale ja... - Szukała w myśli wiarygodnej wymówki, lecz nie przychodziło jej do głowy nic przekonującego. Potem jednak dostrzegła Jacka, koczującego u jej stóp, i ucieszyła się, że mimo wszystko za nią poszedł. - Ale obiecałam Jackowi kilka minetek zabawy.

Prorok wyraził swoje rozczarowanie westchnieniem.

- Skoro tak, to cóż... Do zobaczenia na górze.

Bonnie stała jak wmurowana w ziemię, dopóki Prorok nie pokonał schodków prowadzących na górę. Kiedy zniknął jej z oczu, zgarbiła się i przestała wstrzymywać oddech.

- Mało brakowało - mruknęła, po czym udała się w przeciwnym kierunku. Energicznie otworzyła właz i zastygła na sekundkę, rozkoszując się chłodną bryzą. Było jej nieznośnie duszno.

Szybko przekradła się na rufę i zerknęła za burtę. Woda była względnie spokojna, a do powierzchni niezbyt daleko. Rozejrzała się dookoła. Panowała niezmacona cisza. Większość załogi znajdowała się na dziobie albo w doku, zajęta zarzucaniem cum.

- Raz kozie śmierć. - Bonnie wiedziała, że Jack kręci się koło niej, ale wolała na niego nie patrzeć, bo bała się, że serce jej zmięknie.

Drżąca, przewiesiła jedną nogę nad poręczą, potem drugą, i obróciła się tak, że wisiała tylko na dłoniach. Zerknęła w dół i zdumiała się, że chwilę wcześniej, z pokładu, tafla wody wydała się jej nieodległa.

Zamknęła na chwilę oczy, bo zaczęło się jej kręcić w głowie, wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić... i skoczyła.

Dalekie poszczekiwanie Jacka sprawiło, że Gray uśmiechnął się pod nosem, patrząc, jak jego ludzie zawiązują ostatnią linę cumowniczą po zawietrznej, a reszta szykuje się do zejścia na ląd.

W ciągu ostatnich kilku tygodni Bonnie i rosnący jak na drożdżach szczeniak błyskawicznie się zaprzyjaźnili. Gdziekolwiek



była Bonnie, tam był i Jack. Gray zaczynał niemal być zazdrosny, że tak wiele uwagi poświęcała nowemu pupilowi.

Najbardziej chyba Gray żałował tego, że sam nie może z nią przebywać tyle, ile by chciał, bez zastrzeżeń cieszyć się wspólnie spędzonymi chwilami. Ale ona była jego zakładniczką, a on porywaczem, i zapomnieć o tym nie potrafił. Nie zabrał jej w ten rejs dla swojej przyjemności - choć dała mu jej więcej, niż na to zasługiwał - ani też po to, by zachwycać się jej melodyjnym śmiechem i dziwić się, dlaczego widząc ją uśmiechniętą, topnieje jak wosk.

Toteż pytanie, dlaczego w takim razie zabrał ją ze sobą, w dalszym ciągu pozostawało bez odpowiedzi.

Gray był ciekaw, jak Bonnie zareaguje, kiedy usłyszy, że może z nim zejść na ląd, że zaaranżował wszystko tak, żeby zabrać ją na prawdziwą portugalską kolację. Przypuszczał, że z radością zjadłaby każdą potrawę, która różniłaby się od zwykłego okrętowego wikt.

A może, rozmyślał, kupi jej inną sukienkę. Powinna mieć więcej niż tylko jedną. Kobieta taka jak Bonnie powinna mieć szafę pełną ładnych fatalaszków. Wszystko to, czego on nie mógł jej ofiarować... chyba żeby znalazł „o coracao sagrado”.

Potrząsnął głową. Co też mu się zaczyna roić? Kiedy podróż dobiegnie końca, odda Bonnie rodzinie... i narzeczonemu. Choć Gray wiedział, że właśnie tak powinien postąpić - że nie sposób postąpić inaczej - obojętnie czym się zajmował, ta myśl nieustannie psuła mu humor.

Uporczywe ujadanie Jacka wyrwało Graya z zadumy. Obejrzał się przez ramię i zaczął wypatrywać na rufie sylwetki Bonnie, ale na próżno. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach.

W połowie komendy odepchnął się od relingu i pobiegł szukać dziewczyny. Zrobił raptem paręnaście kroków, kiedy Jack śmignął w jego stronę i zaczął niespokojnie krążyć w tę i z powrotem.

Obawy Graya potęgowały się z każdą sekundą. Gdzie ta Bonnie? Jack zawrócił w pełnym pędzie, a Gray popędził za nim.

Kiedy znaleźli się na rufie, Jack zaczął biegać w kółko, zanosząc się ujadaniem. Bonnie nie było nigdzie widać. W przyływie paniki Gray pomyślał, że wypadła za burtę. Doskoczył do relingu, myśląc z przerażeniem, co może zobaczyć, kiedy spojrzy w dół. Ale jego oczom ukazała się tylko spokojna tafla wody.

Jeszcze bardziej zależało mu na tym, by jak najszybciej odnaleźć dziewczynę. Modląc się, by jego obawy okazały się przesadzone, by zastał ją w swojej kajucie, rzucił się na złamanie karku ku schodkom prowadzącym na niższy pokład. Zatrzymała go czyjaś ręka. Okręcił się na pięcie, tocząc dookoła nieprzytomnymi oczami.

- Co się stało, chłopcze? - spytał Prorok zatroskany, marszcząc czoło.

- Bonnie - rzucił Gray bez ładu i składu. - Gdzie ona jest? Widziałeś ją?

- Ano, będzie parę minut temu. Szła tutaj pobawić się z Jackiem.  
- Potem czoło Proroka wygładziło się, jakby zaczynał wszystko rozumieć. - Tyś jej nie widział?

Oszołomione spojrzenie Graya śmignęło ku miejscu, przy którym niestrudzenie warował Jack.

- O Boże. - Krew odpłynęła mu z twarzy. - Musiała wypaść za burzę. O Chryste...

Rzucił się ku relingowi. Przełożył już na zewnątrz jedną nogę, ale Prorok złapał go za rękaw i zatrzymał.

- Myśl, chłopcze - rzucił oschle, trzymając Graya ze zdumiewającą jak na kogoś w jego wieku siłą. - Z tej sikorki jest nielecha pływaczka. Gdyby wypadła za burzę, spokojnie dopłynęłaby do doku albo przynajmniej wezwała pomocy.

- Mogła uderzyć się w głowę, spadając, albo... cokolwiek. - Gray wyrwał rękę i przerzucił drugą nogę nad poręczą.

Prorok złapał go za koszulę.

- Stój i zastanów się, słyszysz?!

- Psiakrew, człowieku! Puszczaj! Szkoda czasu.

- Przed chwilą natknąłem się na Bonnie w korytarzu.

Zachowywała się dziwnie. Wtedy nie zwracałem tym sobie głowy.

Ale teraz już chyba wiem, czemu była taka zdenerwowana.

- Wykrztuś to wreszcie, człowieku! Do czego pijesz?

- Próbuję ci powiedzieć, że Bonnie nie wypadła za burzę. Ona skoczyła.

- Skoczyła? Nie. Mylisz się. Ona by mi tego nie...

- Na miły Bóg, chłopcze, jakież ty potrafisz być tępy! Uczucie tak cię zaślepia, że nie rozumiesz, co się stało? - Prorok potrząsnął głową.

- Na czym najbardziej jej zależało? Co Ślubowała odzyskać, kiedyś wciągnął ją na ten pokład?

W ułamku sekundy Gray pojął całą prawdę; zachwiał się, jakby dostał obuchem między oczy.

- Wolność.

- Ano, wolność. Twojej sikorce nadarzyła się okazja ucieczki, to z niej skorzystała.

Gray zacisnął powieki. Zdało mu się, że zewsząd naciągają nieprzeniknione ciemności, gotowe go pochłonać, a posepne, mroczne cienie zasnuwają jego duszę jak zawsze, kiedy ktoś bliski zdołał z niej wydrzeć kolejny strzęp.

Gdyby mógł, nieba by jej przychylił, zrobił wszystko, co w zaistniałych okolicznościach było tylko możliwe, by ją uszczęśliwić... zwierzył się z tajemnic przechowywanych na dnie serca, a ona tak mu odpłaca? Zadaje mu cios w plecy przy pierwszej nadarzającej się okazji?

Wyszedł na głupca. Tylko głupiec choć na chwilę zaufałby kobiecie: Bonnie była nie lepsza niż jego matka, kolejna podstępna suka, niby wrażliwa i pełna zrozumienia, a w gruncie rzeczy zakłamana i fałszywa.

W tej samej chwili Graya tknęła inna myśl, tak niepokojąca, że poderwał głowę i puścił się biegiem przez korytarz. Dopadł do włazu i otworzył go, aż huknęło. Prorok, który deptał mu po piętach, mamrotał coś półgłosem, ale Gray był zbyt otumaniony, by cokolwiek do niego dotarło.

Otworzył drzwi swojej kajuty z takim rozmachem, że rąbnęły o ścianę, i zatrzymał się jak wryty. Przez najkrótszą z chwil łudził się jeszcze, że zobaczy Bonnie wyciągniętą na koi albo pochyloną nad

jakaś książką. Kajuta jednak była pusta i Gray zrozumiał, że Bonnie uciekła.

Prorok zatoczył się i zatrzymał przy nim, dysząc ciężko. Gray jak w amoku podszedł do swojego biurka, przeczuwając, jaką Bonnie zgotowała mu niespodziankę.

Mapa zniknęła.

Zawołał dziewczynę po imieniu, choć zabrzmiało to raczej jak pełen wściekłości ryk, a jego rozsądek utonął w isticie piekielnej furii.

Bonnie stała na pirsie ukryta za stosem wysokich drewnianych skrzynek. Drżała na całym ciele, bo choć słońce przygrzewało, wiał dość silny wiatr, skutkiem czego mokre ubranie, klejące się jej do ciała, wydawało się jeszcze zimniejsze.

Ręce jej zdrewniały i musiała zerkać na nie co chwila, by upewnić się, czy nadal trzyma butelkę. Na szczęście mapie nic się nie stało. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że dla Bonnie także wszystko dobrze się skończy.

Usiadła, oparta plecami o bok jednej ze skrzynek, i objęła rękami kolana, próbując się jakoś rozgrzać. Jak długo siedziała w tej pozycji - sama nie potrafiła powiedzieć, ale w końcu odrętwienie minęło i przestała się trząść.

Starła się nie patrzeć w kierunku statku. Obawiała się tego, co mogłaby zobaczyć - i przemożnego pragnienia, by zapomnieć o planie ucieczki i pomknąć z powrotem ku bezpieczeństwu, jakie ofiarowywała kajuta Graya, jego łóżko... jego ramiona.

Ale on musiał iść swoją drogą, podobnie jak sama Bonnie. Przecież jej bracia musieli odchodzić od zmysłów. Tylko o tym

pozwalala sobie myslec. Wieczne zastanawianie sie, „a co gdyby...? ” nikomu na dobre by nie wyszlo.

Wziewala glęboki wdech i zmusila sie do tego, zeby wstac. Ledwie zdazyła wyprostowac plecy, powietrzem wstrzasnal przeraźliwy ryk. Bylo w nim tyle wścieklosci, tyle zalu, ze w zoladku sie jej scisnelo.

Gray wiedzial juz, co zrobila - i co ze soba zabrala.

Bonnie wpadla w panike. Spodziewala sie przeciez, ze bedzie miala wiecej czasu, zdazy cos zaplanowac, moze nawet znalezc jakies suche ubranie, zeby nie blakac sie po dokach niczym na wpol podtopiona pomywaczka. Ale los jej nie sprzyjal. Podobnie jak czas.

Spojrzala przed siebie; stopy skrzyń pietrzyly sie wzdluz calego nabrzeza. Gdyby szla pochylona, przy odrobinie szczescia nikt nie powinien jej zauwazyć, a wówczas nie byloby komu udzielac Grayowi wskazówek, ktoredy szla i w jakim kierunku, bo to, ze bedzie jej szukal, bylo pewne. Bonnie nie miala co do tego najmniejszych zludzen.

Na drugim koncu doku wypatrzyla to, czego szukala: statek o nazwie „Scotch Mist”. Moze, jesli szczescie jej dopisze, kapitanem „Szkockiej Mgly” okaże sie Szkot sklonny dopomoc zablakanej rodaczce - w dodatku rodaczce dysponujacej bezcenna mapą.

Pod osloną skrzyń zaceła pospiesznie przemykac sie w kierunku statku. Serce bilo jej tak mocno, ze slyszala w uszach szum swojej krwi. Przez caly czas umierala ze strachu na mysl, ze Gray wyrośnie jak spod ziemi i udaremni jej ucieczke.

Kiedy ujrzala, ze poklad „Scotch Mist” jest pusty, serce w niej zamarlo. Pomyslala, ze zaloga zesla widocznie na lad i nie zostal

nikt, komu mogłaby powiedzieć o swojej rozpaczliwej sytuacji... albo kto ukryłby ją przed gniewem człowieka, który zapewne szukał jej w tej chwili.

Bonnie przyszło do głowy, że mogłaby niepostrzeżenie wejść na pokład i gdzieś się schować, gdyby jednak okazało się, że statek wbrew nazwie nie płynie do Szkocji, wpadłaby z deszczu pod rynnę.

Czuła się taka nieszczęśliwa, że omal się nie rozplakała. Jednak jeszcze gorsza była myśl, która pojawiła się chwilę później. A jeśli nie znajdzie nikogo, kto byłby gotów zawieźć ją do jej ojczyzny, a Gray jej nie odnajdzie? Zostanie tu na zawsze i może już nigdy Szkocji nie zobaczy...

W chwili, gdy jej panika sięgnęła zenitu, zauważyła kogoś na pokładzie. Westchnęła z ulgą. Musi tylko szybko działać.

Rozejrzała się nerwowo, wybiegła z ukrycia, przemknęła po trapie i wpadła na pokład.

Mężczyzna usłyszał ją chyba, bo okręcił się na pięcie. Minę miał taką rozjuszoną, że Bonnie zatrzymała się w pół kroku. Jednak wyraz jego twarzy szybko się zmienił, kiedy przyjrzał się przybyłej, a zaledwie się odezwał, Bonnie zyskała pewność, że trafiła pod właściwy adres.

- Szukasz kogoś, sikorko? - spytał z akcentem, który natychmiast rozpoznała.

- Och, Bogu niech będą dzięki! - Nie zastanawiając się, jak musi wyglądać, podbiegła i omal nie rzuciła mu się w ramiona, bo wyczerpane szaleńczą ucieczką nogi nagle się pod nią ugięły.

Ogromne dłonie zacisnęły się na jej przedramionach i podtrzymały ją.

- P... proszę mi pomóc - błagała, szcękając zębami. Było jej potwornie zimno, jakby z ubrania ziaęb przesączył się wprost do jej kości. - Zostałam p... porwana.

- Porwana? - Mężczyzna przyglądał się jej zaskoczony. - Co ty pleciesz?

- Jacyś mężczyźni... uprowadzili mnie z domu wbrew mojej woli.

- Mężczyźni, powiadasz? Jacy mężczyźni? - Jego spojrzenie oderwało się od twarzy Bonnie i zaczęło błądzić po jej ciele.

Ogarniał ją dziwny niepokój, ale tłumaczyła sobie, że przesadza. W końcu ten człowiek miał święte prawo zastanawiać się nad konduktą dziewczyny o wyglądzie morskiego stwora, całej mokrej i wygadującej niestworzone rzeczy. W głowie jej nie powstało, by Szkot, jej krajan, mógł żywić względem niej haniebne plany, nawet jeśli nie odrywał oczu od jej piersi - a że koszula lepiła się jej do ciała, niewiele pozostawało dla wyobraźni.

- Nie czas na wyjaśnienia. Tylko patrzeć, jak po mnie przyjdą - rzuciła jednym tchem. Chciała tylko, żeby zrozumiał, jak bardzo zależy jej na pośpiechu. - Proszę mnie zaprowadzić do kapitana.

- Kapitana tu nie ma. Hula razem z załogą na łodzi. Byliśmy na morzu bite trzy miesiące. - Raz jeszcze zmierzył Bonnie spojrzeniem z błyskiem w oku, który wybitnie się jej nie spodobał. - Okrutnie żem sobie pluł w brodę, że przypada mi ta wachta. Sam z chęcią bym se trochę poużywał, słodziutka. Widać Pam Bóg umyślił sobie, cobym nie ostał się bez żadnej rozrywki.



Chwilę to potrwało, zanim do umysłu Bonnie, zmaconego strachem i wyziębieniem, w pełni dotarł sens jego słów. Potrząsnęła głową.

- Nie... ja nie... Ja przyszłam po pomoc. Proszę mnie zrozumieć...

- Ano - przytaknął, oblizując kącik spękanych ust. - Rozumiem.  
- Złapał ją za ramię i pociągnął za sobą. - Nie wrócą wcześniej niż za parę godzin. A póki co sam dotrzymam ci towarzystwa.

- Co pan robi? - Bonnie, śmiertelnie przerażona, usiłowała wyrwać rękę, ale palce marynarza zacisnęły się jeszcze mocniej. Tak mocno, że pisnęła. - To boli!

- Bądź grzeczną dziewczynką, to nie obejdę się z tobą nazbyt szorstko. - Usta rozciągnęły się mu w niedobrym uśmiechu. - Bo tak trochu szorstko, to ja lubię. Lubię, jak se kobitka pojęczy i pobłaga.

W czarnych oczach mężczyzny malowało się podniecenie. Bonnie wiedziała, że nie stanowi dla niego żadnej przeciwniczki; było widać, że jest o wiele silniejszy. Ale nie zamierzała się poddać. Okręciła się, żeby go podrapać, ale jej nadgarstek znalazł się w palcach silnych jak imadło.

- I nie próbuj żadnych sztuczek, bo zaklinam się, że gorzko tego pożałujesz - warknął i popchnął dziewczynę. Przed nią majaczyło ciemne wejście do korytarza pod pokładem. Zdawała sobie sprawę, że jeśli napastnikowi uda się zwlec ją po schodach, będzie zgubiona.

W ostatniej chwili obróciła się, z całej siły nadepnęła mu na nogę, po czym poprawiła kopniakiem w pachwinę.

- Ty dziwko! - zaryczał i nachylił się w jej stronę. Nagle wydał się jej dwa razy wyższy niż przed chwilą.

Bonnie rzuciła się w kierunku trapu. Duże, zgrubiałe ręce wyciągnęły się za nią. Raz chybiły, ale za drugim haczykowato zakrzywione palce wczepiły się w jej włosy. Kiedy za nie szarpnął, głowa zapiekła ją tak, jakby ją oskalpował.

Z krzykiem sięgnęła za siebie rękami, próbując się uwolnić. Miotła się jak oszalała, na oślep wyciągnęła rękę i przejechała paznokciami po policzku mężczyzny.

Zaklął i na odlew uderzył ją w twarz. Przewróciła się i uderzyła bokiem o pokład; impet wycisnął jej powietrze z płuc i pociemniało jej przed oczami. Pod przymkniętymi powiekami rozbłysły jakieś barwne plamy, po czym ponownie zogniskowała wzrok.

Przewróciła się na plecy i zobaczyła, że zbir idzie w jej stronę, stąpając ciężko. Gdzieś koło niej z brzękiem przeturlała się zapomniana butelka. W następnej sekundzie z całej siły roztrzaskała grube szkło o czaszkę mężczyzny; padł na kolana, z jego skroni trysnął strumień krwi, zalewając lewe oko i ściekając mu na brodę.

Druga gałka oczna, z czarną tęczówką pełną dzikiej, morderczej wściekłości, obróciła się ku Bonnie. Dziewczyna krzyknęła, widząc, że napastnik zbliża się do niej wielkimi krokami. Zaczęła cofać się rakiem, podparta na łokciach, kopiąc go po rękach, ilekroć próbował ją złapać. Był coraz bliżej i zrozumiała, że stawką tego wyścigu przestała być jej cnota; teraz gra toczyła się o jej życie.

Marynarz przyparł ją do burty i pochylił się złowieszczo. Kiedy wyciągnął ręce ku jej szyi, Bonnie pomyślała, że widok jego okrwawionej twarzy będzie ostatnim, jaki wyniesie z tego świata.

Gray czuł się idiotycznie, stercząc z załogą na samym środku nadbrzeża, gromkim głosem rozkazując im rozproszyć się i przyprowadzić nieposłuszną uciekinierkę.

Nie wybaczył Bonnie tego, że wystrychnęła go na dudka, lecz jego złość coraz skuteczniej zagłuszał narastający niepokój. Po dokach szwendało się w końcu całe mnóstwo marynarzy, którzy tygodniami - jeśli nie miesiącami - nie oglądali kobiety.

Tłumaczył sobie, że niepotrzebnie się martwi, że nie ma takiego mężczyzny, z którym Bonnie nie dałaby sobie rady, o czym świadczyła choćby świeżo zagojona blizna na jego brzuchu.

Niemniej...

Krażył nerwowo po dokach, nie słysząc nawoływania ulicznych handlarzy, którzy usiłowali mu wcisnąć przeróżne niepotrzebne rzeczy, zaczepek prostytutek oferujących swoje wdzięki, głuchy na otaczający go zgiełk. W głowie krażyła mu jedna myśl: odnaleźć Bonnie.

Raptem rozległ się przeraźliwy, rozdzierający krzyk. Gray podniósł gwałtownie głowę i rozejrzał się. Czuł się tak, jakby dostał prosto w brzuch.

- Bonnie - szepnął przez ściśnięte gardło i puścił się biegiem. Wpadał na przechodniów, którzy nie dość szybko zeszli mu z drogi, rozpychał łokciami.

W uszach mu szumiało, jak przez watę słyszał własny ciężki oddech. W szaleńczym pośpiechu rozglądał się po dokach. Boże drogi, gdzie ona jest?

Dał się słyszeć kolejny krzyk. Gray obejrzał się i cała jego uwaga skoncentrowała się na statku stojącym na drugim końcu doku. „Scotch Mist”. Oczywiście! To miało sens. Bonnie na pewno szukała statku, który mógłby ją zabrać do Szkocji.

Nagle dostrzegł na pokładzie jakąś sylwetkę, która pojawiła się tak nagle, jakby wychynęła spod ziemi. Był to zwalisty mężczyzna wzrostem dorównujący niemal Grayowi, ale niemal dwukrotnie potężniejszej postury - twarz ociekała mu krwią.

Gray miał wrażenie, że jego pole widzenia zawęży się do obcego statku. Na skróty popędził ku niemu, roztrzając skrzynie, kosze i wózki z ładunkiem. Kiedy wbiegł po trapie na pokład, mężczyzna pochylał się nad czymś z kurczowo zaciśniętymi pięściami.

Gray dostrzegł skuloną na ziemi Bonnie. Rzucił okiem na jej zapuchniętą twarz i wpadł w niepohamowaną furję. W ułamku sekundy pokonał pozostały dystans i całym impetem rzucił się na tego wielkiego szubrawca, aż zajęczały mu wszystkie kości.

Gray zerwał się na równe nogi, zanim tamten zorientował się, co go uderzyło. Złapał drania za kołnierzyk, szarpnął do siebie, po czym zadał mu potężny cios w szczękę, sycąc się widokiem krwi, która poląła się z rozdartej wargi mężczyzny. Zaczął metodycznie wymierzać kolejne, równie silne ciosy, jakby chciał unicestwić łajdaka za to, że śmiał tknąć jego Bonnie.

Ledwie poczuł czyjeś ręce czepiające się jego ramion, usłyszał głosy krzyczące mu wprost do ucha, żeby przestał, bo tamtego zabije. To oni nie wiedzieli, że właśnie to zamierzał?

Potem otoczyło go kilka osób. Rąbnął kogoś w brzuch, zanim dotarło do niego, że to ludzie z jego załogi. Nieco z boku stał Prorok i powtarzał coś o tym, by kogoś zabrać, do stu bomb i kartaczy, z powrotem na statek, zanim wszyscy wylądują w ciupie.

- Bonnie - wykrztusił Gray z trudem, bo panika znowu chwyciła go za gardło. Dziewczyna miała pękniętą wargę, twarz opuchniętą i siniejącą w tempie świadczącym o tym, że uderzenie było tak silne, iż musiało ją obalić na ziemię.

- Psiakrew, zabiję tego skurwysyna! - wrzasnął Gray i skoczył na równe nogi. I byłby to zrobił, mimo że winowajca zlany był krwią, powieki miał tak spuchnięte, że nie mógł otworzyć oczu, a twarz wręcz nie do rozpoznania, zmienioną w miazgę, gdyby Bonnie nie zastąpiła mu drogi.

- Przestań! - poprosiła.

Oczy Graya zawisły na jej twarzy. Wciąż jeszcze biła od niego żądza krwi.

- Ja tego nie chciałam. Nie chciałam, żeby tak się stało. Ja naprawdę nie... - Potrząsała głową; skołtunione włosy zsunęły się jej na policzki. Ukryła twarz w dłoniach.

Gray nie mógł myśleć. Nie mógł mówić. Odniósł mętne wrażenie, że Prorok szarpie go za ramię.

- Jezu, człowieku! Spadajmy stąd, zanim nas wszystkich pozamykają!

Do Graya zaczynało stopniowo docierać, że przed trzaskiem zbiera się coraz więcej gapiów. Wiedział, że powinien się śpieszyć, ale gniew jeszcze się w nim nie wypalił.

Z głuchym pomrukiem odwrócił się do Bonnie i porwał ją na rękę. Zbiegł na ląd, rozpychając się przez tłum ciekawskich. Tylko czekał, by ktoś go sprowokował, dał powód do nowej bitki. Nigdy dotąd nie wpadł w taki szał. Miał nadzieję - dla dobra Bonnie - że zanim znajdą się na pokładzie, zdoła się zdobyć choćby na pozór spokoju.

RS

Bonnie przycisnęła policzek do piersi Graya. Wewnętrznie jeszcze cała się trzęsła na myśl o koszmarze, przed którym ją ocalił. Próbowwała się skoncentrować na miarowym biciu jego serca, rozumiała bowiem, że gdyby zaczęła na nowo rozpamiętywać to, co ją spotkało, chyba by się załamała.

Ale okrutna twarz marynarza ciągle pojawiała się pod przymkniętymi powiekami dziewczyny. Wizje tego, do czego by doszło, gdyby nie ingerencja Graya, przesuwwały się jej nieustannie przed oczami, choć z całych sił próbowała nad sobą zapanować.

Zadrzała, a Gray odruchowo przytulił ją do siebie. Zęby miał zaciśnięte i pomyślała, że nie uwolnił się jeszcze spod władzy demona, który kazał mu metodycznie bić tamtego człowieka dopóty, dopóki jego twarz zmieniła się w jeden krwawy siniec. Był jej aniołem zemsty.

Wpatrywała się w niego milcząco. A kiedy ją na tym przyłapał, poczuła się tak, jakby prosto w serce ugodziły ją dwie błyskawice, taki druzgoczący... i tak przerażający był wyraz jego oczu.

Oczu, które zdawały się przyrzekać, że nie znajdzie schronienia przed jego gniewem. Najwyraźniej postanowił dopilnować, by to była jej ostatnia próba ucieczki. Ledwie Bonnie o tym pomyślała, zadrzała jeszcze gwałtowniej, bo ogarnęło ją przeczucie, że to, co najgorsze, dopiero miała przed sobą.

Pocieszała się myślą, że kiedy znajdą się na pokładzie „Revenge”, będzie ją musiał puścić. Wtedy ona weźmie nogi za pas i zamknie się na klucz w kajucie, przynajmniej do czasu, kiedy Gray ochłonie - co, sądząc z jego miny, powinno nastąpić nie wcześniej niż za dziesięć lat.

Przypomniała sobie, jak śmiał się kiedyś, że nazwę, jaką ochrzcił swój statek, wybrał nie bez kozery. Jakże prawdziwe okazało się dziś to stwierdzenie.

Bonnie nie spodziewała się, że Gray uwolni ją z ramion, kiedy go o to prosiła, ale sprawił jej niespodziankę - choć w sposobie, w jaki to uczynił, nie sposób się było dopatrzeć delikatności. Niemniej jednak przez jedną ulotną chwilę, kiedy stali naprzeciwko siebie, a wzrok Graya błędził po jej posiniaczonym policzku, jego gniew zdawał się ulatywać, rysy twarzy mięknąć i smutnieć, jakby uzewnętrzniała się na nich jakaś zadawniona żalność.

Bonnie nie chciała po sobie pokazać, jak bardzo ją ten widok poruszył, choć najchętniej rzuciłaby się Grayowi w ramiona i przytuliła twarz do jego piersi, Marzyła o tym, by przygarnął ją do siebie i przycisnął do serca, by gładził ją po włosach i szeptał, że wszystko będzie dobrze.

Uniósł rękę, jakby chciał dotknąć jej twarzy, ale zaraz cofnął ją, zaciskając zęby. Wydawał się jeszcze bardziej rozgniewany - jeśli to w ogóle możliwe.

Bonnie czuła się dziwnie senna, jak zawsze, kiedy był tak blisko, ale zdołała się jakoś otrząsnąć z oszołomienia. Instynkt



samozachowawczy podpowiadał, by rzuciła się do ucieczki, póki ma jeszcze na to szansę.

Z tą myślą obróciła się, by pomknąć w kierunku korytarzyka. Liczyła na to, że zdoła dotrzeć do kwater Graya szybciej niż on i znaleźć cokolwiek, czym mogłaby zabarykadować drzwi. Wobec takiej furii zwykły zamek nie gwarantował bezpieczeństwa.

Jej plan spalił na panewce, kiedy stalowe palce oplotły jej nadgarstek. Chcąc nie chcąc zatrzymała się w pół kroku.

Jednak to aksamitne, miękkie słowa Graya sprawiły, że serce niemal przestało jej bić.

- A dokąd to, moja droga? - Ton jego głosu nie wróżył niczego dobrego.

Przełknęła ślinę i powoli zwróciła się twarzą w stronę Graya. Pierwszym, co przykuło jej uwagę, był grymas wściekłości, w którym zastygły jego rysy. Źrenice tak bardzo mu się rozszerzyły, że stalowe oczy wydawały się w tej chwili zupełnie czarne. W gniewie wydał się jej piękny niczym wcielenie pogańskiego boga zemsty.

W następnej sekundzie porwał ją z ziemi tak gwałtownym ruchem, że poczuła się, jakby wessało ją potężne tornado. Jednak tym razem, zamiast delikatnie wziąć ją na ręce, przerzucił ją sobie przez ramię; jej upokorzenie było tym większe, że odbyło się to przy akompaniamencie gromkich wiwatów załogi.

Jedną ręką zaparła się o jego plecy, drugą odgarnęła włosy sprzed oczu. Szukała w tłumie bodaj jednej przyjaznej osoby, kogoś, kto wziąłby ją z obronę.

Poznała człowieka, któremu cisnęła w twarz swoim obiadem pierwszego dnia pobytu na statku. Obok niego stał marynarz, którego w identyczny sposób potraktowała dzień później. Nieco dalej ten, który zajrzał do niej następnego dnia po południu, żeby zapytać, jak się czuła, a wychodząc dostał jej pantoflem w tył głowy. Mieli identyczne miny; najwyraźniej ich zdaniem dostała dokładnie to, na co sobie zasłużyła. Potem jednak zamajaczyło jej czyjeś życzliwe oblicze.

- Prorok! - krzyknęła w desperacji, kiedy Gray niósł ją przez pokład.

Prorok spojrział na nią ze współczuciem i potrząsnął głową, jakby chciał powiedzieć, że tym razem jest zdana sama na siebie.

Chwilę później oboje z Grayem znaleźli się w mroku korytarza. Bonnie zastanowiła się przelotnie, kiedy będzie jej dane ponownie zobaczyć słońce - a ściślej biorąc, czy będzie jej to dane. Gray był w białej gorączce, kto wie, co się z nią stanie?

- Co zamýślasz zrobić? - spytała zła, że głos się jej łamie, ale i dumna, że zdobyła się na to pytanie.

Gray nie odpowiedział. Kopniakiem otworzył drzwi kajuty, a kiedy znaleźli się w środku, zatrzasnął je w ten sam sposób, obutą stopą; huk, z jakim się zamknęły, wprawił Bonnie w dygot.

Zanim zdążyła bodaj mrugnąć okiem, Gray cisnął nią jak workiem ziemniaków. Skrzywiła się w oczekiwaniu na ból, ale miękki materac zamortyzował upadek.

Kiedy podniosła wzrok, Gray wisiał nad nią jak jakiś wielki skrzydlaty drapieżca. Szybko podniosła się na kolana, ale i tak był zbyt wysoki, żeby mogła mu spojrzeć prosto w oczy,

- Nie dotykaj mnie!

- W tej materii nie masz się czego obawiać. Nie tknąłbym cię, nawet gdybyś mnie o to błagała. - Jego słowa były ostre jak smagnięcie batem; miały zranić i cel swój osiągnęły nad podziw.

- Chcę wracać do domu! - zażądała. - Nie możesz mnie tu trzymać wbrew mojej woli!

- Zapominasz, że jestem kapitanem tego statku. Mogę wszystko, na co, psiakrew, mam tylko ochotę.

- Nie pozwolę, coby mnie tak traktowano!

- Czyli jak? Dawałem ci moje jedzenie, oddałem swoją kajutę... moje łóżko, - Ostatnie słowa wypowiedział ciszej, omiatając wzrokiem jej postać, boleśnie wręcz uświadamiając Bonnie, że mokre łąszki kleją się do jej ciała. A potem w pięknych stalowych oczach rozblysnął dziwny sarkazm. -Czego byś jeszcze chciała, moje ty kochanie?

Bonnie ręce wręcz świerzbiły, żeby czymś w niego cisnąć. Świetnie wiedziała, jaki podtekst krył się za tym uwodzicielskim, kpiącym pytaniem.

- Twojego serca na srebrnej tacy, ale najpierw musiałbyś je mieć!

Przytyk trafił celu z nieomylną precyzją. Spostrzegła, że policzek zaczyna mu dziwnie drgać.

- Życie to nie bajka, dziewczyno. Lepiej zacznij się do tego przyzwyczajać.

- Ano, a tyś jest bękart!

Oczy mu się zwięziły ledwie zauważalnie, jakby go uraziła, lecz jego odpowiedź, chłodna i obojętna, zdawała się temu przeczyć.

- Nigdy nie utrzymywałem, że jest inaczej.

- A ja wierzyłam, żeś ty nie mógł zabić Sarah... Bonnie przeklęła swój długi język; przez własną głupotę włożyła Grayowi w ręce obosieczny argument.

- Cóż za szokujące wyznanie - odezwał się sarkastycznym tonem. - Zastanawiam się tylko, skąd ten wcześniejszy przyпіływ wiary w moją niewinność?

- Co to ma teraz za znaczenie? - odpaliła ze złością. - Już po wszystkim. Uciekłeś.

- Po wszystkim? - Zaśmiał się gorzko. - Zabójca Sarah nadal jest na wolności... a mnie nigdy oficjalnie nie oczyszczono z zarzutów.

- Morderca Sarah nie ujdzie sprawiedliwości - powiedziała Bonnie z przekonaniem. - Nie spocznę, dopóki nie znajdę tego łotra, kimkolwiek jest.

- Kimkolwiek jest...? - Przyglądał się jej tak bacznie, że omal nie zaczęła się wiercić pod jego wzrokiem. A potem znienacka zmienił temat: - Nie pozwoliłabyś mnie powiesić, prawda?

Bonnie dobrze pamiętała, jak wiele razy chciała mu powiedzieć, co czuła: że nie wierzy, by miał na rękach krew Sarah - im stawali się sobie bliżsi, tym bardziej wydawało się jej to nie do pomyślenia - ale

nigdy nie było dobrej okazji. Teraz przed wyznaniem prawdy powstrzymał ją upór.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Tamtej nocy przyszłaś do mojej celi sama. Bez Selwyna.

Dlaczego?

- Był zajęty. - To kłamstwo nawet jej samej wydało się naciągane.

- Owszem, pilnowaniem mnie, oprócz tego jednego razu...

- No i co z tego? - Wzruszyła ramionami. - Potrafię sobie z tobą radzić bez niczyjej pomocy.

- W tej akurat kwestii mam nieco inne wspomnienia.

Wspomnienia Bonnie także przedstawiały się „nieco inaczej”, ale nie zamierzała przyznawać mu racji, pomimo tego, że miał nad nią przewagę praktycznie od chwili, w której przestąpiła progi jego celi z zamiarem dopomożenia mu w ucieczce... może nawet jeszcze wcześniej.

- Czy ja wiem, może dalej mąci ci się w głowie... Mocno cię wtedy walnęłam - odpaliła z szyderczym uśmiechem.

Skrzywił twarz na to przypomnienie.

- Kolejny argument przeciwko tobie, a jest ich niemało.

- I kolejny za tym, coby mnie wypuścić.

- Nie - powiedział cicho, z rozmysłem, i usiadł na łóżku obok dziewczyny. - Kolejny powód, żeby nie pozwolić ci odejść.

W chwili gdy noga Graya znalazła się w odległości jakiegoś cala od jej własnej, Bonnie dosłownie przestała oddychać. Musiała się

upomnieć w duchu, by znowu zaczerpnąć powietrza. Ten mężczyzna działał na nią w przedziwny sposób, nawet jeśli jej nie dotykał.

A potem zrobił coś, co kompletnie ją zaskoczyło. Trącił knykciami jej opuchnięty policzek.

- Boli? - spytał bez wcześniejszej złości.

Bonnie przewyciężyła ochotę, by przytulić twarz do jego dłoni, pozwolić, by odegnał cały ból. Jednak wpadała w tę pułapkę już wiele razy - zbyt wiele, by pozwolić sobie na kolejny błąd. Odsunęła się i skłamała:

- Nic mi nie jest.

Chciała, żeby sobie poszedł. Nawet to byłoby lepsze od dociekań, drażenia sekretów, których wołała nie zdradzać. Jeśli jednak czegokolwiek się o Grayu dowiedziała, to właśnie tego, że łatwo się nie poddawał.

- Dlaczego ode mnie uciekłaś? - spytał takim tonem, jakby jej dezercja dotknęła go osobiście. - Dobrze cię traktowałem, dawałem ci wszystko, czego chciałaś. Powiedziałem ci o brylancie... o moim ojcu.

Bonnie pragnęła nakrzyczeć na niego, prosić, żeby jej tego nie robił, żeby nie budził w niej uczuć, których istnienia tak usilnie się wypierała. Na samą myśl o tym, iż z jej winy prysła słaba więź, jaka między nimi się zadzierzgnęła, Bonnie czuła, że serce jej pęka.

- A czegoś się spodziewał? - spytała napastliwie; potrzebowała tego gniewu, by stworzyć dystans. - Toć mówiłam, że będę walczyła, żeś bezprawnie mnie ze sobą wziął, że muszę wracać do rodziny.

- Do Ewana, to chciałaś powiedzieć. - Twarz Graya nabrała wyrazu oschłości. - Myślisz o nim, kiedy cię dotykam, Bonnie? Wyobrażasz go sobie na moim miejscu?

Chciała zawołać: nie! Wyznać, że tylko o nim myśli podczas tych pełnych żaru godzin, kiedy tulił ją w ramionach. Coraz częściej rozmyślała o nim także i wtedy, kiedy nie było go przy niej.

- Dlaczego pytasz? Co to ma za znaczenie? Złapał ją za ramiona i potrząsnął nią.

- Odpowiedz, psiakrew!

- Nie! - krzyknęła. - Nie myślę o nim! Żaden mężczyzna nie dotykał mnie w taki sposób jak ty!

Parsknął, po trosze z niedowierzaniem, po trosze z obrzydzeniem, i puścił ją gwałtownie.

- Że też wierzyłem, że czymkolwiek się różnisz od innych kobiet... Ty jesteś niezdolna do wierności, niegodna zaufania. Nie ma w tobie ani krzty lojalności.

Bonnie zerwała się z łóżka.

- Nie wrzucaj mnie do jednego worka z całą resztą twoich kobiet!

- Ty, moja mała wiedźmo, zasługujesz na oddzielny worek. Przynajmniej tamte jasno stawiały sprawę, wiadomo było, czego chcą. Część szukała kogoś, kto będzie je utrzymywał, obrzucał prezentami, część chciała raz czy dwa porządnie wytarzać się na sianie.

Widziałem obłudę w ich oczach; była krystalicznie przejrzysta, tak samo jak lód, który miały w żyłach. Ale ty... - zaśmiał się dziwnie,

gardłowo - ty jedna zabiłaś mi porządnego ćwieka... a tego nie zrobił nikt oprócz...

- Twojej matki? - wpadła mu w słowo Bonnie, czując się okrutna i małoduszna, że porusza takie przykre dla niego sprawy.

Poderwał głowę i spojrzał na nią tak, jakby przytknęła mu do głowy rewolwer.

Dostrzegła w jego oczach ból. Nie wiedziała, dlaczego nagle ogarnia ją dziwna potrzeba zrozumienia, co go dręczy, wiedziała tylko, że zrozumieć to musi. I że jakkolwiek usilnie życzyłaby sobie, aby Gray był jej obojętny, niczego to nie zmieni.

- Wiem, że jej nienawidzisz.

- Nienawiść - wycedził - to łagodne słowo, kiedy mowa o mojej matce. Ale w końcu ludzkość nie wynalazła jeszcze takiego, które dokładnie oddawałoby to, co do niej czuję. Ale co to ma do rzeczy? To dobry moment, by powiedzieć, żebyś pilnowała swojego nosa, do jasnej cholery. Nie znasz mojej matki

- No to czemu mi o niej nie opowiesz?

- Odpuść sobie - syknął, a oczy mu zapłonęły.

- Jak to jest, że od innych żądasz tak wiele, a sam nie chcesz dać w zamian ani odrobiny?

- Daruj sobie te dociekania.

- Lubisz się nad sobą uzalać, w tym sęk, tak?

- Owszem, lubię. To chciałaś usłyszeć?

- Chcę prawdy.

- Od bękarta prawdy nie usłyszysz.

- Kpisz sobie ze mnie.



- Kto tu z kogo kpi? Myślisz, że jesteś jedyną osobą, która nazwała mnie bękartem?

- A kto jeszcze? Twoja matka?

- Między innymi. Teraz jesteś zadowolona?

- Więc jak, była dla ciebie okrutna? Zamykała cię w szafie? Biła pasem? Mówiła, że jej życie bez ciebie byłoby lepsze?

Policzki mu zadrgały.

- Daj temu spokój.

- A może to z tobą było coś nie tak? - dociekała, ignorując ciche ostrzeżenie, które wyczytała w jego twarzy. - Byłeś niedobrym dzieckiem? Krzyczałeś i tupąłeś nogą, kiedy nie chciała ci na coś pozwolić?

- Skończ już, Bonnie - uciał.

Wyraz jego twarzy zawierał w sobie tak czytelną groźbę, że niemal się nie poddała, gdyby jednak przestała drażnić, mogłaby nigdy nie poznać odpowiedzi, na której tak bardzo jej zależało.

- Może nie mogłeś nic zrobić, coby była inna. Siebie winisz za to, że ona nie była zdolna do miłości?

- Dość! - ryknął i zerwał się z łóżka.

Brutalnie popchnął ją i całym ciałem przyszpilił do ściany; dwieście funtów czystej furii, spopielającej ją swoim żarem. Mimo to Bonnie pragnęła jedynie opleść się wokół niego, uleczyć ból, który sprawiła nieprzemyślanymi słowami. Pomyślała, że to, co zamierza, jest chore. Szalone. Ale nie mogła się powstrzymać.

- Co ona ci zrobiła?

- Psiakrew! Nie doprowadzaj mnie do ostateczności! - Trzasnął ręką o ścianę tuż koło jej głowy z taką siłą, że zatrzęsała się cała kajuta.

- Powiedz mi!

- Nie!

- Powiedz!

Gwałtownie uniósł rękę, jakby chciał ją uderzyć; udreńczony wyraz jego oczu sprawiał, że pękało jej serce. Jęknął głucho i zatoczył się w tył, po czym odwrócił do niej plecami. W tej samej chwili Bonnie uprzytomniła sobie, że role się odwróciły. Gray nie był już dręczycielem.

Dręczycielką była ona sama.

Delikatnie położyła rękę na jego ramieniu.

- Gray...

Jak oparzony strząsnął z siebie jej dłoń i odsunął się jeszcze dalej.

- Nie... - wycedził.

Zasłużyła na jego pogardę. Potraktowała go o wiele gorzej, niż on kiedykolwiek traktował ją.

- Przepraszam, że wspomniała o twojej matce. Miałaś rację. Wiem o niej tyle, co nic... ale może chciałabym... może chciałabym wiedzieć jak najwięcej po to, co by zrozumieć ciebie, co tobą kieruje. - Napięły mu się mięśnie ramion, ale milczał uparcie. - Czasem mam przez ciebie zupełny mętlik w głowie... przez nikogo się tak nie czułam.

Kolejna chwila upłynęła w całkowitej ciszy i Bonnie pomyślała, że Grayowi milczenie będzie tylko na rękę, ale nagle odezwał się ledwie słyszalnie:

- Może to ty przyprawiasz mnie o mętlik w głowie. Takiego wyznania Bonnie przenigdy nie spodziewała się od tego człowieka usłyszeć. Był zbyt silny, zbyt dumny, by przyznać się do swoich słabości. Szczerść, na którą zdobył się z takim trudem, dowodziła siły, kolejnej cechy, za którą Bonnie szczerze go podziwiała.

Podeszła do niego z wahaniem. Dopuściła do siebie wspomnienie, które od dawna spychała na samo dno pamięci, wspomnienie, które gotowa była wyjawic, gdyby dzięki temu Gray mógł się wreszcie przed nią otworzyć.

- Moja matka zmarła, kiedy wydawała mnie na świat - powiedziała, czując znajomy ucisk w okolicy piersi, który pojawiał się, ilekroć wracała myślami do przeszłości. - Komplikacje podczas porodu... przynajmniej tak mi powiedziano, kiedy byłam dość duża, coby zrozumieć, dlaczego inne dzieci mają mamę, a ja nie. Nikt wprost nie winił mnie za jej śmierć, ale i tak żem się czuła wszystkiemu winna. I taka nieszczęśliwa, że nawet jej nie znałam. Jaka była, wiedziałam tylko z opowiadań braci. Zazdrościłam im, bo ją pamiętali, a ja nie miałam tego szczęścia.

Bonnie nie oczekiwała współczucia od Graya, nie po tym, jak się zachowała, on jednak powiedział cicho:

- Musiało ci być niełatwo.

Wzruszyła ramionami.

- Nie było tak źle. Nauczyłam się rzeczy, których większość dziewcząt nie potrafi. Jak przetrwać, jak walczyć o to, czego chcę. -  
Chociaż czasem czuła się tak, jakby ta walka nie miała końca, jakby każdego dnia musiała toczyć bój o akceptację.

To, że dorastała w otoczeniu samych mężczyzn - szkockich górali, którzy żyli wedle prawa ziemi, twardych mężczyzn, którzy uważali, że powinni ją rozpieszczać i traktować inaczej, bo była kobietą - sprawiło, że chciała udowodnić, że jest równie dobra jak oni albo i lepsza. Tym samym jednak niepostrzeżenie zatraciła część siebie, zagubiła swoją kobiecość, choć było to wszystko, co bodaj odrobinę łączyło ją z matką.

- Mówię to, bo chcę, żebyś zrozumiał jedną rzecz. Wiele lat upłynęło, zanim żem pojęła, że to nie moja wina, że mama umarła, że tak bardzo jestem do niej podobna i że ciągle przypominałam ojcu o tym, co utracił. Nie chciałam, żeby przeze mnie cierpiał, ale mimo to czułam się winna, przeklinałam moje włosy, moje oczy... wszystko to, co nie pozwalało ojcu mnie pokochać. Zrobiłabym wszystko, żeby to zmienić. - I zrobiła. Żeby zrobić malusieńki wyłom w ojcowskim sercu, zgodziła się na małżeństwo z Ewanem Cameronem.

- Był głupcem, jeśli nie cieszył się z tego, że jego córka wyrasta na taką piękną kobietę - powiedział Gray niewyraźnie.

W Bonnie rozspiewało się serce. Gray, kiedy tego chciał, potrafił sprawiać, że czuła się jak najbardziej wyjątkowa istota na świecie - nawet wtedy, kiedy w swoim przekonaniu na to nie zasługiwała. To był jego szczególny dar, tym najbardziej ją oczarował. W owej chwili

jego grzechy nie wydawały się już takie wielkie, przepaść między nimi taka rozległa... jej pożądanie dla niego takie złe.

- A ja nie sędzę, coby twoja matka rozumiała, na jak wspaniałego żeś wyrósł człowieka.

Jej słowa, zamiast podnieść Graya na duchu, sprawiły, że w jego oczach znowu pojawił się wyraz napięcia, usta mu się zacisnęły; znowu wydawał się daleki.

Odsunął się od Bonnie.

- Musisz zdjąć z siebie te mokre łaszki i przebrać się w coś suchego, zanim się rozchorujesz - rzucił sucho. Potem okręcił się na pięcie i wypadł z kajuty. I to był koniec. Rozmowy, poczucia bliskości, procesu wzajemnego poznawania się.

Gojenia ran.

Atmosfera milczącego wyczekiwania na to, co przyniesie kolejny etap podróży, przysła cztery dni później, w chwili gdy przez pokład poniósł się gromki jak wystrzał okrzyk:

- Statek na sterburcie!

Wołanie wytrąciło Graya ze stanu oszołomienia; uświadomił sobie, że bezwiednie gapił się na Bonnie, która stała na rufie obok Proroka. Całkowicie go pochłaniał każdy jej gest. Napawał się sposobem, w jaki poruszały się jej usta, kiedy mówiła, tym, jak w zawstydzeniu przysłaniała oczy rzesami, jej perlistym śmiechem piękniejszym od śpiewu słowika.

Zastanowił się przelotnie, kiedy złowieszcza zapowiedź jego zguby niepostrzeżenie zmieniła się w rzeczywistość, kiedy pożądanie, jakie Bonnie w nim budziła, przerodziło się w osobliwą tęsknotę nie tyle za jej ponętym ciałem, co za nią samą.

Od czasu gdy wyrwał ją z łap tamtego zbira - a przy okazji upuścił mu nieco krwi - z całych sił próbował zachowywać się tak, jakby nie dostrzegał jej istnienia; przeprowadził się nawet do kwater Proroka, bo bał się, że gdyby pozostał w swojej kajucie, bliskość Bonnie zbytnio nęciłaby go do zwierzeń; niewiele brakowało, by wszystko jej o sobie opowiedział tamtego dnia, kiedy rozmawiali o jego matce. Za bardzo się do niej zbliżył i pozwolił, by to przesłoniło mu cel jego wyprawy.

Nie mógł sobie pozwolić na roztargnienie. Za chwilową nawet nieuwagę albo błędną decyzję mogli życiem zapłacić jego ludzie. W końcu płynęli teraz po niebezpiecznych wodach, na których panoszyli się piraci, zabijający jeńców dla zwykłej rozrywki.

Mamrocząc pod nosem, schwycił lunetę i ponownie spojrzął na obcy statek; wyłonił się z dziwnej mgły, na którą co rusz natykali się od samego ranka.

Z tej odległości nie było wiele widać, toteż nie umiał powiedzieć, czy to zwykły bryg z towarami, czy piracki statek szykujący się do abordażu...

Czy też bracia Bonnie.

Dlaczego ta ostatnia możliwość najbardziej nim wstrząsnęła? Wolał się nad tym nie zastanawiać. Cokolwiek zamyślała niewidoczna załoga, Bonnie zostanie na „Revenge” tak długo, aż Gray nie zdobędzie się na tę cholerną grzeczność, żeby oddać ją z własnej woli.

Wiedział, kiedy do niego podeszła. Prorok nie odstępował jej, zupełnie jakby wymagała opieki, jakby nie była w stanie całkowicie rozbroić każdego mężczyzny, i to na wiele sposobów. Ta ostatnia myśl irytowała Graya bezbrzeżnie.

- Co to za jedni, mój chłopcze? - spytał Prorok, wpychając się bezczelnie między Graya a Bonnie; ewidentnie starał się ich rozdzielać w obawie przed nową scysją.

- A na kogo ja wyglądam? - warknął Gray. - Na wrózkę, do ciężkiej cholery? - Chryste, oto odpowiedź godna rozsądnego człowieka. Teraz i Prorok, i Bonnie wytrzeszczali na niego oczy, jakby do reszty oszalał, do czego ich zdaniem zapewne niewiele było

trzeba. - Miejmy nadzieję, że popłyną dalej i obejdzie się bez żadnych incydentów.

Wyczytywał w oczach Bonnie nieme pytanie, czy to jej bracia, czy przybyli, żeby ją uratować. Ale prędzej diabli by go porwali, niż oddałby ją bez walki.

Boże, pomyślał półprzytomnie, odeszłaby od niego przy pierwszej okazji. Wprawdzie pozwoliła mu się dotykać tak, jak żadnemu innemu mężczyźnie, ale nie znaczyło to, że chciała z nim zostać, że potrafiłaby się zmienić - albo że on by potrafił.

Zostać z nim? Dobry Boże, gdzie on podział głowę? Ich więź była zaledwie tymczasowym układem zrodzonym z konieczności, ewentualnie skutkiem jego wybujałej żądz, niczym więcej. Sekunda wystarczyła, by dał się oczarować oczom tej dziewczyny, jej ustom... temu, jak umiała wejrzeć w jego duszę. Ukoić, nawet jeśli się przed tym bronił.

Niebezpieczna. Oto jak należało określić tę dziewczynę. Psiakrew, zbyt niebezpieczna jak na jego gust.

Gray zmusił się, by odsunąć od siebie tę myśl. Wprawdzie nie umiał być obojętny wobec Bonnie, ale nie zamierzał odpowiadać na pytanie, które wyczytywał w jej wzroku. Odwrócił się do niej plecami i zaczął ponownie przyglądać się tajemniczemu statkowi. Tymczasem mgła się podniosła. Na widok tego, co się dotąd za nią kryło, Gray zachwiał się na nogach.

- Kurcze blade... niemożliwe.
- Co jest? - zaniepokoił się Prorok.



Zamiast pokusić się o wyjaśnienie, Gray ponownie podniósł lunetę; czuł, że ma na twarzy wyraz głupawego zdumienia, ale, do ciężkiego licha, guzik mógł na to poradzić.

Nie odrywając oczu od majaczącego w oddali statku, podał lunetę Prorokowi. Ten przytknął ją na moment do oka i niemal natychmiast odsunął. Minę miał zbaraniałą.

- Dobry Boże... - jęknął, po czym potarł oczy, jakby go rozbolewały. Następnie znowu przycisnął do jednego lunetę.

- Co się stało? - spytała Bonnie w zapadłym nagle głuchym milczeniu.

Prorok machinalnym gestem podał jej lunetę. Bonnie uniosła ją z wahaniem i zaczęła szukać wzrokiem czegoś, co mogłoby obu mężczyzn tak zbulwersować.

Nie dopatrzyła się niczego nadzwyczajnego w kołyszącej się na falach dwumasztowej brygantynie. Białe żagle łopotały poruszane bryzą, wszystko wydawało się normalne oprócz tego, że...

- A gdzie załoga? - Nie można było zauważyć ani jednej osoby; opustoszały pokład czynił zaiste przedziwne wrażenie. Bonnie poczuła niepokój. Zerknęła na Proroka, potem na Graya; obaj wyglądali na wstrząśniętych. - No gdzie? - zniecierpliwiła się w końcu.

Gray zwrócił twarz w kierunku dziewczyny, ale spojrzenie miał nieobecne.

- Zapewne nie żyje.

- Nie żyje? - Krew uciekła jej z twarzy. - Nie rozumiem. Jak to?

- To „Mary Celeste”.

- No i co z tego? - spytała, bo znowu umilkł.

- A to, że „Mary Celeste” ostatnio widziano płynącą na wschód z Nowego Jorku... przed ośmiu laty.

Bonnie zamrugła.

- Przed ośmiu laty?

- Nie wróciła. Po prostu... znikła. Uznano, że statek zaginął na morzu, a cała załoga utonęła.

Bonnie nadal nie rozumiała, co Gray chciał przez to powiedzieć, ale dalsze wyjaśnienia okazały się zbędne. Szmerek pośród załogi zaczął potęgnić, podawane z ust do ust słowa docierały do świadomości dziewczyny, wprawiając ją w stan odrętwienia. Zdało się jej nagle, że od statku wionie zimnem.

- Statek widmo...

- Nawiedzony...

- Zły omen...

Na tę ostatnią uwagę dreszcz przebiegł dziewczynie po plecach. Jej złe przeczucia jeszcze się wzmogły.

Miała wrażenie, że ktoś ich obserwuje - zupełnie jakby przyglądał się im sam statek, jakby „Mary Celeste” czekała na nich, jak pająk czatuje na muchę.

- Klątwa - wymamrotał Prorok zdławionym głosem, jakiego u niego Bonnie dotąd nie słyszała.

- Klątwa? - Niepokój Bonnie podwoił się. - Jaka klątwa? Gray oparł się ciężko o kabestan i przegarnął palcami zwichrzone włosy.

- Myślałem, że to zwykłe bajdy - odezwał się bardziej do siebie niż do niej. - Ale ta mgła... statek... wszystko tak, jak mówili.

- Czy ktoś raczy wreszcie mi wyjaśnić, o co chodzi? - upomniała się Bonnie. Ogarniał ją coraz większy lęk.

Gray poruszył się niespokojnie, jakby dopiero teraz przypomniał sobie o jej istnieniu.

- Nie przypuszczałem, że to wszystko prawda.

- Ale co?

- Mój ojciec nie był pierwszym człowiekiem, który dowiedział się o zaginionej wyspie - zaczął dość niejasno, jakby zależało mu na pominięciu pewnych faktów. - Opowieści o niej krążą od wielu wieków, choć właściwie nikt nie traktował ich poważnie. Uważano raczej, że to zwykła legenda.

- Portugalski folklor - Prorok podjął urwany wątek. - Mało zresztą znany. Ja co nieco słyszałem, bom przez całe lata mieszkał w Montalegre. Jak żem ci opowiadał o moim spotkaniu z ojcem Graya, wołałem parę spraw przemilczeć. Widzisz, on przyплыł do Portugalii przed wielu laty, coby lepiej zrozumieć opowieść o mitycznym kamieniu znanym jako...

- „Święte serce”? - wpadła mu w słowo Bonnie. Prorok wydawał się nieco zaskoczony jej uwagą, jakby nie

spodziewał się, że będzie cokolwiek wiedziała. Zerknął ukradkiem na Graya, który zrobił smętną miną i odwrócił twarz.

- Ano - potaknął Prorok. - „Święte serce”. Z początku wierzyć mi się nie chciało, coby w ręce tego poczciwego, skromnego człowieka mogła trafić autentyczna mapa. Że to może być klucz do odnalezienia dziesiątej wyspy archipelagu Azorów. Ale na nic moje

tłumaczenia: hrabia był pewny, że stoi u progu zdumiewającego odkrycia.

- Marzyciel - rzucił cicho Gray, a Bonnie przypomniała sobie wszystko, co mimochodem wspomniał dotąd o swoim ojcu.

Nie, nie marzyciel, chłopcze - poprawił Prorok. - Człowiek z misją, z przekonaniami.

Bonnie nie zamierzała pytać, co powstrzymało ojca Graya od doprowadzenia poszukiwań do końca. Już to wiedziała. Jego żona. Ten temat był jak puszka Pandory i Bonnie nie zamierzała uchylać jej wieka. A gdyby nawet miała na to ochotę, Gray i tak przestał już ją dostrzegać. Wpatrywał się przed siebie niewidzącym wzrokiem i wydawał się taki daleki, jakby znalazł się dziesiątki mil stąd, jakby był lepszy od niej, od nich wszystkich.

- W legendzie pojawia się wątek klątwy - podjął Prorok -Może właśnie dlatego to podanie przetrwało. Wyspiarze, ludek pobożny, ale i przesądny, przypisywali wszystkie nieszczęścia i kataklizmy na obszarze archipelagu jej działaniu.

- A co to za klątwa? - spytała Bonnie, niepewna, czy naprawdę chce się tego dowiedzieć.

- To dość prosta sprawa. Wszystkich, którzy spróbują odnaleźć wyspę, czeka śmierć.

Bonnie poczuła się bezpieczna dopiero wtedy, gdy zaszyła się w kajucie Graya. Leżała teraz w wannie, z mokrymi włosami zwieszającymi się za jej krawędź i kładącymi się na podłodze, w wodzie, która dawno zdażyła już wystygnąć, i biła się z myślami.

Chociaż broniła się przed tym, jak mogła, bez końca rozpamiętywała zdarzenia z popołudnia, wszystko, czego się dowiedziała o kamieniu i kłątwie. Przed oczami ciągle jej stał obraz widmowej „Mary Celeste”.

Niezwykłe żywo pamiętała moment, w którym wiatr niespodziewanie się zmienił i na powrót zasnuł wodę tumanem mgły, całkowicie przesłaniając statek. Załoga „Revenge” przyglądała się temu bez słowa, po czym wywiązała się gorąca, acz prowadzona przyciszonym głosem dyskusja.

Bonnie dostała gęziej skórki, ale nie była to wyłącznie sprawka chłodnej kąpieli. Wstała i z zamkniętymi oczami rozkoszowała się ostatnimi kroplami wody spływającymi po skórze, zasłuchana w znajome, ciche trzeszczenie statku, które ukołysało ją i wprowadziło w stan głębokiego odprężenia. Być może właśnie dlatego nie usłyszała otwierających się drzwi.

Gray nie był pewny, czy to jawa, czy też może raczej królestwo sennych widziadeł, które co noc zjawiały się, by go dręczyć od czasu, gdy wyniósł się ze swojej kajuty w naiwnym przeświadczeniu, że jeśli tylko nie będzie widział Bonnie, przestanie o niej snić.

Jakże się mylił.

Zamykając cicho drzwi, żeby nie spłoszyć zastygłej w bezruchu dziewczyny, uświadomił sobie, że żaden sen nie mógłby być tak realny, taki doskonały.

Wyglądała jak nimfa, która wychynęła właśnie spomiędzy pokrytych rosą płatków róży, wyprostowana, lśniąca od wody, o perłowej skórze tak promiennej, jakby biło od niej światło. Ciało

miała pełne bujnych krągłości, acz rozkosznie smukłe, jędrne, a zarazem dojrzałe.

Żądza odezwała się w nim tak gwałtownie, że poczuł się, jakby ktoś rąbnął go obuchem między oczy. Jedyna myśl, jaka kołatała mu pod czaszką, nie dotyczyła tego, że powinien okręcić się na pięcie i wyjść, mamrocząc pod nosem przeprosiny, że nie zapukał. Bliższa była przeświadczeniu, że chyba zabiłby każdego, kto ośmieliłby się przeszkodzić mu w oglądaniu tego czarodziejskiego zjawiska.

Z oszołomienia wyrwał go okrzyk przestachu. Kiedy gwałtownie podniósł głowę, jego spojrzenie zderzyło się ze wzrokiem Bonnie. Przypuszczał, że dziewczyna wyskoczy z wanny i zakryje się pierwszą rzeczą, jaka nawinie się jej pod rękę, następnie uraczy go wiązką przekleństw barwnie oddających jej poglądy w kwestii tego, za jaką lubieżną świnię go uważa, że gdyby był dżentelmenem, mógłby się przynajmniej odwrócić i nie odzierać jej z chwili prywatności.

Nigdy jednak nie podawał się za dżentelmena.

- Pomyślałem, że mogłabyś mieć ochotę na spacer - odezwał się zdziwiony, że pomimo podniecenia udało mu się powiedzieć coś w miarę sensownego.

Kiedy szedł do Bonnie, zależało mu tylko na rozmowie. Chciał rozproszyc obawy, jakimi mogły ją napelniać dzisiejsze przeżycia, tym bardziej że znajdowali się tak blisko zaginionej wyspy - jeśli jego obliczenia okażą się dokładne. Jednak chęć rozmowy przesunęła się raptem na drugi plan wobec tego nieoczekiwanego i mile widzianego zwrotu wydarzeń.

- Czy możesz mi podać ręcznik? - Nie powiedziała nic więcej. Żadnych pisków. Żadnych panięskich rumieńców. Żadnego wstydliwego zakrywania się po samą szyję.

Stała przed nim niczym pogańska boginka, nieskrępowana w swojej cudnej nagości, z kropelkami wody iskrzącymi się na piersiach, eteryczna i świetlista. Zapragnął przypomnieć sobie smak jej skóry, doskonale bowiem pamiętał - w stopniu, który przyprawiał go o niemały fizyczny dyskomfort - namiętność, którą czuł, trzymając ją w ramionach... zanim Bonnie od niego uciekła.

Nie dotykał jej od tamtej pory... zastanawiał się tylko, czy tęskniła za jego dotykiem tak samo, jak on tęsknił do jej ciała. Wszystkie misterne plany i intrygi, które snuł w myśli, szukając sposobu, by gorzko zapłaciła za swoją zdradę, skutkowały jednym.

To on cierpiał.

Unikanie towarzystwa Bonnie nie powstrzymało Graya od rozpamiętywania każdego rozkosznego cała jej ciała, ledwie późnym wieczorem zamykał oczy. Wspomnienia wryły mu się w mózg, jakby ktoś wypalił je rozgrzanym do białości żelazem.

Chwycił lniany ręcznik przewieszony przez krzesło. Niepewnie zrobił pierwszy krok ku Bonnie. Równie niepewnie drugi. I nagle zachwiał się, wstrząśnięty, bo poczynił pewną potworną wręcz konstatację.

Dygotał. Trząśł się cały. On. Czarodziej. Mistrz finezji. Statutowy członek Tripple Threat\*, król aktorów. Bękart czy nie.

*\* Tripple Threat Academy - akademia teatralna w Londynie, specjalizująca się w musicalach, oferująca zajęcia z aktorstwa, śpiewu i tańca (przyp. tłum.).*

- Dasz mi ten ręcznik? - spytała ponownie.

-Ee?

- Ręcznik. - Wskazała ręką.

- Aaa... ręcznik. - Zręczna zagrywka, Sinclair. Bardzo zręczna.

Sterczeć jak kołek i gapić się z lubieżną miną. Czyż można lepiej?

Z trudem przełknął ślinę i podszedł do wanny - i Bonnie. Wolał na nią nie patrzeć, nie widzieć jej twarzy, piersi, pępka, ciemnego trójkąta u zbiegu ud.

Jęknął w duchu i zabronił sobie analizowania pięknego zjawiska, jakie dane mu było ujrzeć. Przysiągł sobie, że nie będzie rozmyślał o kropelkach wody pieszczących skórę dziewczyny, spływających kusząco po jej nagim ciele.

Bonnie uśmiechnęła się pod nosem, Widząc zakłopotanie Graya. Jego zdenerwowanie uśmierzało nieco jej własne, choć nadal miała Wrażenie, że w jej brzuchu lata z trzepotem skrzydełek rój motyli. Jak zawsze, kiedy Gray był blisko.

W pierwszej chwili zastanowiła się przelotnie, czy nie powinna schronić się przed jego wzrokiem, lecz ta myśl znikła równie szybko, jak się pojawiła. Gray nieraz oglądał już jej ciało, znał każdy jego cal - poznał je zresztą nie tylko oczami. Tak bardzo tęskniła za tym, żeby jej dotykał, co noc umierała niemal z tej tęsknoty, leżąc samotnie w łóżku - tak samo, jak i w tej chwili.



Z czołem zroszonym kropelkami potu zbliżał się do niej z miną skazańca, który idzie na spotkanie z katem. Rzucił jej ręcznik i wbił oczy w skrawek podłogi.

Bonnie czuła się jak kusicielka. Krew coraz szybciej krążyła jej w żyłach i coraz bardziej pragnęła tego pięknego, rozczulającego, po chłopięcemu wrażliwego mężczyzny. Chciała, żeby jej dotknął.

- Mógłbyś mnie wytrzeć?

Początkowo przypuszczała, że jej nie usłyszał, choć stał w odległości mniejszej niż dwie stopy. Potem powoli podniósł wzrok i z cieniem niechęci odwzajemnił jej spojrzenie.

- Wytrzeć? - szepnął ochryple.

- Proszę.

Nie ruszył się z miejsca, a Bonnie natychmiast opadły wątpliwości. Może już jej nie pragnął. Tak pieczołowicie jej unikał od owego feralnego dnia, kiedy na rękach wyniósł ją z doków w Lizbonie. Ale dotąd przypisywała jego nagły chłód temu, że nadal nie wybaczył jej ucieczki.

Jednak możliwe, że próba wyrwania się z jego rąk stworzyła między nimi jeszcze większą przepaść. Bonnie aż nazbyt dobrze wiedziała, ile wycierpiał z powodu kobiecej zdrady, i rozumiała, że właśnie tak pojmował to, co zrobiła - jako zdradę. Ta myśl przyniosła ze sobą dojmujący smutek, który sprawił, że motyle stuliły skrzydełka i znikły, pozostawiając jedynie przygnębiającą pustkę.

Zawstydzona i zażenowana własną śmiałością, Bonnie wyszła z wanny i zaczęła się wycierać. Gray wyjął jej ręcznik z dłoni. Potem padł przed nią na kolana, z pochyloną głową, w niemal modlitewnej

pozie. Uczucie pustki powoli zniknęło, a serce dziewczyny wypełniło się słodyczą i tkliwością.

Pierwsze dotknięcie ręcznika na łydce sprawiło, że rozkoszne ciepło zaczęło promieniować na całe ciało dziewczyny. Zamknęła oczy i napawała się przyjemną szorstkością materiału na skórze, muśnięciami dłoni Graya.

Zadrzała, gdy półsennie, staranne ruchy, jakimi ją wycierał w najwyższym skupieniu, przeniosły się wyżej. Nigdy by nie pomyślała, że jej skóra może być aż tak wrażliwa na dotyk.

Bonnie wstrzymała oddech pełna wyczekiwania; Gray delikatnie osuszał ręcznikiem jej uda, uważając, by nie pozostał ani skrawek wilgotnej skóry. Przesuwał się w górę z metodycznością, która doprowadzała ją do szaleństwa.

Omam nie zemdlam, kiedy jego palce otarły się o dół jej brzucha. Stała, napinając wszystkie mięśnie, czekając... pragnąc...

Ale on wycierał ją dalej, nie podejmując ani jednej próby nawiązania bardziej zmysłowego kontaktu. Dlaczego nie chciał jej pieścić? Czyżby naprawdę przestał jej pożądać? Bonnie ogarnęła rozpacz. Wyobraźnia ze złośliwą satysfakcją podsuwała jej kolejne powody do obaw.

Kiedy jednak Gray wstał i wyprostował się tak, że zobaczyła wreszcie jego twarz, wiedziała, że dręczyła się niepotrzebnie. Zaciśnięte usta otaczała sieć zmarszczek świadczących o tym, ile w nim było napięcia, jak trudna toczyła się w nim walka, cała postawa zdradzała, jak desperacko starał się nad sobą panować. Odczuła tak wielką ulgę, że omam się nie roześmiała.

W jego twarzy było tyle skupienia, że zapragnęła pogłaskać go po policzku, odgarnąć mu włosy z czoła. Ale w tej samej chwili rącznik otarł się o jej sutek i musiała przygryźć usta, żeby nie jęknąć z rozkoszy. Marzyła o tym, by jej dotknął, by całował ją po piersiach tak, jak czynił to każdej nocy w czasach, o których myślała teraz jak o zamierzchłej przeszłości.

- Gray - wyszeptała z trudem; pokój zdawał się ożywać pod wpływem jej głosu.

Podniósł na nią oczy, teraz czarne i tak płonące, że oddech uwiązał jej w krtani i nie mogła oddychać. Kiedy pochylił twarz, czekała drżąca, niecierpliwa na pocałunek, by omal nie podskoczyć, kiedy ciszę przerwało natrętne pukanie do drzwi.

Gray zaklął z wściekłością pod nosem.

- Czego, psiakrew?

- Szybko, kapitanie... Wyspa... już ją widać. Znaleźliśmy ją!

Gray znieruchomiał. Wyraz jego twarzy zdradzał, że mimo pozornej pewności miał wątpliwości co do tego, czy zaginiona wyspa istnieje.

- Znaleźliśmy ją... - wymamrotał, jakby potrzebował usłyszeć te słowa z własnych ust, by uwierzyć w to, co już zostało potwierdzone. Z pośpiechem zerknął na dziewczynę: -Bonnie, ja...

Przycisnęła palec do jego warg.

- Idź. Zaraz do was dojdę.

Obdarzył ją chłopięcym uśmiechem, ucałował krótko w usta i pomknął ku drzwiom. Bonnie patrzyła, jak zamyka je za sobą z

wyraźnym żalem, i pomyślała, że coś się kończy. Gray odnalazł swoją wyspę.

Podeszła powoli do bulaja i zapatrzyła się w horyzont. Zapadał zmrok. Niebo oblekło się paletą żywych pastelowych barw, malując grzbiety fal różem, błękitem i rozmaitymi odcieniami złota.

Nagle dostrzegła w oddali jakiś malusieńki kontur, potem majestatyczny ciemny szczyt wyłaniający się z wody, jakby utkany z tej samej lepkiej, gęstej mgły, która po południu otulała szczelnie statek widmo. Znowu ogarnął ją niepokój, wróciły złe przeczucia.

Kiedy zaś odeszła od bulaja, żeby się ubrać, cisza, niczym w lamencie nie z tego świata, zdawała się rozbrzmiewać jednym słowem:

Klątwa.

Pierwsza fala uderzyła w kadłub po nawietrznej o trzeciej nad ranem.

Okrętowy dzwon wybił godzinę zaledwie chwilę wcześniej, wyrrywając Bonnie z niespokojnego snu, zlaną zimnym potem. Ocknęła się z poczuciem, że niebezpieczeństwo czai się tuż-tuż.

Brutalna siła uderzenia omal nie zrzuciła jej z koi. W ostatniej chwili przytrzymała się drewnianego słupa, statek bowiem przechylił się gwałtownie. Pospadało wszystko, co nie było przytwierdzone na stałe.

Niebo rozdarła błyskawica. Przez bulaj widać było ścianę zacinających ukośnie strug deszczu, jakby ktoś ciskał w morze tysiącem szklanych noży, wiatr jęczał jak żywa istota, a jego wycie było tak donośne, iż nieomal wydawało się Bonnie namacalne.

Zdławiony krzyk wyrwał się jej z ust, kiedy przez kajutę przeszła ciemna postać - niczym zjawa, dla której ściany nie stanowią żadnej przeszkody. Niespodzianie na ułamek sekundy wewnątrz pomieszczenia rozjaśnił blask księżyca. Bonnie ujrzała przelotnie twarz ducha i omal się nie rozpląkała z ulgi: Gray.

- Nie bój się - powiedział, objął ją za ramiona i przytulił mocno. Uspokoila się trochę, lecz w tej samej chwili następna fala dźwignęła statek do góry na swoim grzbiecie, po czym z zawrotną prędkością cisnęła nim w dół,

- Co się dzieje? - spytała z przerażeniem, zawisając oczyma na twarzy Graya. Usta miał zaciśnięte, w oczach powagę, która przeraziła ją jeszcze bardziej.

- Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. - Z roztargnieniem cmoknął ją w czoło i delikatnie wyplątał się z zaciśniętych kurczowo ramion dziewczyny. - Po prostu nie ruszaj się stąd i umocuj wszystko, co się da, żeby nie pospadało. -Kierując się ku wyjściu, podniósł poniewierającą się na ziemi koszulę. W progu powtórzył jeszcze raz: - Nie ruszaj się stąd. - Po czym pochłonął go mrok korytarza.

Bonnie została sama.

Gwałtownie zerwała się z koi. Wiatr uderzył z nieziemskim jakimś wyciem, drewniany kadłub zajęczał złowieszczo, naprężył pod wściekłym naporem sztormu, który pojawił się dosłownie znikąd. Złowrogie słowo „klątwa” zdawało się wisieć w powietrzu.

Kolejna fala rzuciła dziewczyną o ścianę. Bonnie rąbnęła o nią plecami z siłą, która wycisnęła jej powietrze z płuc. Walcząc z gwałtownym kołysaniem, zacisnęła palce na ramie bulaja z taką siłą, że pobieleły jej knykcie. Z przerażeniem obserwowała kotłujący się żywioł, który niczym wściekła bestia miotał statkiem jak zabawką.

Deszcz rozbryzgiwał się p szybę z coraz większym impetem. Sztorm potężniał z każdą chwilą, wzburzone fale rosły w monstrialne grzywacze, zmieniając spokojny tak niedawno ocean w siejącą spustoszenie kipieli.

Ich drogi nie oświetlał ani jeden promień księżyca. Było zupełnie tak, jakby wessał ich ogromny wirujący lej, skazując statek

na bezsilną, szaleńczą szamotaninę w odmętach. Czas stanął w miejscu, pozostał jedynie sztorm i spowijające świat ciemności.

Sztynna ze strachu Bonnie opadła ciężko na koję i chwyciła za jej krawędź, jakby od tego zależało jej życie. Próbowiła się skoncentrować na oddechu, żeby uśmierzyć lęk, który w niej narastał z każdym pełnym wściekłości uderzeniem wody o kadłub.

Była przerażona. Kurczowo uczepiła się myśli, że na pokładzie na pewno przydałyby się dwie dodatkowe ręce. Bonnie zaś gotowa była uczynić wszystko, byle mieć jakieś zajęcie i nie myśleć o tym, co ich czeka.

„Nie ruszaj się stąd”. Gray ją ostrzegał.

Ale nie mogła go posłuchać.

Chwyciła lampkę, która przesuwiała się po podłodze i z grzechotem obijała o ściany, po czym spróbowała ją zapalić. Knot zgasł ze trzy razy, nim jej się to w końcu udało, bo drżące ręce nie czyniły zadania łatwiejszym. Jak strzała śmignęła ku drzwiom i otworzyła je na oścież. Lodowata woda zalała jej bosc stopy. Ze zgrozą pomyślała tylko: idziemy na dno!

Nigdy dotąd nie czuła takiego potwornego strachu. Ale, na miły Bóg, teraz się bała, bała się, że umrze, choć dopiero zaczynała cieszyć się życiem. Jediną myślą, jaka kołatała jej w głowie, było odnaleźć Graya.

Statek kołysał się dziko na boki i nurkował dziobem we wzburzony ocean. Obijając się o ściany, dziewczyna mozolnie przedzierała się przez korytarz. Płomyk lampki migotał w silnym przeciągu, docierały do niej zdławione męskie głosy, choć nie

potrafiła wyłowić ani jednego słowa, jakby dochodziły znikąd i zewsząd zarazem.

Raptem statek położył się gwałtownie na burcie. Uderzyła o ścianę z taką siłą, że lampka wyfrunęła jej z palców. Z ustami otwartymi do krzyku patrzyła oniemiała, jak lampka upada koło schodów. Bryznęło szkło, na wszystkie strony posypały się czerwone iskry. W mgnieniu oka małe, żarłoczne płomienie zaczęły łakomie lizać drewno.

Bonnie zatoczyła się, rozdygotana, i puściła biegiem w przeciwnym kierunku, byle dalej od ognia, ku schodom prowadzącym do sterówki.

Ciemności pochłoneły ją, jakby noc, bojąc się ognia, tu właśnie szukała przed nim schronienia.

Bonnie szła po omacku, wyciągając przed siebie ręce. Potknęła się - w tej samej chwili statek gwałtownie pochylił się na dziób i Bonnie runęła na podłogę. Do ust wdarła się jej słona woda, ubranie przemokło na niej do suchej nitki; ocean sięgał coraz dalej w głąb statku.

Mokra i zrozpaczona omal nie wybuchła histerycznym szlochem. Jednak myśl o rodzinie i Grayu pomogła jej wziąć się w garść i Bonnie powlokła się dalej.

Doznała ogromnej ulgi, kiedy jej palce natknęły się na znajomy kształt schodka, pierwszego z kilku prowadzących na górny pokład.

Wdrapała się na górę na czworakach. Zdrętwiałe palce kilkakrotnie ześlizgnęły się z rygla, w końcu jednak zdołała go przesunąć i pchnęła włąz.



Nawet nie drgnął.

Zrobiło się jej zimno ze strachu, ale podniosła się i naparła ramieniem na grube drewno. Znowu nic. Dobry Boże, znalazła się w pułapce!

Bębniła pięściami we właz i wzywała pomocy. Jednak kiedy już ochrypła i rozbolały ją dłonie, pogodziła się z myślą, że nie zdoła przekrzyczeć dzikiego wycia sztormu, szalejącego po drugiej stronie.

Nagły rozbłysk przykuł jej uwagę. Wbiła spojrzenie rozszerzonych oczu w przeciwległy koniec korytarza, gdzie jaskrawe płomyki zdążyły tymczasem urosnąć w pożar. Doleciał ją słaby zapach dymu i pojęła, że znalazła się między młotem a kowadłem: miała wybór między śmiercią przez uduszenie, jeśli nie spalenie się żywcem, a utonięciem.

Ale chciała żyć i to pomogło jej zmobilizować całe siły, jakie jej pozostały, włożyć je w jedno ostatnie uderzenie.

Właz ustąpił z boleściwym jękiem, ale Bonnie nie zdążyła się nawet ucieszyć, bo potworny wichur niemalże porwał ją w powietrze i powlókł do przodu. Kiedy właz zatrzasnął się za nią, stała na pokładzie w samej tylko Grayowej koszuli, klejącej się do ciała, i trzęsła w strugach gwałtownego, lodowatego deszczu.

Sztorm nacierał ze wszystkich stron, bez końca i początku, rozpościerający się jak sięgnąć okiem.

Porywy huraganowego wiatru omal nie rzuciły Bonnie z powrotem na kolana, ledwie spróbowała się podnieść na pokładzie śliskim jak tafla lodu.

Kątem oka dostrzegła, że woda pod okrętem spiętrza się w olbrzymią falę na kształt jakiegoś wodnego potwora, a cały statek unosi się ku niebu. Bonnie rzuciła się ku drzwiom i dosłownie zawisła na klamce, uczepiona jej kurczowo, bo wiatr, jęcząc, targał nią tak zajadle, że miała wrażenie, iż chwyciła ją w pół dłoń niewidzialnego olbrzymia.

Palce jej osłabły i poluzowała chwyt. Wicher cisnął nią o pokład i zaczęła sunąć po nim jak po lodzie, młóćąc na oślep rękoma, szukając czegokolwiek, czego mogłaby się złapać. Dziób statku coraz bardziej się zapadał, rufa unosiła się coraz wyżej i wyżej - a w dole czekały kipiel i śmierć.

Z krtani wyrwał się jej oszalały krzyk, palce sięgnęły z wysiłkiem ku fragmentowi strzaskanego masztu i... chybiły o włos. Jeszcze raz zakołysało statkiem i na pokład wdarła się woda.

Cudem złapała się kawałka masztu i uczepiła się go jak koła ratunkowego. Dygotała na całym ciele, deszcz zalewał jej oczy, zaćmiewał wzrok.

- Ratunku! - krzyknęła, ale wiatr cisnął jej tym słowem w twarz.

Zaciśnięte kurczowo palce zaczęły się zsuwać z mokrego drewna. Ręce Bonnie miała zgrabiałe, a dalej niestrudzenie bombardowały je krople deszczu. Opadała z sił i z narastającym odrętwieniem pomyślała jeszcze, jak długo potrwa, zanim w końcu się ześlizgną.

Statek znowu przechylił się niebezpiecznie na jedną burzę. Bonnie puściła maszt i zsunęła się w poprzek pokładu do samej burty; liczyła na to, że solidne drewno da jej jakąś ochronę przed żywiołem.

Uczepiła się relingu, znalazła oparcie dla stóp i zaczęła mozolnie przesuwać się w kierunku sterówki.

Dobrzeła niemal na dziób, gdy powietrzem wstrząsnął przenikliwy krzyk:

- Stermaszt się zaraz zawali! Uwaga tam na dole!

Zaledwie sens tych słów przebił się do świadomości Bonnie, potworny trzask pękającego drewna sprawił, że podniosła wzrok... w tej samej chwili ogromny drewniany słup zaczął się chylić.

Maszt zmiażdżyłby ją, gdyby w ostatniej chwili ktoś nie odepchnął jej na bok, ratując przed pewną śmiercią. Ledwie jednak upadła na zalany wodą pokład, zaczęła znowu ześlizgiwać się w rozszalałe fale.

- Bonnie! - krzyknął Gray ze zgrozą, widząc, że dziewczyna sunie gładko ku wyłomowi w burcie i upadkowi w odmęty,

Z duszą na ramieniu rzucił się jej na pomoc. Biegł najszybciej, jak potrafił, a mimo to Bonnie oddalała się coraz bardziej, cały czas była poza zasięgiem jego rąk.

Jeszcze trzy stopy, psiakrew! Dwie... no!

W tej samej sekundzie nogi dziewczyny wysunęły się poza pokład, Wyciągnęła do niego rękę, zawołała:

- Gray!

- Bonnie! Nie! - ryknął. Właśnie wtedy zniknęła za burtą. Pomyślał, że nigdy nie zapomni widoku jej szeroko otwartych, przerażonych oczu.

Oparł się brzuchem o burtę i wychylił do pasa. Deszcz go oślepił. Po omacku sięgnął ręką przez dziurę i w ostatniej chwili

oplótł palce wokół nadgarstka dziewczyny, wyrwał ze szponów potwora, w jaki przeobraził się ocean.

Zaparł się nogami o burtę. Walcząc z wiatrem i deszczem, wciągnął ją na pokład.

- Dobry Boże - jęknął z udręką, tuląc ją do serca. - Myślałem, że cię straciłem.

Przywarła do jego piersi i wybuchła szlochem.

- Ja... ja myślałam, że zaraz zginę!

- Nigdy bym do tego nie dopuścił - zapewnił tonem uroczystej przysięgi, choć wiedział, jak mało brakowało do tragedii. Pocałował ją w skroń i pogładził po mokrych włosach, obojętny na szalejący wokół sztorm.

- Kapitanie!

Poderwał głowę, usiłując przebić wzrokiem ścianę deszczu. Dostrzegł kwatermistrza; mężczyzna machał rękoma jak szalony. Równocześnie Gray spostrzegł, co się stało. Upadający maszt przycisnął Proroka do pokładu.

Chciał rzucić się przyjacielowi na ratunek, ale Bonnie uczepiła się jego koszuli.

- Gdyby nie on, byłabym zginęła! - zapłakała. - To moja wina!

Gray szybko pomógł jej wstać i popchnął w stronę korytarza.

- Zejdź na dół, przywiąż się do czegoś i żebyś mi się tu więcej nie pokazywała!

-Ale...

- Idźże już! - Znowu ją popchnął i pobiegł do Proroka, niknąc w ciemnościach i deszczu.

Bonnie patrzyła za nim bezradnie. Nie wiedziała, co robić, a nie chciała plątać się pod nogami uwijającej się jak w ukropie załodze.

Pociągnęła za klamkę i zaczęła mocować się z włazem, który zdawała się nadal z wielką siłą dociskać czyjaś niewidzialna dłoń.

W końcu zmienił się wiatr i właz ustąpił. Ze środka buchnął gęsty, ciężki dym, języki ognia wyciągnęły się ku niej gniewnie. Jeden silniejszy poryw i rozpętało się prawdziwe piekło.

Bonnie omal nie padła na kolana pod brzemieniem winy. Zrozumiała, że to jej nieuwaga może przyczynić się do śmierci załogi, a nie szaleństwo żywiołu. A potem zastygła w bezruchu, słysząc coś, co zmroziło jej krew w żyłach. Przeróżliwe szczekanie.

Boże kochany! Jack!

Szczeniak był uwieczony pod pokładem! Gdzieś pośród tego morza ognia! Musiała go uratować! Ściana płomieni przesuwawała się naprzód, momentami tylko cofając się przed naporem deszczu.

Bonnie przykucnęła, próbując dojrzeć cokolwiek przez kłęby dymu. Ogień lizał ściany, lecz podłoga była jeszcze nietknięta.

Świadoma, że sytuacja może się w każdej chwili pogorszyć, zbiegła po schodach, przeskoczyła trzy ostatnie stopnie, objęte już płomieniami, i pomknęła na koniec korytarza do kambuza, gdzie Jack szczególnie lubił przebywać.

Otworzyła drzwi. Psiak omal nie zbił jej z nóg, rzucając się do panicznej ucieczki ku wolności. Zdezorientowany pomknął jednak w niewłaściwym kierunku.

- Jack, nie! Chodź tu!

Bonnie pobiegła za nim. W ostatniej chwili porwała szczeniaka na ręce, zanim zdążył wbiec na schody, całe już w ogniu.

Dym wdarł się do płuc dziewczyny. Dławiąc się i potykając, brnęła przez korytarz z przerażonym Jackiem na rękach, zawróciwszy w stronę schodów prowadzących na rufę - i rygła, z którym zmagala się tak niedawno. Miała tylko nadzieję, że tym razem nic nie będzie blokowało jej drogi.

Ogarnęła ją bezbrzeżna ulga, przekonała się bowiem, że rygiel ustąpił bez najmniejszego oporu. Zaledwie jednak znalazła się na zewnątrz, dokonała przerażającego odkrycia.

Deszcz przestał padać.

Niebo nie uroniło ani jednej jedynej kropli, a mimo to wiatr zawodził wokół statku tonem skargi, ocean wzdymał się monstrualnymi falami, które jedna za drugą uderzały o kadłub. Bonnie stała w śmiertelnym bezruchu, uświadomiła sobie bowiem, że sztorm nie cichł, że najgorsze miało dopiero nadejść.

Znajdowali się w oku nawałnicy.

Usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu. Gray. Stał na dziobie, podtrzymując Proroka ramieniem. Na ten widok poczuła ulgę tak wielką, że omal się nie rozplakała. Ale znajdowali się na dwóch końcach statku, a między nimi szalał pożar. Płomienie wyzierały już spomiędzy desek pokładu. Teraz to dym, a nie deszcz zaćmiewał jej wzrok.

Zdało się jej, że słyszy czyjeś wołanie:

- Za tobą!

Równocześnie uszy wypełnił jej potężny ryk, huk, który zmroził jej krew w żyłach. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła gigantyczną falę, monstrum o wysokości czterdziestu stóp, załamującą się nad rufą. Masa wody zalała jej głowę i zmiotła dziewczynę z pokładu wprost do oceanu, z Jackiem obronnym gestem przyciśniętym do piersi.

Ostatnie, co Bonnie ujrzała, nim spieniony grzywacz wciągnął ją pod powierzchnię, to widok „Revenge”, całego w płomieniach.

RS

Coś ciepłego i mokrego połaskotało Bonnie w policzek.

Zaczęła wybudzać się z głębokiego letargu, który szczelnie ją dotąd spowijał, lecz jej umysł wciąż jeszcze pełny był sennych majaków, wizji Graya, obsypującego jej twarz słodkimi, zmysłowymi pocałunkami. Ten obraz był tak żywy, że czuła niemal dotyk jego ust.

Chciała otworzyć oczy i spojrzeć na niego, ale była taka zmęczona, powieki miała takie ciężkie... Zdawało się jej, że wołała go po imieniu, ale nie była pewna, bo w jej myśli wdzierał się głuchy łoskot, jakby dalekie echo grzmotu.

Bliżej słychać było ciche popiskiwanie, które wydało się jej znajome. Wewnętrzny głos kazał się jej rozbudzić, przekonać się, że nic nie jest takie, jak w świecie jej snów.

Do pełnej świadomości przywróciło ją delikatne szturchnięcie w podbródek; nagle zdała sobie sprawę z dziwnego słonawego posmaku w ustach, poczuła szorstki piasek pod policzkiem, chłodną wodę omywającą jej stopy i przyjemne ciepło na obnażonych udach.

Piski zmieniły się w skomlenie i Bonnie gwałtownie rozchyliła powieki. Wstrząśnięta, przekonała się, że aksamitna mordka przyciska się do jej twarzy, wilgotny czarny nosek szturcha jej nos. Rozległo się radosne szczekanie.

- Jack! - ucieszyła się.

Psiak zaczął z zapalem lizać ją po twarzy i to wylewne powitanie pomogło jej na chwilę zapomnieć o potwornym zmęczeniu.



Przewróciła się na bok i przytuliła do siebie ciepłe ciało Jacka, pozwalając się lizać po policzkach. Przez chwilę była niemal szczęśliwa, potem jednak wspomnienia koszmaru powróciły nagle niczym grom z jasnego nieba.

Zadrżała i gwałtownie podniosła się do pozycji siedzącej. Jack sturlał się na ziemię, zdumiony tym nagłym ruchem, a ona przypomniała sobie wszystko. Statek. Pożar. Wielką falę. Ciemny wir, który ją pochłoniął.

I Graya.

Zamarłego z wyrazem niedowierzania na twarzy, biegnącego ku poręczy na kilka sekund przed tym, jak statek wpadł w sam środek sztormu, wołającego ją po imieniu z taką rozpaczą w głosie, że ścisnęło się w niej serce, a potem już tylko wyraz jego twarzy: pełen grozy w chwili, gdy zmyła ją za pokład lodowata woda, jak zapewne myślał, niosąca ją na spotkanie śmierci.

A co z załogą? Z Prorokiem? Czy to możliwe, że nie przeżył nikt prócz niej i Jacka? Czy wszyscy pozostali poszli na dno wraz ze statkiem? Albo spłonęli w pożarze, do którego doszło z jej winy?

Miałyby już nigdy nie zobaczyć Graya, nie powiedzieć mu, co do niego czuje, jakiego życia zaczęła pragnąć, od kiedy go poznała, wszystko to... stracone. Stracone.

- Niemożliwe, coby zginął. On nie mógł zginąć.

Ledwie zauważała piękno otaczającego ją krajobrazu, jasną piaszczystą plażę, bielutkie grzbiety łagodnych fal. Rozglądała się półprzytomnie po horyzoncie i ogarnęła ją rozpacz, bo nie dostrzegła statku, a jedynie gładki, bezkresny ocean jak sięgnąć okiem.

Nagle zauważyła przy brzegu kawał drewna, dryfujący w kotłującej się pianie. Obracał się w miejscu, uwięziony przez potężny podwodny prąd. Samą nie wiedząc, dlaczego to robi, pobiegła w tamtą stronę. Wiatr siekł kroplami wody o jej odsłonięte łydki, lecz z innego powodu do jej serca zakradł się dziwny chłód. Wbiegła do wody i zaczęła wyciągać kłodę na brzeg.

Wolała nie zastanawiać się nad swoim pragnieniem, by tę kłodę przytulić, by patrzeć na nią, jakby nie wiedziała, czym owa kłoda musiała być, zaprzeczyć temu, co stało się rzeczywistością, czego dowód Bonnie miała przed oczami, choć jej serce nie chciało dać temu wiary.

Ale to był tylko kawałek drewna, nic więcej. Bonnie stała jak wrośnięta w ziemię. Palące łzy popłynęły jej po policzkach, ale nie próbowała ich powstrzymać. Za serce chwycił ją lodowaty chłód, przed którym nie była w stanie jej obronić Grayowa koszula - jedyne, co jej po nim pozostało, jedyna rzecz, która przypominała o jego istnieniu.

Proszący szczeł przebił się wreszcie do świadomości dziewczyny, choć czuła się odrętwiała, wyzuta z uczuć, jakby osoba, jaką niegdyś była, znikła, pozostawiając po sobie czarną pustkę.

W oszołomieniu odwróciła się do Jacka... a widok, który ukazał się jej oczom, sprawił, że omal nie padła zemdlna. Między drzewami i krzakami poniewierały się połamane szczątki pięknego niegdyś statku, jakby ocean przeżuł „Revenge”, by wypluć niestrawne resztki, wysrane z życia, piękna i marzeń, strzaskane w mak.

Poddała się słabości i padła na kolana, zagubiona między koszmarami a jawą. Jack porwał coś z ziemi i truchtem podbiegł do dziewczyny, błogo nieświadomy ogromu zniszczeń, jakich dokonał sztorm, beznadziejnego położenia, w jakim oboje się znaleźli.

Stanął przed nią i usiadł, tak jak go uczyła. Potem wypluł na ziemię swoją zdobycz - przedmiot, w którym widział zwykłą zabawkę, lecz na którego widok rozpacz Bonnie tylko wzrosła. But Graya.

Wzięła go do rąk, ogłuszona, z poczuciem, że coś w niej umiera, obraca się w popiół. Zaczęła się kołysać i wybuchła takim niepohamowanym szlochem, jakby jej cierpienie stało się odrębną istotą.

Jack wdrapał się jej na kolana. Wyczuwał jej smutek i próbował ją pocieszyć. Lizał ją i poszturchiwał jej ręce zimnym, mokrym noskiem. Bonnie przytuliła twarz do ciepłej szyjki szczeniaka; był taki pogodny, że poczuła, jak jej rozpacz zaczyna powoli cichnąć.

Z poczuciem pustki w sercu, ale trochę już spokojniejsza, Bonnie uniosła głowę. Usiłowała zapomnieć o swoim bólu, wiedziała bowiem, że jeśli podda się uczuciu beznadziejności, jeśli zacznie zbyt długo zastanawiać się nad tym, co ją czeka, położy się chyba na ziemi i nie wstanie już nigdy, a na to nie mogła sobie pozwolić. Jack jej potrzebował.

Potoczyła wokół szklistymi oczami. Nigdy dotąd nie czuła się taka potwornie samotna. Na obcej ziemi, w zakątku równie tragicznym, jak pięknym, pyszniącym się bogactwem zieleni. Strzeliste pnie zwieńczone pióropuszem długich, postrzępionych liści

kołysały się w tropikalnej bryzie, kwiaty rozkwiatały wokół egzotyczną paletą żywych barw, jakich nie zdarzało się jej dotąd oglądać, niewidzialne ptaki zanosily się trylem, wznosząc swe pieśni ku niebu Grayowi na pewno by się tu podobało. Byłby szczęśliwy, że urzeczywistnił marzenie swego ojca. Ale nie będzie mu dane się tym nacieszyć.

Zdławiony szloch znowu wezbrał w krtani dziewczyny. Ciche popiskiwanie Jacka przypomniało jej jednak, że najważniejsza jest wola przetrwania.

Z trudem podniosła się z ziemi. Starła się nie spoglądać w kierunku szczątków statku, całą uwagę poświęcając przymilnej mordce i parze wpatrzonych z oddaniem i zaufaniem ślepków.

Nagle jednak zmarszczyła czoło, zauważyła bowiem małe okrągłe ranki na grzbiecie Jacka, małe plamki krwi znaczące czerwienią jego jasną sierść.

- Och... skaleczyłeś się. - Ukucnęła przed nim, by sprawdzić, czy nadal krwawi, zastanawiając się, co spowodowało powstanie tych dziwnych obrażeń: nie licząc tego, psiak wydawał się w znakomitej formie. Ranki nie krwawiły i Bonnie pomyślała, że widocznie oczyściła je słona woda. Podrapała Jacka po czubku łebka. - Do wesela się zagoi - powiedziała cicho z uczuciem bezbrzeżnej ulgi. Nie wiedziała, co by zrobiła, gdyby Jackowi coś się stało.

Zupełnie jakby ją rozumiał, Jack przekrzywił łebek i zamrugał swoimi rozczulającymi, okrągłymi ciemnobrązowymi ślepkami. Bonnie ponownie popadła w zwątpienie. Nie miała pojęcia, czy

zdołają przetrwać na odludnej wyspie, sami, zdani na łaskę żywiołów i dzikich zwierząt, które mogli tu przecież zastać.

Zaczęła rozważać najważniejszy problem, w którego obliczu stanęli, czyli jak zdobyć pożywienie. Zastanawiała się, czy udałoby się jej zrobić jakąś prowizoryczną włócznie i pokusić o złapanie kilku ryb. Tylko w czym miałyby je ugotować, nawet gdyby połów się udał? Nie miała garnka ani patelni. Nie miała widelca, noża ani talerza. Nie miała nic. Nie była pewna, czy umiałyby choćby rozpalić ognisko.

Zawsze była przekonana, że nie istnieje taka sytuacja, której nie potrafiłaby podołać, ale grubo się myliła. Co zresztą mogłoby ją przygotować na taką próbę hartu ducha i zaradności?

Zaczęła rozglądać się za odpowiednim patykiem, który nadałby się na improwizowaną włócznie, nagle jednak kątem oka złowiła coś dziwnego, jakby jasny rozbłysk srebrzystego światła pośród sterty rupieci.

Obróciła się twarzą w tamtym kierunku, zaciekawiona, ale i pełna wahania. Bała się, co może tam znaleźć, zobaczyć. Jack pomknął przodem, sadząc pocieszne susy, a Bonnie niechętnie podreptała za nim. Pozwoliła się mu prowadzić, przygotowując się w duchu na odkrycie, jakie mogło ją tam czekać.

Kiedy była już dość blisko, zwolniła kroku. Z każdym kolejnym stąpieniem serce tłukło się jej jeszcze szybciej i boleśniej, jednak brnęła dalej, ostrożnie stawiając stopy pośród kawałków drewna i porzrzucanych przedmiotów, starając się im nie przyglądać nazbyt uważnie.

Nagle zatrzymała się, wpatrzona w ten, który wcześniej przykuł jej uwagę: swój stary kozik wbity po czubek w jakąś deskę, co tłumaczyło, dlaczego unosił się na powierzchni wody, zamiast znaleźć się na dnie oceanu.

Schylła się i wyrwała kozik z drewna, po czym uniosła go do światła. Chociaż dotąd nie myślała wiele o Bogu i niezbadanych wyrokach opatrności, nie sposób było nie pomyśleć, że to musi być cud.

Ledwie słyszalny dźwięk sprawił, że rozejrzała się nerwowo. Przekrzywiła głowę, ustawiając ją bokiem w kierunku, z którego wiał wiatr, i wsłuchiwała się w głucho dudnienie. Dźwięk potęgował się z każdą chwilą, aż wreszcie zmienił się w powtarzalny rytm, który sprawił, że Bonnie przebiegł zimny dreszcz.

Bębny.

A jednak nie była sama.

Serce zaczęło się jej boleśnie tłuc w piersi. Zawołała Jacka i popędziła między drzewa, byle dalej od nieosłoniętej, rozległej plaży, gdzie każdy mógł ją dostrzec.

Myśli krążyły jej po głowie w tym samym rozpaczliwym, gorączkowym rytmie, w którym uderzało jej serce, pojęła bowiem, że znalezienie jedzenia i dachu nad głową nie wystarczy, by mogła pozostać przy życiu.

Kiedy znalazła się między drzewami, zaczęła znowu nasłuchiwać. Próbowwała ustalić, z jakiego kierunku napływał dźwięk bębnow. Tymczasem bębnienie potęgowało z każdą chwilą, zwielokrotnione echem.

Ostrożnie przekradła się na drugi koniec kępy, przez cały czas kryjąc się za gładkimi pniami. Ziemia tworzyła tu nieznaczne wzniesienie, z którego widać było rozciągający się w dole długi pas białej plaży. Scena, jaką tam ujrzała, wydawała się pochodzić wprost z sennego koszmaru.

I nie to było najgorsze, iż na piasku klęczała większość załogi „Revenge”, umorusana i w podartych ubraniach, a w nich mierzyła groźnie wyglądającymi włóczyniami banda półnagich dzikusów. Nie to sprawiło, że krew zastygła Bonnie w żyłach, lecz widok człowieka leżącego nieruchomo twarzą do ziemi, z obnażonymi plecami wystawionymi na działanie palącego słońca. Człowieka, którego nie potrafiłaby nigdy zapomnieć.

Pierwsze, co Gray usłyszał, to jego własny słaby jęk. Potwornie zmęczony, z poczuciem, że ciało odmawia mu posłuszeństwa, zaczął się powoli otrząsać z letargu.

Twarz miał oblepioną czymś szorstkim, w ustach mu zgrzytało. Raptem w najdalszym zakamarku jego umysłu odezwało się nieokreślone wspomnienie, wrażenie déjà vu, niewyjaśnione, acz niezbite przekonanie, że życie toczy się kołem - ból głowy o sile eksplozji, wielkie szczury z piekła rodem, złowrogie olbrzymy... i cudowna błękitnooka bogini piekieł.

Rzeczywistość spadła na niego jak grom.

Statek, pożar, ocean... Bonnie znikająca pod wodą.

Błyskawicznie rozwarł powieki. Targnęła nim potrzeba natychmiastowego działania przemieszana z paniką, wspomnienia napłynęły niczym powódź. Musiał ją odnaleźć!



Z głośniejszym jękiem dźwignął się na czworakach. Zwiesił głowę i czekał, aż miną zawroty głowy i nudności, którymi przypominała o sobie połknięta słona woda. W żołądku go paliło i bał się, że zaraz zwymiotuje. Skoncentrował się na oddychaniu, dopóki niebezpieczeństwo nie minęło.

A wtedy opadło go dręczące poczucie winy.

Wbrew wszystkim wątpliwościom i samooskarżeniom, wbrew obawom przed porażką, odnalazł słynną Wyspę Mgieł, ale funta kłaków nie dałby teraz za swoje odkrycie. Prorok nazywał czasem jego podróż misją. Jednak misja przerodziła się w klęskę, kolejną w długim szeregu innych. Tyle straconych istnień. Marzenie ojca zbrukane. Boże drogi, jeśli jeszcze utraci Bonnie...

Ta możliwość przerażała go bardziej, niż chciał się do tego przed sobą przyznać. Kazała przystąpić do działania, choć obolałe ciało wszczęło bunt. Gray zerwał się na równe nogi i zamknął na sekundę oczy, czekając, by świat przestał wirować.

Kiedy odzyskał równowagę, otworzył je - po to tylko, by się przekonać, iż w jego serce skierowany jest ostry wierzchołek włóczni. Powoli uniósł wzrok i utkwiał go w twarzy wojownika, którego oczy przyrzekały bolesną śmierć przy pierwszym fałszywym ruchu. Ludzie. Tu byli ludzie.

Dlaczego nie przygotował się na taką ewentualność? Ani razu nie zastanowił się nad tym, że na wyspie może zastać tubylców. A przecież historia знаła tak wiele przypadków, kiedy ziemie uważane za bezludne okazywały się zasiedlone. Więcej nawet, wielokroć tubylcy znakomicie sobie radzili do pojawienia się przybyszy,



przekonanych, że ich sposób na życie jest lepszy, i natychmiast zabierających się za ulepszanie wszystkiego, co naprawy nie wymagało.

Patrząc na stojącego przed nim mężczyznę, Gray czuł się tak, jakby wrócił do przeszłości - do czasów, gdy owi przybysze darowywali tubylcom koraliki na znak przyjaźni, by później zawłaszczyć wszystko, co miało jakąś wartość i wpadło im w ręce.

Wprawdzie nie zamierzał niczego zawłaszczać ani też nie miał koralików - zakładając, że to cokolwiek by dało - jednak gest przyjaźni wydał się mu jak najbardziej na miejscu. Z oczu tubylca wyzierał z trudem hamowany gniew, na policzkach miał czerwone i czarne barwy wojenne - znak, iż miejscowi nie byli zachwyceni pojawieniem się nieproszonych gości.

Gray uniósł dłonie i rozłożył je szeroko.

- Nie mam złych zamiarów.

Wojownik zmrużył oczy, nie odrywając spojrzenia od Graya, i mocniej zacisnął ręce na włóczni. Najwyraźniej nic nie zrozumiał z tego krótkiego przemówienia.

W pierwszej chwili Gray pomyślał, że mężczyzna przypomina trochę Indianina. Skórę miał ciemną, włosy czarne jak smoła i tak długie, że Grayowe wydawały się przy nich całkiem krótkie. Nie miał na sobie nic oprócz skąpej przepaski na biodrach.

Jednak podobieństwa z Indianami kończyły się na lekko skośnych oczach tubylca. Z określeniem rysów jego twarzy był większy problem. Wprawdzie były one na tyle unikalne, by świadczyć o tym, że mężczyzna należy od odrębnej rasy, niemniej między jego

przodkami można było zapewne znaleźć Hiszpana, co zresztą Graya nie dziwiło. Właśnie spośród Hiszpanów i Portugalczyków wywodziła się ludność sąsiednich wysp, a tylko na nich wiedziano powszechnie o istnieniu tej dziesiątej, toteż było całkiem możliwe, że tutaj było podobnie.

Gray zaryzykował i powtórzył swoje orędzie po hiszpańsku. Wojownik wysłuchał go z zaskoczoną miną, niemniej jednak w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia. Gray powtórzył te słowa raz jeszcze - po portugalsku i trafił w dziesiątkę, i Tubylec kiwnął głową, choć nie wydawał się zbytnio przejęty pokojowym zapewnieniem Graya. Milcząc dumnie, podejrzliwie przyjrzał się Grayowi, wyraźnie zafascynowany resztkami jego garderoby, ściślej biorąc, jego jasnobrązowych bryczesów.

- Mój statek - tłumaczył Gray - zatonął podczas sztormu.

Wojownik nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Obszedł przybysza, jakby spodziewał się, że dzięki temu rozwikła jakąś zagadkę.

- Widziałeś kogoś oprócz mnie? - spytał Gray bez większej nadziei na odpowiedź. Wojownik wydał niezrozumiały pomruk i wskazał coś za plecami Graya.

Unikając gwałtownych ruchów, Gray zerknął przez ramię. Zobaczył sporą część swojej załogi, klęczącą szeregiem wzdłuż brzegu pod czujnym okiem grupy tubylców.

Gray doznał wielkiej ulgi, kiedy stwierdził, jak wiele osób ocalało. Nie doliczył się czterech. I Bonnie. Na samym końcu mignęła

mu wynędniała twarz, zastygła w lekkim grymasie. Jej właściciela podtrzymał klęczący najbliżej mężczyzna.

- Prorok.

- Ano, chłoptasiu. Dobry Bóg uznał za słuszne, cobym jeszcze trochę zabawił na tym łoż padole. Cieszę się, że widzę cię całego i zdrowego. Martwiłem się.

Prawdziwość tego stwierdzenia nietrudno było wyczytać z twarzy Proroka; wydawała się nagle postarzała i zaczynała zdradzać jego wiek. Gray zawsze myślał o Proroku jako o człowieku nieomal nieśmiertelnym, o kimś, kogo nie dotknie upływ czasu. Jednak teraz dotarło do niego, że nikt nie jest w stanie oprzeć się śmierci.

Nawet on sam.

- Bonnie? - spytał, rozmyślnie ograniczając się do jednego słowa, bo nie był pewien, jak wiele z ich rozmowy rozumieją tubylcy. Skoro przeżyli obaj z Prorokiem, Gray po prostu musiał wierzyć, że Bonnie także ocalała. Może była w innej części wyspy, a skoro tak, to nie chciał, by tubylcy się czegokolwiek domyślili.

Prorok ze smutkiem potrzęsnał głową. Ten gest mówił więcej niż mowa. Gray poczuł, że pęka mu serce. Ale nie mógł uwierzyć, że Bonnie nie żyje. Była silna. Silni ludzie są zdolni przetrwać wszystko.

Całą uwagę znowu skierował na wojownika, który wyglądał na tubylczego przywódcę, i powtórzył swoje wcześniejsze zapewnienie. Myśl o Bonnie sprawiła, że zabrzmiało to żarliwiej. Mogła przecież być ranna albo wręcz umierająca, mogła czekać, by ją uratował, a jego zatrzymywał jakiś mrukliwy dzikus.

- Moi ludzie są ranni i potrzebują, by ktoś ich opatrzył. W odpowiedzi usłyszał pogardliwe parsknięcie i coś w nim pękło. Bezwiednie zacisnął pięści, czując, jak jego opanowanie pryska. Pochylił się groźnie i zrobił krok w kierunku wojownika, w ostatniej chwili uchylając się przed pchnięciem włócznią. Ostrze raniło go w bok. Ból targnął jego obolałymi żebrami.

Rzucił się na wodza, lecz powstrzymało go dwóch mężczyzn stojących po jego bokach. Dostrzegł jeszcze zamglony kontur czegoś, co mknęło ku jego głowie, po czym padł cios i pociemniało mu w oczach. Pomyślał, że zaraz straci przytomność.

Piekielnie ostry koniec włóczni oparł się o jego pierś i znieruchomiał w morderczej groźbie. Wystarczyłby jeden szybki ruch i Gray byłby martwy. Jedno powstrzymało go przed utratą świadomości.

Krzyk kobiety.

Wszystko stało się w ułamku sekundy. Gray wykręcił szyję w kierunku, z którego dobiegło wołanie. Zmrużył oczy, oślepiiony, lecz pomimo ostrego słońca dojrzał na tle błękitnego nieba jasny błysk odbity od ostrza... i osobę, która dzierżyła ową broń.

- Bonnie! Nie!

Ale było już za późno. Dziewczyna rzuciła kozik, który, obracając się spiralnie, świsnął w powietrzu... prosto w wodza dzikusów.

I przyszpilił go, wbijając się w przepaskę, do pnia drzewa. Chwilę dygotał jeszcze, po czym znieruchomiał między udami tubylca.

Cisza, która nastąpiła, była wręcz ogłuszająca. Zupełnie jakby świat wstrzymał oddech.

Gray nie miał żadnych wątpliwości co do tego, że oczy wszystkich wlepione były w strategicznie umieszczony kozik. Wrażenie było takie, jakby ktoś z obecnych niespodziewanie padł trupem z kulą w głowie.

Gray wiedział, jak wielkie obrażenia mógłby spowodować ten rzut, gdyby Bonnie tego chciała, i o jak wielkich świadczył umiejętnościach, których skądinąd dowodziła także blizna na jego własnym brzuchu. Było jasne, że Bonnie nie chciała nikogo zabić. Gray modlił się tylko, by wódz dopatrzył się w tym, co się wydarzyło, jej dobrej woli. Inaczej bowiem na plaży polałaby się krew.

Gray czekał w napięciu. Nastawił się na to, że lada chwila może rozpętać się prawdziwe piekło. Tubalny śmiech, jakim wódz gruchnął sekundę później, całkowicie go zaskoczył. Gray przewidywał najróżniejsze reakcje. Rozbawienie jednak do nich nie należało.

Niebawem do wodza dołączyli się pozostali. Najwyraźniej odczekali tyle, ile wymagał szacunek, jako że niestosowny wybuch wesołości mógł pociągnąć za sobą nagrodę w postaci precyzyjnie posłanej w kark zatrutej strzałki. Rzeli na całe gardło w sposób, który Grayowi przypominał wybuch entuzjazmu u stada małpiatek.

Kiedy radosne porykiwanie ucichło do szmeru, wódz wyciągnął kozik z pnia i przyjrzał się ostrzu z osobliwie wykrzywionymi ustami.

Z nieporadności, z jaką się ułożyły w ów grymas, Gray wywnioskował, iż uśmiech u tego człowieka należał do rzadkości.

Wzrok wojownika zwrócił się ku samotnej, nieruchomej postaci na wydmie. Następnie kiwnął na swoich ludzi.

- Idźcie - rozkazał po portugalsku, wskazując dziewczynę. - Przeprowadźcie ją do mnie.

Gray znowu napiął wszystkie mięśnie. Zerwał się na nogi. W głowie kołatała mu jedna myśl: musi chronić Bonnie. Zagroził im drogę. Tubylcy natychmiast unieśli włócznie.

- Nie! - warknął ich przywódca. - Zostawcie go. - To polecenie zaskoczyło Graya, tym bardziej że jeszcze przed chwilą wódz osobiście przymierzał się do wyprucia z niego wnętrzości. Potem zaś wojownik dodał: - On być ukochany Dziewczyna o Piorunowej Zemście.

Gray w sekundę przeszedł nad faktem, iż kolejny raz znalazł się o włos od śmierci i kolejny raz umknął z rąk Kostuchy. Zapatrzony w dwóch tubylców, którzy poszli w kierunku dziewczyny, pomyślał w oszołomieniu: Dziewczyna o Piorunowej Zemście?

Na miły Bóg, trafne określenie. Do licha, wypisz, wymaluj cała Bonnie!

Rozbawionym spojrzeniem śledził wojowników, którzy wdrapywali się właśnie na wydme. Miał tylko nadzieję, że Bonnie nie będzie już próbowała żadnych głupich sztuczek. Te dzikusy nie należały do takich, w których można bezkarnie rzucać jedzeniem, miotać butami czy grozić bolesną kastracją.

Skąpana w słońcu Bonnie nigdy nie wydała się Grayowi doskonalsza. Stała w aureoli lśniących włosów, dumnie wyprostowana niczym bogini chwały i zemsty. I po raz pierwszy w swoim życiu Gray bezgłośnie podziękował Bogu za to, że pozostawił Bonnie przy życiu i zwrócił mu ją, całą i zdrową.

Nie poruszyła się, kiedy podchodzili. Jack natomiast poczuł się w obowiązku stanięcia w jej obronie, nie rozumiejąc, jak większość małych psów, że waży tyle co orzeszek, a prezentuje się równie groźnie jak rozsierdzony motyl. Tubylcy nawet na niego nie spojrzeli, co Jackowi wybitnie nie przypadło do gustu: nie znosił, gdy go ignorowano.

To turlając się, to zjeżdżając na zadku, podążył za dwuosobową eskortą Bonnie, co rusz płacząc się wszystkim pod nogami. Jego nieproporcjonalnie duże łapy grzęzły co chwila w sypkim piasku. Końcówkę drogi nieledwie przeokoziłkował, po czym wylądował u stóp Graya, podobny do puszystego białego kopczyka. Gray wziął go na rękę, Jack poznał go i zaczął radośnie lizać po twarzy.

Razem przyglądali się, jak Dziewczyna o Piorunowej Zemście mija ich, majestatyczna, z dumnie uniesioną głową, po czym z kamiennym obliczem staje przed przywódcą, który poddał jej postać drobiazgowym oględzinom. Gray nigdy nie był z niej bardziej dumny.

Wódz nie tracił czasu. Z miejsca przeszedł do sedna sprawy.

- *Sou o chamam Bem Corajoso e estao em minha ilha. Por qué trespassa aqui, o vengeful um?*

Bonnie obejrzała się niepewnie na Graya.

- Co on gada?

Ciemne oczy wodza także wlepiły się w Graya. Chrząknął w sposób, który Gray odczytał jako odpowiednik pytania: „Co ona tam gada? ”

- Ona nie rozumie - wyjaśnił.

Wódz wskazał go palcem.

- Ty. Tutaj.

Dzierżąc pod pachą Jacka, Gray szybko podszedł do Bonnie. Najchętniej porwałby ją w ramiona i przytulił. Do czasu, gdy był przekonany, że stracił ją na zawsze, nie rozumiał, jak wiele zaczęła dla niego znaczyć. Jak bardzo mu była potrzebna.

Spojrzała na niego i jej usta ułożyły się w pełen słodczy uśmiech.

- Witaj - powiedziała cicho.

- Witaj - odparł Gray, sycąc oczy jej profilem, subtelnie zarysowanym nosem, gładką skórą, która zbrązowiała lekko od słońca, cudownymi ustami, za którymi tęsknił tak, jakby jeden pocałunek mógł decydować o jego życiu lub śmierci.

Oderwał od Bonnie wzrok dopiero wówczas, gdy wódz wydał jakiś nieartykułowany pomruk. Skrzywił twarz i łypnął na niego ze złością, zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi i że w nagrodę jego głowa może przyozdobić koniec włóczni.

Wódz jednak nie wpadł we wściekłość, a jedynie uniósł nieznacznie brew z miną, która świadczyła o tym, że w pełni rozumie, jakie myśli chodziły Grayowi po głowie.

Wymianie spojrzeń położyło kres jedno słowo wojownika, ściągając zarazem Graya na ziemię:



- Tłumacz!

Zadowolony, że zyskał powód, by znowu zająć się Bonnie, wyjaśnił:

- Chcę, żebym tłumaczył jego słowa.

- Myślisz, że bardzo jest na mnie zły, że cisnęła w niego kozikiem?

Gray omal się nie roześmiał.

- Myślę, że raczej cieszy się z tego, że nie zmieniałaś go z ogiera w wałacha. Co więcej, pokaz umiejętności w twoim wydaniu wzbudził jego szacunek.

Jej odpowiedź była prosta, bezpośrednia i niezwykle wzruszająca; sięgała w głąb tego, czego Gray nie spodziewał się w sobie odnaleźć: wielkich pokładów czułości.

- Nie mogłam pozwolić, żeby zrobił ci coś złego.

Pierwszy raz od wieków Gray nie potrafił znaleźć właściwych słów, by opisać stan swojej duszy, nie był w stanie wyrazić, ile szczęścia daje mu jej obecność, obojętnie co się wokół nich działo. Nie potrafił wypowiedzieć ogromu udręki, jaką czuł, patrząc bezsilnie, jak znikwała w odmętach, że cierpiał tak bardzo, że szczerze pragnął utonąć razem ze statkiem.

Jeśliby miał odpowiedzieć na pytanie, czym jest miłość, przypuszczał, że to właśnie to.

Ta myśl brutalnie ściągnęła go na ziemię. Miłość? Uchowaj Bóg! Mógł podziwiać Bonnie, szanować ją bardziej, niż jakąkolwiek inną ze znanych mu kobiet, cieszyć się prostymi radościami: jej głosem, uśmiechem, tonem, jakim wypowiadała jego imię.

Ale miłość? Tylko nie to.

Zakochują się głupcy i marzyciele. Ludzie, którzy nie zdążyli się przekonać, jak wielkich zniszczeń w ich życiu może dokonać to uczucie. Naiwniacy bez krztyny instynktu samozachowawczego. A on nie był głupcem, marzycielem, naiwniakiem ani ignorantem nieświadomym ceny nieodwzajemnionej miłości. Jego ojciec doświadczał tego losu niemal przez półwiecze i przez to swoje wielkie serce ściągnął na siebie cierpienie i przedwczesną śmierć. Gray nie zamierzał pozwolić, by to samo spotkało i jego.

Wojownik z wyraźnym zniecierpliwieniem szturchnął Graya w ramię.

- Mów. - Wskazał ręką Bonnie.

Nie patrząc jej w oczy, Gray przetłumaczył wcześniejszą wypowiedź tubylca:

- Powiedział: „Jam jest ten, którego zwą Bem Corajoso, Wielce Dzielny, a to moja wyspa. Dlaczego nas tu nachodzisz, o mściwa?”

- Mściwa? - Bonnie uniosła brew, rozbawiona.

Gray nie zamierzał utonąć w tych roziskrzonych błękitnych oczach.

- Nadał ci imię Dziewczyny o Piorunowej Zemście.

Zaśmiała się; słodki, srebrzysty dźwięk, który przerwał popołudniową ciszę, okazał się zaraźliwy - niestety, dotyczyło to również Bema Corajoso. Łajdak wyszczerzył do niej zęby w typowo samczym uśmiechu, który jeszcze bardziej Graya zdenerwował. A Bonnie, niech ją diabli, odpowiedziała uśmiechem!

Kobiety! Nikt nie zrozumie tych przewrotnych stworzeń! Wódz kiwnął dłonią w kierunku Bonnie i rzucił półgębkiem do współplemieńców:

- *O, vengeful um tem uma risada que faria regular o rouxinol invejoso.*

- Znowu nazwał mnie mściwą? - spytała Bonnie wesoło.

Gray był rozdrażniony, postanowił jednak wziąć przykład z wodza i mruknął coś niezrozumiale. Bo ani mu się śniło wyjaśniać, iż zdaniem tego bezczelnego dzikusa śmiechu mógłby jej pozazdrościć nawet słowik. Tę wiedzę Gray zamierzał zabrać ze sobą do grobu.

A niech to wszystko diabli! Ostatnie, czego im było trzeba! Utknęli na tej cholernej wyspie otoczeni przez całą watahę dzikusów - a Wielce Dzielny przyglądał się Bonnie ze specyficznym błyskiem w oczach, który z każdą chwilą coraz mniej się Grayowi podobał.

Musi wymyślić jakiś sposób, żeby się wydostać z tej przeklętej wyspy - rzecz o tyle dziwniejsza, że tygodniami obsesyjnie pochłaniało go jedno pragnienie: żeby się na niej znaleźć!

Gray wzdrygnął się nagle, bo wydało mu się, że wszyscy się w niego wpatrują. Zaczął się zastanawiać, czy aby nie zdarzyło mu się myśleć głośno.

- Dobrze się czujesz? - zatroskała się Bonnie.

- Znakomicie.

Zawahała się, ale nie wyglądała na przekonaną. Skinęła głową w kierunku wodza.

- Pytał cię o coś.

Gray z zażenowaniem poprosił o powtórzenie pytania. Potem z jakichś sadystycznych pobudek dodał uprzejmie, że powrót zza grobu, udar słoneczny, głodówka oraz nie taka znowu odległa możliwość, że kolana się pod nim ugną, zmuszają go do wystosowania owej prośby, czym z rozmysłem zrobił nieżyczliwemu gospodarzowi całkowity mętlik w głowie.

- Coś ty mu powiedział? Wygląda jak chmura gradowa.

Gray zdał sobie sprawę, że nie najlepiej sobie radzi z zaistniałą sytuacją. Ale świadomość, że został wypluty przez morze prosto pod nogi humorzastego młokosa, któremu -jak był gotów się założyć - nie dalej niż przed chwilą wyrosły pierwsze włoski na brodzie, nie była przyjemna.

Z miną na tyle groźną, by Gray przestał błędzić myślami, Bem Corajoso powtórzył swoje uprzejme zaproszenie - czy raczej to, co sam zaproszeniem ochrzcił. Zdaniem Graya jego słowa bardziej przypominały cesarski edykt.

- Chce, żebyśmy towarzyszyli mu podczas uczy. Wygląda na to, że rozbiliśmy się u tych piaszczystych brzegów w jakieś święto. - Uznał, że przemyślnie będzie pominąć część poświęconą uznaniu wodza dla odwagi Bonnie.

Od takich banialuk uderzyłaby jej tylko woda sodowa do głowy - chociaż Wielce Dzielny aż nazbyt dobitnie sugerował, iż wyłącznie mistrzowski rzut Bonnie i uznanie, jakie zaskarbiła sobie swoimi umiejętnościami, odwiodło go od zamiaru posłużenia się rozbitkami podczas rytualnego składania ofiar. Jak Gray był przekonany, w tym barbarzyńskim, nieznanym kartografom kraiku, nie istniało prawo

ponad widzimisię wodza, a ten, jak Gray sobie wyobrażał, najchętniej od razu przystąpiłby do oddzielania Grayowych wnętrzności od reszty jego ciała.

- Uczta? Uroczy pomysł - zauważyła Bonnie, najwyraźniej nieświadoma tego, iż wokół niej atmosfera zdaje się gęstnieć. -  
Konam z głodu.

Gray skrzywił się groźnie.

- Jakże się cieszę, że postrzegasz tę niefortunną przygodę jako przyjemną popołudniową rozrywkę.

Ten komentarz błyskawicznie stał uśmiech z twarzy dziewczyny.

- Nic podobnego!

- No proszę. Stąd, gdzie stoję, wygląda to zupełnie inaczej.

- Wolałbyś, cobym naplula mu w twarz?

- Mnie naplulaś.

- Co było, to było! Nie pora na wspominki. Staram się zachowywać tak, cobyśmy nie stracili życia.

- Kapitanie...?

Gray odniósł mętne wrażenie, że ktoś go woła, ale całą jego uwagę pochłaniała pewna irytująca, wyklócająca się smarkula.

- Nie twoja w tym głowa! - odpalił.

- No, trzeba mężczyzny, coby palnąć taką bzdurę!

- Bzdurę?!

- Kapitanie? - znów ten uparty głos, tym razem bardziej ponagląjący.

Bonnie natarła na Graya.

- Jeśliś tego nie zauważył, to jesteśmy zdani na ich łaskę.

- Zauważyłem. - Psiakrew, dlaczego akurat musiała być taka rozsądna? Przecież swoje wiedział. Ale świadomość tego, jak wygląda ich sytuacja, nie oznaczała wcale, że będzie trzeźwo myślał. Targały nim emocje - na domiar złego takie, z jakimi sobie nie radził, obce i piekielnie irytujące, i szczerze sobie życzył, żeby, do ciężkiej cholery, przestały się go czepiać.

Bonnie podparła się pięściami o biodra, skutkiem czego i tak rozchełstana koszula jeszcze szerzej rozchyliła się jej na piersi.

- Skoroś taki spostrzegawczy, to czemu nie pojmujesz, że robimy postępy? A może nie o to ci idzie? Może ty wolisz dać się zabić?

Gray walczył na zmianę to ze złością, to z gwałtownym pożądaniem, które odzywało się w nim, ilekroć zapuścił żurawia w głębokie trójkątne wycięcie uszytej na zamówienie i niegdyś śnieżnobiałej koszuli, która straciła cztery górne guziki. Zastanowił się przelotnie, czy Bonnie zdaje sobie sprawę, jak niewiele kryje ją przed męskimi spojrzeniami. Bo za to, że nie, uszło to uwagi żadnego z obecnych tu mężczyzn, dawał głowę.

Posłał jej gniewny grymas.

- Mamy dość kłopotów bez twojego strzelania oczami za tym poganinem - wycodził przez ściśnięte gardło.

- Że niby ja... No, tyś do szczętu oszalał! Chyba za mocno cię wtedy palnęłam, bo całkiem ci się w głowie pomieszało!

- Kapitanie...

Znowu zignorował ten natarczywy głos.

- I ktoś powinien mnie palnąć jeszcze raz, za karę, że cię nie zostawiłem w Szkocji, a trzeba mi było to zrobić, do jasnej cholery! Boże, uchronij mnie przed ciętymi jak osa, przemądrzałymi nożowniczkami! - Gray miał ochotę wyrwać sobie wszystkie włosy z głowy, nie bardziej jednak niż cofnąć te słowa, ledwie zobaczył, że Bonnie zmienia się na twarzy. Poczul się zdruzgotany.

- Żałuję, żeś mnie nie zostawił! Wcale zem nie chciała za tobą iść!

Grayowi natychmiast wyleciały z głowy naprędce formułowane przeprosiny.

- Czekaj no chwilę, psia krewo. Ja...

- Kapitanie!

Bonnie i Gray odwrócili się równocześnie i spojrzeli na Proroka.

- W czym rzecz, człowieku? - wycedził Gray, zły, że ktoś śmie mu przerywać. Miał na końcu języka znakomitą ripostę.

- Nie zapominacie o czymś? - Prorok skinął głową w kierunku wodza, a Gray natychmiast uprzytomnił sobie, że jego kłótnia z Bonnie odbyła się na oczach całej załogi i grupy wrogo nastawionych tubylców. Chryste! Przy Bonnie zapominał o bożym świecie.

Przywołując resztki opanowania, Gray zwrócił się twarzą w stronę Bema Corajoso. Wydukał zdawkowe przeprosiny, które omal nie stanęły mu w gardle, i oparł się pokusie uduszenia skurczybyka, kiedy ten zareagował rubasznym uśmieszkiem.

Wówczas wojownik zadał pytanie, którego Gray najmniej się spodziewał, zwłaszcza że był całkowicie zaabsorbowany swoim

fatalnym humorem. Jeszcze bardziej zaskoczyła go szybkość, z jaką odpowiedział. Sam już nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć.

Później sobie tłumaczył, że miliony powodów popchnęły go do udzielenia takiej, a nie innej odpowiedzi, słów, których nie spodziewał się wypowiedzieć do końca swoich dni. Głód. Opicie się słoną wodą. Chwilowy obłąd wywołany gniewem. Oślepiające słońce. Oszołomienie. Błąd w tłumaczeniu.

Bonnie trąciła go w ramię.

- Co mówił?

Gray spojrział na nią niewidzącym wzrokiem.

- Powiedział, że kłócimy się jak para, która jest ze sobą od stu lat.

- Para? - wykrztusiła, jakby poinformował ją właśnie, że zwykł co trzecią niedzielę podpiekać na ogniu noworodki.

- Potworna myśl, nieprawdaż? - Gray czekał na kąśliwą ripostę, żadna jednak nie padła.

Bonnie wpatrywała się w niego bez słowa, z twarzą zastygłą w wyrazie bólu, jakby... jakby ją zranił. Ale ta uwaga sprawiłaby jej przykrość tylko wówczas, gdyby jej na nim zależało, a przecież tak nie było. A może...?

- Co mu powiedziałaś... o nas?

O nas. To było jakieś „my”? Gray nie był niczego pewny.

I dlaczego myśl, że mogłoby istnieć coś innego od stanu „pojedynczości”, w którym żył, od świata, który składał się wyłącznie z takich słów, jak „ja”, „ty” i „oni”, ale nigdy „my”, docierała do głęboko skrywanej i pilnie strzeżonej przed światem części jego



duszy? Jak to się stało, że dopuścił do tego, by zaszła w nim taka zmiana? Że niczego nie zauważył?

I dlaczego wspomnienie przygaszonego głosu Bonnie tak bardzo go dręczyło? Z wojowniczą, dumną Bonnie umiał sobie radzić, lecz nie z tą Bonnie, która spoglądała na niego oczyma, z których nagle uleciała cała wiara, ufność. Nie z Bonnie, która nagle wydawała się nieskończenie krucha. Jedna łza... jedna przekłeta łza i by się złamał.

Może właśnie to kazało mu uciec się do wyważonej odpowiedzi na to pytanie i podjąć próbę powrotu na mniej śliski grunt, gdzieś, gdzie mógłby znaleźć oparcie dla stóp, gnąc się pod huraganowym wybuchem złości, jakiego po Bonnie się spodziewał.

- Powiedziałem to, co każdy szanujący się mężczyzna powiedziałby o kobiecie, która zrzędzi mu nad uchem tak bardzo, że można od tego zdechnąć, i doprowadza do obłądu. Powiedziałem, że jesteś moją żoną.

- Żoną?!

Bonnie nie wierzyła własnym uszom. Była zaskoczona, bardziej jednak jeszcze na Graya wściekła - być może nieco bardziej, niż powinna, a już na pewno bardziej, niż sytuacja na to zasługiwała. Ale złość była lepsza od tego, jak czuła się wtedy, kiedy bąkał pod nosem, jaki to potworny pomysł, by mogli być parą. Te słowa były jak cios w samo serce.

Jeszcze gorsza była myśl o tym, co się w niej działo, kiedy usłyszała z jego ust to słowo. Żona. Promieniste ciepło ogarnęło ją całą niczym ogień grecki, jednak świadomość, że choć przez chwilę podobał się jej pomysł zostania żoną

Graya, podziałała na Bonnie jak skok do lodowatej przerębli.

Przypomniała sobie moment, gdy ujrzała Graya rozciągniętego na piasku. Myślała, że był martwy, i to przypuszczenie wtrąciło jej duszę w otchłań najczarniejszej rozpacz. Kiedy tylko się poruszył, świat nagle jakby wrócił do życia.

Nie próbowała nikomu udowodniać, jaka jest dzielna, kiedy rzuciła nożem w wojownika, który mierzył w Graya włócznią. Wiedziała tylko, że musi go ratować. Konsekwencje jej czynu nie grały żadnej roli. Coś podpowiadało jej, że bez Graya już nic nie miałoby znaczenia. Ale nie mogła się do czegoś takiego przyznać, ani teraz, ani nigdy.

- Masz mu w tej chwili powiedzieć prawdę! - zażądała, stając tak blisko swojego małżonka „na niby”, że stykali się stopami. Gray leniwie poblądził spojrzeniem ku jej ustom i na moment dosłownie zaparło Bonnie dech w piersi. Jednak z miną Graya dziwnie kontrastowały jego następne słowa:

- Wierz mi, nic mi się bardziej nie marzy, niż odwołanie tego paskudnego kłamstwa. Wystarczy, że wymówię słowo „żona”, a od razu biją na mnie zimne poty. Ale o ile nie jesteś skłonna oddać się temu dzikusowi, lepiej postaraj się trochę mnie polubić i zachowuj się jak oddana żona... choć zapewne będzie to dla ciebie bardzo przykre. Potraktuj to jako wprawkę przed całymi latami u boku tego prostaka, za którego planujesz się wydać.

Ręce ją świerzbiły, by wymierzyć Grayowi policzek -a potem zacałować na śmierć. Lepiej postaraj się trochę mnie polubić. Ona już lubiła go, i o wiele za mocno, by spokój jej duszy nie był poddany ciężkiej próbie.

- Ale jeśli mi nie wierzysz, nie krępuj się. Możesz sama się przekonać, jaką dla ciebie szykuje niespodziankę. Niemniej uważam za swój obowiązek, żeby zwrócić twoją uwagę na fakt, że to, co unosi jego przepaskę, nie jest kawałkiem konara znalezionym na plaży.

Zapiekły ją policzki, kiedy usłyszała tę gruboskórną uwagę. Mimo to nie zdołała się powstrzymać od zerknięcia na przepaskę Wielce Dzielnego. Ku swojej zgrozie stwierdziła, że Gray nie przesadza. Trudno było przeoczyć sporą wypukłość na materiale gładko przylegającym do bioder mężczyzny.

- Póki co, stanowią dla ciebie mniejsze zło - skwitował Gray zwięźle, a Bonnie obejrzała się na niego, spłoszona. -Z mojej strony nie masz czego się obawiać. Nie tknąłbym cię, choćbyś mnie o to prosiła!

Na tym kłótnia się skończyła, bo Wielce Dzielny wyraźnie miał tego wszystkiego powyżej uszu. Szturchnął Graya ponagłajaco. Wyglądało na to, że będą uczestniczyć w uczcie, czy mieli na to ochotę, czy też nie.

Gestem zdecydowanie niezbyt czułym jak na kochanka Gray złapał dziewczynę za rękę i dosłownie powłókł ją za sobą. Bonnie z wielką chęcią odpłaciłaby mu się kopniakiem w piszczel, jednak wciąż wyczuwała za sobą milczącą obecność Wielce Dzielnego, więc popadła w ponure milczenie.

Usiłowała skoncentrować się na krajobrazie, byle tylko nie myśleć o ciężkiej dłoni Graya, tak gorącej, że zdawała się parzyć. Kiedy zaczął gładzić kciukiem wrażliwą skórę po wewnętrznej stronie jej nadgarstka, Bonnie poczuła się tak, jakby stanęła w ogniu.

Nie sądziła, by zdawał sobie sprawę z tego, co się z nią dzieje. Raczej nie. Zachowywał się tak, jakby jej nie dostrzegał, chociaż zauważyła, że nieznacznie zwolnił kroku i przestał tak mocno ścisnąć ją za rękę.

Maszerowali wąską, wydeptaną ścieżką, ukryci w cieniu rozkołysanych palm. W powietrzu unosił się coraz silniejszy zapach kwiatów. Niepostrzeżenie dłoń Graya odnalazła jej dłoń i splotła się z nią, silne, szczupłe palce uściśniły jej własne, jakby tym gestem chciał wyrazić wszystko to, czego nie mógł powiedzieć: że będzie jej

bronił do ostatniego tchu, że wszystko będzie dobrze, że może mu ufać.

Bonnie odpowiedziała delikatnym uściskiem, a kiedy ich spojrzenia spotkały się, w pięknych, siwych oczach Graya dostrzegła coś na kształt zdziwienia i uśmiechnęła się nieśmiało. Nie była pewna, czy się nie pomyliła, bo niemal natychmiast uciekł wzrokiem, lecz zdało się jej, że on także się uśmiechnął. Ledwie o tym pomyślała, zrobiło się jej cieplej koło serca, znikł strach... i część rozgoryczenia, jakim napęliły Bonnie jego wcześniejsze słowa.

Rozejrzała się: pejzaż przykuwał wzrok swoim pięknem. Żaden rozbitek nie mógłby sobie wymarzyć bardziej urokliwej scenerii.

Przyroda stworzyła tu prawdziwe dzieło sztuki, zachwycające dla oka nie mniej niż dla ucha. Niósł się szelest palmowych liści, kołyszących się na wietrze, chrzęst jasnoróżowego piasku pod stopami, szmer chłodnej, upajającej bryzy, chylącej ku ziemi główki kwiatów, które zawarły w sobie wszystkie kolory tęczy i obnosiły je z dumą niczym w rozległym, wielobarwnym kalejdoskopie.

Choć dzień na dobre się już zagościł, zewsząd niósł się śpiew ptaków, jakby wschód słońca rozlewał właśnie odcienie różu i żółci z wyżyn nieboskłonu. W oddali chmury muskały pieszczotliwie wierzchołki soczyście zielonych wzgórz. Niebo nad nimi przystroiliło się w pastelowe wstążki, każda niczym idealne pociągnięcie pędzlem. Był to widok przechodzący swą urodą najśmielsze wyobrażenia.

Kiedy mijali wielką agawę o spiczastych, kolczastych liściach, podobną do zielonego płomienia i jedną z wielu rosnących w szczelinach między głazami, Gray zerwał jeden niepozorny kwiat i

podał go Bonnie. Ten gest był wręcz niewiarygodnie czuły jak na mężczyznę, który jeszcze przed chwilą zachowywał się tak opryskliwie. Bonnie wetknęła sobie kwiat za ucho, czując, jak miękkie płatki delikatnie muskają jej skroń.

Była tak zaabsorbowana, że ledwie zauważała upływ czasu. W końcu jednak wyszli spośród smukłych drzew, zwieńczonych zielonymi pióropuszcami z liści, prosto na polankę, za którą rozciągała się zaskakująco duża wioska; i to taka, która na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie nadspodziewanie nowoczesnej.

Zbite w długi szereg tuliły się do siebie parterowe chaty o niemal płaskich dachach, powiększone o poplamione i zbrązowiałe od słońca przybudówki. Z cylindrycznych kominów, przypominających miniaturowe minarety, snuły się cienkie smugi dymu, przesycając powietrze zapachem palonych gałązek i suszu przyniesionego zapewne ze wzgórz. Zaś na każdych drzwiach, w niemym świadectwie religijności tubylców, o której wspominał Wielce Dzielny, wisiały niewprawną ręką namalowane obrazy przedstawiające Madonnę Niepokalanego Poczęcia\*.

W dali za wioską na tle morza majaczyło rozległe wzgórze, szachownica zielonych i żółtych kratek, wyraźnie odgraniczona od błękitu nieba, tu i ówdzie naznaczona szkarłatnymi kreskami, które, jak wyjaśnił Gray, były śladami po wydobyciu gliny, stanowiącej tu główny budulec. Pola rozdzielały parowy podobnie jak w Szkocji.

*\* Niepokalane poczęcie Maryi było jednym z ulubionych tematów siedemnastowiecznych malarzy hiszpańskich. Maryja*

*personifikowała niewinność i wyobrażana była często jako dziecko lub młoda dziewczyna, unosząca się ku niebu*

Bonnie przez cały czas zastanawiała się, czy na wyspie są jakieś kobiety, dotąd bowiem widziała wyłącznie mężczyzn. Myśl, iż mogłaby okazać się jedyną w okolicy przedstawicielką płci pięknej, była nader deprymująca, zwłaszcza po tym, gdy Gray jej powiedział, że wpadła wodzowi w oko.

Toteż doznała prawdziwej ulgi, widząc liczną gromadkę kobiet, krzątających się skrzętnie po wiosce. Wysypywały zboże do suszenia na płaskich kamieniach, wieszały świeżo zebraną kukurydzę na drewnianym krzyżaku pod słomianym daszkiem, inne szykowały się do zmielenia podsuszanej kukurydzy na mąkę. Nawet łuski się nie marnowały: wypychano nimi lniane worki na poduszki i materace.

Bonnie była tak zafascynowana, że omal się nie potknęła o grubiotką świnię, która przebiegła jej pod nogami. Zwierzę zakwiczało gniewnie i zrobiło kilka groźnych kroków w stronę dziewczyny, lecz zaledwie wódz rzucił podniesionym głosem jakąś krótką komendę, puściło się truchtem w przeciwnym kierunku, wyraźnie przygnębione, ostentacyjnie tupiąc raciczkami.

To zajście zwróciło uwagę mieszkańców wioski na przybyszy. Natychmiast zaroilo się od tubylców o skórze koloru mokki, którzy obchodzili ich dookoła, patrząc ciekawie i rozmawiając między sobą w śpiewnym narzeczu pełnym nosowych samogłosek.

Od strony morza wolnym, niepewnym krokiem nadeszli właśnie starcy o twarzach jak z grubej, pomarszczonej wolej skóry. Na chudych, żylastych barkach dźwigali kije z dużymi, połyskliwymi

rybami, co upodobniało ich do sękatych, ruchomych wag. Ryby, jak wyjaśnił Bonnie Gray, nosiły nazwę mieczników.

Bonnie znalazła się w samym sercu ludzkiej ciżby.

Nieświadomie mocniej przytuliła się do Graya i poczuła, jak jego wargi muskają delikatnie jej ucho. Równocześnie usłyszała cichy, pocieszający szept:

- Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

Jednak chwilę później napiął wszystkie mięśnie. Ramię, które obejmowało ją w talii, zacisnęło się ciaśniej. Podszedł do nich Wielce Dzielny. Żywo gestykulował i co chwila wskazując Bonnie, zaczął domagać się czegoś swoim szczekliwym głosem, ale Bonnie nie rozumiała ani słowa. Twarz Grayowi stężała. Przesunął Bonnie tak, by znalazła się za jego plecami. Odpowiedział kilkoma gardłowymi słowami i zamasztył gestem wyrażającym zdecydowaną odmowę.

Wojownik przysunął się do Graya, który puścił rękę Bonnie i zaczął iść w kierunku tubylca. Z każdym jego krokiem Bonnie z coraz większą paniką myślała o tym, co może się wydarzyć.

Wówczas na jej ramieniu oparła się czyjaś ciężka dłoń.

- Ciii, dziewczuszko. Uspokój się - usłyszała znajomy głos.

Prorok podszedł do niej, kulejąc, i stanął u jej boku. Bonnie spojrzała na poplamiony bandaż na jego nodze i natychmiast przypomniała sobie chwilę, gdy wypchnął ją spod walącego się masztu. Jednak słowa podziękki zamarły jej na ustach, bo ewidentnie wroga wymiana zdań między Grayem i wodzem stawała się coraz głośniejsza.

- O co się oni kłóca, Proroku? O czym mowa?



- Wódz chce, żebyś poszła z kobietami wykapać się przed fiestą. Gray właśnie mu powiedział, że nigdzie cię z nim nie puści, że jesteś jego żoną, a miejsce żony jest przy mężu.

Bonnie się spodziewała, że Prorok skomentuje jakoś jej nową rolę - żony Graya - ale nie odezwał się słowem. Była mu szczerze za to wdzięczna.

Z niepokojem spojrzała na Graya, który przybrał wojowniczą postawę. Wprawdzie cieszyło ją to, że z takim żarem stara się jej bronić, ale też miała ochotę na niego nakrzyczeć za to, że niepotrzebnie doprowadza do scysji. Kąpiel z miejscowymi kobietami nie była niczym na tyle ważnym, żeby musiał z tego powodu narażać się wodzowi.

Ku jej uldze sprzeczka zakończyła się pokojowo. Gray wrócił na swoje miejsce i zaborczym gestem otoczył Bonnie ramieniem, jakby na znak, że należy tylko do niego, Bonnie zaś poczuła się zdecydowanie bardziej jak czyjaś własność niż uwielbiana małżonka.

- Co się stało? - ponagliła, poirytowana milczeniem Graya.

Kiedy na nią spojrzał, stwierdziła ku swojemu zaskoczeniu, iż na jego twarzy maluje się cień szelmowskiego uśmiechu, w oczach zaś tlą się dziwne iskierki.

- My, droga żono, pójdziemy się teraz kąpać.

Grupa składająca się z pięciu kobiet oraz dwóch mężczyzn towarzyszyła Grayowi i Bonnie podczas mozolnej wspinaczki na najwyższy położony punkt wyspy, lecz trud wynagradzały im coraz piękniejsze widoki.

Po lewej ciągnęły się pola dojrzewającej pszenicy, jęczmienia i kukurydzy, które Bonnie widziała już wcześniej. Rozdzielały je ciemne, wyraźne linie parowów. Olśniewająco piękne białe motyle przefruwały z ciemnych spiczastych kłosów jęczmienia na złocistą, połyskliwą pszenicę i z mirtowego zagajnika na tworzące naturalny wiatrochron szczodrzenie.

Po prawej mieli ledwie widoczną ścianę skalną gęsto porośniętą przez drzewa i krzewy: eukaliptusy, jemiolę i gigantyczny wrzos o sękatych, powyginanych gałązkach. Nawet na tej wysokości, pomimo wiatru znad Atlantyku, Bonnie czuła lekki zapach sosny, choć nie umiała powiedzieć, skąd dochodził.

Mieszkańcy wioski, jak zauważyła już wcześniej, wydawali się najzupełniej zadowoleni z życia. Zajmowali się swoimi codziennymi obowiązkami, jakby nie wiedzieli o tym, że istnieje inny świat i nic ich to nie obchodziło.

Z tłumaczonej przez Graya rozmowy z jedną z kobiet Bonnie dowiedziała się, że wyspa jest w pełni samowystarczalna. Tubylcy uprawiali zboża i warzywa, a nawet hodowali zwierzęta. Kobieta - a właściwie dziewczyna - wskazała kurczaki płaczące się pośród małego, lecz okazale się prezentującego stada owiec. Nieco dalej zobaczyli kilka czarnych kur, które według Graya miały dla wyspiarzy szczególne znaczenie.

- Takie kury zabija się na pierwszy posiłek w nowym domu - wyjaśnił. - Tutejsi wierzą, że to odpędza śmierć. Potem obnosi się je po wszystkich pomieszczeniach, a następnie zostawia w spichlerzu, chlewie i oborze, by chroniły ludzi i zwierzęta przed złym okiem. A

jeśli później jego mieszkańcy zachorują, krew z grzebienia czarnego koguta podaje się jako lek.

Bonnie wolałaby, żeby Gray oszczędził jej tej opowieści. Dowodziła ona, iż tutejsza ludność jest zabobonna, i Bonnie bezwiednie zaczęła się zastanawiać, czy hołduje się tutaj innym osobliwym zwyczajom - rytuałom, które spodobałyby się jej jeszcze mniej niż picie krwi czarnych kur.

Kiedy dotarli na sam szczyt, Bonnie odwróciła się powoli z poczuciem, że stoi na samym wierzchołku wszechświata. Widok rozpościerał się na mile.

Z wysokości wzgórza dojrzała dno oceanu pod krystalicznie przejrzystą wodą, połyskującą w świetle popołudnia i mieniącą się cudnymi kolorami. Tysiąc funtów kamieni szlachetnych nie pyszniłoby się takimi szmaragdowymi zieleniami, fioletowymi ultramarynami, lazurem przechodzącym w nefryt, kobaltem zmieniającym się w turkus tknięty indygo, jak woda Atlantyku, połyskliwą serpentyną odcieni sięgająca ku brzegowi.

Nawet z tej odległości słyszeć było głuchy łoskot przyboju. Fale kolejno uderzały z potężnym hukiem, który cichł po chwili i zlewał się z następnym w harmonijny jak muzyka poszumie.

Pokrywa chmur zasnuwała wyspę od brzegu do brzegu. Bonnie szybko uprzytomniła sobie, jakie korzyści czerpali z tego faktu tubylcy: wystarczyło się rozejrzeć, stojąc nad wodą, i widać było dosłownie wszystko, natomiast z wody wyspa pozostawała niewidoczna, o czym Bonnie zdążyła się już przekonać.

Nieliczna grupka rozdzieliła się. Ciemnoskóre kobiety ruszyły w dół po ledwie zarysowanych schodkach wykutych w kamiennym zboczu wzgórza ku czemuś w rodzaju jeziora o lekko brunatnawej wodzie; nieco dalej od środka jego tafla wydymała się nieznacznie od bąbli powietrza.

- To caldeira - wyjaśnił Gray. - Krater wypełniony ciepłą wodą, powstały w wyniku jakiejś erupcji wulkanicznej sprzed setek lat. Zresztą ta wyspa i wszystkie sąsiednie powstały w podobny sposób.

Bonnie spoglądała nieśmiało w przystojną, ogorzałą twarz Graya - twarz, której wtedy na plaży nie spodziewała się więcej oglądać - i coś w niej pękło, jakby z opóźnieniem pojawiła się reakcja na wcześniejsze przeżycia, jakby jej umysł i ciało dawały znać, że teraz już można uzewnętrznić uczucia, które w sobie dotąd dusiła: cały strach, całą rozpacz. Kolana się pod nią ugięły.

Gray złapał ją za ramiona i przytrzymał. W jego oczach malowała się szczerą troską.

- Dobrze się czujesz?

Bonnie zebrała w sobie wszystkie siły.

- Nic mi nie będzie. Zaczynają mi chyba puszczać nerwy.

- Wiele przeszłaś. - Pogładził ją kciukiem po policzku. -

Poczujesz się lepiej, jak wejdiesz dowody i nareszcie się odprężysz.

Bonnie zadrżała pod wpływem tej czulej pieczyoty. Nie mogła się doczekać wspólnej kąpieli.

Podążyli za milczącymi mężczyznami z plemienia na drugą stronę wzgórza. Schodząc krętą ścieżką, Bonnie zauważyła duże głazy, na których wyryte były dziwne rysunki, w większości, jak

oceniała, przedstawiające symbole religijne, których obecność jeszcze bardziej przekonała ją o pobożności wyspiarzy. Przystanęła przed sporym, obłym kamieniem, by przyjrzeć się dość misternemu rysunkowi, jaki był na nim uwieczniony.

- To trochę jak hieroglify - odezwał się Gray, wskazując pięcioelementową kompozycję. - Te małe tarcze to quinas. Na każdej widnieje pięć kropek... czyli bizantów, bo pod taką nazwą są znane. Podług interpretacji religijnej quinas symbolizują pięć ran Chrystusa, a kropki trzydzieści srebrników, za które Judasz go zdradził... ale wtedy trzeba by było te pięć w środku liczyć podwójnie. Typowe rozumowanie fanatyka dopatrującego się boskich przesłań tam, gdzie ich nie ma.

- A to? - Bonnie wskazała inną część rysunku.

- To astrolabium, przedstawiające równoleżniki niebieskie, równiki, zwrotniki i zodiak. Za czasów Kolumba wierzono, że można przewidzieć wydarzenia, nawet i kataklizmy, na podstawie układu planet.

Jeden z tubylczych strażników kiwnął włócznią i postój się skończył. Uszli jeszcze kawałek drogi, gdy nagle ozwał się głuchy ryk.

Dotarli do płaskiej półki skalnej i zaczęli się przedzierać przez zarośla. Po chwili ich oczom ukazało się źródło owego dźwięku: krater trzykrotnie większy od tego, w którym poszły się kąpać kobiety. W dodatku znajdował się u stóp oszałamiająco pięknego wodospadu.

Strażnicy pokazali na migi, by Bonnie i Gray poszli dalej, po czym jeden coś dodał.

- Mówią, że mamy pół godziny - przetłumaczył Gray.

Bonnie marzyła o tym, by ściągnąć z siebie brudną koszulę, ale tknęła ją niepokojąca myśl. Popatrzyła ukradkiem zza ramienia Gray a w kierunku wojowników.

- Będą tu stali przez całuteńki czas?

- Nie, jeśli tylko uda mi się cokolwiek wskórać. - Mrugnął do niej, po czym warknął coś do strażników, którzy wymienili znaczące uśmiešky. Moment później znikli za ścianą liści, pozostawiając Graya i Bonnie w świetle, który przez tę krótką chwilę miał należeć tylko do nich dwojga.

- Co żeś im powiedział?

Odgarnął jej kosmyk włosów z twarzy; lekki dotyk jego palców nappełnił Bonnie dziwną tęsknotą.

- Powiedziałem, że chcemy pobyć tylko we dwoje.

Sposób, w jaki wypowiedział te słowa, ochryple, tonem sekretnych obietnic, sprawił, że serce zaczęło jej szybciej bić.

- A jak wrócą?

- W tej chwili jest mi to najzupełniej obojętne. Podobnie jak mnie, pomyślała Bonnie, nie odrywając od niego oczu. I zupełnie jakby on wejrzał w jej serce, jakby wiedział, czego najbardziej pragnęła, przyciągnął ją do siebie gwałtownie i pocałował, nieomal brutalnie i tak gorąco, że całe jej ciało stało się jednym nienasyconym głodem.

Tak bardzo go jej brakowało. Każdy dzień na statku w czasie, gdy Gray trzymał się od niej jak najdalej, dłużył się jej dziesięciokrotnie. Upór i duma powstrzymywały ją przed zrobieniem pierwszego kroku, ale teraz żadne błahostki nie staną między nią a Grayem. Uświadomiła sobie, że bardziej niż czegokolwiek innego pragnęła właśnie tego, właśnie na to czekała, żeby znaleźć się w jego ramionach, poczuć, że jest bezpieczna... kochana.

- Bonnie - wyszeptał zmysłowo, obsypując pocałunkami jej policzek, szyję, nakrywając dłońmi jej pełne piersi. - Przepraszam... tak bardzo cię przepraszam. - Zająknął się, lecz potem słowa polały się z niego strumieniem, zapewnienia, że cierpiał nie mniej niż ona. - Mój Boże... Kiedy zmiotło cię za burzę, pomyślałem, że zaraz umrę. Nie mogłem cię uratować. Niech mnie diabli, nie mogłem.

- Cśś... żadnych przeprosin. - Zaczęła muskać ustami jego wargę. Zawisła mu na szyi, pragnąc znaleźć się jak najbliżej. - To nie była twoja wina.

- Moja - jęknął; zabrzmiało to tak, jakby rozpacz walczyła w nim o lepsze z żądzą. - To ja jestem kapitanem.

Przegarnęła mu włosy.

- Przede wszystkim jesteś człowiekiem.

Powiedział coś bezgłośnie, po czym zdarł z niej koszulę, przyglądając się chciwie jej obnażonemu ciału. Ściągnął spodnie i stanął przed nią, bez cienia wstydu obnosząc się ze swoją nagością.

Uniósł ją gwałtownie, a kiedy oplotła go nogami w pasie, wszedł do wody, całując Bonnie nieprzerwanie. Woda sięgnęła jego łydek, potem bioder Bonnie, w końcu talii. Ryk wodospadu jakby przycichł

nagle i dziewczyna słyszała tylko bicie swojego serca. Miała wrażenie, że żyłami płyną jej rzeki płynnego ognia.

Woda uczyniła jej ciało lekkim jak piórko. Niepostrzeżenie Bonnie znalazła się w magicznym świecie, w którym istniały tylko usta Graya, jego ciało i woda, w której wszystko stawało się śliskie, bardziej zmysłowe.

Gray ujął dziewczynę w talii i uniósł tak, by móc sięgnąć ustami do jej piersi. Bonnie wygięła plecy w łuk, kiedy zacisnął wargi na napężonym sutku. Wyciągnięta jak struna wsłuchiwała się we własną rozkosz. Doznania napływały bez końca, jak z rogu obfitości, i czuła, że odchodzi od zmysłów.

Wsunęła dłoń między swoje ciało a Graya i usłyszała w nagrodę zdławiony jęk przyjemności. Zaczęła go pieścić, z każdą chwilą pragnąc go jeszcze bardziej, tak bardzo, że graniczyło to z bólem.

Przylgnęła do niego ciaśniej. Zaczęła się bezwiednie kołysać w rytmie narzuconym przez jej własne ciało, coraz szybciej i szybciej, podając pierś jego ustom.

Chwycił ją za pośladki i objął mocno. Ich ciała ocierały się o siebie, poruszały w coraz bardziej gorączkowym pośpiechu. Jęki Bonnie stały się oszalałe, nieprzytomne. Gray nagle jednak przerwał tę rozkoszną udrukę,

- Nie... - rzuciła błagalnie.

- Cśś, moja mała tygrysico. - Poniósł ją w głąb krateru. Polała się na nią kaskada wody, ale Gray nie zatrzymał się, dopóki nie znaleźli się pod wodospadem.



Strugi wody uderzały wściekle w tafłę dookoła nich, ale tam, gdzie się zatrzymali, docierała jedynie chłodna mgiełka. Bonnie otworzyła oczy i pomyślała, że Gray przeniósł ich do jakiegoś świetlistego snu, daleko od wścibskich spojrzeń i zmartwień. Teraz mógł na nowo wrócić do przerwanych pieszczot, które niebawem znowu stały się równie gorączkowe, równie zapamiętałe jak przed chwilą.

Bonnie trzymała go kurczowo za ramiona, niezdolna się poruszyć. Rozkosz buzowała w niej coraz silniej, niosąc ją ku owemu świetlistemu miejscu, gdzie czekała kulminacja. Pragnęła, by w nią wszedł.

- Gray... proszę. - Modląc się, by znów się nie wycofał, naprowadziła go ręką, półprzytomna z podniecenia. Gray jęknął i potrząsnął głową. Chwycił ją za nadgarstek i odsunął jej rękę.

Zacisnął zęby. Minę miał udęconą.

- Nie, Bonnie... Tak nie można...

- Ale ja muszę cię mieć... całego. - Naparła na niego, poczuła, że nieznacznie się w nią wsunął, i pomyślała, że umrze z rozkoszy. Potem wsunął się odrobinę głębiej.

- Boże... - Gray oparł twarz o jej ramię. - Nie rób mi tego.

- Dlaczego? - spytała na poły płacząco, na poły z pretensją.

- Bo ja tak nie mogę, psiakrew! Nie będę tym drugim! Nie potrafiłbym wziąć cię teraz, a potem z ciebie zrezygnować! Nie pojmujesz tego? Czy ty w ogóle rozumiesz, co tu może się stać? Dziecko, Bonnie. Mogłoby się pojawić dziecko. A ja nie pozwolę, żeby po świecie błakał się bękart, w którego żyłach płynęłaby moja

krewni. Nie narażę kolejnej istoty ludzkiej na to samo, co sam... -  
Zamilkł raptownie. - Po prostu pozwól, żebym kochał cię najlepiej jak  
umiem. Błagam cię, Bonnie... nie proś o więcej.

Dziewczyna zamknęła oczy, nic jednak nie zdołałoby  
powstrzymać uczuć, jakie się w niej kłębiły, od znalezienia ujścia. Po  
jej policzkach popłynęły gorzkie łzy.

- Nie, Bonnie... błagam cię, nie płacz. - Słysząc to, jak bardzo  
mu ciężko, jaki się czuł rozdarty. Jego ból rozdzierał jej serce tym  
bardziej, że w głębi duszy wiedziała, że mu na niej zależało i że  
okazywał jej swoje uczucie w jedyny sposób, jaki znał. - Jestem  
bękartem, rozumiesz? Nędznym bękartem... przeklętym, wiecznie nie  
na miejscu, przeklętym zerem.

- Nie mów tak!

- Moja matka miała kochanka. Czy teraz wszystko już  
rozumiesz? Właściwie to rozlicznych kochanków. Nawet nie wiem,  
kim jestem. Jaki jestem. Gdzie moje miejsce. Ale, jak mi Bóg miły,  
jedno wiem: nie skażę nikogo na ten sam los. Nie powołam na świat  
człowieka, któremu pisana by była taka sama przeklęta egzystencja  
podrzutka. Nie wezmę od ciebie tego, co mi ofiarowujesz, bo nie  
umiałbym ci się odpłacić wzajemnością. Masz Ewana. Masz swoje  
życie. Ja nie mam nic. - Łamiącym się, znękany głosem, powtórzył: -  
Ja nie mam nic.

Odwrócił się do niej plecami i zniknął pod kaskadą wody.  
Patrzyła za nim z niewypowiedzianymi słowami na ustach,  
zapewnieniami, że niczego od niego nie chciała.

Niczego oprócz miłości.

Zachód słońca rozlewał się między dwoma postrzępionymi cyplami, kiedy Bonnie wychynęła z jednej z małych chat, w której sypiały niezamężne młode kobiety.

Zamiast porwanej koszuli Graya miała teraz na sobie miejscowy przyodziewek z miękkiej zwierzęcej skóry. Był dwuczęściowy i czuła się trochę skrepowana tym, jak wiele odkrywał ciała. Góra ledwie zasłaniała jej piersi.

Chociaż Bonnie nigdy nie uważała się za szczególnie wstydliwą - w końcu dorastała z czwórką braci - była nieco onieśmielona, wychodząc w nowym stroju na dwór. Jednak zapomniała o zdenerwowaniu w chwili, w której dostrzegła Graya.

Siedział na plaży w pewnej odległości od grupy tubylców. Ostatnie promienie chylącego się za horyzont słońca kładły się miękko na jego włosach, krzesząc na nich pełgające czerwone ogniki. Choć wokół było tylu ludzi, nigdy nie wydawał się bardziej samotny.

Nieopodal bawiła się gromadka dzieci. Niektóre pluskały się w wodzie, dokazując pośród fal o białych grzbietach, kilkoro innych siedziało na brzegu, pozwalając, by spieniona woda omywała im nogi. Całe popołudnie budowały z piasku statki o masztach z patyków, ozdobione wszystkim, co tylko nawinęło im się pod rękę.

Gray spojrział w tamtym kierunku, kiedy w powietrzu rozległ się dziecięcy, radosny śmiech. Nim na tle nieba pyszniącego się żółcią, pomarańczą i czerwienią jego profil zmienił się w czarny kontur,

Bonnie dostrzegła przelotnie wyraz jego twarzy. Obraz dojmującego smutku, jaki z niej tchnął, wrył się w pamięć dziewczyny tak głęboko, iż wątpiła, czy zdoła to kiedykolwiek zapomnieć.

Myślał, że nie ma nic i nic nie może jej ofiarować, lecz przecież posiadał wszystko, czego pragnęła, tylko o tym nie wiedział. Choć tak się starała, nie potrafiła się przebić przez mur, jakim odgradził się od innych ludzi.

Prorok powiedział kiedyś, że ona mogłaby odmienić życie Graya, uleczyć jego stare rany, ale zawiodła. Och, jakże zawiodła. Podczas gdy ona zamknęła się w świecie utkanym z marzeń, Gray pewnie stapał po ziemi. Była zaręczona z innym, a honor nakazywał dotrzymać słowa, toteż nawet gdyby oboje z Grayem zdołali jakimś cudem wrócić do normalnego życia, nie zobaczyłaby go już nigdy. Nagle uderzyła ją bolesna myśl.

Jak ja mam bez niego żyć?

W tej samej chwili Gray obejrzał się przez ramię i zauważył ją. Usta mu drgnęły i ułożyły się w niepewny, rozczulająco chłopiący uśmiech, jakby pytał, czy nadal cieszy ją jego widok. Omal znowu się nie rozplakała. O wiele łatwiej byłoby go nienawidzić, wtedy może wszystko nie wydawałoby się takie skomplikowane. Ale nie potrafiła. Także i w tym zawiodła.

Podniósł się i otrzepał ręce z piasku, ale nie ruszył się z miejsca. Obnażony do pasa i piękny patrzył na nią niepewnie. Bonnie nie umiała mu się oprzeć, nie potrafiła odwrócić się i odejść, choć wiedziała, że właśnie tak uczynić powinna dla spokoju własnej duszy.

Wyszła mu na spotkanie. Rozumiała, że nie mógł nic poradzić na to, kim jest i jaki jest. Nie chciała tracić czasu na rozmyślanie o tym, co nieziszczalne. Może jutro ich rozdzieli, ale pozostawał jeszcze dzień dzisiejszy i Bonnie zamierzała się nim nacieszyć.

Zatrzymała się przed Grayem, niepewna, co powiedzieć, tak wiele słów cisnęło się jej na usta. Gray wziął do ręki pasmo jej włosów i zaczął gładzić je palcami. Teraz na jego twarzy malował się wyraz czułości.

- Pięknie wyglądasz - rzucił cicho.

Zarumieniła się. Nagle ponownie ogarnęła ją nieśmiałość.

- Nigdy żem nie sądziła, że to powiem, ale... chyba lepiej bym się czuła w sukni.

Zaśmiał się cicho, gardłowo.

- Wojowniczką Bonnie w sukience? Co by ludzie powiedzieli?

Bonnie wcale to nie obchodziło. W tym samym stopniu, w jakim niegdyś zależało jej na tym, by uważano ją za twardą, samowystarczalną osobę, która pomocy nie chce i nie potrzebuje - przez co rozumiała wtedy naśladowanie mężczyzny - teraz dzięki tym samym cechom czuła się dumna z tego, że jest kobietą.

Twarz Graya zmieniła się znowu. Spoważniał i spytał miękko:

- Czy uznasz mnie za egoistę, jeśli powiem, że nie chciałbym, żeby ktokolwiek oglądał cię taką, jak w tej chwili?

Bonnie pokręciła głową i szepnęła: -Nie.

Czuła się tak, jakby nogi jej wrosły w ziemię. Słońce skryło się w końcu za horyzont i zapadła noc, niemal natychmiast jednak

zapłonęły pochodnie, których blask skapał Graya w odcieniach złota i brązu.

Magiczna chwila prysła jednak spłoszona soczystym przekleństwem Graya:

- Cholerny świat!

Skrzywił się, patrząc na coś za plecami dziewczyny.

Bonnie obejrzała się. Zamaszystymi krokami zmierzał w ich stronę Wielce Dzielny, błędząc po jej ciele pożądliwym spojrzeniem. Do tej pory lęk o Graya, a później jego gniew absorbowały ją tak dalece, że przestała zastanawiać się nad tym, czy wódz nadal jest nią zainteresowany. Teraz problem pojawił się na nowo.

Wódz zamienił z Grayem kilka słów, po czym odmaszerował równie sprężystym krokiem, jak przyszedł. Kiedy Bonnie spojrzała na Graya, w jego oczach malował się wyraz czujności.

- Co mówił?

- Chce, żebyś siedziała obok niego. To ma być hołd dla twojej odwagi.

- Jak mu odpowiedziałeś?

Usta ułożyły mu się w ironiczny uśmiezek. Spojrzał na nią i oznajmił:

- Powiedziałem, że to dla nas zaszczyt.

Siedzieli na piasku w kręgu pochodni.

Gdyby ktoś z zewnątrz zobaczył tę scenkę, mógłby pomyśleć, że to zwykła feta na cześć gości, lecz Bonnie nie miała złudzeń. Ona, Gray i jego załoga byli jeńcami, może traktowanymi lepiej niż

większość jeńców i cieszących się większą niż zwykle swobodą, lecz to mogło się zmienić w każdej chwili.

Jedzenie napływało niekończącym się, jak się zdawało, strumieniem: co chwila wnoszono nowe danie. Bonnie za-burczało w brzuchu i dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że od prawie dwóch dni nie miała nic w ustach.

Ustawiono przed nimi stosy szkarłatnych krabów, gorący chleb wypiekany na płaskich kamieniach, mieczniki złowione wcześniej przez starców, kilka płaskich kukurydzianych placków o nazwie bolo de tnilho, kałamarnice, cracas, rodzaj ostrygi, i przynajmniej dziesięć innych potraw. Mięsa nie podano.

Do niekształtnych pucharków nalano im wina. Bonnie w życiu nie widziała trunku o równie intensywnie czerwonej barwie, przypominającej krew, co samo w sobie wystarczyłoby, żeby straciła na nie chęć, nawet gdyby nie doleciał jej przedziwny zapach napoju. Skrzywiła się z obrzydzeniem.

Na widok jej miny Gray parsknął śmiechem.

- *To vinho de cheiro* - odezwał się. - Śmierdzące wino. Bonnie z dezaprobatą ściągnęła brwi.

- Pasuje jak ulał. Rzeczywiście cuchnie.

- Jest też dość mocne, lepiej więc, żebyś go nie piła. Spojrzała na niego groźnie.

- Chcesz powiedzieć, że mam słabą głowę? Moja rodzina od lat utrzymuje się z pędzenia whisky. A to raczej mocny trunek.

Gray zdążył się o tym przekonać. Dobrze pamiętał, jakie spustoszenia poczyniła w nim sławetna szkocka whisky tamtej nocy, kiedy zamordowano Sarah Douglas.

To wspomnienie było bolesne, toteż zakazał sobie wracać do niego myślami. I tak miał aż nazbyt wiele zmartwień, chociażby obmyślenie planu ucieczki z tej wyspy. Jego misja -odnalezienie „świętego serca” - nie wydawała mu się już tak ważna jak kiedyś. Na pierwszy plan wysunęło się pragnienie wydobywania stąd Bonnie i załogi. Żywych.

Po południu, kiedy wracali do wioski po niezbyt dla niego fortunnej kąpieli z Bonnie, zauważył po zachodniej stronie wyspy wyciągnięte na brzeg pirogi. Pomyślał o tym, co działo się pod wodospadem, i zrobiło mu się gorąco.

Chryste Panie, powinien trzymać łapy przy sobie. Tak znakomicie mu szło, kiedy byli na statku. Wykazał się powściągliwością, o jaką się wcześniej nawet nie podejrzewał, zaledwie jednak znalazł się z Bonnie w tym odcięty od świata raj, a ona spojrzała na niego pełna pożądania, które dorównywało jego żądzy, opanowanie Graya poszło w drobny mak, silna wola zawiodła. Pozostało tylko gwałtowne pragnienie.

Co gorsza, musiał ją odtrącić. Była to najtrudniejsza rzecz, jaką uczynił w życiu. Ten jeden jedyny raz postąpił szlachetnie, choć rzadko przypisywano mu tę cechę. Nigdy by nie przypuszczał, że świetlane intencje mogą człowieka powoli zabijać, stopniowo doprowadzać do szaleństwa dopóty, dopóki człowiek nie zaczyna tęsknić za prawdziwym obłędem.



Gdyby jednak pozwolił sobie na to, by akt miłosny się dopełnił, gdyby ją posiadał, nie potrafiłby później oddać jej innemu, a wiedział, że będzie kiedyś musiał to uczynić. Nie miał prawa myśleć o wspólnym życiu, oczekiwać, by zostawiła swojego narzeczonego, braci, swój lud. Szkocję. Nie miał prawa myśleć, że porzuciłaby to wszystko dla bękarta.

Grzmiący okrzyk przywołał go do terażniejszości. Odruchowo sięgnął po nóż, który zwykł nosić na biodrze, ale palce natknęły się na pustkę; nóż spoczywał zapewne na dnie oceanu.

Jeden z wojowników gestykulował dziko, wskazując Graya palcem. Mówił tak szybko, że Gray nie wszystko zrozumiał - choć kilka słów wpadło mu w ucho.

- Pierścień, pierścień - trajkotał wojownik jak najęty. - Spójrzcie na jego pierścień.

Oczy wszystkich wlepiły się w Graya, a on opuścił wzrok na grubą złotą obrączkę, połyskującą złowieszczo w blasku pochodni.

Wielce Dzielny błyskawicznie złapał go za rękę. Gray był już gotów rąbnąć drania między oczy, ale zobaczył cztery włócznie, wymierzone w siebie i Bonnie. Dziewczyna uczepiła się jego ramienia i próbowała zmusić, by opuścił rękę.

Klnąc pod nosem, pozwolił sobie ściągnąć pierścień z palca. Tylko ciche prośby Bonnie powstrzymały go od upuszczenia komuś krwi.

Wódz obejrzał pierścień w najwyższym skupieniu. Obracał go w dłoni, oglądał pod różnymi kątami, komentując półgłosem wyryte na nim insygnia. Wokół niego ustawiło się kilku wojowników.

Następnie łypnął groźnie na Graya.

- *Onde recebue este?*

Gray w ostatniej chwili oparł się pokusie, by odpowiedzieć, że guzik mu do tego, psia krewo, skąd ma ten pierścień. Rozumiał, że od jego zachowania może zależeć los Bonnie i załogi, toteż odparł sucho:

- Należał do mojego ojca.

- *Qual entre voce e seu pai?* - Wskazał na Proroka.

- Nie, mój ojciec nie żyje. - Te słowa otworzyły ranę, jaką Gray nosił w sercu od śmierci Nilesa Sinclaira, człowieka, który traktował go jak własnego syna.

- *O mal. Sorte ma... Como o passaro de demónio.*

Zło, tak mówił o pierścieniu. Twierdził, że ściąga nieszczęście... jak skrzydlaty demon.

Skrzydlaty demon, powtórzył Gray w myślach.

O Chryste. Lady Beatrice. Zupełnie o niej zapomniał. Po prostu był pewien, że ocalała, że jej potężne skrzydła zaniósły ją w bezpieczne miejsce.

- Gdzie jest ten ptak? - spytał, choć z góry znał odpowiedź. Nie rozumiał tylko, dlaczego ta myśl sprawiła, że coś w nim pękło.

Nie wiadomo kiedy to głupie, brzydkie i piekielnie wierne ptaszysko stało się czymś więcej, niż tylko swoistym ucieleśnieniem zemsty i symbolem wszystkiego, czego nie zaznał jako dziecko.

Oczy Wielce Dzielnego zabłysły złośliwie, kiedy odpowiadał:

- *Matou. Zabity.*

- *Carregou um animal pelo ceu como um specter de mai.* -

Wojownik wykonał aż nazbyt czytelny gest, jakby wbijał sobie nóż w serce. - *Lanceei a besta pelo coracdo.*

- Przeklęty łajdaku! - ryknął Gray, zaciskając pięści i zrywając się z ziemi. - Psiakrew, to nie był żaden zły duch, tylko cholerny ptak. Cholerny ptak!

- Gray! Nie! - Bonnie zastąpiła mu drogę, nim zdążył się rzucić na tubylca. Wódz nie poruszył się nawet. Patrzył tylko na Graya z wyrazem bezbrzeżnej satysfakcji.

Gray usiłował odepchnąć dziewczynę, ale ona ani drgnęła.

- Daj temu spokój... proszę - błagała, ale jej słowa ledwie przedzierały się do jego świadomości. A potem delikatnym gestem oparła dłoń na jego policzku. - Gray.

Spojrzał na nią jak oparzony; pełne czułości, błękitne oczy zdawały się prosić, by nic więcej nie mówił, obiecywały bezpieczną przystań, w której będzie mógł skryć się ze swym bólem, by się bardziej nie narażał. Zamknął oczy na sekundę, odetchnął głęboko... i odsunął się.

Ze swobodą człowieka, który wie, że włos mu nie spadnie z głowy, Wielce Dzielny wstał i uniósł pierścień Graya niby myśliwskie trofeum.

- *Manterei isto.*

Gray zacisnął zęby.

- Niedoczekanie twoje, żebyś go zatrzymał. Wódz go zignorował.

- *Ira bem com os outros um.*

Na to oświadczenie Gray wytrzeszczył oczy.

- Masz taki sam...?

Wielce Dzielny przytaknął uroczyście.

Gray potrząsnął głową, osłupiały. Niemożliwe. Nie wierzył własnym uszom. Bo gdyby istniał jeszcze jeden pierścień, istnienie samego klejnotu przestawałoby się wydawać takie nierealne.

Tłumaczył sobie, że powinien zarzucić ten temat, że ten zadowolony z siebie bubek najpewniej próbuje z niego zakpić. Grayowa „misja” zakończyła się w chwili, gdy niemalże doprowadził do śmierci Bonnie i swoją załogę. Zawiódł wszystkich, tak jak zawodził wiele razy wcześniej.

Potem jednak pomyślał o Damienie, Silver Hills... o ojcu i o tym, jak wiele znaczyło dla niego to marzenie, toteż nawet niepokój na twarzy Proroka nie powstrzymał go od udzielenia takiej, a nie innej odpowiedzi:

- Chcę zobaczyć ten pierścień. Gdzie on jest?

Wódz przez dłuższy czas mierzył go wzrokiem i Gray zaczął już podejrzewać, że niczego się nie dowie. W końcu jednak wojownik wzruszył ramionami i kiwnął na przybyszów, by udali się za nim.

Stanęli przed maleńkim kościółkiem, składającym się z jednego tylko pomieszczenia. Fasadę budyneczku w stylu portugalskiego baroku wykuł z bazaltu jakiś uzdolniony, acz wyraźnie niewprawny rzeźbiarz, lecz mimo to jego dzieło było fascynujące w tym samym sensie, w jakim porywający bywa koncert genialnego pianisty samouka. Otaczany miłością kościółek przetrwał setki lat wiatru, deszczu i erozji.

Wprowadzono ich do środka. Nie było tam siedzeń ani żadnych ornamentów, jedynie nadwierzony zębem czasu ołtarz pod prymitywnym tryptykiem, który, jak przypuszczał Gray, słuchał tubylczych modłów od czasów Kolumba.

Jeden z wojowników podszedł do nich z małą, ręcznie robioną szkatułą, na której wieku wyryto koślawy znak krzyża. Kiedy ją otworzył, okazało się, iż wewnątrz znajduje się pozółkły pergamin.

I drugi pierścień.

Gray wyjął go bez słowa i uniósł na wysokość oczu. Ledwie spojrzał, pojął, że ten i jego pierścień są identyczne.

Doniosłość tego odkrycia stopniowo do Graya docierała, uwalniając go od cichego, acz uporczywego podejrzenia, iż jego ojciec dał się komuś oszukać, że zapisze się w ludzkiej pamięci jako zwykły marzyciel, skazany na pasmo życiowych porażek.

Małe kawałki układanki układały się powoli w całość, misterną sieć powiązań, których Gray dotąd nie dostrzegał pomimo to, że ich oczywistość powinna dawno już rzucić mu się w oczy. Jednak znaczenie pewnych szczegółów musiało ujść uwagi człowieka, który nigdy nie był religijny, nie wierzył w istnienie jakiegoś wszechmogącego boga, sprawiedliwego, dobrego - takiego, którego obchodziłby los bękarta i ostatnie życzenie konającego.

Gray odczytał słowa widniejące na pergaminie:

- „Jest tylko jedna Osoba w Jezusie i ta Osoba jest równocześnie Bogiem i Człowiekiem. Jego serce także jest Boskie - jest Sercem Boga”.

Święte Serce Jezusa.

Gray powoli podniósł głowę. Mężczyźni stojący przed nim rozstąpili się i ujrzał to, co kryli przed jego wzrokiem -to, czego poszukiwał.

Za ołtarzem, w łukowatej nawie, stała majestatyczna figura Jezusa, przedstawionego z pochyloną głową i spoglądającego na coś, co trzymał w stulonych dłoniach.

Roziskrzony brylant czerwony jak krew.

Bonnie w milczeniu usiadła obok Proroka na schodkach przed niewielką chatą, którą mieli dzielić z Grayem jako małżeństwo. Nie myślała o tym, jak długa może się okazać najbliższa noc, nie cieszyła się, że będą tak blisko, że ręce znowu same będą się jej do Graya wyciągać, bo wiedziała, że zamiast dać mu przyjemność, zwiększy tylko jego frustrację. Jej myśli krążyły wyłącznie wokół tego, jak musiał się czuć.

Tam, gdzie piasek spotykał się z morzem, Gray błąkał się bez celu niczym pogański bóg niepokoju. Księżyc, który malował na wodzie srebrzystą ścieżkę, oświetlał jego twarz, jakby chciał przyjrzeć się ściągniętym brwiom nocnego wędrowca, ciekaw, jakie dręczą go myśli.

Bonnie szczerze się martwiła. Wydawał się taki daleki, nieobecny, od czasu gdy wyszli z kościołka. Nie potrzebowała tłumacza, by wiedzieć, co zaszło. Obecność klejnotu mówiła sama za siebie. Resztę dopowiedział Prorok.

- Wyspiarze wierzą, że ten kamień jest boskim darem i oddają mu cześć - wyjaśnił jej w drodze powrotnej do wioski, streszczając opowieść, usłyszaną wcześniej w kościołku. - Są przekonani, że ma

magiczną moc. Daje szczęśliwe życie wszystkim tym, co mają czyste serca... i zgubę każdemu, kto skrywa złe zamiary.

Z jakiejś przyczyny myśl, że kamień został obdarzony szczególną mocą, wydała się Bonnie łatwa do przyjęcia. Miejscowi mieli wszystko, czego mogliby sobie zażyczyć, i wydawali się szczęśliwi.

- Coby zaskarbić sobie boską przychylność - dodał Prorok z rozpędu - składali kiedyś ofiary.

Dziewczyna przestała dumać o brylancie i zrobiła wielkie oczy.

- Jakie ofiary?

Prorok wahał się. Miał niewyraźną minę i najwyraźniej żałował, że nie zachował tej ostatniej informacji dla siebie.

- Po co gadać o takich rzeczach...

Wprawdzie Bonnie czuła się nieswojo, ale nie zamierzała pozwolić, by Prorok wymigał się od odpowiedzi.

- Ofiary... z ludzi? - spytała, drżąc.

Prorok powściągliwie kiwnął głową. Drżenie ustąpiło, za to w żołądku dziewczyny zacisnął się lodowaty węzeł.

- Raz się zdarzyło, że kamień wpadł w obce ręce, przed niemal czterema wiekami. Wywieźli go z wyspy los demónios da mesma lingua, jak mówią o nich wyspiarze, czyli demony o wspólnym języku. Posługiwali się tym samym narzeczem, ino wyznawali inną wiarę. Piraci, kto wie, może nawet sam Kolumb i jego żeglarze. Pływali od wyspy do wyspy i rabowali, co się ino dało. Bywało nawet, że porywali miejscowych i sprzedawali ich w niewolę.

- A jak kamień wrócił na wyspę? Przecież tak trudno tu trafić, bo nad wyspą cały czas zalega mgła...

- Ani chybi ktoś z tamtej załogi sporządził mapę. W owych czasach kartograf był równie potrzebny na pokładzie jak kapitan. - Prorok podrapał się po podbródku i wykrzywił twarz; najwyraźniej nie planował zapuszczać zarostu. - Chociaż trudno uwierzyć, coby tamta mapa przetrwała tyle lat, może rzeczywiście Gray miał oryginał.

Miał, jęknęła bezgłośnie Bonnie. Bo mapa przepadła, zaginęła bez wieści w tamtym lizbońskim doku - choć kto wie, ile setek lat przetrwała, nim trafiła w jej ręce. Skrawek historii utracony na zawsze przez jej głupotę - a Gray nie powiedział złego słowa, nie gniewał się, że przez nią utracił jedną z nielicznych pamiątek po ojcu. A ona nawet go nie przeprosiła za wyrządzoną mu krzywdę. Łzy zakreśliły się jej w oczach.

- Mniejsza o to... - odezwał się Prorok - Wódz opowiadał, że całe lata po kradzieży przyplłynął kolejny statek. Z klejnotem na pokładzie.

- Dlaczego złodziej miałby go zwrócić?

- Jeśli jest w tym choć trochę prawdy, to stało się to po śmierci Izabeli, królowej Hiszpanii. Ponoć córka królowej, Juana Obłąkana, faktycznie słabowała na umyśle i potajemnie odesłała klejnot, bo wierzyła, że jest przeklęty.

Przeklęty. Bonnie pomyślała, że zaczyna rozumieć, jak czuje się człowiek, na którym ciąży klątwa. Spojrzała na Proroka i odgadła, że to samo przyszło mu do głowy.



- W przekonaniu Juany klątwę wywołała śmiertelna choroba jej matki.

- Przecież choroba nie może mieć takiej mocy. - Prawda...?

- My możemy się z tym nie zgadzać, ale wyspiarze są bardzo zabobonni. A zabobony to dziwna rzecz, sikorko. Bywa, że idą w parze z wiarą. Słyszałaś o świętej inkwizycji? Albo hiszpańskiej inkwizycji, bo pod taką nazwą jest bardziej znana? Zajmowała się tępieniem wszelkiej herezji, a w praktyce wyglądało to tak, że tych, którzy nie byli sangre limpia, czyli białymi chrześcijanami czystej krwi, torturowano i palono na stosach. Potem te barbarzyńskie metody przeniosły się za ocean. Ludzie gotowi są zabijać z imieniem Pana Boga na ustach, jeśli ino mogą przy okazji robić to, co im odpowiada.

Bonnie wydało się to niepokojąco podobne do składnia ofiar z ludzi, ale wołała o tym nie myśleć.

- Czyli córka Izabeli odesłała „święte serce” na wyspę, co-by uwolnić się od klątwy?

- Mniej więcej. Ale kto by tam wierzył szalonej dziewczynie. Dworzanie uważali, że ukradła brylant, zakłócając spokój matki nieboszczki, i dobrze go ukryła. I właściwie mogło się tak zdarzyć, bo choć Juana miała wszystko, zwykła czasem sięgać po cudze... Trza też dodać, że z matką była skłócona od czasu, gdy poprosiła ojca o zgodę na poślubienie mężczyzny, który był jedyną miłością jej życia.

Odmówił za namową matki, a Juana uważała, że matka popełniła wobec niej najgorszą z możliwych zrad. Chociaż są również inne wersje. W najbardziej fantastycznej Juana sama nadała kamieniowi magiczną moc. Szeptano, że praktykowała czarną magię i obłożyła

klejnot kłątwa, co by zemścić się za to, że nie pozwolono jej połączyć się z ukochanym.

Ta ostatnia historia wydała się dziewczynie tyleż fantastyczna, co smutna.

- A co potem?

Prorok wzruszył ramionami.

- Tego nie wie nikt. Statek, na którym znajdował się brylant, nigdy nie powrócił z morza. Los pięćdziesięciosiedmioosobowej załogi nadal pozostaje tajemnicą.

Tajemnica. Bonnie zastanowiła się, czy ją samą spotka taki sam los, jeśli nigdy nie wydostaną się z tej wyspy. Jej rodzina i przyjaciele nigdy się nie dowiedzą, co się z nią stało, jej zniknięcie na zawsze obrośnie w zagadki i domysły...

Jednak ta myśl zeszła na drugi plan, ledwie wzrok dziewczyny pobłądził ku Grayowi, spacerującemu samotnie wzdłuż brzegu, ze zwieszoną głową i rozwianymi włosami, targanymi przez nasilającą się nocną bryzę. Martwiła się o niego.

- Nic mu nie będzie - mruknął Prorok, jakby czytał w jej myślach. - Zawsze miał skłonność do filozofowania, a to jeszcze nikomu nie wyszło na dobre.

- Co z nami będzie, Proroku?

- Będzie dobrze. - W słowach starego żeglarza pobrzmiwał wymuszony optymizm, któremu przeczył wyraz jego oczu. - Kapitan tego dopilnuje.

Bonnie skinęła głową. Mimo to, kiedy znowu poszukała spojrzeniem samotnej postaci Graya, zadała sobie pytanie, kto

dopilnuje, żeby jemu nie stało się nic złego, kiedy on będzie się troszczył o nich.

Kiedy Gray przyszedł, księżyc stał już wysoko na niebie. Noc na dobre rozgościła się pod nieboskłonem, czarna jak atrament i niespokojna, jakby nieprzeniknione ciemności wywabiły z ukrycia ghule, niewidzialne upiory, które nawoływały się nad zatoką i na klifach, aż powietrze drżało od ich diabelskiego wycia.

Bonnie otoczyła się ramionami, usiłując ukryć dreszcze; nie chciała się zdradzić ze swoją słabością. Obawiała się, że jeśli podda się strachowi, ten pochłonie ją doszczętnie.

Gray stanął przy łóżku. Światło dogasającej pochodni, jedynej w pomieszczeniu, rzucało na jego twarz niesamowite cienie, malowało na jego nagim torsie misterną arabeskę.

Bonnie chciała, żeby położył się obok niej, żeby przytulił ją i powiedział, że wszystko będzie dobrze. Ale wiedziała, że o to nie poprosi, gdyż ta prośba zbyt przypominałaby błaganie. Jeszcze bardziej zaś pragnęła tego, by Gray jej potrzebował i szczerze się do tego przyznał.

Zamknęła oczy, kiedy jego palce popęzły po jej policzku. Potężne emocje, jakie wzbudziło w niej to lekkie dotknięcie, kryły się pod kruchym, łatwym do zdruzgotania pozorem opanowania. Lęku. Obawy, że straci Graya, choć nigdy tak naprawdę nie należał do niej. Wszystkim, co miała, były złudzenia, zwykłe mrzonki.

- Nie bój się - szepnął, przesuwając palcami po jej szyi w niewyobrażalnie delikatnej pieszczocie. Jego nieskończenie piękne

oczy, jarzące się teraz czystym srebrem, wejrzały w głąb jej duszy. - To tylko cagarros. Niegroźne burzyki.

Przypisał trwożne bicie jej serca skrzeczeniu ptaków o głosach osobliwie przypominających ludzkie, lecz ich złowieszcze krzyki jedynie wzmagaly niepokój dziewczyny.

Ledwie to powiedział, Bonnie poczuła dziwne ukłucie w sercu. Przypomniała się jej Lady Beatrice... i wyraz oczu Graya, kiedy się dowiedział, że jego ptasia przyjaciółka została zabita. Pod ich powierzchnią kipiała głucha rozpacz, choć na zewnątrz nie okazał żadnych uczuć oprócz gniewu. Nigdy by się do tego nie przyznał, ale kochał Lady B.

Nie widział w niej brzydkiego, drapieżnego stwora, takiego, jakich się nie oswaja. To, co w zamiśle było szyderstwem z matki, niepostrzeżenie przerodziło się w coś pozytywnego, budującego.

Ale też Gray miał cudowny dar dostrzegania tego, co ukryte, piękna, którego nie widać gołym okiem, wykraczania poza ludzkie uprzedzenia.

Bonnie żałowała tylko, że nie potrafił z tą samą jasnością ujrzeć prawdziwego siebie, dostrzec, że nie był taki, jakim widziała go matka, ani za jakiego mieli go inni. Niestety, przenikliwość Graya nie obejmowała jego osoby, zbyt go zaślepiła pogarda, jaką do siebie żywił.

Kolejny obraz stanął Bonnie przed oczami, dotąd drzemiący cicho w zakamarkach jej pamięci, i doznała olśnienia. Spojrzała na Jacka, śpiącego na stercie podartych ubrań, które Gray wyszperał

pośród szczątków statku, i uświadomiła sobie, że nadarza się jej okazja, by pocieszyć Graya po śmierci skrzydlatej przyjaciółki.

Powiedziała więc:

- Wierzę, że Lady Beatrice uratowała Jacka. - Jej zdaniem było to nie tylko możliwe, ale wręcz prawdopodobne.

Sęp i szczenie szybko się zaprzyjaźniły. Lady Beatrice zlatywała ze swojego stanowiska na maszcie, żeby pobawić się z Jackiem; zawsze trzymała się na tyle daleko, by nie mógł jej złapać, ale dostatecznie blisko, by mógł się za nią uganiać. Czasem porywała jakąś jego zabawkę albo kawałek mięsa z miski, po czym wzbijała się w niebo, wydając skrzeczenie dziwnie przypominające chichot. Kiedy sfruwała z bocianiego gniazda, żeby Gray ją nakarmił, Jack rewanżował się podkradaniem do niej od tyłu i wyskubywaniem jej piór z ogona.

Tworzyli zaiste niezwykłą parę, zwierzęta, które nie koegzystowałyby pokojowo w żadnych innych okolicznościach - podobnie, pomyślała Bonnie, jak ona sama i Gray. On Anglik, ona Szkotka. Urodzeni wrogowie, jak powiedzieliby niektórzy, choć oficjalnie wrogość między ich ojczyznami dawno już wygasła. Jednak kiedy zostali wyrwani ze swoich środowisk i skazani na wzajemne towarzystwo, życie pokazało, że nie urodzili się jako wrogowie. Na wrogów dopiero ich wychowano.

Palce, które głaskały ją z roztargnieniem, nagle znieruchomiały. Twarz Graya zachmurzyła się.

- Co ty pleciesz?

- Spójrz na Jacka. Widzisz te małe ranki jak od nakłucia? Kiedy zobaczyłam je po raz pierwszy, z niczym mi się nie skojarzyły. Ale teraz dałabym głowę, że to ślady szponów Lady Beatrice.

Gray zawahał się, po czym zwrócił w kierunku Jacka, ale nie podszedł bliżej. Patrzył na psiaka bez słowa, a Bonnie zastanawiała się, czy dobrze zrobiła. Może Gray nie życzył sobie, by przypomniano mu o ptaku, którego ocalił przed pewną śmiercią w gwałnym indyjskim doku.

W końcu jednak bezszelestnie podszedł do szczeniaka i usiadł obok niego na gołej ziemi. Wyglądało na to, że przygląda się malutkim, okrągłym rankom, ale nie widziała jego miny, bo twarz Graya kryła się w półmroku.

Kiedy podniósł na nią wzrok, wzruszenie ścisnęło ją za gardło. W jego oczach malowała się szczerą wdzięczność. Milcząco dziękował jej za to, że powiedziała mu o swoich domysłach. Bonnie nie potrzebowała słów. Spojrzenie, które jej posłał, sprawiło, że serce się w niej rozśpiewało.

Podniósł się powoli. Chwila rozrzewnienia pierzchła, a zastąpiło ją coś o wiele bardziej przyziemnego. Pierwotnego. Naga żądza, przed którą dotąd Gray tak zaciekle się bronił. Nigdy dotąd nie robił na Bonnie wrażenia osoby niepewnej siebie, teraz jednak wyglądał na wewnętrznie rozdartego. Wsunął ręce do kieszeni, jakby nie wiedział, co z nimi począć.

Odwrócił się raptownie i skierował w stronę wyjścia.

Bonnie usiadła na łóżku.

- Dlaczego?

Zatrzymał się, ale nawet na nią nie spojrział. Uciekał przed jej wzrokiem.

- Nie odchodź. - Te słowa były takie ciche, że Bonnie nie miała pewności, czy rzeczywiście je wypowiedziała. - Proszę, Gray.

- Nie mogę zostać, Bonnie. Po prostu... nie mogę.

- Tylko parę minut... aż zasnę.

Nie chciała o nic prosić, nie chciała poddać się słabości, ale potrzebowała go, nawet jeśli nie był gotów dać jej niczego oprócz ciepła swego ciała, dotyku włosów, muskających przez chwilę jej skroń. Sama bliskość tego mężczyzny sprawiała, że znikaly jej smutki.

Upłynęła chwila, zanim powściągliwie skinął głową. Wyczuwała w nim napięcie, jakby przygotowywał się do jakiegoś przykrego zadania. To ostatnie spostrzeżenie podziało na Bonnie jak cios w samo serce.

Przewróciła się na bok i kurczowo zacisnęła powieki.

- Idź. Wynoś się stąd.

Minęła kolejna chwila, po czym drzwi otworzyły się cicho i równie cicho zamknęły. Ledwie słyszalne trzaśnięcie powiedziało dziewczynie, że Gray zniknął w mrokach nocy bez słowa tak samo, jak wcześniej się z nich wyłonił. Targana bezsilnym szlochem Bonnie modliła się, by nie wyrwał się jej żaden dźwięk. Tylko poduszka będzie wiedziała o gorących łzach, których nie zdołała dłużej powstrzymać.

Nagle jednak materac ugiął się. Okrzyk przestachu zamarł jej na ustach, bo nagle otoczyło ją w talii czyjeś silne, umięśnione ramię.

Ktoś przyciągnął ją bliżej, choć się opierała, lecz jej obawy

rozproszyły się w momencie, w którym poznała, że to Gray tuli ją do piersi, szepcząc niezrozumiałe słowa, w których brzmiały smutek i żal, ale też gorąca namiętność. Mimo to nie pozwolił sobie na nic więcej.

W blasku dogasającej świecy leżał nieruchomo jak głaz, a świat wokół nich ciemniał i wykrzywiał się jak w jakimś obłądnym śnie, z którego nie mogli się obudzić ani za sprawą siły woli, ani wzajemnego pożądanego. I trwali tak obok siebie, nieporuszeni, nie dotykając się, blisko siebie, lecz jeszcze bardziej sobie dalecy.

Bonnie powoli zapadała w niespokojną drzemkę, jednak pożądanego i rozpacz nie przestały się w niej tlić, mroziły jej duszę jak nieziemskie nawoływania carragos, zapowiedź czegoś o wiele mroczniejszego, co działo się pod osłoną nocy.



- To imitacja.

Te słowa były pierwszymi, jakie Bonnie usłyszała nazajutrz, kiedy stanęła w drzwiach chaty; kiedy się obudziła, Graya już nie było i jedynie lekkie wgłębienie w materacu dowodziło, że jego nocna wizyta nie była tylko snem.

Był na zewnątrz, na schodkach, na których dzień wcześniej siedziała z Prorokiem i wraz z nim, pochłonięci każde swoimi myślami, obserwowali Graya, kiedy spacerował po plaży.

Obok Graya siedział Prorok. Obaj mieli pochylone głowy, jakby czemuś się przyglądali, i rozmawiali przyciszonymi głosami. W wiosce panowała zwykła poranna krzątanina. Między tubylcami kręcili się ludzie z załogi: nie sprawiali wrażenia pogrążonych w rozpacz rozbitków. Niektórzy flirtowali z wyspiarskimi kobietami, które nieodmiennie unikały ich jak ognia, inni rozglądali się po okolicy, jeszcze inni drzemali w ciepłym słońcu.

W jakież dziwne miejsce trafili, pomyślała Bonnie. Byli jeńcami, a mimo to pozwalano im chodzić, gdzie tylko chcieli. Z drugiej strony dokąd mieliby pójść? Wyspa stała się ich więzieniem. Byli zdani na łaskę obcych, których obyczajów nie rozumieli i nie znali.

Bonnie wzdrygnęła się nagle; przeszywający krzyk, który się rozległ, aż nazbyt żywo przypomniał jej o cagarros. Z ich powodu rzucała się niespokojnie przez większą część nocy, a kiedy zasnęła,

ich złowieszcze nawoływania prześladowały ją w snach. Jedynie głos Graya zdolny był przegnać demony.

Bezwiednie przypomniwała sobie, jak się wczoraj zachowywał, jak spieszno mu było uciec w nieprzeniknioną noc, byle z nią nie przebywać. Potem zaczęła się zastanawiać, czy aby nie wyobraziła sobie tylko krzepiących słów, ramion, które obejmowały ją ciasno, mężczyzny o stalowych oczach, który w jej snach tak długo szczuł tropiące ją dziwaczne stwory, póki te nie pochowały się w swoich kryjówkach.

Bonnie otrząsnęła się z tych myśli i spytała:

- Co jest imitacją?

Twarz Graya nosiła wyraźne ślady zmęczenia. Bonnie dostrzegła także, że wydawał się skrepowany jej obecnością. Najwyraźniej nie chciał, by słyszała jego rozmowę z Prorokiem.

- Brylant - odparł niechętnie. - Jest fałszywy. Bonnie zmarszczyła czoło.

- Nie rozumiem. Czemu tak sądzisz?

- Zapewne dlatego, że to zwykłe szkieleko... albo coś podobnego do szkła, być może kamień półszlachetny. Dałem się oszukać, bo to znakomita, kunsztowna replika. Do złudzenia przypomina autentyk.

Gray wstał i oplótł ramionami drewniany słup, na którym wspierał się daszek, kuszący przyjemnym cieniem. Minę miał zasepioną.

Chciała do niego podejść, ale zatrzymała się po pierwszym kroku, widząc, jak jego ręce zaciskają się na drewnie z taką siłą, aż

knykcie mu pobiełały, a mięśnie napięły się jak wczorajszej nocy - w chwili gdy poprosiła, żeby z nią został.

Jaką popełniła zbrodnię, żeby traktował ją tak, jakby nic dla niego nie znaczyła? A może dostrzegł w jej oczach uczucie, szczere, gorące uczucie, i właśnie to go do niej zraziło? Wiedziała przecież, że nie interesowała go miłość, małżeństwo.

Ani, jak się wydawało, ona sama.

Nawet Prorok uciekł wzrokiem, kiedy na niego spojrzała. Zdążyła jednak dostrzec w jego oczach smutek... albo błysk politowania. Poczula się rozdarta między gniewem, który budził w niej chłód Graya, a rozpaczą nad własną głupotą, bo tym właśnie było zakochanie się w człowieku, który miłości odwzajemnić nie chciał i nie potrafił.

Obróciła się jak fryga i wycofała do środka. Zamierzała trzasnąć drzwiami, ale ledwie nabrały impetu, zatrzymała je ręka o wiele silniejsza od dłoni dziewczyny. Nie potrzebowała się oglądać, by wiedzieć, kto stoi tuż za nią. Całą sobą wyczuwała gorejącą obecność Graya. Drżąc, gwałtownie zwróciła się przodem do niego.

Twarz Graya mogłaby posłużyć malarzowi za model do studium gniewu; malowała się na niej złość, dorównująca niemal furii Bonnie. Tylko jakie miał prawo gniewać się na nią? W końcu to nie jego raz za razem odtrącano.

- Co w ciebie wstąpiło, do diabła? - spytał przez ściśnięte gardło.

- Jakby cię to obchodziło - odpaliła wściekła, że nie udało się jej ukryć rozgoryczenia.

Przepchnęła się obok niego, niepewna, dokąd chce iść. Wiedziała tylko, że musi stąd odejść, wyrwać się jak najszybciej. Gray złapał ją za rękę i szarpnął, żeby się odwróciła.

- Psiakrew, nie uciekaj przede mną.

- Czemu nie? Ty przede mną ciągle uciekasz. - Słodki Boże, nigdy nie przypuszczała, że przydarzy się jej coś podobnego: niekończące się pasmo upokorzeń.

Spojrzał w bok, dyskretnie przypominając o obecności Proroka, ale Bonnie miała to gdzieś. Co to miało teraz za znaczenie? Myślał, że jego pierwszy oficer jest ślepy? Ze nie widzi, co wyprawia się pod jego nosem?

Bonnie usiłowała się wyrwać, ale Gray trzymał ją mocno.

- Nikt nie próbuje niczego przed tobą ukryć - warknął. - Gdybyś dała mi jedną minutę, wszystko bym ci wyjaśnił.

Bonnie wpatrywała się w niego z nonszalancką miną.

- No to wyjaśniaj.

Zmarszczył czoło, po czym puścił ją i wsadził ręce do kieszeni, jakby nie mógł uwierzyć, że przed chwilą jej dotknął. Bonnie pomyślała, że źle się stało, iż nie znalazł dotąd jakiejś koszuli, nie zasłonił torsu, bo wyglądał tak pięknie, że ręce same się jej do niego wyciągały. Tropikalne promienie zabarwiły jego twarz i klatkę piersiową złocistą opalenizną, która upodabniała go do młodego boga, tak promiennego, jakby zrodziło go słońce.

- Zorientowałem się, że „klejnot” z kościoła to podróbka, jak tylko lepiej mu się przyjrzałem - zaczął. - Nie ma właściwej przezroczystości ani nie odbija światła w sposób charakterystyczny

dla brylantu. Z początku zbytnio nie zaprzętałem tym sobie głowy, bo przypuszczałem, że po pierwszej kradzieży tubylcy mogli sporządzić replikę klejnotu, chociażby dla prześlągania bóstwa, któremu oddają cześć. Później uderzyły mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, zdałem sobie sprawę z tego, że jedynie jubiler o wyjątkowych umiejętnościach potrafiłby skopiować „święte serce” w tak doskonały sposób, a wątpię, by ktokolwiek z tutejszych dysponował podobnym kunsztem. Po drugie, wyspiarze - niewiele, jak podejrzewam, różniący się od swoich przodków - nie robią na mnie wrażenia ludzi, którzy byliby skłonni ofiarować tanią podróbkę bogowi, którego ugłaskanie wymaga ich zdaniem ofiar z ludzi.

Bonnie przetrawiała te rewelacje i nasuwał się jej tylko jeden wniosek.

- Mówisz, że oni nic nie wiedzą? Że są przekonani, że to prawdziwy brylant?

- Z ust mi to wyjęłaś.

- Ale jak to możliwe?

- Prawie dziesięć lat upłynęło od kradzieży do dnia, kiedy kamień został zwrócony. Sądzę, że tubylcy zobaczyli coś, co wyglądało jak oryginalny brylant, miało taki sam szlif, uniesione do światła połyskiwało, więc założyli, że to ten sam kamień. Możliwe, że nie rozumieli tego, że dwie rzeczy mogą wyglądać podobnie, choć są zrobione z całkowicie innej materii. Na pierwszy rzut oka sól i cukier, umieszczone obok siebie, mogą wyglądać tak samo. Różnicę uwidocznią się dopiero wtedy, kiedy ich spróbować.

Bonnie potrzęsnęła głową w oszołomieniu.

- Ale Prorok mówił, że ludzie, co to ich posłała z klejnotem córka królowej Izabeli, nigdy nie dotarli na wyspę.

- Nie, sikorko - poprawił cicho Prorok. - Ja żem ino powiedział, że nigdy nie wrócili do Hiszpanii. Bo tu pewnikiem dotarli. Mieli mapę i wiedzieli, jakich niebezpieczeństw się spodziewać, i to o wiele lepiej niż my. W końcu już raz tu byli.

- To co się waszym zdaniem z nimi stało? - spytała, choć z góry wiedziała, jaką usłyszy odpowiedź.

- Sądę, że zostali zabici - odparł Gray. - Z tego, co wiem o tutejszych, wątpię, by dopatrzyli się w zwrocie kamienia wspaniałomyślności. Raczej okazji, by zemścić się za kradzież. Mieliby pozwolić, żeby winowajcy odeszli bezkarnie?

- Toć przecież to nie byli ci sami ludzie, którzy ukradli „święte serce”...

- Żadna różnica. Byli winni, bo nawinęli się akurat pod rękę. - Spojrzenie Graya oderwało się od twarzy dziewczyny i zawisło na ścianie zieleni, którą dżungla otoczyła obrzeża wioski. - Myślę, że jeden z nich, jeśli nie wszyscy, został złożony w ofierze i trafił do lugar que descansa.

- A co to takiego?

- „Miejsce wieczystego spoczynku” - odrzekł, a jego słowa sprawiły, że Bonnie zadrżała. - Chociaż pozwalają nam swobodnie włóczyć się po okolicy, jest jedno miejsce, przed którym nas ostrzegano, mówiono, byśmy się tam nie zapuszczali. To około mili drogi przez dżunglę w stronę drugiego końca wyspy. - Wskazał

kierunek skinieniem głowy. - O ile zrozumiałem, znajduje się tam głęboka studnia, którą uważają za miejsce święte.

Bonnie nie chciała dłużej słuchać o świętych studniach i ofiarach z ludzi.

- Dalej nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby robić fałszywy brylant.

- Proste: chciał zatrzymać ten prawdziwy. - Gray ponownie zwrócił się twarzą ku dziewczynie. - Pomyśl sama. Prawdziwy czerwony brylant miałby wartość nie do określenia. Tubylcy nie znają pieniędzy i nie obchodzą ich dobra doczesne. Ale ludzi z zewnątrz, owszem. I niektórzy mogliby nie mieć ochoty, żeby oddawać taki skarb zgrai dzikusów. Co więcej, wierzę, że tamten statek rzeczywiście się tu zatrzymał, ale był to swoisty wybieg, część misternego planu: sfingować zwrot kamienia, a posłużyć się imitacją. Spełnić rozkaz szalonej córki królewskiej, a równocześnie niebywale skutecznie odwrócić uwagę od swojego prawdziwego zamiaru, a było nim najprawdopodobniej przekazanie klejnotu w ręce tego, kto wylicytuje najwięcej.

- Ale to by znaczyło, że cała załoga wiedziała o oszustwie. Trudno w to uwierzyć.

Gray wzruszył ramionami.

- Nie tak znowu trudno. Nie doceniasz potęgi chciwości. Z drugiej strony, zbyt dużym ryzykiem byłoby wtajemniczać wiele osób w plan tego rodzaju. Przypuszczam, że kapitan i może jeden czy dwóch zaufanych ludzi dokonało zamiany, a reszta miała zaświadczyć, że „święte serce” istotnie zwrócono prawowitym

właścicielom. - Ponownie wzruszył ramionami. - Ale nie mam pewności. To tylko moje domysły, przypuszczenia, które składają się jednak w logiczną całość.

- Jak myślisz, co stało się z prawdziwym „świętym sercem”?

- Może jest ukryte gdzieś w Hiszpanii czy Portugalii, albo w jednym z miliona innych miejsc. Albo było na pokładzie i poszło na dno razem ze statkiem.

- Ale czemu uważasz, że statek zatonął?

- Może nie zatonął. Może bezwiednie pomyślałem o swoim. - W jego słowach pobrzmiwało rozgoryczenie i głucha złość, jakby utrata statku była wyłącznie jego winą.

- A jeśli nie poszedł na dno?

Gray rzucił jej sceptyczne spojrzenie.

- Do czego zmierzasz?

- No... co w takiej sytuacji mogło się stać z prawdziwym brylantem?

- Gdybym to wiedział, rozwikłałbym tajemnicę, liczącą sobie przeszło cztery wieki, a jeszcze nikt tego nie dokonał, nieprawdaż? - Tym razem jego złość wymierzona była w Bonnie.

- Dobrze. Zapomnij, że się w ogóle odezwałam.

- Tak właśnie zrobimy.

- Czekaj no chwilę - odezwał się Prorok, który dotąd przysłuchiwał się im w milczeniu. - Mnie się zdaje, że Bonnie podniosła istotną sprawę. Bo też co się mogło stać z brylantem?

- Co za różnica? - burknął Gray.



- Dla mnie wielka. Myślałbym, że i dla ciebie, skoro pognało cię za tym cholerstwem aż na kraj świata. Ani trochę nie jesteś ciekawy?

Gray wpadł w białą gorączkę.

- Wyprawa po to pieprzone świecidełko kosztowała życie kilku ludzi z mojej załogi, a my wylądowaliśmy przez nią w tym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu - rzucił z jadem. - I co nam z tego przyjdzie, jeśli teraz je odnajdziemy? - Mruknął coś niezrozumiale, z obrzydzeniem, i odszedł wyprostowany jakby kij połknął.

Prorok potrząsnął głową.

- Biedny chłopak. Dźwiga na plecach więcej, niż może udźwignąć jedna osoba.

Oboje z Bonnie obserwowali przez chwilę, jak Gray brnie piaszczystą plażą. Szybko zniknął im z oczu.

- Co go tak gna? - zastanowiła się głośno Bonnie, jakby odpowiedź na to pytanie mogła cokolwiek zmienić, sprawić, by Gray się przed nią otworzył.

- Każdy ma jakieś demony, dzierlatko. Ino on kiepsko sobie radzi ze swoimi.

- Chciałabym go zrozumieć - odezwała się cicho i zwiesiła głowę, po czym wpatrzyła w swoje zaplecione na podołku ręce. - Chciałabym, coby... wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

Prorok rzucił jej spod krzaczastych brwi zaciekawione spojrzenie.

- Czyli jak?

Bonnie wzruszyła ramionami, ale się nie odezwała. Bo też jak miałyby wytłumaczyć Prorokowi coś, czego sama do końca nie rozumiała? Opisać uczucia, które były takie kruche, a zarazem przerażające? Powiedzieć mu, że od dawna nie czuje się tą samą dziewczyną, którą porwano z rodzinnego domu, lecz kobietą, która ma swoje potrzeby i marzenia? Ona się zmieniła, ale nie Gray. A zatem pozostawało jej tylko trzymać swoje uczucia w ryzach, zapominać o tym, czego domagało się serce, podobnie jak czynił to Gray.

- Niełatwo zdobyć jego zaufanie - zauważył Prorok półgłosem.

Bonnie przemknęło przez głowę, że w tych słowach może się kryć subtelna przestroga, próba skłonienia jej, żeby się wycofała. Z drugiej strony mogło to być zwykłe rzeczowe stwierdzenie. Tak czy inaczej, na rady było już za późno. O tym zaś, jak trudno było pozyskać zaufanie Graya, zdążyła się przekonać na własnej skórze.

Tym bardziej żałowała tego, że lekkomyślnie to zaufanie odrzuciła, cisnęła je Grayowi prosto w twarz w chwili, gdy uciekła z jego mapą. Wątpiła, czy kiedykolwiek zdoła odbudować atmosferę wzajemnej szczerości. Na domiar złego Gray gotów był zrezygnować ze swojego marzenia i ta myśl, jak Bonnie uzmysłowiła sobie z zaskoczeniem, smuciła ją najbardziej.

Zerknęła na Proroka.

- Co twoim zdaniem stało się z prawdziwym brylantem?

- Najpewniej zaginął, tak jak sądzi Gray. Aż dziw bierze, w co ludziska są skłonni uwierzyć. Bajeczne klejnoty i pradawne legendy. W świetle dnia ciężko sobie wyobrazić pogoń za czymś tak nieuchwytnym.

- A ty w to nie wierzyłeś? Ani przez chwilę?

Uniósł głowę i zmrużył oczy, wypatrując czegoś w dali na linii horyzontu, gdzie słońce odbijało się od powierzchni wody, upodabniając ją do złotej tarczy.

- Ano - wyznał w końcu. - Pewnie, że wierzyłem. I... wciąż wierzę.

Bonnie uśmiechnęła się blado, podniesiona na duchu tym zapewnieniem - szczególnie w świetle tego, co zamierzała powiedzieć.

- A gdybym się upierała, że „święte serce” nadal jest na tej wyspie?

Tym pytaniem zaskarbiła sobie natychmiast niepodzielną uwagę Proroka.

- Skąd ten wniosek? - Przyglądał się jej z lekko sceptyczną miną, taką, z jaką ojciec spogląda na kochane, acz męczące dziecko.

- Bo to najzupełniej logiczne, że kamień musiał być na tamtym statku.

- Niby czemu?

- Toż osobą, która zdradziła córkę królowej, nie mógł być nikt inny jak kapitan statku.

- Trochę to naciągane, jak na mojego nosa.

- Przecież nikt inny nie byłby godny tego, coby mu powierzyć kamień. No, a nie mógł przecież ryzykować wypłynięcia bez niego, na wypadek gdyby Juanie zachciało się go obejrzeć lub gdyby w ostatniej chwili zmieniła zdanie. A równie dobrze mogła mu go wręczyć na moment przed tym, jak statek miał wyruszyć z portu. Dlatego wierzę,

że kiedy statek wypływał, prawdziwe „święte serce” znajdowało się na pokładzie.

- Rozumiem. - Prorok pokiwał głową w zamyśleniu, choć wersja wydarzeń, jaką Bonnie mu przedstawiła, ewidentnie go nie przekonała. - Gdyby brylant jakimś cudem trafił z powrotem na wyspę, znajdowałby się w kościelnej nawie. Chyba się ze mną zgodzisz?

- A jeśli nie ma go w kościele i jeśli nie leży gdzieś na dnie, pozostaje tylko jedno miejsce, gdzie mógłby się znajdować.

- Jakie?

- Przy ciele osoby, która nigdy, od samego początku, nie zamierzała zwrócić tubylcom „świętego serca”.

Mina Proroka zmieniła się; pełna pobłażliwości cierpliwość ustąpiła miejsca żywemu zainteresowaniu.

- Kapitana, to chcesz powiedzieć?

- Możliwe. Równie dobrze mógł wpaść w łapy kogokolwiek innego z załogi. Tak czy owak klejnot był tylko jeden, co znaczy, że tylko jedna osoba mogła go mieć przy sobie. A skoro nie ma go w kościele...

- I nie zatonął ze statkiem... - W oczach Proroka pojawił się błysk zrozumienia, jakby tor jego rozumowania nagle zbiegł się z kierunkiem wywodów dziewczyny.

- Wtedy, jak myślę, pozostaje ino jedno miejsce, w którym może się znajdować. Tam, gdzie trafili wszyscy ci, których serca nie były czyste.

Spojrzenie Proroka zderzyło się ze wzrokiem dziewczyny.

- *Lugar que descansa.*

- Ano. - Bonnie skinęła głową. - Miejsce wieczystego spoczynku.

- Oboje jesteście szaleni.

Uwaga Graya dopiekła jej, lecz Bonnie zdążyła nastawić się na podobną reakcję z jego strony, na to, co - jak wiedziała - brzmiało jak dość rewolucyjna hipoteza, teoria, która zasługiwała wszakże na sprawdzenie.

Jednak batalia nie mogła okazać się łatwa, biorąc pod uwagę wyraz oślego uporu, jaki malował się obecnie na twarzy Graya. Wszystko, co wiązało się ze „świętym sercem”, znajdowało się na ustalonej przez niego „czarnej liście” tematów rozmowy, ale to Bonnie nie powstrzymało.

Gray rzucił Prorokowi spojrzenie pełne potępienia.

- Dlaczego podsunąłeś jej ten wariacki pomysł? Jezus Maryja, w twoim wieku powinieneś mieć więcej rozumu.

Na Proroku ta reprimenda nie wywarła najmniejszego wrażenia.

- Może dlatego, że mnie nie wydał się taki wariacki, jak tobie. Do licha, gdybyś się tak nie zapiekł w swoim uporze, zrozumiałbyś, jaką Bonnie ma głowę, że to rozszyfrowała.

- A niby co takiego rozszyfrowała? Że jakiegoś głupca posłano na śmierć z bezcennym kamieniem szlachetnym w kieszeni? I teraz myślicie, że kilkusetletnie truchło wykaszle z siebie ten cholerny brylant? Z wrażenia, żeśmy to „rozszyfrowali”. Jeśli tak, pozwólcie, że was oświecę.

Uniósł rękę i zaczął wyliczać:

- Po pierwsze, po tylu latach nie będzie żadnego ciała, najpewniej nawet szkieletu, a po drugie, czy ktoś wie, jak głęboka jest woda wokół tych wysepek? W niektórych miejscach ma ponad półtora tysiąca sążni. To przeszło dziewięć tysięcy stóp, mniej więcej tyle, ile stąd do piekła. Osobiście obstawiam, że ta ich święta studnia to coś w guście otchłani bez dna, tyle że zalanej wodą. Bo jakoś trudno mi sobie wyobrazić, by ci wojownicy wrzucali kogoś, komu życzą wieczystej śmierci, do byle sadzawki.

Prorok podrapał się z roztargnieniem i spytał:

- Do czego pijesz?

Gray gwałtownie uniósł ręce, jakby pytał Boga, za co się tak męczy, i podszedł do okna. Słońce chyliło się ku zachodowi, żegnając kolejny dzień. Wioska szykowała się do wieczornego święta.

Myśli Bonnie popłynęły wstecz do chwili, gdy wczesnym popołudniem dowiedziała się, że młode kobiety z plemienia wykonają wieczorem rytualny taniec i że ma się do nich przyłączyć. Nie była to prośba, lecz rozkaz Wielce Dzielnego.

Gray nie wiedział o tańcu. Zniknął gdzieś na całe godziny. Wystarczająco długo, by Bonnie zaczęła się niepokoić. Ale cieszyła się, że nie wiedział o kaprysie wodza, w przeciwnym bowiem wypadku wzajemna wrogość między mężczyznami jeszcze by się pogłębiła, a i tak tolerowali się z najwyższym trudem. Jeśli taniec miał sprzyjać pokojowej atmosferze, to ona zatańczy.

Toteż dużą część popołudnia spędziła, ucząc się zawiłych kroków tańca, który, jak niebawem odkryła, nie miał służyć jedynie rozrywce. Niósł w sobie potężny ładunek zmysłowości, intencja

bowiem była taka, by Bóg pobłogosławił kobietom, obdarzając je płodnością.

Kiedy się o tym dowiedziała, w jej sercu nieoczekiwanie odezwała się dziwna tęsknota. Dziecko. Jak to jest, mieć dziecko? Małe, kwilące zawiniątko słodkich zapachów, gładziutkiej skóry, pulchnych rączek i nóżek? Kogoś, kogo kochałaby bezwarunkowo i kto odwzajemniałby jej tym samym?

Dziecko, pomyślała, podnosząc wzrok i zatrzymując go na skrytej w cieniu sylwetce Graya; patrzył na nią z taką uwagą, że zaparło jej dech w piersi. Dziecko, w którym byłaby częśćka niego i jej samej. Mimo że prawdziwego związku, jak uświadomiła sobie nagle z bolesną pewnością, nie stworzą nigdy. Z przymusem odwróciła wzrok. Kiedy ponownie zerknęła w tym samym kierunku, Graya już nie było.

Myśli Bonnie pobiegły innym torem. Podniosła się z łóżka i przeszła powoli na drugi koniec pokoju. Zatrzymała się przy kwiatkach, które zerwała rankiem, i zaczęła gładzić ich miękkie płatki. Przez chwilę zastanawiała się naiwnie, czy nie podarować ich Grayowi. Może dzięki temu znowu zobaczyłaby uśmiech na jego twarzy.

- Gray ma rację - odezwała się głucho. Nie chciała przyczynić się do powstania jakichkolwiek niesnasek między dwoma starymi przyjaciółmi. - To był zły pomysł. Zapomnij, że cokolwiek mówiłam.

- Zapomnieć?! - wykrzyknął Prorok tonem, który dowodził, że ani mu w głowie pójść za tą sugestią. - Przebyliśmy taki szmat drogi,

coby ten kamień odnaleźć, a teraz miałbym o wszystkim ot, tak, zapomnieć?

- Nie słyszałeś, co mówi dama? - dołączył się niespodzianie burkliwy głos Graya. - Zapomnij.

- Słuchaj no, ty samolubny, bujający głową w chmurach, arogancki, zaślepiiony ośle, mam serdecznie dość tych twoich wiecznych fochów. Niedobrze mi się od nich robi.

Bonnie odwróciła się błyskawicznie i wbiła w Proroka oczy okrągłe jak talerze. Pierwszy raz podniósł głos w jej obecności. Zawsze robił na niej wrażenie najłagodniejszego z ludzi. Teraz jednak wyglądał jak człowiek ogarnięty furją.

- Kochałem twojego ojca - perorował gniewnie stary marynarz - i ani mi się śni tak łatwo rezygnować z czegoś, co było marzeniem jego życia. Sądziłem, że tym razem zdołasz przezwyciężyć lęk i poczucie klęski, bez których nigdzie się nie ruszasz, gotów w każdej chwili wyciągnąć z rękawa jakiś wykręt, ledwie coś przestaje iść po twej myśli.

- Zejdź ze mnie, psiakrew! - warknął Gray ostrzegawczo. Groźny grymas znowu zmienił się w wyraz rozdrażnienia i rezygnacji, który od wielu dni niemal nie zniknął z twarzy Graya.

Zamiast dać sobie spokój, Prorok wznosił oczy do nieba. Z jego miny Bonnie wyczytywała, że najchętniej złapałby Graya za ramiona i mocno nim potrząsnął.

- Może myliłem się co do ciebie przez wszystkie te lata. Może ty mimo wszystko jesteś zwykłym...

- Milcz.



- ... tchórzem.

Gray oderwał się od okna i szybko jak pocisk doskoczył do Proroka, składając się do ciosu. Prorok uchylił się zaskakująco zręcznie jak na jego lata.

- No, śmiało! - krzyknął Gray i kiwnął ręką. - Uderz mnie. Wiem, że o tym marzysz.

Prorok zacisnął pięści, ale nie uniósł rąk opuszczonych wzdłuż boków ani też do Graya nie podszedł.

- Gdyby porządne rąbnięcie w szczękę gwarantowało, że trochę oleju trafi do tej twojej pustej łepetyny, złamałbym ślub nieużywania przemocy i złałbym cię tak, że padłbyś nieprzytomny. Bo niewiele jest rzeczy, do których bym się nie posunął, gdybym wierzył, że to uleczy ból, jaki w sobie nosisz, chłopcze. Ja nie mam dzieci, ale ciebie kocham jak własnego syna, równie mocno, jak kochał cię twój ojciec, i nie mogę patrzeć na to, co ze sobą wyprawiasz.

Bonnie patrzyła, jak gniew uchodzi z Graya, a wzbiera w nim inne uczucie, uczucie, którego nie potrafił wyrazić, bo nie wiedział jak. Żaden chyba człowiek nie płacił za brak tej umiejętności taką udręką, jak Gray w tej chwili.

Gray odwrócił się i zwiesił głowę.

- Przepraszam... Ja... - Wyciągnął ręce, jakby ten gest mógł wyrazić wszystko, co nie chciało mu przejść przez usta, ale nie odezwał się więcej. Nie znajdował właściwych słów.

- Wiem, chłopcze - powiedział Prorok bardzo cicho. Podszedł do Graya i oparł mu dłoń na ramieniu. - Wiem.

Gray przegarnął palcami zwichrzone włosy, które sięgały końcami dużo poniżej jego łopatek i coraz bardziej upodabniały się do lwiej grzywy. Policzki i podbródek miał ciemne od zarostu.

- Rozumiesz powagę twojej propozycji? - upewnił się Gray, spoglądając na Bonnie spod oka. - Nie możemy ot, tak, jakbyśmy szli na ryby, zacząć szukać w świętej studni brylantu, który - jeśli w ogóle tam był - pewnie dawno już trafił gdzie indziej.

- A jeśli dalej tam jest? - odpowiedziała pytaniem. Zależało jej na tym, by Gray podjął próbę odnalezienia brylantu, ale nie z powodów, które sama mu podsuwała. Wiedziała, że jeśli Gray teraz zrezygnuje z marzeń, nigdy sobie tego nie wybaczy.

Dla ojca poszedłby i w ogień. Tyle już wycierpiał. Bonnie nie mogła pozwolić, by to wszystko zostało zaprzepaszczone. I, jak przypuszczała, to samo powodowało Prorokiem, kiedy próbował zmobilizować Graya do działania.

- Gdybyśmy jakimś cudem kamień znaleźli, co wtedy?

- Moglibyśmy go zwrócić mieszkańcom wioski. - Dziewczyna nie zdążyła jeszcze wypowiedzieć tych słów, a już tę możliwość odrzuciła, bo przypomniawszy sobie, jaki los spotkał tych, którzy ostatnio próbowali zwrócić „święte serce” tubylcom. Zadrżała.

- No właśnie - sarknął Gray, widząc jej minę.

- A ja mówię, co byśmy spróbowali ucieczki - odezwał się Prorok.

Gray rzucił mu przeciągłe spojrzenie.

- A, tak. Bułka z masłem. Wskoczmy do studni umarłaków, rozejrzemy się za kamieniem, wyłowimy go, a potem wymkniemy się

po angielsku. Wreszcie konkretny plan. Spodziewam się, że zaraz mi powiesz, że tupniesz nogą, a morze rozstąpi się jak przed Mojżeszem i tych tysiąc czy więcej mil do domu pokonamy spacerkiem?

- Myślałem raczej o zabraniu któregoś z członów, które, jak mówiłeś, wypatrzyłeś po drugiej stronie wyspy.

- Rozumiem... a co potem?

- No, potem możemy spróbować się dostać na „Mary Celeste”.

Nie powinna być zbyt daleko.

Bonnie kompletnie zapomniała o brygantynie, którą widzieli na krótko przed tym, jak rozpętał się sztorm, który pochłoniął „Revenge”. Biorąc pod uwagę obecny nastrój Graya, spodziewała się, że z miejsca ten pomysł odrzuci.

- Już się nad tym zastanawiałem. Nic z tego. - Gray pokręcił głową.

- A czemu to?

- A temu, że to niemożliwe, żeby to był prawdziwy statek.

- Dla mnie wyglądał piekielnie realnie.

- Musieliśmy doświadczyć czegoś w rodzaju halucynacji. Prorok uniósł krzaczastą brew.

- Halucynacji? I wszyscy, co byli na pokładzie, widzieli to samo? Mało to przekonujące. - Kiedy Gray nie odpowiedział, Prorok uniósł ręce. - Jak sobie chcesz. Wszyscy żeśmy mieli zwidy. Ale nie słyszę, żebyś proponował coś lepszego.

- To dlatego, że nic lepszego nie przychodzi mi do głowy - przyznał Gray niechętnie. - Aczkolwiek wolałbym się z tobą nie zgadzać, faktem jest, że nie ma innego sposobu wydostania się z tej

wyspy jak w którymś z członów. Chyba nie mamy wyboru, prawda? -  
Poszukał wzrokiem Bonnie.

Bonnie odwzajemniła jego spojrzenie. Doznała wrażenia, że Gray na coś czeka. Może na jej aprobatę? Na to, by przyznała, że to jedyne wyjście?

Nieoczekiwanie obudziła się w niej aż nadto realna obawa, że mogą wszyscy pozostać na tej wyspie na wieki, bo zginą podczas próby ucieczki. Gdyby jednak nawet nie spróbowali, jaka czekała ich przyszłość? Co więcej, nie było gwarancji, że tubylcy nie zamordują ich z tego czy innego powodu. Jutro będzie święto, ale co potem?

Oddychając miarowo, żeby wyzbyć się uczucia ściskania w dołku, Bonnie odparła miękko:

- Raczej nie.
- W takim razie klamka zapadła. Jutro, po ostatniej fięście, wynosimy się stąd.

Próbowali się zachowywać tak, jakby nic się nie zmieniło, ale atmosfera napięcia, jaka wkradła się do wioski, była tak wyraźna, iż wydawała się niemal namacalna. Wieczorem cała trójka - Gray, Bonnie i Prorok - wraz z resztą załogi dołączyła do mieszkańców wioski na czas fiesty kończącej kilkudniowe święto.

Gray modlił się, by nikt się nie domyślił, co zamierzają. Na wszelki wypadek przez cały czas obserwował wojowników - a przede wszystkim wodza, który rozsiadł się na wielkim płaskim kamieniu dokładnie naprzeciwko niego. W tej chwili - jak zresztą niemal od samego początku fiesty - Wielce Dzielny gapił się na Bonnie bez zmrużenia powiek, a z kącika ust ściekała mu strużka mocnego palmowego wina, które podano do picia.

Gray opanował wściekłość i, choć wszystko się w nim skręcało, oparł się pragnieniu, by ucapić drania za gardło i dźwignąć w powietrze, aż się sukinsyn udusi; podsuwane przez wyobraźnię obrazy Wielce Dzielnego, dławiącego się - ze skutkiem śmiertelnym - własnym językiem, uśmierzyły nieco Grayową żądzę krwi.

Siedział jak na szpilkach i popijał wino w nadziei, że to go trochę uspokoi. Nigdy wcześniej nie czuł się taki bezsilny, nieledwie ubezwłasnowolniony. Ale za wszystko mógł winić wyłącznie siebie. On odpowiadał za to, że Bonnie znalazła się w niebezpieczeństwie. Wszyscy mogli zginąć, bo jemu zachciało się chwały.

Wódz odepchnął od siebie jedzenie i klasnął w dłonie. Kobiety, których grupka w pokornych pozach siedziała nieopodal na gołej ziemi, wstały i ruszyły w kierunku kręgu usypanego z kamieni. Siedząca obok Graya Bonnie także się podniosła.

Złapał ją za nadgarstek z niezamierzoną siłą. Zobaczył, że dziewczyna krzywi się z bólu, i natychmiast poluzował chwyt.

- Dokąd się wybierasz?

- Tańczyć. - Twarz Bonnie nie wyrażała żadnych uczuć, ale zdradził ją przyśpieszony puls, który kołatał dziko pod opuszkami jego palców.

To słowo sprawiło, że przed oczami stanęła mu egzotyczna scenka, której świadkiem stał się tego popołudnia, kiedy ukryty w cieniu palm obserwował Bonnie: otoczona przez wyspiarskie kobiety kołysała się w takt dziwnej, egzotycznej muzyki.

Pragnienie, by jej dotknąć, by ją objąć, skryć się głęboko w niej, było tak silne, że niemal powaliło Graya na kolana. A kiedy Bonnie podniosła oczy i zauważyła go, bezwiednie napiął wszystkie mięśnie, z najwyższym natężeniem woli powstrzymując się przed porwaniem jej w ramiona i kochaniem się z nią na wszystkie sposoby, na jakie mężczyzna może kochać kobietę.

- Nie. - Szarpnięciem zmusił ją do tego, żeby usiadła. Nie chciał, by patrzył na nią żaden inny mężczyzna, Nie był w stanie dzielić się nią, choć zdawał sobie sprawę, że nie ma prawa niczego jej rozkazywać ani zabraniać. Nie był jej mężem. To szczęście spotka innego. Mimo wszystko nie potrafił zachować dystansu.

- Ale ja chcę zatańczyć. Proszę - dodała szeptem, patrząc na niego błagalnie. Wyraz jej oczu sprawił, że coś się w Grayu ścisnęło. Ogarnęło go bezbrzeżne zmęczenie. - Proszę cię, Gray... Nie utrudniaj mi tego. - Nachyliła się nad nim i lekko ucałowała w usta, potem wysunęła rękę z jego palców i szybko dołączyła do reszty kobiet.

Gray łypnął na wodza, od którego odgradzało go potężne ognisko. Kiedy ich spojrzenia zderzyły się, Gray odniósł wrażenie, że w chwili gdy wódz pstryknął palcami, w jego smolistoczarnych oczach pojawiło się szyderstwo.

Ozwał się bęben. Dudniąc głucho, wyznaczał mroczny rytm, który wprawiał mózg Graya w dziwny rezonans. Bezwiednie odszukał spojrzeniem Bonnie. Kołysała się leniwie, oczy miała przymknięte. Poruszała się równie naturalnie jak wyspiarskie kobiety.

Gray czuł się tak, jakby przyglądał się wszystkiemu z wielkiego oddalenia, jakby jego dusza oderwała się od ciała. Serce uderzało mu w niespokojnym, mrocznym rytmie wyznaczonym przez głos bębna, krew zdawała się gęstnieć w żyłach, świat kurczył do obrazu tańczącej Bonnie. Nic innego nie miało znaczenia.

Gray doznał osobliwego wrażenia, iż jego ciało staje się niebywale ciężkie. Wszystko poruszało się jak w zwolnionym tempie. Uniósł rękę z kieliszkiem i wyciągnął ją przed siebie: wino w kieliszku falowało sennie. Gray przestał się oszukiwać, z ostateczną jasnością zrozumiał bowiem, że podano mu jakiś narkotyk.

Z trudem podniósł oczy. Chciał krzyknąć: „Bonnie!”, ale żaden dźwięk nie padł z jego ust. Nie padło ostrzeżenie. Mógł jedynie ze zgrozą i niemą wściekłością patrzeć, jak wojownicy dzikim

wyciem dopingują kobiety, krzykami wzywają do szybszego tańca. Potem wódz ponownie zaklaskał w dłonie... rozkazując, by wszystkie kobiety zdjęły górną część strojów.

Nękany wrażeniem, że jego głowa waży sto funtów, Gray niepewnie podniósł się na kolana i wyciągnął ręce ku Bonnie. Widział jej przerażoną twarz, ramiona skrzyżowane w obronnym geście na piersi. Kręciła głową na znak, że się nie rozbierze.

- Zostawcie ją w spokoju, do diabła!

Gray przypuszczał, że ten ryk wyrwał się z jego krtani, ale nie był tego pewny. Czuł się tak, jakby jego ośrodek równowagi przeniósł się w zupełnie inne miejsce - miejsce, którego nie potrafił odnaleźć. Mimo to spróbował dźwignąć się na nogi.

Kiedy mu się to udało, spojrzał w dół. Ziemia wydawała mu się strasznie daleko. Zachwiał się, bo zobaczył, że wódz idzie w kierunku Bonnie i próbuje odsunąć jej ręce, a kiedy mu się sprzeciwiła, na odlew uderza ją w twarz. Wykonała dziwaczny piruet i upadła na kolana.

Gray rzucił się ku niej.

- Nie!

Wódz chwycił górę jej stroju i szarpnął gwałtownie; skóra pękła z trzaskiem i już nic nie kryło piersi dziewczyny przed pożądanymi spojrzeniami tubylczych mężczyzn. Bonnie cofnęła się w popłochu, na czworakach, kiedy Wielce Dzielny wyciągnął rękę, by jej dotknąć. Wokół Graya podniosły się krzyki, jakieś postacie - jego ludzie? - rzuciły się dziewczynie na pomoc, ale wojownicy nie pozwolili im się zbliżyć.



Coś trzasnęło mu pod nogami. Przewrócił się i podniósł z najwyższym trudem. Jego jedyną myślą było znaleźć się przy Bonnie, ale nie mógł się do niej zbliżyć. W uszach rozbrzmiewał mu czyjś sardoniczny śmiech.

- Bonnie! - Dostrzegł ją; w szeroko rozwartych, błękitnych oczach dziewczyny malował się lęk. Ale to o niego się bała, choć wódz szarpał ją i brutalnie poderwał z ziemi. Kolejne uderzenie było tak silne, że się zachwiała. Upadłaby pewnie, gdyby wódz nadal nie trzymał jej mocno za ramiona.

Gray mknął ku niej... był już tak blisko... bliźniętko. Nagle potężny cios w szczękę zwałił go z nóg. Gray zarył twarzą w piasek.

- Nie! - usłyszał przeraźliwy krzyk Bonnie. - Zostawcie go!

Ktoś brutalnie podniósł go na kolana; głowę miał zwieszoną, z rozcięcia na policzku sączyła się krew. Czyjeś palce wbiły się w jego podbródek i bez ceregieli zmusiły do uniesienia twarzy.

- Patrz, jak dotykam twojej kobiety.

Gray wpadł w szal. Wyrywał się trzymającym go wojownikom, za co któryś nagroził go kopniakiem w żebra; bolało, lecz o wiele straszniejszy dla Graya był ochrypły ze strachu krzyk Bonnie. Czyjaś dłoń wczepiła się w jego włosy, szarpnęła i znowu uniósł twarz.

Zamrugał, próbując zogniskować wzrok na Bonnie. Dygotała, stojąc przed wodzem, lecz to właśnie wyraz odwagi malujący się na jej twarzy sprawił, że Grayowi omal nie pękło serce. Patrzyła mu prosto w oczy, a po jej policzku spłynęła jedna jedyna łza, kiedy Wielce Dzielny lubieżnie obmacywał jej nagie piersi. Gray wiedział, że nie zapomni tej sceny do końca swojego życia.

Czuł się tak, jakby wszystko w nim rozpadło się na milion malusieńkich kawałeczków. Cała jego udreka uzewnętrzniła się w przeciągłym, nieledwie zwierzęcym wyciu. A potem, pierwszy raz w swoim życiu, Gray zaczął płakać.

Wojownik parsknął z odrazą i odepchnął dziewczynę, kiedy jego wysiłki, by ją podniecić, spęzły na niczym. Jej przypisał za to winę, powiedział, że jest „zimna w środku” i że nie chciałby jej żaden mężczyzna, że nie tknął jej nawet własny mąż. Splunął na ziemię koło jej stóp, po czym okręcił się na pięcie i odszedł, a reszta mężczyzn posłusznie podążyła za nim.

Bonnie opadła na kolana i opuściła głowę, by kaskada włosów ukryła jej nagość i jej wstyd. Łzy polały się po jej twarzy niepohamowanym strumieniem, objęła się ramionami jakby było jej zimno, i zaczęła kołysać.

- Bonnie. - Jej imię w ustach Graya było zaledwie udreńczonym szeptem.

Podniosła wzrok i ujrzała jego zmaltretowaną twarz, krew, ogrom rozpaczyny wyzierającej z jego oczu i targnął nią ból. To była jej wina. To ona podnieciła mężczyzn swoim tańcem i to przez nią Gray został pobity.

Prorok podbiegł do niej i próbował nieporadnie dopomóc. Zdarł z siebie koszulę i wsunął ją na ramiona dziewczyny, zasłaniając ją własnym ciałem, póki nie doprowadziła się do porządku.

Upokorzenie, jakiego zaznała, poszło w zapomnienie, ledwie ludzie Graya pomogli mu wstać. Bonnie pomknęła ku niemu,

półprzytomnie odpychając kogoś, kto stanął jej na drodze, i objęła go ramieniem przez plecy.

- Bonnie... - Gray zacisnął powieki. - Przepraszam... tak bardzo cię przepraszam... nigdy... sobie nie wybaczę...

- Przestań - szeptała, przytulając go mocniej, szukając pocieszenia, które tylko on mógł jej ofiarować.

- Dosypali mu czegoś - odezwał się Prorok; Bonnie spojrzała na niego pytająco. - Było w palmowym winie. - Umilkł. Był taki skrepowany, że wyraźnie nie wiedział, gdzie podziąć oczy. - Wszystko stało się tak szybko. Trza mi było...

- Już po wszystkim - tylko tyle zdołała powiedzieć. Nie chciała teraz myśleć o tym, co się wydarzyło. Zależało jej tylko na tym, by jak najszybciej zapomnieć dotyk lubieżnych rąk tego dzikusa na swoim ciele, udawać, że nic się nie zdarzyło.

Gray opierał się, kiedy próbowała go podtrzymać. Był zbyt dumny, by przyjąć jej pomoc i zbyt wstrząśnięty sceną, której stał się świadkiem. Nie mógł patrzeć na Bonnie. Widziała to i serce krwawiło jej jeszcze bardziej.

Odsunęła się i pozwoliła, by jego ludzie podprowadzili go do chaty. Po chwili powlokła się za nimi. Gray rzucił się na łóżko. Leżał na plecach, ściskając głowę w dłoniach. Załoga wymknęła się w całkowitym milczeniu. Ostatni wyszedł Prorok, zanim jednak to uczynił, delikatnie oparł rękę na ramieniu dziewczyny, a w niej wezbrała głucha rozpacz. Czuła się zbrukana, zhańbiona i bardziej krucha, niż kiedykolwiek dotąd.

Powoli usiadła na klepisku, otoczyła ramionami zgięte w kolanach nogi i przytuliła do nich twarz. Wielkim wysiłkiem woli broniła się przed szokiem, który czaił się za progiem, gotów ją pochłonąć, czekając tylko, by zamknęła się w sobie. Ale w końcu zabrakło jej sił i poddała się odrętwieniu, które niesło dar zapomnienia.

Gray obudził się w półmroku. Jedyne różowawa łuna brzasku wsączająca się przez jedyne okno rozpraszała nieco ciemności.

Stopniowo wracała mu świadomość. Ustępował głęboki letarg, umysł zaczynał normalnie funkcjonować i natychmiast opadły go koszmarne myśli. Wino, jedzenie, taniec, ból, udręka... i całkowite załamanie.

Bonnie.

Boże kochany... Bonnie!

Otrząsnął się gwałtownie i usiadł na łóżku. Serce zaczęło mu walić jak oszalałe, dłonie zrobiły się lepkie i zimne od potu, w głowie kołatała jedna myśl: odnaleźć ją, ocalić. Za późno, niech to diabli! Za późno.

I wtedy ją zobaczył. Zwinięta na ziemi przy drzwiach, z kolanami przyciągniętymi do piersi, potarganymi włosami rozrzuconymi na klepisku, z paskudnym siniakiem widocznym w bladym, migotliwym świetle. Ten widok nieomal go zabił.

Po wszystkim, przez co przeszła, nie zrobił absolutnie nic, by ją uspokoić: nie błagał o przebaczenie za to, że ją zawiódł. Nie pochwalił, jaka była silna, jaka dzielna, nie zapewnił, że dla niego jest najcudowniejszą kobietą na świecie.

Zamiast zrobić to wszystko, wpadł w narkotyczny stupor, choć przecież nie marzył o niczym innym, jak tylko przycisnąć ją do serca i nie puścić z ramion już nigdy. Nie zasługiwał na nią - ale, jak Bóg mu świadkiem, jak miałby bez niej żyć, kiedy nadejdzie czas rozstania?

Wstał, choć żebra zaprotestowały przeciwko temu tak energicznie, że pomyślał, iż jedno albo dwa ma najpewniej złamane. Po chwili ból zmienił się w nieprzyjemne ćmienie i Gray podszedł do Bonnie.

Zapatrzył się w nią jak w obraz. W gardle mu się ścisnęło i ogarnął go bezbrzeżny żal. To przez niego tyle się wycierpiała. To on wciągnął ją we wszystkie swoje naiwne mrzonki, idiotyczne rojenia. Powinien był zostawić ją w Szkocji. Tam, gdzie była bezpieczna.

Ukląkł obok niej, zastanawiając się, dlaczego niczego nie zauważył, przeoczył moment, kiedy stało się to, co nie do pomyślenia: całkowicie, bez pamięci zakochał się w tej nieustraszonej szkockiej dziewczynie. I w nagłym przebłysku jasności umysłu pojął, że zna odpowiedź na to pytanie.

Pokochał ją w chwili, gdy pierwszy raz spojrział w jej błękitne oczy.

Nie dbał o to, co będzie musiał zrobić. Znajdzie jakiś sposób, by wyrwać ją z tej wyspy. Choćby przyszło mu oddać za nią życie.

Łagodnie wsunął ręce pod jej kolana, ignorując ból, który przeszył jego bok w chwili, kiedy wyprostował plecy. Włosy dziewczyny spłynęły na jego pierś oraz ramię i targnął nim przyplływ gwałtownej, czystej żądz. Kiedy spojrział na jej posiniaczoną twarz, serce omal mu nie pękło.

Ostrożnie położył Bonnie na łóżku. Nie chciał jej obudzić, patrzeć, jak te cudne, przelęknione oczy zatrzymują się na jego twarzy w niemym oskarżeniu. Teraz - kiedy była pogrążona we śnie - mógł przestać skrywać swoje uczucia. Zamknąć oczy i napawać się jej bliskością, modląc się, by nie zabrakło mu siły, by przez kolejną pełną udręki noc odmawiać sobie jej słodkich ust, choć pragnął jej jak niczego na świecie.

Kiedy rozwarł powieki, przekonał się, że Bonnie spogląda na niego; oczy miała senne i trochę niespokojne. Bezwiednie pogłaskał ją po policzku. Drgnęła, a Gray przeklął w duchu swoją głupotę, że nie potrafi trzymać rąk przy sobie.

Gwałtownym ruchem wyprostował się i wsunął ręce do kieszeni.

- Przepraszam... Nie chciałem cię budzić.

Nie odezwała się, tylko dalej wpatrywała się w niego sarnimi, zalęknionymi oczami. Gray stał nieruchomo, miotając się między obawą a pożądaniem. Kiedy po jej policzku potoczyła się łza, pochylił głowę i padł na kolana, żałując, że tubylcy go nie zabili. Piekło byłoby o wiele łatwiej znieść od widoku tej jednej samotnej łzy.

Mocno zacisnął powieki i poczuł, że smukłe palce wsuwają się pieśczośliwym gestem w jego włosy. Bonnie wyszeptała jego imię głosem melodyjnym jak śpiew słowika, przywołując go do siebie, wyrывая z objęć ciemności.

Zadrżał na całym ciele, kiedy delikatnie powiodła opuszkami po jego szyi, pogłaskała po ramieniu, obwodząc kontury napiętych mięśni. Następnie palce dziewczyny dotarły do jego dłoni i niepewnie,

z wahaniem, splotły z jego palcami. Gray chwycił się ich tak, jakby ratowały go przed śmiertelnym upadkiem.

Siła pragnienia, którego nie potrafił się dłużej wypierać, dodała mu skrzydeł. Otoczył dziewczynę ramionami i oparł czoło o jej płaski brzuch, przez cały czas powtarzając w myśli, że powinien stąd iść, że nie ma prawa z nią przebywać. Zaciskał i rozluźniał pięści, próbując nad sobą zapanować, Bonnie tymczasem głaskała go po włosach... jakby to jego trzeba było pocieszyć, a nie ją.

- To nie twoja wina. - Cztery miękko wypowiedziane słowa przedarły się przez obronne mury, którymi Gray się otoczył, zagłuszyły zdolność rozróżniania między dobrem a złem, tym, czego pragnął, a tym, czego robić nie miał prawa. Jego sercem, jego duszą, całym światem stała się Bonnie.

A jego żądy nic już nie zdołałoby dłużej trzymać w ryzach.

Z pomrukiem poddał się pragnieniu, które spopielalo go od wewnątrz. Ujął jej twarz w dłonie i pocałował z całą nieokiełznaną pasją, którą potrafiła wzbudzać ona i tylko ona. Przepelniała go miłość i nie wiedział już, czy zdoła wytrwać w przysiedze, którą niegdyś Bonnie złożył.

Całował jej oczy, nos, kształtny podbródek, nieskończenie lekko trącał wargami posiniaczony policzek. Szeptał słowa żalu, udręki, składał tkliwe przysięgi. Z poczuciem, że łamie tabu, które sam wyznaczył, poddał się przeznaczeniu. Nie miał już siły do walki z samym sobą.

Poprzez szum własnej krwi usłyszał szept Bonnie. Znieruchomiał raptownie, uświadamiając sobie z bezmierną pogardą,



że zachował się nie lepiej niż tamten dzikus, narzucał się jej w chwili, gdy wyjątkowo łatwo było ją zranić. Odsunął się gwałtownie.

- Bonnie... Przepraszam. Ja... - Chciał wyjść, ale zatrzymała go, delikatnie ujmując jego twarz w dłonie.

- Proszę cię, Gray... potrzebuję cię. Nie odtrącaj mnie znowu. Ja... ja więcej tego nie wytrzymam.

- Ale ja myślałem... - Przycisnął czoło do czoła dziewczyny. - Nie chcę cię zostawiać, ale też nie chcę cię zranić, Bonnie. Już dość cię skrzywdziłem.

- Bardziej mnie skrzywdzisz, jeśli teraz zostawisz mnie samą. Chcę, co byś pomógł mi zapomnieć dotyk jego rąk.

Jego. Tamtego łotra. Mięśnie Graya napięły się, jakby ktoś smagnął go po plecach. Wezbrała w nim czarna rozpacz.

- Nie powstrzymałem go... Nie powstrzymałem... - Zwiesił głowę. - Niech Bóg mi wybaczy.

- Pomóż mi zapomnieć - wyszeptała Bonnie i delikatnie pocałowała go w szyję. - Spraw, cobym zapomniała o wszystkim prócz ciebie. Potrzebuję cię, potrzebuję, co byś mnie kochał, co byś przegnał precz cały mój ból...

Gray uniósł głowę. Wpatrzył się w jej oczy i zrozumiał, że nie zapomni jej do śmierci, że jej wspomnienie będzie go prześladować po grób. A kiedy podała mu usta, wiedział, że stanie się to, co musi się stać, że jutro się nie liczy.

Powieki Bonnie zamknęły się sennie, gdy nakrył wargami jej usta. Jej ciałem targnęła rozkosz, którą przynosić potrafił ten jeden jedyny mężczyzna na świecie. Napawała się każdym przeciągłym



muśnięciem jego ust, każdym najlżejszym dotknięciem jego języka. W przeciwieństwie do pierwszego pocałunku, ten był leniwy, niespieszny, gorący. Ich usta poznawały się bez pośpiechu, oddechy zlewały w jedno tchnienie, jęki spletały w jeden jęk.

Z nagłą, przenikliwą jasnością pojęła, że do tej chwili albo patrzyła wstecz, albo sięgała wzrokiem ku przyszłości. Rzadko kiedy żyła terażniejszością. Teraz z każdym wspólnym oddechem, kiedy jej życie i życie Graya na tych parę minut stało się jednością, liczył się tylko ten moment, ta cudowna chwila.

Miękkie, ekstatyczne westchnienie wyrwało się Bonnie, gdy usta Graya zaczęły wędrować po jej szyi. Ochryplym szeptem zapewniał, jaka jest piękna, jak bardzo jej pragnie, że wszystko będzie dobrze, że przegna ból, strach, złe wspomnienia - a Bonnie wiedziała, że Gray zdoła to sprawić. Zapamiętała się w słodkim ciężarze jego ciała, muskularnego i osłaniającego ją szczelnie przed światem.

Przewrócił się na plecy i niepostrzeżenie znalazła się na nim. Zawisł rozplómonionym wzrokiem na jej twarzy.

- Jeśli chcesz, żebym przestał, przestanę. Będzie tak, jak zechcesz, Bonnie.

Te słowa wzruszyły ją do głębi. Jej Gray - taki gwałtowny, taki stanowczy, tak wojowniczy z natury, zachował się teraz jak prawdziwy dżentelmen - choć zawsze podkreślał, że dżentelmenem nie jest. Myśl, iż taki mężczyzna pragnie całkowicie podporządkować się jej woli, uderzała do głowy. Pierś dziewczyny zaczęła unosić się spazmatycznie, oddech zamierał na wargach. Tak długo marzyła o tej chwili...

Objęła go udami i przycisnęła się do jego rozpalonego ciała. Pomyślała o tym, jak kiedyś rozpalony i twardy ocierał się o nią, miękka, jedwabista, i zapragnęła poczuć to samo.

Jeszcze ubranie jej przeszkadzało. Chciała poczuć dotyk jego skóry. Zdjęła koszulę i zsunęła ją z ramion. Materiał opadł miękko wokół jej bioder i nic już nie osłaniało jej przed wzrokiem Graya. Było tak, jakby rozbierając się, zarazem obnażała przed nim duszę.

Nie odrywając spojrzenia od jej twarzy, ściągnął koszulę i cisnął ją na klepisko. Bawił się włosami Bonnie. Oddzielił pasemko i zaczął nim muskać jej udo, jej płaski brzuch. Potem delikatnie, niemal nabożnie, zajął się jej sutkami.

Targnęła nią rozkosz, jej ciało oblał żar. Czuła się występna i rozpustna. Przerwała nieśmiało pieszczoty Graya, chwyciła go za rękę i nagle wyzbyta wstydu położyła na swej piersi. Chciała, by jej dotknął, by jego dłonie zmasały wstyd, jakim przepelniła ją brutalność innego mężczyzny.

Pierwsze muśnięcie kciuka o sterczący sutek wstrząsnęło nią tak, że bezwiednie zacisnęła uda, czując, jak ciało u ich zbiegu zaczyna pulsować. Zakołysała się, a na torsie Graya załśniły kropelki potu.

Oparła dłonie na jego ramionach i zatoneła w jego oczach. Pożądanie tak długo trzymane w ryzach nareszcie mogło w pełni rozkwitnąć.

- Pocałuj.

Wiedział, czego pragnęła, i nie trzeba mu było większej zachęty. Podniósł się do pozycji siedzącej, podparł ramieniem plecy dziewczyny i ujął wargami jej sutek. Zaczął ssać, a po jej ciele

rozlewały się coraz to nowe fale gorąca. Pozwalała się pieścić, orząc paznokciami jego tors.

Jej pojękiwanie stało się gorączkowe, bezwiednie zacisnęła pięści. On zaś sprawiedliwie obdzielał pieszczotami to jedną, to drugą pierś.

Objął palcami pośladki Bonnie i mocniej przycisnął ją do siebie. W szaleńczym pośpiechu zaczęła urywać guziki u jego spodni. Chciała jak najszybciej pozbyć się materiału, który ich oddzielał, dotknąć go ręką.

Jęknął głucho, kiedy poczuł pierwsze niepewne dotknięcie. Bonnie pieściła go, zafascynowana. Ale chciała wiedzieć więcej. Poznać smak jego skóry.

Odsunęła się nieznacznie i pochyliła głowę. Powstrzymał ją.

- Ty mnie zabijesz - tylko tyle zdołał wykrztusić, nim przewrócił ją na plecy i wsunął się na nią. Czubek jego języka odnalazł różowy sutek, potem drugi, po czym zaczął sunąć w dół... ku miejscu, które zdawało się objęte płomieniem.

Pierwsze dotknięcie przyprawiło ją niemal o utratę zmysłów. To była taka grzeszna, taka rozpustna pieszczota...

- O tak - jęknęła między dwoma płytkami, urywanymi oddechami. Gray wsunął ręce pod jej uda i przycisnął się do niej twarzą. Potem jego dłonie przesunęły się ku bokom i piersiom dziewczyny. Ujął jej sutki między kciuk a palec wskazujący i pieścił je, całując ją nieprzerwanie. - Gray... och, Gray.

- Tak, ukochana... chcę cię czuć.

Bonnie uniosła biodra. W tej samej chwili targnęła nią fala

kulminacji. Znieruchomiła drżąca, wyczerpana, z zamkniętymi oczami. Pomyślała sennie, że Gray uniósł ją do nieba.

Kiedy wsunął palec w jej wnętrze, poruszyła się niespokojnie.

- Nie mogę... - powiedział bardziej do siebie niż do niej. -  
Sprawiłbym ci tylko ból.

Zdumiał się, w jej oczach bowiem zakreśliły się łzy.

- Dlaczego? - głos się jej łamał. - Dlaczego nie chcesz się ze mną kochać?

- Nie, skarbie. Nie płacz. - Podpierając się na przedramionach, przysunął się do niej i pocałował ją w policzek. - To nie tak.  
Naprawdę bardzo cię pragnę, ale nie mogę tego zrobić.

Łzy obeschły szybko.

- Proszę, nie bądź taki honorowy - szeptała, ocierając się o niego. - Nie mów mi o Ewanie, nie mów, czego chcę, a czego bym nie chciała, nie mów mi, że to błąd.

Przesunęła dłoń po jego brzuchu, odnalazła to, czego szukała, zakołysała się i wsunęła go w siebie. Gray jęknął i zacisnął oczy.

- Ten jeden jedyny raz wyraż, co czujesz. Jeśli nie słowami, to swoim ciałem. Nie chcę nic prócz tego, co sam zechcesz mi dać. Moje dziewictwo to dar, jedyne, prócz mojej miłości, co mogę dać mężczyźnie, którego sama wybiorę... a ja chcę je ofiarować właśnie tobie.

Wzruszenie ścisnęło Graya za krtań, choć nie doświadczał tego uczucia od lat.

- Bonnie, moja ty kochana... Przy tobie czuję się maluczki, Bonnie... Maluczki pod względami, o których dotąd nawet nie

myślałem. I choć na ciebie nie zasługuję... zaklinam się na wszystko, że ciebie pragnę. - Potem pocałował ją gwałtownie, ujmując jej dłonie i unosząc je nad głowę dziewczyny. - Kocham cię - powiedział ledwie słyszalnie i wszedł w nią jednym szybkim, nieomal brutalnym ruchem, kończąc wewnętrzny bój, wojnę, w której sam był swoim największym wrogiem. Miał świadomość, iż od tej chwili Bonnie na zawsze już będzie nosiła jego piętno... cokolwiek ich rozdzieli.

Był niepohamowany jak sztorm. Zaparł jej dech w piersi, wymazał wszelką myśl, spełnił każdą zrodzoną w jej wyobraźni fantazję. Czuły kochanek zniknął. Zastąpił go mężczyzna gorący jak ogień, jak żywioł, który pochłania wszystko na swej drodze, a przed którym nie ma ucieczki. Brał to, co składała mu w ofierze. Ciało, serce. Duszę.

Kiedy jednak Gray poprowadził ją znowu ku jaśniejącej, czarodziejskiej rozkoszy, Bonnie pojęła, że tej jednej jedynej rzeczy, której najbardziej pragnęła, Gray nie był jej w stanie dać.

Pewności jutra.

Przyszli o świcie, kiedy Bonnie i Gray jeszcze spali. Zwlekli Graya z łóżka do wtóru jej przerażonego krzyku.

- Nie! - Pełzła za nim na czworakach, ale jeden z wojowników odepchnął ją brutalnie.

- Nie, Bonnie! - zawołał Gray błagalnie. - Niech mnie zabiorą...  
Znajdź Proroka i uciekajcie stąd.

Bonnie z uporem potrzęsnęła głową.

- Nie. Nie zostawię cię!

Jeden z dzikusów skinął ręką w kierunku łóżka. Oczy intruzów wlepiły się w ciemną plamę na prześcieradle, świadectwo tego, co wydarzyło się w mrokach nocy.

Ponury śmiech Graya sprawił, że Bonnie gwałtownie uniosła głowę.

- Teraz już cię nie tknie. - Przez jego słowa przebijał nagi tryumf. - Nie jesteś dziewicą.

Bonnie tknęło nagle straszliwe przypuszczenie, które zdawał się potwierdzać szalony wyraz oczu Graya. Dał jej to, czego pragnęła, odebrał jej cnotę, kochał się z nią dopóty, dopóty nie przestało się liczyć wszystko oprócz jego ciała, dopóki rozkosz, niczym rozszczepiona przez pryzmat wiązka światła, nie rozbłysła w niej tęczą. I ofiarowując jej samego siebie, poświęcił swoje życie, byle ona mogła żyć dalej.

Wiedział już wtedy. Drogi, słodki Boże, on wiedział, że Wielce Dzielny ją zgwałci, że weźmie ją siłą i chciał ją przed tym ochronić. To dlatego złamał swój ślub, że zostawi ją nietkniętą.

W sercu Bonnie wezbrała miłość i wdzięczność za jego poświęcenie, równocześnie jednak napłynęła bolesna myśl, iż kochał się z nią wcale nie dlatego, że tego pragnął, a dlatego, że nie widział innego wyjścia.

Ciszę przerwał Wielce Dzielny.

- Ty wyjąć kamień ze studnia. Potem ona - wskazał na Bonnie - patrzeć na twoja śmierć.

Bonnie krzyknęła ze zdumienia; wódz przemówił łamaną, acz niebywale płynną angielszczyzną.

- Ty obmierzły draniu - zasyczał Gray. - Od samego początku rozumiałeś, co mówimy. Ty pieprzony gnojku!

Obelgi nagrodzone zostały mocnym ciosem w żołądek, po którym Gray zgiął się wpół, pojękując głucho. Następnie został wywleczony z chaty, a Bonnie, nieustannie przez kogoś poszturchiwana, poszła za nim.

Brnęła przez piach w całkowitym milczeniu. Kiedy zaczęły się gęste zarośla obrzeżające wioskę, zwróciła się do wodza:

- Zrobię wszystko. Proszę cię... błagam, nie zabijaj go. - Wielce Dzielny udął, że jej nie słyszy. Popchnął ją, żeby szła dalej, nie zaszczycając jej spojrzeniem. Zastąpiła mu drogę i uczepiła się jego ręki.

- Przecież mnie chcesz. Weź mnie!

Oczy wojownika zapłonęły. Zamachnął się i wymierzył Bonnie druzgoczący cios; tak silny, że padła twarzą w piasek.

Zanim zdołała zogniskować wzrok, podniesiono ją na nogi i zmuszono do dalszego marszu. Gałęzie czepiały się jej koszuli, orały jej twarz, lecz orszak posuwał się do przodu. Wydawało się jej, że trwa to całą wieczność. Kiedy wyłonili się spomiędzy drzew, poczuła ostatnie pchnięcie w plecy, potknęła się i stanęła u brzegu zalanego wodą krateru.

Kiedy podniosła oczy, zobaczyła, że Graya podtrzymuje dwóch olbrzymich tubylców; jedno oko miał tak opuchnięte, że nie mógł go otworzyć - ten widok z bolesną jasnością uświadomił jej, że bicie nie skończyło się na terenie wioski. Gray klęczał na ziemi ze zwieszoną nisko głową.

- Gray... - powiedziała ochryple. Chciała go dotknąć, pomóc mu.

Wolno, jakby najmniejsze poruszenie było źródłem zabójczej udreki, podniósł głowę i spojrzał na nią. Bezgłośnie poruszył ustami, jakby mówił: „Kocham cię”, lecz Bonnie nie była tego pewna.

Wszystko wydawało się nierzeczywiste: ta chwila, słowa, które targnęły powietrzem jak wystrzał.

- Nikt nie przeżyć próba święta studnia. - Wielce Dzielny kiwnął na Graya. - Ty iść po kamień. Wrócić bez - szarpnięciem postawił Bonnie na nogi i przycisnął jej nóż do szyi -ona umrzeć. Ty wrócić z kamień, ty umrzeć, ona żyć.

Bonnie próbowała coś powiedzieć, lecz ostrze noża przycisnęło się mocniej do jej szyi. Poszukała spojrzeniem Graya, stojącego po



drugiej stronie krateru. Chciała potrząsnąć głową, powiedzieć mu, żeby odmówił, ale nie mogła dobyć głosu.

- Nic mi nie będzie - wychrypiał Gray i omal się nie przewrócił na twarz, kiedy dwaj tubylcy, którzy dotąd go podtrzymywali, dźwignęli go brutalnie na nogi i puścili znienacka.

- Ty iść! - rozkazał wódz. - Już!

Widocznie Gray nie ruszał się dość szybko, bowiem ręka wodza zacisnęła się boleśnie na ramieniu dziewczyny. Bonnie skuliła się.

- Puść ją, to skoczę.

- Nie! - krzyknął ktoś, przykuwając natychmiast powszechną uwagę. W tej samej chwili Prorok zaczął się przepychać przez tłum tubylców, jeden z nich poczęstował go tak silnym kopniakiem w bok, że stary marynarz przewrócił się i znieruchomiał, dysząc ciężko.

Potrząsnął głową i wykrztusił: - Ja... pójdę. Zostawcie go. On... jest... ranny.

- A niech cię diabli, Prorok! Nie mieszaj się do tego!

Oblicze Proroka po raz pierwszy w pełni zdradzało jego wiek i zmęczenie, kiedy zawisł wzrokiem na twarzy Graya; obaj wiedzieli, że nawet w tym stanie Gray jest od niego o wiele silniejszy.

- Kocham cię, chłopcze. Jak własnego syna. Pozwól, żebym to ja szukał. Ty masz po co żyć.

Wielce Dzielny rzucił szczekliwą komendę i Prorok został unieszkodliwiony. Następnie wódz wymierzył palec w Graya i warknął:

- Skakać!

Gray podszedł do brzegu krateru. Bonnie odprowadziła go wzrokiem, walcząc ze łzami. Zawsze myślała, że jest dzielna z natury, w owej chwili jednak uzmysłowiła sobie, że po prostu nigdy dotąd nie poddano jej próbie.

W następnej Gray zanurkował. Zniknął pod szklistą taflą, jakby nigdy naprawdę nie istniał.

Bonnie odepchnęła Wielce Dzielnego, obojętna, czy ją zabije, czy nie. Kiedy zaśmiał się głucho i puścił ją, padła na kolana. Wpatrywała się w wodę, której powierzchnia marszczyła się nieznacznie, ale dostrzegła jedynie własne odbicie, zdawałoby się, zawisłe nieruchomym spojrzeniem na jej twarzy - i łzy, którym pozwoliła w końcu swobodnie płynąć.

Po upływie kwadransa musieli siłą odciągać Bonnie od studni; Gray nie wrócił.

- On żyje! Nie wierzę, że zginął! - krzyczała. Ale nikt jej nie słuchał.

Posępne pomruki załogi Graya stawały się coraz głośniejsze i coraz bardziej gniewne; powtarzało się zdanie, że nie ma człowieka, który przeżyłby pod wodą tyle czasu. Cholerne łajdaki zamordowały kapitana.

Bonnie wyrywała się jak oszalała, z dzikim krzykiem zdzierała z siebie ręce wodza, kopała go i oglądała się co chwila, rozpaczliwie powtarzając imię Graya, czekając, aż woda odda chociażby samo jego ciało, lecz do chwili, w której krater znikł jej z oczu, ciemna tafla pozostała niezmacona.

Pod koniec wojownicy musieli ją nieść. Rozpacz ostatecznie pozbawiła ją sił. Gray był jej kotwicą, jedynym, co trzymało ją przy życiu. Ale teraz go zabrakło i Bonnie popadła w ostateczne zwątpienie.

Ktoś brutalnie wepchnął ją do chatki, którą dzieliła dotąd z Grayem, i zaryglował za nią drzwi. Bonnie padła na klepisko, modląc się, by dane jej było zamknąć oczy i już nigdy się nie obudzić.

Głuche dudnienie obudziło Bonnie w samym środku nocy, odgłos nie z tej ziemi, podobny do posępnego bicia w bębny, który splótł się w jedno z jej snami o carragos ukrytych w koronach drzew; ptaki skrzeczały przeraźliwie, nawołując się złowieszczo, zbite w pierścieniu, który coraz ciaśniej zaciskał się wokół niej, jakby te skrzydlate stwory czekały na najlepszy moment do ataku.

Wzdrygnęła się i usiadła na łóżku, oblana zimnym potem, zdezorientowana i z gonitwą myśli w głowie. Nie była pewna, czy nadal tkwi w odrętwiających objęciach snu, czy też naprawdę się przebudziła. Jednak ani sen, ani jawa nie niosły ukojenia. Koszmar stał się rzeczywistością, przed którą nie było ucieczki.

Dudnienie ozwało się znowu, tym razem jednak miała pewność, że nie śni. Kiedy ziemia pod nią zatrzęsała się, Bonnie potoczyła przerażonym wzrokiem po pogrążonym w ciemnościach wnętrzu chaty, której ściany zaczęły trzeszczeć i dygotać.

Kiedy tuż koło niej rąbnęła o klepisko długa deska, Bonnie w popłochu zerwała się na nogi. Potykając się, pomknęła ku wyjściu. Serce biło jej tak mocno, iż czuła się, jakby miało pęknąć. Boże drogi, co to?

Dopadła do drzwi na chwilę przed tym, jak otworzyły się na oścież. Wiatr wdarł się do środka, ciskając nimi o rachityczną ścianę chaty. W progu zamajaczyła jakaś ciemna postać i wyciągnęła ku niej rękę.

Na ustach Bonnie zamarł zdławiony krzyk. Zaczęła młócić na oślep, odtrącając od siebie dłonie, które próbowały ją pochwycić. Zabiłaby się raczej, niż pozwoliła, by wódz wojowników zabrał ją do swojego łóża.

Postać złapała ją za rękę i pociągnęła w objęcia nieprzeniknionej nocy; w tej samej chwili cały świat zakołysał się pod nogami dziewczyny.

- Cśśś, dziecisko. Nie bój nic.

- Prorok...?

- Ano.

Wokół nich rozpętało się istne pandemonium. Prorok ciągnął ją za sobą, rozglądając się niespokojnie, ale nikt ich nie zauważał. Tubylcy wybiegali z domów, opadali na klęczki na samym środku wioski i skandowali coś z narastającą histerią.

- *O deus demonio esteve deixa frouxo!*

- Co oni powtarzają? - spytała płaczliwie Bonnie, kiedy Prorok nawoływał załogę.

- Bóg demon zerwał się z uwięzi. - Zepchnął ją na bok, gdyż zobaczył biegnącego w ich kierunku wodza; Wielce Dzielny potrząsał groźnie włócznią, której ostrze skierowane było w dziewczynę. Włócznia poszybowała ze świstem, raniąc Proroka w ramię.

Mężczyźni zwarli się w ciemnościach i obalili się na ziemię tuż koło Bonnie. Cofnęła się przerażona i upadła. Prorok przygniótł Wielce Dzielnego całym ciałem do ziemi i rąbnął go pięścią w szczękę, aż coś trzasnęło.

Potem energicznie pomógł jej wstać. Wielce Dzielny leżał w bezruchu, nieprzytomny albo zgoła martwy.

- Musimy się stąd wynosić. Szybko.

- Co się dzieje? - Ziemia trzęsła się pod nimi gwałtownie, powietrze wypełniło się kwaśnym dymem.

- Wulkan. - To słowo sprawiło, że Bonnie wewnętrznie zmartwiała. - Musimy dostać się do czółen.

Pośród zgiełku i zamieszania Bonnie nagle przypomniała sobie o szczeniaku.

- Jack! Muszę pójść po Jacka!

Spojrzała ku chacie, z której wnętrza dobiegało głuche poszczekiwanie. Domyśliła się, że Jack jest uwięziony wewnątrz; duży drewniany bal osunął się na ziemię i zatarasował drzwi.

Bonnie wyrwała się Prorokowi. Usłyszała, że zaklął, ale biegła już w kierunku chatki. Ledwie porwała Jacka na ręce, zawałiła się kolejna belka i runęła na ziemię dokładnie tam, gdzie sekundę wcześniej znajdował się szczeniak. Bonnie przytuliła go mocno do piersi.

Równocześnie dogonił ją Prorok.

- No chodźże!

Puścili się pędem przez gęste zarośla, próbując w ciemnościach odnaleźć właściwą drogę. Dziewczyna potykała się co chwila, lecz

Prorok podtrzymał ją za każdym razem, na sekundę nie puszczać jej ręki, i ciągnął dalej. Wokół nich waliły się drzewa.

I właśnie wtedy Bonnie ujrzała potwora. Czerwone oko wulkanu, strumień lawy wylewający się z jednego z caldeiros, odłamki skalne wyrzucane na odległość setek stóp prosto w niebo. Powietrze drgało od wściekłego ryku, którym dawało o sobie znać trzęsienie ziemi, i głuchych pacnięć, z którymi z furją rył ziemię deszcz kamieni.

- Biegnij pod drzewami! - zawołał Prorok, przekrzykując potępieńcze wycie wiatru, który jak zapalki łamał pnie palm i ciskał nimi na oślepi, wzniecając tumany piasku gotowe ich podusić. Z nieba zaczął prószyć popiół.

Ziemią targnęła potężna eksplozja. Wstrząsy, jakie jej towarzyszyły, były tak silne, że oboje rozciągnęli się na piachu jak dłudzy. Jack wypadł Bonnie z rąk i rzucił się do panicznej ucieczki. Prorok podniósł ją tak szybko, że nie zdążyła nawet odetchnąć.

- Prorok! - Wydawało się, że marynarz jej nie słyszy, równie jak ona zapamiętany w walce na śmierć i życie. - Stój!

Odwrócił się raptownie.

- Musimy iść dalej! Jesteśmy prawie na miejscu!

- Jack... on... - Resztę zdania zagłuszył rozdzierający uszy hałas. Nie było czasu na wyjaśnienia. Musiała odszukać Jacka.

Pomknęła w kierunku, w którym ostatnio szczeniaka widziała, nawołując go po imieniu. Nic nie słyszała, ledwie widziała na oczy, a jej rozpacz i poczucie beznadziejności były tak silne, że najchętniej padłaby na kolana i wybuchła płaczem.

Od dymu potwornie rozboleła ją gardło i tylko dlatego nie krzyknęła, kiedy nagle zamajaczyła przed nią potężna postać. Bez namysłu kopnęła ją, celując w tułów, i okręciła się na pięcie, gotowa pierzchnąć w przeciwnym kierunku.

Postać zgięła się wpół, zanim jednak dziewczyna zdążyła uczynić bodaj jeden krok, żelazne ramię otoczyło ją w talii i pociągnęło do tyłu. Siła tego chwytu wycisnęła jej niemal powietrze z płuc, ale mimo to broniła się, dziko, rozpaczliwie.

- Do cholery, Bonnie!

Zastygła nieruchomo jak słup soli. Ten głos. Niemożliwe. Odwróciła się błyskawicznie... i znowu zamarła, wpatrzona w twarz, której nie spodziewała się zobaczyć już nigdy.

Radość odebrała jej mowę. Zawisła Grayowi na szyi, jakby wokół nich świat przestał istnieć. Poczowała przy piersi jakieś poruszenie i odsunęła się gwałtownie. Szczeniak rozszczękał się gwałtownie.

- Jack! Och, uratowałeś go! - Bonnie miała na końcu języka chyba z milion pytań, ale właśnie pojawił się Prorok. Składał się już do ciosu, gdy nagle rozpoznał stojącą obok Bonnie postać.

- Wszelki duch Pana Boga chwali!

- Wynośmy się stąd, do diabła! - Gray splótł palce z palcami Bonnie i razem zaczęli przedzierać się przez zarośla.

Krażyli w kółko - Bonnie była tego pewna. Wszystko wyglądało tak samo. Dobry Boże, nie uda im się. Noc ich pochłonęła. Zabłądzili. Z pewnością zabłądzili. Biegli całą wieczność, a nadal nie było widać

ani linii brzegowej, ani czółen. Nic, tylko niekończąca się połać drzew, a w uszach jęk rozstępującej się ziemi.

Wówczas - jakby Bóg wysłuchał ich błagań - ryk przeistoczył się w wyraźny szum przyboju; fale gdzieś niedaleko rozłamywały się o brzeg. Chwilę później wybiegli na plażę.

- Tam! - Gray wskazał ręką grupę obłych, niewyraźnych kształtów.

- Czółna!

Zepchnęli wąskie łodzie do spienionej wody. Pod wpływem wstrząsów ocean wezbrał, śląc ku brzegowi falę za falą tak szybko, że roztrzaskiwały się o siebie. Potężne podwodne prądy niosły pirogi ku otwartym wodom, spiętrzającym się w pracę z powrotem ku brzegowi potężne grzywacze, które omal nie wbiły ich w piach.

Mężczyźni przez cały czas wiosłowali ile sił w rękach - i tylko dlatego w ogóle udało się im odpłynąć od wyspy. Wiatr nieustannie siekł ich kropelkami wody i wszyscy natychmiast przemokli do suchej nitki. I choć oddalili się wreszcie od brzegu, Bonnie rozumiała, że bitwie o przetrwanie jeszcze daleko było do końca. Ocean zmienił się w prawdziwą bestię, a noc zapowiadała się długa.

Trzymając się kurczowo burt łódki, obejrzała się przez ramię w kierunku wyspy. Warstwa lawy rozprzestrzeniała się na wszystkie strony niczym jakiś monstrualny wykwit skórny, niszcząc wszystko na swej drodze, kładła się na ziemi czaszą pomarańczy i czerwieni, strzelając w niebo jęzorami koloru. Wyspa Mgieł zniknęła na zawsze.



Bonnie obudził lejący się z nieba żar. Słońce paliło jej skórę, lecz to łagodne kołysanie czołna sprawiło, że miniony koszmar z całą żywością stanął dziewczynie przed oczami.

Cudem przetrwali furie oceanu. Mężczyźni zmagali się ze sztormem przez całą noc; bestia udobruchała się dopiero wtedy, gdy zza horyzontu wyrzął pierwszy promień jutrzeńki. A kiedy walka z żywiołem się zakończyła, wyczerpanie dało o sobie znać i wkrótce zapadli w sen bez marzeń.

Gray spał mocno do niej przyciśnięty - czołno było tak wąskie, iż właściwie nie było innej możliwości. Bonnie się z tego cieszyła, bo chciała, żeby był jak najbliżej. To, iż był tuż, żywy i w jednym kawałku, przepelniało ją radością, wobec której bledły obawy o to, co się z nimi stanie teraz, gdy dryfowali na środku oceanu bez wody i jedzenia czy choćby wędki, za pomocą której mogliby złowić rybę, których ławice ocierały się niemal o kadłub łódki.

Zanim niczym w ciepłą kołderkę opatulili się w sen, który niósł bodaj chwilowe zapomnienie, Bonnie zdążyła zadać Grayowi jedno pytanie: jak udało mu się tak długo wytrzymać pod wodą?

- Podwodna pieczara - wyjaśnił krótko. - Tam są tunele, cała sieć. Podejrzewam, że to pozostałość po wcześniejszych wybuchach wulkanu. - Zerknął w kierunku wyspy: małego rozjarzonego punktu w oddali, gdzie lava i popiół kończyły dzieło zniszczenia. - A może wyspa naprawdę stanowiła wrota do Atlantydy. Chyba już nigdy się nie dowiemy. - Zwrócił się twarzą w stronę dziewczyny. - Byłem przekonany, że zginę. Pogodziłem się z tą myślą. Ale kiedy już myślałem, że jeszcze parę chwil i pękną mi płuca, zobaczyłem jakiś

otwór, wpłynąłem do środka i znalazłem się w skalnej pieczarze. I tam zostałem. Nie wiem, jak długo. Czekałem... i myślałem o tobie, modliłem się, aby nic ci się nie stało, dopóki nie będę mógł po ciebie przyjść.

Bonnie z czułością oparła dłoń na jego policzku.

- Tak długo nie wyżywałeś i ja... - W gardle się jej ścisnęło.

- Wiem - powiedział cicho i złożył na jej ustach pełen tkliwości pocałunek. - Ale już jest po wszystkim.

Rozumieli jednak oboje, że męka jeszcze się nie skończyła. Żadne z nich nie mówiło o przyszłości, o tym, co im przyniesie, czy mimo wszystko pisane im było zginąć, po wszystkim, co razem przeszli, choć tak wiele trudności wspólnie przezwyciężyli. Taki koniec wydawał się zgoła haniebnym, potwornie niesprawiedliwym w świetle przeszkód, z jakimi się uporali. Pokonali o wiele więcej niż samą tylko śmierć.

Bonnie pomyślała jeszcze sennie, czując, że oczy coraz bardziej się jej kleją, i poddając się zmęczeniu, iż zagładanie w przyszłość przerasta jej siły. Nawet jeśli przyjdzie jej umierać, to nie potrafiła sobie wyobrazić, gdzie ufniej miałyby czekać końca niż w ramionach Graya.

Po trzech dniach Bonnie pogodziła się z myślą o nieuchronnej śmierci.

Dziwiła się tylko, że nie przeraża to jej aż tak bardzo, jak się tego spodziewała. Kruchość człowieka, jego śmiertelność, pewność, iż nadejdzie koniec, zawsze napawała ją lękiem, który pogłębił się jeszcze po śmierci ojca.

Pamiętała, jak leżał nieruchomo na łożu w swoim najlepszym kilcie. Wszystko wydawało się jej zupełnie nierzeczywiste; dziesięcioletce śmierć wydaje się łudząco podobna do snu, jakby zmarły mógł przebudzić się w każdej chwili i uśmiechnąć do córki, wyciągnąć do niej stęsknione ramiona.

Ale tak się nie stało i od tej pory mroczne widmo śmierci nie odstępowało Bonnie ani na krok.

Teraz jednakże odczuwała wewnętrzny spokój, choć przed oczami wirowały jej kolorowe plamy i słyszała swoje imię, wypowiedane różnymi głosami. Rozpoznała te głosy i uśmiechnęła się. Nie, napłynęła ospała myśl, jakby z wielkiego oddalenia, to wcale nie jest takie straszne.

- Na miłość boską, człowieku! Przerzuć tę drabinkę nad burta i pośpiesz się, psia twoja mać!

Wściekłość, która pobrzmiwała w tym okrzyku, mąciła jej spokój. Dziewczyna zmarszczyła czoło i usiłowała odwrócić twarz, ale nie mogła się ruszyć. Ciało miała jak z ołowiu.

- Bonnie! Jezu słodki, Bonnie...

Aidan? To imię pojawiło się w chaosie jej myśli i zaraz znikło.

Bonnie jęknęła, kiedy czyjeś ręce dotknęły jej nóg. Skórę miała poparzoną od słońca, chociaż Gray starał się chronić ją przed jego wpływem najlepiej, jak potrafił.

Wydało się jej, że przykleknął obok niej i rzucił głosem zmienionym niemal nie do poznania:

- A niech cię diabli! Ostrożnie!

Potem poczuła, że ktoś ją trzyma i unosi, potem przejęły ją inne ręce i znowu uniosły w górę, jakby podawały ją niebu. Wrażenie ruchu urwało się nagle, po czym znowu dał się słyszeć głos Aidana: tym razem było w nim tyle jadu, że Bonnie się wzdrygnęła.

- Patrz, co żeś jej zrobił, ty pieprzony bękarcie! Jeśli ona umrze, przysięgam, że pożałujesz, żeśmy cię nie powiesili!

- Jeśli ona umrze - padła ochrypła, pełna rozpaczony odpowiedzi Graya - nie będziecie musieli brudzić sobie rąk... Sam się zabiję.

RS

Gray zapadł na malarię.

Nikt nie przypuszczał, że przeżyje choćby tydzień, a co dopiero całą podróż, tym bardziej że powrotny rejs do Szkocji przedłużył się o dodatkowe dziesięć dni, jako że pogoda była burzowa i niemal bez przerwy mieli niekorzystny wiatr.

Bonnie niewiele sobie przypominała z całej podróży. Pozostały jej jedynie niejasne strzępy wspomnień, pojedyncze migawki: postać pochylonego nad nią brata, ktoś, kto próbował ją nakarmić, zimne okłady, jakie przykładano jej do twarzy, sterta kocy, którymi ją nakryto.

Lecz to inny obraz nawet na chwilę nie znikał spod jej powiek: obraz Graya nurkującego w ciemnych wodach świętej studni, żeby już nigdy się z niej nie wyłonić. I raz za razem ten koszmar budził ją ze snu, bez tchu, oblaną potem, z krzykiem zamarłym na wargach.

Dopiero podczas ostatniego etapu rejsu wydobrzała na tyle, by usiąść i zjeść swój pierwszy od dawna samodzielny posiłek.

Była poważnie odwodniona, jak orzekł okrętowy medyk. Jeszcze dzień czy dwa i czekałaby ją pewna śmierć. Całe szczęście, że nie doznała większych oparzeń słonecznych, podkreślił, bo wszystko mogłoby skończyć się o wiele gorzej. Próbowwała wytłumaczyć, że to Gray ratował ją przed słońcem, ale nikt nie chciał jej słuchać.

Chciała zobaczyć się z Grayem, ale brat zrećźnie unikał wszelkich pytań na jego temat. Im trudniej było cokolwiek z Aidana

wyciągnąć, tym większy niepokój ogarniał Bonnie, aż w końcu na nogach jak z waty zwlokła się z łóżka i poszła szukać Graya. Wołała go, odpychając od siebie ręce brata. Nic nie zdołałoby jej zatrzymać.

Znalazła go w zatechłym, brudnym pomieszczeniu pod pokładem. Był przykuty łańcuchem do podłogi, jakby mógł pokusić się o próbę ucieczki, półżywy, nieprzytomny, z pierśią chorobliwie zlaną potem.

W pierwszej chwili, patrząc na jego spopieliałą twarz, pomyślała, że umarł. Kiedy jednak padła przy nim na klęczki i dotknęła jego policzka, przymknięte powieki poruszyły się z widocznym trudem i odzyskała nadzieję.

Brat musiał ją od niego odciągać. Tłumaczył, że Gray jest ciężko chory, jakby sama tego nie widziała, nie rozumiała, jak mało brakuje, by na zawsze go straciła.

Wówczas gniew i rozpacz Bonnie zwróciły się przeciwko Aidanowi. Oczy zasnuła jej czerwona mgła jak owej nocy, kiedy raniła Graya. Namacała pochewkę, w której brat nosił swój sztylet, wyjęła go błyskawicznie i skierowała jego ostrze w serce Aidana.

- Wynieś go stąd, i to w tej chwili, bo klnę się na Boga, że cię przebiję!

Aidan wpatrywał się w nią wstrząśnięty.

- Sama nie wiesz, co mówisz. Musi gorączka jeszcze ci nie przeszła. To ja wyrwałem cię z rąk tego bękarta. Nie pamiętasz?

W Bonnie narastała histeria. Myśl o tym, jak strasznie Gray został potraktowany, sprawiała, że czuła się tak, jakby jej własne serce miało rozpaść się na tysiące małych kawałków.

- Jak mogłeś go tu zostawić? Jeśli on umrze... - głos uwiązał jej w krtani.

Twarz Aidana wykrzywił grymas wściekłości.

- A co cię to obchodzi, zdechnie czy nie zdechnie? Ten człek cię uprowadził, zabrał od rodziny. Gonimy za tobą po morzach, rozdzielamy się. Znajduję cię prawie bez ducha. Gdybyśmy nie zawinęli do portu w Lizbonie i nie usłyszeli przypadkiem o marynarzu, którego omal na śmierć nie zatłukł jakiś wielki Angol, możliwe, że wcale nie zapuszczalibyśmy się aż tak daleko. Ino mapa, co to ją nam dał ten pobity, była nam jakąś wskazówką.

Do Bonnie ledwie dotarł fakt, iż mapa znajdowała się teraz w posiadaniu jej brata.

- A czy ten obmierzły gad wspomniał, że próbował mnie zgwałcić? Gdyby Gray nie zjawił się w porę...

Po policzkach dziewczyny połały się gorące łzy. Oderwała się myślami od tamtego straszego dnia w lizbońskim porcie, od chwili gdy ujrzała Graya w nędznej norze pod pokładem, i wróciła do teraźniejszości. Spojrzała na Graya, śpiącego po długiej, niespokojnej nocy, którą Bonnie spędziła na modlitwie.

Pokojówka imieniem Alpen wsunęła głowę przez uchylone drzwi.

- Jak się dzisiaj czuje chory, panienko?

- Trochę lepiej - odparła Bonnie ze zmęczeniem. Przez te dwa tygodnie od powrotu do domu prawie nie spała i cieszyła się, mając Alpen przy sobie. Bonnie nie wiedziała, co by poczęła bez pomocy tej życzliwej niewiasty, która opowiedziała się po jej stronie, na której

ramieniu mogła się wyplakać, kiedy czuła się bezradna wobec uporu braci.

Aidan obstawał przy tym, by zamknąć Graya z resztą jego załogi w rojącym się od szczurów zamkowym lochu nieużywanym prawie od półwiecza.

- A ja chcę, co byście go umieścili w jednej z sypialni na zamku - upierała się Bonnie, gotowa posunąć się do ostateczności, byle mieć Graya przy sobie. - Postawcie przed drzwiami strażnika, jeśli tak trzeba, ale on ma być na zamku.

Brat z niechęcią skapitulował wobec jej żądań. Jak poprzednio obowiązek trzymania straży przypadł w udziale Selwynowi, któremu ani się śniło pozwolić Bonnie kolejny raz wywieść się w pole. Warował przy drzwiach jak pies.

Tylko co takiego zdaniem wszystkich Gray mógłby zrobić w swoim obecnym stanie? Tego Bonnie nie pojmowała. Nawet gdyby odzyskał przytomność i podjął próbę ucieczki, jedyna droga do wolności prowadziłaby przez okno znajdujące się na wysokości pięćdziesięciu stóp nad ziemią, a ta odległość zniechęciłaby największego nawet ryzykanta.

Jednak jej bratu o wiele bardziej niż za pierwszym razem zależało na tym, by Gray trafił na szubienicę i zapłacił za zbrodnię, zdaniem Bonnie, niepopelnioną. I choćby nie wiadomo jak długo zapewniała Aidana o niewinności Graya, nie zdołałaby go przekonać.

Długim, gniewnym krokiem przemierzał bibliotekę w tę i z powrotem, grząc o powinnościach wobec rodziny i świętej pamięci ojca, o jej uroczystej przysiędze, że zastosuje się do jego ostatniego



życzenia. Nikt nie będzie tolerował jej fanaberii. Ani razu nie zapytał, czego pragnęła, o jakim marzyła życiu. Bonnie zastanowiła się wręcz, czy jej szczęście ma dla Aidana jakiegokolwiek znaczenie. Zawsze myślała, że tak. Teraz nie była już o tym przekonana.

Raptem przerwał swoją perorę. Przyglądał się siostrze przez dłuższy czas, po czym podszedł do niej z namysłem i zatrzymał tuż przed nią, badając spojrzeniem jej twarz.

- Kim on dla ciebie jest, Bonnie?

Kochankiem, przyjacielem, mężczyzną, któremu oddałam serce - chciała odpowiedzieć, lecz takie słowa na nic by się nie zdały. Nie ocaliłyby jej przed małżeństwem z Ewanem i nie sprawiłyby, żeby Gray by ją pokochał.

- On nie zasłużył na śmierć - stwierdziła cicho. - To nie jest morderca, Aidan.

- Nie bądź głupia, dziewczyno - burknął. - Sama żeś wszystko widziała.

- Ale nie widziałam tego, jak mordowano Sarah. Mężczyzna, którego poznałam, nie jest zdolny do takiego okrucieństwa.

Aidan zbył ją machnięciem ręki.

- W głowie ci namieszał, bękart jeden.

- Nigdy żem trzeźwiej nie myślała. Nie rozumiesz, że mógł mnie zabić, gdyby tego chciał? Ale tego nie zrobił.

Aidana jednak prawda nie interesowała.

- Byłaś ledwie żywa, kiedyśmy cię znaleźli.

Od swojego powrotu Bonnie odbyła niezliczoną liczbę podobnych sprzeczek z bratem, ale nic do niego nie docierało. Wątpiła, czy kiedykolwiek dotrze.

- Co by ci szkodziło jeszcze dokładniej przyjrzeć się całej sprawie? - spytała. - Trochę się porozglądać, zadać jeszcze kilka pytań? Co ci to da, jak powiesz niewinnego człowieka?

- Nawet jeśli ten sukinsyn nie zamordował Sarah, to porwał ciebie, a u nas porwanie karze się stryczkiem.

- Ja mu wybaczam.

Zdumienie na twarzy Aidana szybko przerodziło się w gniewny grymas.

- Czy on cię tknął, Bonnie? Wziął cię siłą?

Bonnie zachciało się śmiać, choć była zrozpaczona i załamana. Gray? Siłą? Nigdy. Ileż to razy żałowała, że był taki honorowy! Pragnęła go nawet i teraz, i to tak bardzo, że trudno jej było to ukryć. Podejrzewała, że już zawsze będzie go pragnąć.

- Nie, nie wziął mnie siłą.

- Nosisz jego dziecko? - dopytywał się Aidan głosem ściszym do dyskretnego szeptu, jakby obawiał się, że ktoś przypadkiem dowie się o hańbie jego siostry.

To pytanie całkowicie Bonnie zaskoczyło - nie dlatego, że zupełnie się go nie spodziewała, lecz z tego powodu, iż rozpaczliwie żałowała, że nie może odpowiedzieć twierdząco. Chciała nosić pod sercem dziecko Graya, mieć chociaż cząstkę niego, kogoś, kogo mogłaby kochać, skoro z Grayem być jej nie pozwolono.

Pochyliła głowę, by ukryć łzy cisnące się do oczu.

- Nie, nie noszę jego dziecka. - Pewność uzyskała przed tygodniem i okupiła ją płaczem i poczuciem straty.

Serce jej pękało. Wiedziała, że nie zniesie tego ani chwili dłużej. Wypadła z pokoju i od tamtej pory z bratem się nie widziała. Unikał jej. Podobnie jak ona jego. Kolejny raz rodzina nie dawała jej wyboru. Będzie znowu musiała znaleźć jakiś sposób, by uwolnić Graya.

Jednak tym razem zadanie to przedstawiało się o wiele trudniej. Z Selwynem na posterunku i dodatkowymi strażnikami, których brat rozmieścił wokół zamku, próba ucieczki zakrawała na karkołomny wyczyn. Ponadto musiała brać pod uwagę załogę Graya, zamkniętą w innej części zamku, w lochach, do których niezwykle trudno się było dostać.

Przychodził jej do głowy tylko jeden pomysł; właściwie to Gray go jej podsunął, opowiadając kiedyś o sobie. Modliła się tylko, by starczyło jej czasu na dopięcie wszystkiego na ostatni guzik. To zaś znaczyło, iż będzie musiała kolejny raz poprosić Ewana o przesunięcie daty ślubu, a wcale się jej nie uśmiechała perspektywa tej rozmowy.

- Wreszcie mu gorączka spadła - zauważyła półgłosem Al-pen, wyrywając Bonnie z zadumy. Pokojówka, pełniąc zarazem rolę pielęgniarki, przycisnęła grzbiet dłoni do czoła chorego. - Ano, zdecydowanie chłodniejsze. Myślę sobie, że dzięki twojej troskliwej opiece chłopaczyna się z tego wyliże.

Bonnie miała nadzieję, że tak się stanie.

- Potrzebuję więcej chininy - powiedziała; właśnie taki medykament zalecił doktor, który badał Graya. - Możesz kogoś po nią posłać?

Alpen nieznacznie zmarszczyła czoło.

- A co się stało z ostatnią buteleczką?

- Upuściłam ją niechcący. - Bonnie podeszła do Alpen, wyciągnęła rękę i na sekundę rozchyliła palce, pokazując pokojowej pełną, nietkniętą fiolkę z lekarstwem.

Pokojówka rzuciła niespokojne spojrzenie w stronę szeroko otwartych drzwi, za którymi tkwił Selwyn, przez cały czas nadstawiając uszu, gotów w każdej chwili donieść bratu o czymkolwiek budzącym podejrzenia.

Bonnie odwzajemniła spojrzenie Alpen, próbując wyrazić oczyma to, czego nie mogła powiedzieć. Poczciwa Alpen w lot się zorientowała, że Bonnie prosi ją o pomoc. Kiwnęła porozumiewawczo głową.

- Zaraz pošlę kogoś do aptekarza. - Z rozmysłem powiedziała to na tyle głośno, by jej słowa dotarły do Selwyna.

- Dziękuję. - Bonnie ostrożnie wsunęła w rękę pokojowej zapieczętowaną kopertę, którą ta skrzętnie ukryła w kieszeni fartucha. Wyraz twarzy pokojowej zdradzał, iż modli się tylko, by jej pani wiedziała, co robi.

Następnie Alpen wyszła. Pozostawało czekać i naocznie się przekonać, czy plan wypali.

Bonnie usiadła na łóżku przy Grayu. Leżał cicho, już się nie rzucał w gorączce i nie jęczał, jakby ktoś wyrywał mu duszę z ciała.

Pierwszy tydzień, kiedy nękały go majaki, był najgorszy.

Wszystkie demony, które gnieździły się w jego sercu i pamięci, opuszczały swą kryjówkę, by go dręczyć. Uspokajał się tylko wtedy, gdy Bonnie kładła się obok niego.

Godzinami słuchała majaczenia, z którego wyłaniał się obraz bólu, pod którego znakiem płynęło dotąd życie Graya: wspomnień dzieciństwa, matki, która go nie kochała, przepaści, jaką jego matka stworzyła między nim a ojcem najokrutniejszym słowem, jakie dziecko może usłyszeć z ust rodzica: bękart.

W najgłębszych ciemnościach, które spowijały jego duszę przez te dwa tygodnie, Gray całkowicie się przed nią obnażył: swoje obawy, pogardę dla samego siebie, poczucie odrzucenia. Wszystko to wylewało się z niego podczas tych długich godzin, kiedy Bonnie nie była pewna, czy dane mu będzie dożyć do rana, kiedy każdy oddech przychodził mu z takim trudem, iż czuła, że zaraz jej samej pękną płuca. Każdy jej wdech, każdy wydech był lustrzanym odbiciem oddechu Graya, bo z szaleńczą jakąś nadzieją próbowała oddychać za niego.

W końcu najgorsze miał już za sobą, czy też Bonnie starała się tak myśleć. Wprawdzie stracił na wadze i twarz mu się zapadła, ale otuchy dodawał jej fakt, iż dzisiejszego ranka się ocknął. Spojrzał na nią, a kiedy na jego ustach pojawił się blady uśmiech, poczuła pewność, że wyzdrowieje.

Po południu zdołała wmusić w niego odrobinę jedzenia. Wyszeptał jej imię i pogłaskał knykциями po twarzy, nim powieki

same mu się zamknęły i zapadł w sen, który niósł zapowiedź ozdrowienia.

Teraz mogła jedynie czekać... i modlić się.

- Spóźniłaś się.

Bonnie stała w wielkim holu Belraine, siedziby Cameronów od przeszło dwóch wieków, i przyglądała się beznamiętnie swojemu przyszłemu mężowi. Nie umiała się zdobyć na choćby krztynę ciepła. Wydał się jej odmieniony, ale może to tylko ona się zmieniła.

Usztywnionym krokiem, który pozwalał się domyślić, że jest na nią zły, Ewan ruszył w jej kierunku. Spotkali się na środku holu. Bonnie zerknęła mimowolnie przez otwarte drzwi jadalni, gdzie nad kominkiem wisiał duży portret matki Ewana; nieprzyjazne oczy kobiety zdawały się śledzić każdy krok przyszłej synowej.

W Belraine zawsze ogarniał Bonnie dziwny chłód. Pod łukowatymi sufitami nigdy nie rozbrzmiewał śmiech. Posępne gobeliny przedstawiały sceny wojenne, na stolikach nie stał ani jeden przedmiot czy bibelot, który czyniłby zamek nieco bardziej przytulnym. Od wielu lat brakowało tu kobiecej ręki, która złagodziłaby surowość zamkowych wnętrz.

Matka Ewana, jak głosiły plotki, nigdy nie wybaczyła mężowi tego, iż utracił ziemie, które należały do ich klanu od sześciu pokoleń i miały stanowić część spuścizny ich synów. Zmarła jako kobieta zgorzkniała.

Natomiast Ewan, choć budził respekt, nigdy nie wydawał się Bonnie rozgoryczony, a jedynie bezkompromisowy, despotyczny i do

przesady pewny siebie. Niemniej jednak był lairdem, a rola głowy klanu wymagała stanowczości.

Teraz jednak, kiedy Ewan się jej przyglądał, Bonnie pomyślała, iż dostrzega w jego wzroku coś zbliżonego do nienawiści. Wiedziała, że targa nim gniew, chociaż nie miał pojęcia, jak daleko posunęły się sprawy między nią a Grayem. Wystarczała mu myśl, że jego narzeczona śmiała pójść do celi więzienia z zamiarem dopomożenia mu w ucieczce.

Jej bracia w tej materii okazali się zadziwiająco powściągliwi, natomiast Ewan domagał się nieomal spowiedzi. Bardziej obchodziło go to, co zaszło między nią a Grayem, niż to, jak się czuła i co przeszła. Stawał się coraz bardziej napastliwy i agresywny z każdym dniem, o który Bonnie przekładała ślub.

A właśnie po to dzisiaj tu przyszła, prosić go o więcej czasu. Nie łudziła się nadzieją, że wszystko pójdzie jak z płatka. Cieszyła się, że ma przy sobie Alpen. Otuchę czerpała także z pewności, że list, który przesłała przez pokojową, bezpiecznie dotarł do adresata.

Ewan stanął przed nią i kolejny raz spojrzął na złoty zegarek kieszonkowy; Bonnie zauważyła, że brakowało przy nim dewizki z klanowym herbem Cameronów, pięcioma miniaturowymi mieczami.

- Jest wpół do piątej. Miałaś być punkt czwarta.

- Coś mnie zatrzymało. - Bonnie nie zamierzała wdawać się w szczegóły.

Twarz Ewana stężała.

- Cackanie się z tym bękartem i mordercą, tak? - Kiedy nie odpowiedziała, złapał ją za ramię i pociągnął do swojego gabinetu. -

Ani mi się rusz! - warknął jeszcze na Alpen, widząc, że pokojowa chce pójść za nimi.

Bonnie rzuciła jej ukradkowe spojrzenie i kiwnęła potakująco głową, chociaż w duchu umierała na myśl o tym, co ją czeka.

Palce Ewana boleśnie wbijały się w jej ciało, ale Bonnie milczała jak zaklęta. Wiedziała, że chciał, by pisnęła z bólu, że pragnął ukarać ją za jakąś jej nienazwaną przewinę. Nie zamierzała jednak dać mu tej satysfakcji.

Kiedy znaleźli się w jego gabinecie, popchnął ją lekko i zatrzasnął za sobą drzwi. Bonnie starała się nie okazać lęku, lecz sposób, w jaki Ewan ją obserwował, przeraził ją nie na żarty. Ścisnęło się jej w żołądku.

Z wysiłkiem uniosła twarz i z pozorną śmiałością odwzajemniła jego okrutne, taksujące spojrzenie.

- Przyszłam, coby prosić o więcej czasu.

Odepchnął się od drzwi i z groźną miną ruszył w jej stronę. Powtarzała sobie w myśli, że nie wolno jej stracić odwagi, jednak mimowolnie zrobiła krok do tyłu. Uświadomiła to sobie i zastygła.

Ewan stanął tuż przed nią, pochylił się i stwierdził zwięźle:

- Nie. - A potem przestraszył ją, obejmując ją raptownie ramieniem przez plecy i brutalnie przyciągając do piersi. - Byłem wobec ciebie aż nadto pobłażliwy. Ten morderca przesłaniał ci ostatnio cały świat, a ja nie doczekałem się najmniejszej nagrody za moją cierpliwość, choćby jednego całuska od mojej narzeczonej. Nie jest ze mnie szczęśliwy człowiek, moja słodka. - Ściszył głos i dodał



ze wściekłością w głosie: - Po prawdzie, to wszystkiego mi się już odechciewa. Co na to poradzimy?

W pierwszej chwili Bonnie chciała zaprzeć się dłońmi o jego tors i odepchnąć go od siebie. Poczowała, że coś ociera się o jej brzuch, i zrobiło się jej niedobrze. Bliskość Ewana, świadomość tego, że jest podniecony, przyprawiała ją o mdłości.

Z drugiej strony rozumiała dobrze, że gdyby okazała mu swoją odrazę, Ewan byłby jeszcze mniej skłonny do ustępstw, więc powinno jej zależeć na jego dobrym humorze. Przez wzgląd na Graya nie mogła ryzykować, że Ewan bardziej się rozżłości. Gdyby ją przyparł do muru, zanim zdążyłaby oprzytomnieć, a dzień dobiegnąć końca, mogłaby już nosić na palcu ślubną obrączkę.

Przełknęła odrazę i przyoblekła twarz w uśmiech pełen wymuszonej słodyczy.

- Skoro mój pan ma chęć na pocałunek, to pocałunek dostanie.

Następnie wspięła się na czubki palców i lekko musnęła ustami jego wargi w nadziei, że swoją uległością ostudzi jego gniew. Jednak ramiona Ewana jeszcze mocniej zacisnęły się wokół jej kibici. Z miażdżącą siłą przycisnął ją do piersi i brutalnie pocałował w usta. Przyparł ją do biurka; krawędź boleśnie wrzynała się jej w uda.

Zaczęła się miotać. Chciała krzyknąć z oburzenia i przestrawu, ale jej wysiłki nie zdały się na nic, bo Ewan nakrył wargami jej usta i zdławiony okrzyk dziewczyny utonął pośród ochryplego postękiwania, z jakim się o nią ocierał. Szorstko, gwałtownie wpił się w jej usta, ściskając boleśnie jej pośladek. Drugą ręką gorączkowo szukał jej piersi.

Weźmie ją wbrew jej woli, zwyczajnie zgwałci. Była tego równie pewna, jak tego, iż popełniła błąd, ofiarowując mu bodaj cień zachęty.

Wcisnął się między jej nogi, pochylony do przodu, aż musiała oprzeć się plecami o blat biurka. Kiedy wsunął jej język do ust, z całej siły zacisnęła zęby. Poczowała na języku smak krwi, a w wielkim pomieszczeniu echem zwielokrotnił się ryk bólu.

Ledwie go puściła, Ewan odskoczył jak oparzony, z twarzą zastygłą w masce wściekłości. Zamachnął się, a Bonnie zamarła w oczekiwaniu na cios. Nie doczekała się, na szczęście. Ewan stał nieruchomo z ręką w górze i cały dygotał. Jego postawa, wzrok, wyraz twarzy mówiły, że wprost marzy o tym, by ją zamordować.

Rozległo się nerwowe stukanie do drzwi.

- Moja pani? - zawołała Alpen; Bonnie słyszała w głosie pokojowej nutę paniki.

- Powiedz jej, że u ciebie wszystko w porządku - rozkazał Ewan przez ściśnięte gardło.

Bonnie próbowała złapać oddech i zapanować nad drżeniem.

- Wszystko w porządku, Alpen. Zaraz wyjdę.

Ewan zmierzył ją nienawistnym spojrzeniem. Nie próbował ukrywać uczuć.

- Bardzo źeś źle postąpiła, dziewczę moje... bardzo, bardzo źle.

- Przepraszam. Nie chciałam ci nic zrobić, ale... tak źeś mnie przestraszył. - To kłamstwo stawało jej kołkiem w gardle; chciała mu zrobić coś złego i żałowała jedynie tego, że osiągnęła tak niewiele.

Mimo wszystko zachowała tę wiedzę wyłącznie dla siebie. Nie miała innego wyjścia.

Tak jak się spodziewała, to właśnie ją obarczył winą za swoje zachowanie.

- Gdybyś mi nie kazała czekać tyle lat, nie trzęsła mi tyłkiem pod samym nosem, nie prosiła się wręcz, coby cię wreszcie poskromić, nie spotkałoby cię coś takiego jak przed chwilą. Sama żeś to na siebie ściągnęła. To kolejny powód, cobyśmy się natychmiast pobrali... zanim wezmę, co do mnie należy, pał sześć z zaślubinami.

Myśl, że Ewan miałby lec na niej i zrobić z nią to wszystko, co dotąd robił tylko Gray, sprawiła, że Bonnie podeszła do gardła gorzka żółć. Nigdy dobrowolnie by nie pozwoliła, żeby położył na niej swoje łapy. Wprawdzie nie mogła mieć Graya, lecz dzielenie łoża z innym w jej poczuciu byłoby gorsze od zwykłej zdrady.

- Proszę tylko o kilka dni, mój panie. Tak długo żeś był cierpliwy. Proszę... - Nie chciała błagać, już sama ta myśl była jej obmierzła, ale dla Graya uczyniłaby wszystko.

Ewan taksował ją oczyma, w których nie było ciepła. Ledwie odwzajemniła jego spojrzenie, zrozumiała, że przyjdzie jej zapłacić za upokorzenie, jakiego przez nią dzisiaj doznał.

- Masz czas do niedzieli, ale ani dnia więcej. A potem zostaniesz moją żoną, Bonnie MacTavish. Jak Bóg mi świadkiem.

Gray usłyszał, jak otwierają się drzwi sypialni, ale udał pogrążonego we śnie. Selwyn lubił do niego zaglądać w nadziei - jak Gray skłonny był uznać - iż zostanie więźnia w pełni przytomnego i będzie można przyspieszyć egzekucję. Gray nie musiał czekać, by

ktoś szczegółowo wyjaśnił mu jego obecną sytuację. Wszystko było dla niego jasne.

Jak tylko dojdzie do siebie, pożegna się z życiem.

Osobiście dostrzegał w tym pewną ironię: pielęgnować kogoś, aż wyzdrowieje, a ledwie to nastąpi, wysłać go na tamten świat. Był też zdania, iż gdyby zmarł wskutek choroby, w dużej mierze zepsułby swoim oprawcom przyjemność. Tak długo czekali na to, by patrzeć, jak płaci za swoją domniemaną winę - w możliwie gwałtowny sposób.

Gray domyślał się, iż Selwynowi nie mniej niż braciom Bonnie spieszy się do tego, by oglądać go w roli wisielca, poprzednim bowiem razem Gray raczej nie zaskarbił sobie jego sympatii.

Olbrzym - jakby to mogło przyspieszyć proces rekonwalescencji - zachodził do Graya i szturchał go w bok, czekając na jakąkolwiek reakcję. A że kanalia dźgała go zawsze prosto w posiniaczone żebra, trudno było Grayowi zacisnąć zęby i nie jęknąć z bólu.

Cud, że dotąd mu się to udawało. Zważywszy jednak, iż ostatnia seria szturchnięć miała miejsce zaledwie przed paroma chwilami, a żebra nadal przypominały o sobie boleśnie, Gray nie był pewny, czy podoła i tym razem.

Drzwi zamknęły się, a do pokoju napłynęła słaba woń wrzосу i Gray wiedział już, że to nie Selwyn przyszedł z wizytą. To była Bonnie.

Lecz przebywanie z nią sam na sam stało się dla niego swoistą torturą: każde delikatne dotknięcie jej palców, kiedy obmywała mu twarz, każdy pełen słodczy szept, jakim prosiła, by wyzdrowiał i

obudził się, każde czułe muśnięcie jej warg na jego ustach, zanim wyszła - wszystko to powoli, lecz nieuchronnie go zabijało.

Od dwóch dni chciał się do niej odezwać, ale po prostu nie znajdował słów. Zawiódł na całej linii. A, co najgorsze, zawiódł ją. Był tchórzem, tak jak kiedyś mu to zarzuciła, ponieważ nie starczało mu odwagi, żeby powiedzieć, jak bardzo ją kocha.

W chwili gdy usiadła przy nim, odczuwał większy ból niżli ten, jaki był mu w stanie zadać Selwyn. Że też w ogóle wyszedłem z choroby, rozmyślał Gray posepnie. Że też Bonnie nie pozwoliła mi pozostać za murami, którymi się otoczyłem i za którymi czułem się bezpieczny.

- Chodź do mnie, mój kochany - w głosie dziewczyny rozbrzmiewała iście anielska słodycz, a Gray zastanowił się, czy aby nie wiedziała o tym, że jest przytomny, czy nie przejrzała jego gry. Jej głos był tak kuszący, iż zapragnął skończyć z tą maskaradą i wykorzystać czas, jaki im pozostał.

A było go tak mało. Tak piekielnie mało. Gray nie chciał niczego więcej prócz odrobiny dodatkowego czasu. I o nic więcej by nie prosił, gdyby tych kilka ostatnich godzin pozwolono mu spędzić z ukochaną.

- Ano, przystojny z ciebie młodzieniec, a i oczarować to ty potrafisz. - Jej ściszony, urywany głos sprawił, że Gray napiął wszystkie mięśnie. - Nigdy żem nie widziała takich pięknych brązowych oczu.

Ta uwaga wytrąciła Graya z równowagi. Brązowych? Zazdrość zaćmiła mu rozsądek, bo uświadomił sobie, iż nie do niego kierowała te słowa.

- Ja mam szare oczy, do czorta! - Chociaż starał się, jak mógł, nie zdołał dłużej trzymać języka za zębami.

Kiedy jednak otworzył oczy i zamrugał, by ustąpiła przesłaniająca je mgła, zdał sobie sprawę, że zrobił z siebie ostatniego idiotę. Oprócz niego w pomieszczeniu obecna była jeszcze jedna istota płci męskiej... a mianowicie Jack, który w tej samej sekundzie prysnął z ramion Bonnie i zeskoczył na brzuch chorego. Gray jęknął tylko.

- Jack! - przestraszyła się Bonnie. Próbowwała wziąć na ręce szczeniaka, który płaszał po brzuchu Graya, co chwila próbując polizać go po twarzy. W końcu złapała Jacka, co Gray odnotował nie bez ulgi, bo już zaczynał się poważnie liczyć z możliwością utonięcia w psiej ślinie.

Szybko postawiła Jacka na podłodze i zanim Gray się zorientował, ciepłe usta dziewczyny przycisnęły się do jego warg. Zareagował z nieoczekiwaną żądzą i - choć podejrzewał, że Bonnie pragnęła jedynie uczcić tym pocałunkiem jego powrót do krainy żywych - chciał więcej. O wiele więcej.

Pociągnął ją na siebie. Nie opierała się. Przeciwnie, przyłgnęła do niego tak, jak nie tuliła się do niego żadna inna kobieta. A Grayowi nigdy dotąd nie wystarczyło do szczęścia fakt, że żyje, że czuje odurzające ciepło ciała tej kobiety przy swoim. Krew coraz szybciej

krażyła mu w żyłach i przywarł do ust Bonnie jak człowiek, któremu długo odmawiano jedynej rzeczy, zdolnej utrzymać go przy życiu.

- Gray - szeptała w przerwach między pocałunkami. -Och, taka jestem szczęśliwa...

Gray nie był w stanie myśleć o czymkolwiek prócz pragnienia, które go spopielalo. Tak długo odmawiał szczęścia sobie i Bonnie. Jakież fatalny moment, by odkryć, iż nie chce się dłużej przed szczęściem bronić.

Miała na sobie suknię. Jego Bonnie w sukience. Gray nie posiadał się z radości. Przewrócił dziewczynę na plecy, chwycił skraj halki i zaczął niespiesznie unosić materiał. Dłonią wiodł po jej łydkach, rozkoszując się dotykiem jedwabistej skóry, potem po udach, nim jego palce przywarły do jej pośladków.

- A Selwyn...? - rzuciła półgłosem, przypominając o strażniku, który tkwił za drzwiami. Równocześnie otarła się o Graya, wsunęła mu palce we włosy, cichym pojękiwaniem witając dotyk jego warg na jej sutku, skrytym pod materiałem sukni. Gray wpadł w dziwną gorączkę. Chciał znaleźć się w niej i zostać tak już na zawsze, sprawić, by zapomniała o losie, jaki był mu pisany, i samemu zapomnieć o tym, że w tę ostatnią drogę nie może jej zabrać.

- Do diabła z Selwynem. - Lepiej, żeby teraz nie wchodził, bo Gray - zdrowy czy nie - wycisnąłby z niego duszę.

- Jeszcze nie wyzdrowiałaś.

- To mnie ulecz.

Gray rozpiął bryczesy i bez słowa wślizgnął się w jej ciepłe, wilgotne wnętrze.



- Kocham cię - wyszeptała. Zdawało się, że te słowa wyrwały się jej wbrew jej woli, kiedy w nią wszedł i pomyślał, że chyba zaraz skona, przepelniony uczuciem, o którym teraz już mówić było za późno. Musiałby nie mieć serca, by bardziej Bonnie ranić, toteż okazał miłość na jedyny sposób, w jaki potrafił.

Objął ją i przycisnął do siebie z całej siły. Chciał znaleźć się jak najgłębiej w niej, dotykać każdego skrawka jej ciała, jakiego mógł tylko sięgnąć. Nieświadomie zapragnął zostawić jej po sobie dziecko.

Uniósł Bonnie wyżej. Po omacku odszukał guziki u stanu jej sukni, szarpnął i poły rozchyliły się. Z jękiem przywarł do kształtnego różanego sutka i wbijał się w nią, pulsującą, rozedrganą, gwałtownie jak nawałnica, aż jękiem dała wyraz swojej rozkoszy... po czym sam zatopił się w niej bez pamięci, pograżył w niej całkowicie, a potem to nim targnęła fala kulminacji.

Ucieczka od rzeczywistości skończyła się aż nazbyt szybko. Przeklinając się w duchu za to, że okazał się głupcem, głupcem po dziesięćkroć, Gray wysunął się z niej powoli i przewrócił na bok. Powinien był trzymać ręce przy sobie. Ta kobieta zasługiwała na lepszy los. O niebo lepszy.

Zupełnie jakby wyczuła jego skrupuły, poprawiła suknię i usiadła na brzeжку łóżka, rzucając zaniepokojone spojrzenie ku drzwiom.

- Przepraszam - rzucił półgłosem; serce mu pękało na myśl, że nie może z nią zostać, objąć jej ramionami, wszystkiego wynagrodzić.



Wpatrywała się w swoje dłonie i Gray czuł się jak najgorsze bydło spośród wszystkich, jakie Pan Bóg powołał na ten świat. Zawsze kończyło się tak samo: ranił ją, choć chciał ją tylko kochać.

Wyjęła coś z szuflady szafki stojącej koło łóżka.

- To dla ciebie. - Wzięła go za rękę i zacisnęła jego palce na znajomym przedmiocie.

Jego mapa.

- Nie pojmuję. Skąd ją masz?

Uniosła twarz i spojrzała na niego ze łzami w oczach; ten widok sprawił, iż Gray poczuł się, jakby ktoś mu wydzierał serce z piersi.

- Nieważne. Po prostu chciałam ci ją zwrócić.

Potem pochyliła się i pocałowała go w usta: pocałunek, w którym było tyle słodczy, co żalu, parzył niemal jego wargi. Dławiąc szloch, dziewczyna odsunęła się, zerwała na nogi i wypadła z pokoju. Gray został sam, wsłuchany w dalekie echo huku, z jakim runął w gruzach cały jego świat.

Dzisiaj zostanie mężatką.

Ten moment zawsze wydawał się Bonnie nierzeczywisty, a zarazem groteskowy. Wiedziała, że ten dzień nadejdzie, lecz mimo to nie potrafiła go sobie wyobrazić. A może po prostu wierzyła, że jeśli będzie tego wystarczająco mocno pragnąć, to coś się zmieni.

Nic się jednak nie zmieniło, w jej serce wkradała się coraz czarniejsza rozpacz. Żadne zajęcie, jakie sobie znajdowała, nie było w stanie tej rozpaczki zagłuszyć, a już najmniej chyba sprzyjało temu siedzenie w sypialni i przygotowywanie się do ślubu, który - gdyby jej modlitwy zostały wysłuchane - nigdy by się nie odbył.

Toteż wymknęła się z zamku, kiedy nikt nie patrzył, i udała się w miejsce, które tysiące razy stawało jej przed oczami, mimo że jej stopa nie postąpiła tam od owej nocy, gdy znaleziono zwłoki Sarah Douglas.

Do zaułka za tawerną.

Nie wiedziała, co ją tam ciągnie, co ma nadzieję znaleźć. Lecz obraz tego miejsca od kilku dni prześladował ją w koszmarach snach, jakby domagało się ono ponownych odwiedzin - a działo się tak od czasu, gdy wybiegła z pokoju Graya, zanosząc się szlochem.

Od tamtej pory nie zaglądała do niego ani razu. Zachowywała się jak ostatni tchórz: jedzenie wysyłała mu przez Alpen, a potem gorączkowo wypytywała, jak Gray się czuje, udając, że nie dostrzega współczucia w oczach pokojowej.

Gray wracał do zdrowia. Wstawał już z łóżka, zaczynał chodzić po pokoju, donosiła Alpen. Jadł sporo i z apetytem. Pytał o nią. Bonnie starała się o tym nie myśleć. Woląла się skoncentrować na fakcie, iż wracały mu siły.

I choć wieści były dobre, nie potrafiła się z nich cieszyć, rozmyślała bowiem o tym, co nastąpi, kiedy Gray w pełni wyzdrowieje. Po prostu nie była gotowa pożegnać się z nim na zawsze, pogodzić z myślą, że więcej go nie zobaczy. Że sama zostanie żoną innego.

Bonnie położyła rękę na brzuchu i zadrżała na wspomnienie tego, w jaki sposób Gray się z nią kochał, furii wyczuwalnej w każdym gorączkowym dotknięciu, wszechogarniającej namiętności. Może tym razem miłosierny Bóg pozwoli, by Gray pozostawił jej po sobie dziecko... modliła się o to z całego serca.

Otrząsnęła się ze wspomnień i wróciła myślami do terażniejszości. Kiedy rozglądała się po brudnym zaułku, jej spojrzenie zatrzymało się przelotnie na miejscu, w którym ujrzała niegdyś Sarah, leżącą na ziemi, zimną, w kałuży krwi.

Śladów krwi już nie było, lecz pozostała szczególna aura, jakby dusza Sarah wtopiła się w to miejsce, jakby jej duch czekał na zadośćuczynienie. Bonnie pragnęła, by sprawiedliwości stało się zadość, i właśnie to pragnienie kazało jej tu dzisiaj przyjść. Sprawiedliwość.

Nie tylko dla Sary, ale również dla Graya. Nawet gdyby plan Bonnie wypalił - a gorąco się modliła, by wszystko się powiodło, bo cennego czasu było coraz mniej - zarzut morderstwa ciążyłby na

Grayu do końca jego dni. Wcześniej już ryzykował życie, by ocalić dobre imię, honor. Nie mogła pozwolić, by tyle męstwa poszło na marne.

Nagle dał się słyszeć dziwny dźwięk, tak nieoczekiwany, że Bonnie nieomal podskoczyła. Z duszą na ramieniu odwróciła się, żeby sprawdzić, kto pojawił się w zaułku. Westchnęła z ulgą, przekonując się, że to tylko jakiś żebrak szpera w stercie śmieci za tawerną, szukając jedzenia i Bóg wie czego jeszcze. Mimo to odczuwała pewien niepokój na myśl, że są zupełnie sami.

Podniósł wzrok i zauważył ją. Czujny wyraz jego twarzy świadczył o tym, że dopiero teraz zdał sobie sprawę z jej obecności. Wtedy Bonnie go poznała; widziała tego człowieka raz czy dwa wcześniej i orientowała się już, że to samotnik, gotów pierzchnąć, jeśli ktoś się zbyt do niego zbliży.

- Czekaj! - zawołała, widząc, że zamierzał odejść. Obejrzał się za nią ze strachem. Widząc, że dziewczyna biegnie w jego stronę, strzelił oczami ku drugiemu końcowi zaułka, jakby zastanawiał się, czy zdąży tam dotrzeć, zanim ona go dogoni.

- Nic ci nie zrobię - odezwała się, zwalnając. Z każdym jej krokiem mężczyzna zdawał się kurczyć, nieledwie zapadać się w sobie, jakby starał się uczynić możliwie nieszkodliwy i jak najmniej widoczny.

- Nic złego żem nie robił, pani - wykrztusił. Z uwalanej brudem twarzy niespokojnie łyssały białka oczu. - Szukałem ino jedzenia, bo w brzuchu pusto.

Bonnie współczuła mu serdecznie. Najwyraźniej żywił się resztkami, jakie udało mu się znaleźć. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła kilka monet.

- Proszę, przyjmij to.

- O, nie, pani. Szkoda marnować pieniędzy na starego żebraka.

Tak się nie godzi.

- Proszę. Chcę, żebyś je wziął.

Z wahaniem wyciągnął skurczoną dłoń, a Bonnie wcisnęła w nią monety. Wydało się jej, że coś błysnęło, kiedy żebrak się poruszył, ale nie była pewna, co to takiego. Przekonała się dopiero wówczas, gdy mężczyzna upychał pieniądze do kieszeni. Przedmiot, którego nikt by się nie spodziewał u nędzarza.

Złota dewizka.

- Mogę obejrzeć? - spytała.

Żebrak zawahał się, ale wyjął z kieszeni matową, poobijaną blaszaną cebulę - na połyskliwej dewizce z klanowym godłem, który rozpoznała od razu.

- Skąd to masz?

- Nie ukradłem, jeśli o to paniusi idzie.

- Wiem, żeś tego nie ukradł. - Miała wrażenie, że dewizka wypala jej dziurę w dłoni. Myślami cofnęła się o parę dni do swojej ostatniej wizyty w Belraine, kiedy Ewan beształ ją za spóźnienie. Zegarek miał, ale zwróciła uwagę na brak dewizki. - Kupiłeś?

- Nie, pani - odpowiedział tak cicho, że Bonnie ledwie go słyszała. - Leżało, to wziąłem.

W głowie dziewczyny zrodziło się straszne przypuszczenie.

- Gdzie?

Mężczyzna przełknął ślinę i rozejrzał się w popłochu.

- I tak żem już za dużo powiedział.

- Boisz się?

Zaczął nerwowo wykręcać sobie palce i przestępować z nogi na nogę.

- Ano, pani, pewnikiem, że się boję.

- Dlaczego?

- No, bo... ludzie zaczną gadać,

- Jacy ludzie? Znowu przełknął ślinę.

- A wszyscy oni. Powiedzą, że to ja... a ja nie mam niczego na sumieniu. Przysięgam!

Tknęło ją jeszcze straszliwsze podejrzenie i zimny dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Powiedzą, że co zrobiłeś?

Mętne brązowe oczy odwróciły się od niej i strzeliły ku skrzynkom na końcu zaułka.

- O, tam było - powiedział piskliwym, napiętym głosem. - Przy niej.

Bonnie zamarła.

- Przy Sarah Douglas? O to ci chodzi?

Błyszczące, pełne paniki oczy zawisły teraz na twarzy dziewczyny.

- Wcale żem nie chciał tego brać - tłumaczył się jednym tchem żebrak. - Ale błyskało się i błyskało, a takie śliczne, że hej. Trza mi było wiedzieć, że będzie z tego nieszczęście, jak się po to wrócił

tamten pan. A co się napięklili, co szalał i pomstował na czym świat stoi. Dość się naprzeklinał, coby Lucypera przyzwać z samego dna piekieł. Jakby mnie zoczył, ani chybi ubiłby jak psa. I ubije. Znajdzie mnie i poderżnie mi gardło, jak nic!

Niespodziewanie odepchnął Bonnie, aż się przewróciła.

- Nie! Nie uciekaj! Wracaj! - Ale już go nie było; żebrak zniknął, zabierając ze sobą cenne informacje, dowody, bez których nie mogła oczyścić imienia Graya.

Kiedy jednak opuściła wzrok, ujrzała na ziemi złotą dewizkę; musiał ją upuścić, rzucając się do panicznej ucieczki. Zrozumiała, że ma w rękach jedyną poszlakę zdolną wskazać prawdziwego mordercę.

Człowieka, którego miała poślubić.

Trzęsa się jak osika, przejęta dziwnym chłodem od chwili, gdy uświadomiła sobie znaczenie swojego odkrycia. Nikt dotąd nie podejrzewał Ewana, bo jak tu podejrzewać głowę potężnego klanu. Nie pojmowała tylko, co też mogło popchnąć go do mordy? Ta myśl wydawała się jej zupełnie pozbawiona sensu. Ewan prawie nie znał Sarah.

Bonnie marzyła o tym, by przyprzeć go do muru, zażądać, by wytłumaczył, jakim trafem jego dewizka znalazła się przy zwłokach Sarah. Ale czego miałyby oczekiwać? Że Ewan przyzna, że jest mordercą? Mało prawdopodobne.

Nie, jedyne wyjście to pokazać znalezisko braciom. Razem stawiają czoło Ewanowi.

Wstała niepewnie i otrzepała się z ziemi. Nagle tknęła ją myśl, że ten zimny skrawek metalu, który ścisnęła w garści, miał moc odmienienia życia wielu ludzi, naprawienia niewyobrażalnego zła.

Niemniej jednak nurtowała ją nader niepokojąca myśl: bez świadka, który potwierdziłby prawdziwość jej słów, nie zdoła udowodnić, że dewizka leżała na miejscu zbrodni. Aidan mógł równie dobrze pomyśleć, że całą tę historię wyssała z palca, żeby się wykroczyć od ślubu z Ewanem albo ratować Graya przed stryczkiem.

W końcu zrozumiała, że musi odnaleźć żebraka i przekonać go, by to samo co jej opowiedział jej braciom. Będzie tylko musiała go zapewnić, że włos mu z głowy nie spadnie, i obiecać opiekę ludzi Aidana.

Stała pochłonięta tymi rozmyślaniami, gdy nagle ponownie dał się słyszeć jakiś dźwięk, jakby niewyraźny odgłos kroków. Uniosła gwałtownie twarz, przekonana, że żebrak wrócił.

Odwróciła się, by podziękować mu uśmiechem. Jednak uśmiech natychmiast spełził jej z ust, kiedy się przekonała, że to nie żebrak stoi nie dalej niż o stopę od niej, lecz wysoki, atletyczny mężczyzna o oczach przedziwnego odcienia błękitu, bladego i nieskończenie zimnego, choć teraz płonęła w nich mordercza, niewypowiedziana groźba. Ledwie zawisły na jej twarzy, pomyślała, że jeśli choćby piśnie, zapłaci za to swoim życiem.

- Gdzie on jest? - spytał nieznajomy rozkazującym, oschłym tonem.

Bonnie zmusiła się do zaczerpnięcia oddechu.

- Ale... kto?



Mężczyzna nachylił się na nią i z ledwie pohamowywaną wściekłością wycedził przez zęby:

- Mój brat.

- Czy ktoś już ci mówił, że cuchniesz jak beczka zgniłych jaj? - Tą szyderczą uwagą Gray zapracował sobie na szturchnięcie w plecy kułakiem wielkości łopaty. W ostatniej chwili odzyskał równowagę, dzięki czemu nie zaliczył kolejnego z rzędu upadku w stylu: najpierw twarz, potem reszta ciała. Spiorunował strażnika wzrokiem: - Ciesz się, że jestem w kajdanach, bo inaczej sprabym cię tak, że dupskiem zamiatałbyś po korytarzu w tę i z powrotem.

Selwyn parsknął drwiąco i poczęstował więźnia kolejnym kuksańcem, tak silnym, że Grayowi zadzwoniło w uszach, a ramieniem łupnął o ścianę. Przeszywający ból targnął całym jego bokiem. Zanim zdążył się wziąć w garść, olbrzym złapał go za kołnierz i poderwał do pionu.

Gray miał na podorędziu arsenał starannie dobranych słów, którymi z rozkoszą obrzuciłby drania, lecz wiedział, że skoro chce dożyć do chwili, gdy będzie mógł nacieszyć się spacerem, na jaki pozwalano mu raz dziennie, musi bezwzględnie trzymać język za zębami - póki je jeszcze ma.

Niemniej jednak nie zdołał powstrzymać się od wygłoszenia ostatniego błyskotliwego komentarza:

- Obyś się udławił własnym jęzorem. - Tym razem nagrodą było uderzenie potężnym kułakiem prosto w tułów; Gray poczuł, że powietrze uszło mu z płuc.

Zgiął się wpół, zrobiło mu się niedobrze i osunął się na ziemię. Zastygł z twarzą przyciśniętą do zimnej kamiennej posadzki, próbując złapać oddech.

Ktoś odezwał się przeciągle:

- A fe, nieładnie, staruszk. Na dobrą sprawę chłopak jest bezbronny. Może byś tak poszukał sobie kogoś w swojej wadze?

Następne, co Gray usłyszał, był głuchy łoskot i zdławione stęknięcie. Chwilę później ziemia jęknęła pod ciężarem Selwyna. Olbrzym obalił się obok Graya, nieprzytomny i podobny do wyjątkowo szpetnej sterty gałganów.

Tylko jedna spośród znanych Grayowi osób mogłaby powalić tego Goliata.

- Pomóc ci, bracie?

Z głuchym jękiem Gray obrócił się i usiadł na ziemi, gapiąc się na ostatniego człowieka, którego spodziewał się tu zobaczyć; wiedział, że minę ma zbyt boleściwą, by mogła wyrazić jego zdumienie.

Brat przyglądał mu się z ironicznie uniesioną brwią.

- Widzę, że nie poszedłeś za moją radą i nie unikasz kłopotów.

Gray chciał się uśmiechnąć szeroko, ale skończyło to się nieokreślonym grymasem.

- A mnie się zdaje, że już ci mówiłem, że Kłopoty to moje drugie imię. Mam to po starszym bracie, było nie było.

- Mądrała. - Damien złapał Graya za rękę i pomógł mu wstać.

- Kolejna wspólna cecha.

- Nic ci nie jest?

- Bywało lepiej. - Gray pomasował się po pulsującym brzuchu.
- Wyglądasz jak kupka nieszczęścia.
- Wielkie dzięki, żeś był łaskaw to zauważyć - mruknął sucho

Gray. - Wolno mi spytać, co tu robisz?

Damien, jak zawsze nieskazitelnie odziany, nawet wówczas, gdy wokół działały się dantejskie sceny, strząsnął niewidoczny pyłek z rękawa.

- Brzmi to podejrzenie niewdzięcznie, bracie. Ale jako że najwyraźniej nie jesteś w formie, przedstawię w skrócie to, co oczywiste. Jestem tu, żeby ratować twój tyłek. Podziękowania są zbędne. Wystarczającą nagrodą jest widzieć ciebie na kolanach.

- A skąd, jeśli łaska, wiedziałeś, że mój tyłek wymaga ratunku? Właśnie miałem pokazać temu tłustemu ślimakowi, jak straszliwy jest mój gniew. - Rzucił pełne niesmaku spojrzenie w kierunku nieprzytomnego Selwyna.

Damien przyjrzał mu się z rozbawioną miną.

- Straszliwy? Drzę na samą myśl. Ale dość już tych czczych pogaduszek. Wszystko ci opowiem, ale najpierw się stąd wynośmy, do ciężkiej cholery. Jestem w tycio gorszej formie, pewnie to ta pieprzona szkocka pogoda, i nie dałbym rady więcej niż dziesiątce czy piętnastce tutejszych osiłków. Nie ma na co czekać. Idź za mną.

Gray bez słowa podążył za bratem, zachodząc w głowę, jak, u licha, Damien dowiedział się o jego kłopotach - choć trzeba było przyznać, że Damien zawsze miał niebywałą intuicję. Na przykład kiedy w dzieciństwie bawili się w chowanego, gdziekolwiek Gray się

ukrył, Damien zawsze go znajdował w ciągu pięciu minut, wytrząsnąłby go choćby spod ziemi.

Zdaniem Graya było to jak szósty zmysł albo coś w tym guście. Szału można było dostać.

Aczkolwiek jeszcze bardziej irytujący był fakt, iż kochany braciszek wydawał się poruszać po zamku jak po własnym domu: zawczasu schylił głowę, zanim zanurkował w głąb sekretnego przejścia, pewnie przemierzył ciemny, wąski korytarzyk, a kiedy znalazł się na samym końcu, ostrożnie otworzył zmyślnie zamaskowany kamienny portal, czekając, aż ustąpi ze zgrzytem.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, szybko wpadli między drzewa o listowiu dość gęstym, by ukryć dwie skulone sylwetki.

- Nie zatrzymuj się - ponaglił Damien. - Strażnik może się w każdej chwili ocknąć i wszcząć alarm.

Gray wyraźnie odczuwał skutki choroby. Szybko zmęczył się biegiem, pierś unosiła mu się ciężko, nogi gięły dziwnie, jakby miały zaraz odmówić posłuszeństwa. Gdyby Damien nie zarządził akurat postoju, runąłby chyba na ziemię.

Dyszząc ciężko, pochylił się i oparł dłonie o kolana. Próbował wyrównać oddech, ale kiepsko mu to szło. Plecy miał mokre od potu, choć dzień był pochmurny. Damien, drań jeden, nawet się nie spocił, bynajmniej nie wyglądał też na zadyszanego. Cholernik zawsze miał piekielnie dobrą kondycję.

- Mógłbyś... przynajmniej udawać... zmęczonego - wystękał Gray w przerwach między seriami sapnięć.

- Jeśli to ci poprawi humor, to mogę powiedzieć, że wewnętrznie czuję się zmęczony.

Gray wyprostował plecy z niejasnym poczuciem, że ma -lub za chwilę mieć będzie - kurcz dosłownie w każdej kończynie i odpowiedział uśmiechem na długo doskonalony cierpki uśmiech brata.

- Dwa konie czekają uwiązane o jakąś milę stąd - poinformował go Damien. - Myślisz, że dasz radę dojść?

Grayowi ani się śniło zaprzeczać, choć miał co do tego wątpliwości.

- Oczywiście.

- Dobrze. Chodźmy więc. - Damien ruszył z miejsca, ale Gray chwycił go za ramię i zatrzymał.

- Muszę iść po swoich ludzi.

- Najwyraźniej uważasz mnie za półgłówka. Twoją załogę uwolniłem w pierwszej kolejności, z pomocą krzepkiej niewiasty imieniem Alpen i dzięki odrobinie muskulatury, ale to już był mój skromny udział w unieszkodliwieniu strażnika. Podczas gdy ja spieszyłem ci na ratunek, Alpen prowadziła twoją załogę na zewnątrz jednym z tajemnych przejść, których jest na zamku całe zatrzęsienie. Mamy się spotkać w wyznaczonym miejscu za godzinę. Więc przebieraj nogami, człowieku. Nie pora na drzemki. Wolałbym siedzieć w domu i jeść z żoną kolację, zamiast wdawać się w nudne bijatyki z bandą tępych Szkotów. A teraz, jeśliś łaskaw... - Damien kiwnął ręką, pokazując, by brat poszedł pierwszy

Gray wybałuszył na niego oczy.

- Czyś ty powiedział... „z żoną”?

- Cieszę się, że słuch nadal ci dopisuje. I owszem, mówiłem o żonie. Jesteśmy już trzy miesiące po ślubie i dodam, psiaakrew, że to prawdziwa sielanka. I jako świeżo upieczonemu żonkosiovi nad wyraz mi się spieszy, żeby wrócić do tego, co musiałem przerwać, czyli do obcałowywania mojej ukochanej małżonki po szyi. Toteż tym goręcej cię proszę... jeśliś taki uprzejmy... - widząc, iż Gray upodobnia się do słupa soli, Damien rzucił mu zniecierpliwione spojrzenie. - Mam cię zanieść? A może w słowie „idziemy” jest coś, czego nie rozumiesz?

Gray obejrzał się przez ramię. Z trudem dostrzegał ciemny kontur zamku. Wszystko działo się w tak zawrotnym tempie, iż nie miał dotąd ani chwili na zastanowienie. Może to zresztą i dobrze, gdyby się bowiem zastanowił, najpewniej nawet nie próbowałby uciekać.

Chciał jeszcze jeden, ostatni raz zobaczyć Bonnie. Wiedział, że to czysta głupota, że przez to nie będzie ani lepiej, ani szybciej, ani łatwiej zerwać wszystkie więzi. Stanowił dla Bonnie dodatkowy, niepotrzebny kłopot, wszystko tylko utrudniał. Jednak logika go nie przekonywała.

- Coś nie tak, bracie? - zaniepokoił się Damien.

- Nie, nie... ja tylko... - Tylko co? Zakochałem się w dziewczynie, której bracia chcą mojej śmierci? Będę tęsknił za widokiem jej słodkiej twarzy? Myślę o niej, choć wiem, że lepiej jej beze mnie?

- Czy twoje wahanie nie ma aby wiele wspólnego z pewną drobniutką Szkotką o intrygujących błękitnych oczętach?

Gray ocknął się natychmiast.

- Widziałeś Bonnie?

- To tak ma na imię? Hmm... Nawet do niej pasuje.

- Gdzie ona jest? Nic jej nie jest? Mówiła coś o mnie? Damien odchylił głowę i posłał bratu spojrzenie spod ściągniętych brwi.

- Dobry Boże, człowieku, nie sądziłem, że ten dzień kiedyś nastąpi. Słowo daję, to warte każdych pieniędzy.

- Co ty u licha wygadujesz?

- Jak to, co? Widać, że w końcu cię wzięło. Zadurzony po same uszy. Już po człowieku! A niech mnie...

Gray parsknął z irytacją.

- Żebyś sobie, psiakrew, nie wyobrażał. Szeroki uśmieszek przeciął twarz Damiena.

- Zakochałeś się w niej.

- Nic podobnego - upierał się Gray, choć zęby go rozboleły od tego kłamstwa.

- No to mnie udało ci się nabrać. Widziałem wcześniej taką minę, przyjacielu. A ty, drogi chłopcze, jesteś beznadziejnie zauroczony. Zaufaj mi, ucieczka nic ci, psiakrew, nie pomoże. Jak ci któraś porządnie zalezie za skórę, to właściwie jesteś już załatwiony.

- Nie bądź kiep.

Damian potrząsnął głową. Najwyraźniej rozterki Graya serdecznie go bawiły.

- Z całą pewnością jeszcze się przed tym bronisz, nieprawdaż? Co, martwisz się, że ona nie odwzajemnia twoich uczuć? Czy najzwyczajniej nie możesz się nadziwić, że trafiła w końcu kosa na kamień? Piekielnie trudno uwierzyć, że jakaś kobieta się w tobie zakochała. - Wzruszył ramionami. - Widać każda potwora znajdzie swojego amatora. Nawet ty.

Gray szukał w myśli kąśliwej riposty - bądź co bądź kąśliwe riposty były de rigueur\* w rozmowach między nim a bratem - ale do stu bomb i kartaczy, nie przychodziła mu do głowy ani jedna, która podejrzenie nie przypominała próby wykręcania kota ogonem. Tak czy inaczej nie zamierzał drażnić tego tematu, milczał więc dyplomatycznie.

*\* De rigueur - (franc.) obowiązkowy, obowiązujący (przyp. tłum.).*

Damien zarechotał.

- Upatrzyłeś sobie najprawdziwszą zionącą ogniem megierę. Najwyraźniej nie poszło jej w smak, że na ratunek bezbronnemu braciszкови przybywam w pojedynkę. Jej zdaniem należało wziąć przynajmniej całą armię lub coś w tym guście. Wprowadzić wojska krokiem marszowym i bezzwłocznie wypowiedzieć wojnę. Chciała przywlec tu dragonów królewskich. Narobić krzyku. Najwyraźniej nie wiedziała, z kim ma do czynienia. Widać fama o przygodach klanu Sinclairów nie dotarła tak daleko na północ.

Chwilę potrwało, nim umysł Graya zaczął na powrót funkcjonować w miarę normalnie.

- Chcesz powiedzieć, że to Bonnie cię tu sprowadziła?



- Odnoszę wrażenie, że odpowiedziałem już na to pytanie. Sprytna z niej dziewczyna i nawet mi się podoba. Nigdy bym się nie spodziewał, że trafię na twój kobiecy odpowiednik na takim zadupiu. Ale niech mnie diabli, jeśli nie jest równie uparta, narwana i zapalczywa jak ty. Psiakrew, nosem jej wychodzi to jej wysokie urodzenie. - Damien pokręcił głową i westchnął rozdzierająco. - A teraz powiedz mi, co to za bajdurzenie o tym, jak to chcesz mnie ratować, bo inaczej stracę naszą ukochaną siedzibę rodową, spuściznę po przodkach? Mam nadzieję, że nie próbowałaś dać się zabić z powodu takich idiotyzmów...? Bo jeśli tak, to sam będę cię musiał chyba ukatrupić.

- Skąd, do diabła, wiesz, co robiłem?

- Najchętniej powiedziałbym, że jestem jasnowidzem, bo dzięki temu mógłbym znowu wystąpić w aurze tajemniczości, która otaczała mnie w kwiecie wieku, kiedy na dźwięk mego imienia ludzie rzucali się do panicznej ucieczki. Teraz, niestety, każdy głupi uważa mnie za istnego świętego, niewinną owieczkę, której intencje opacznie rozumiano, a wszystko to za sprawą rozpętanej przez moją żonę kampanii, by kompletnie wymazać moją dawną sławę diabła w ludzkiej skórze. Lecz, uchowaj Bóg, gdyby moja ukochana małżonka dowiedziała się jakimś cudem o dzisiejszej eskapadzie, obdarłaby mnie chyba ze skóry, a ogromnie mi zależy, żeby nie wypaść z jej łask. Nie przepadam za spaniem na kanapie, rozumiesz mnie chyba. Zatem, odpowiadając na twoje pytanie, owszem, to Bonnie mi o wszystkim powiedziała. Gray skrzywił twarz.

- A skąd ona miałaby o czymkolwiek wiedzieć? Słowa jej nie pisałem.

- Wygląda na to, że nie zatraciłeś przyrodzonej skłonności do gadania przez sen, czy też raczej, jak to miało się w tym konkretnym przypadku, pośród gorączkowych majaków. Jeśli zamierzałeś zabrać swoje sekrety do grobu, to, o ile dobrze rozumiem, dałeś niezłą plamę.

- Jakże się cieszę, że wy dwoje prowadziliście uroczą pogawędkę, kiedy ja zbierałem tutaj porządne cięgi - mruknął pod nosem Gray rozdrażniony i bardziej niż odrobinę ciekaw, co też jeszcze wypaplał, kiedy był nieprzytomny.

Damian spojrzał na niego pojednawczo.

- Przestań. Mocniej ci się obrywało ode mnie, kiedy lataliśmy w krótkich spodenkach, niż dzisiaj od tego kurdupła. Nawiasem mówiąc, ta twoja dziewczyna jest wyjątkowa. Myślę, że ją polubię. Nie mogę się doczekać, żeby ją przedstawić mojej Eden. Podejrzewam, że szybko będą z nich nierozłączne przyjaciółki

- Lepiej żebyś na to nie czekał ze wstrzymanym tchem. Bonnie wychodzi za mąż. - Te słowa pozostawiły w ustach Graya nieprzyjemny posmak.

- A, tak. Prawda. Bierze ślub. I to dzisiaj, gwoli ścisłości.

Gray poczuł się tak, jakby dostał obuchem w głowę.

- Dzisiaj! Jak to, dzisiaj?!

- A tak, że ani wczoraj, ani jutro. W twoim świecie słowo „dzisiaj” znaczy coś innego?

Gray przegarnął włosy gniewnym gestem i spojrzał ponuro w stronę zamku.

- O żesz... Wierzyć mi się chce. Wychodzi za tę kanalię. -Czy wspólne chwile nic dla Bonnie nie znaczyły? To dlatego nie przyszła się z nim zobaczyć po tym, co ostatnio wydarzyło się w pokoju, który służył mu za celę? Od kiedy swoim ciałem wtłoczył ją nieledwie w materac i kochał się z nią, przepelniony długo skrywanym uczuciem, czynami próbując wyrazić to, czego nie śmiał ująć w słowa?

- A czy to ważne, że wychodzi za mąż? - dociekał Damien z podejrzaną niewinną miną. - O ile pamiętam, ty jej nie kochasz. Dlaczego miałoby cię obchodzić to, czy bierze ślub?

- Bo tak - warknął Gray.

- Rozumiem. Dochodzimy do momentu, w którym, jak sobie wyobrażam, powiesz mi, że musisz ją ocalić przed życiem wyzutym ze szczęścia, za to płynącym w trudzie i znoju, dobrze mówię?

- Nie.

- Nie? Drogi bracie, aż się wszystko we mnie skręca, kiedy na ciebie patrzę. Raczysz mi wytłumaczyć, dlaczego nie ruszymy w pościg za rzezoną damą, skoro na tym etapie to wydaje się oczywistym posunięciem?

- Bo nie.

-Ach, jakaż elektryzująca odpowiedź, a przy tym jaka sensowna... Wszystko jasne.

- Nic nie rozumiesz.

- Zechcesz mnie w takim razie oświecić? Mówiono mi, że potrafię słuchać jak mało kto.

Gray czuł się tak, jakby ktoś wydrażył go od środka, pozostawiając jedynie skorupę. Przez całe swoje dotychczasowe życie

uważał się za człowieka wyzuteego z uczuć, nigdy dotąd jednak nie odczuwał uczucia tak dojmującej pustki, jak w tym momencie. Bonnie poślubi innego.

Nie zależało mu na tym, by dalej taić prawdę. Cóż to miało teraz za sens? Cała ta ohyda, wszystek brud, który wlały w jego serce słowa matki, sprawił, że Bonnie się od niego odwróciła, skapitulowała wobec murów, jakimi dobrowolnie się otoczył, za którymi zamknął się na lata jak w więzieniu. Teraz chciał powiedzieć prawdę tak, jak wyznaje się grzech, pokazać światu czarną plamę na swoim honorze.

- Nie jestem jej godzien.

Damien uniósł brew.

- Przepraszam...? A niby dlaczego? Jesteś Sinclairem, mój chłopcze.

- W tym rzecz. Nie jestem Sinclairem.

- Nie jesteś Sinclairem? Co to za bzdury? Chcesz powiedzieć, że niemiłosiernie nękałem cię, kiedy byłeś dzieckiem, a ty nawet nie jesteś moim bratem?

Gray okręcił się na pięcie.

- To poważna sprawa, niech cię szlag! Nie jestem twoim bratem. Rozumiesz? Jestem bękartem. Feralną pamiątką romansu matki. Powiedziała mi o tym wiele lat temu.

Damien zamrugął oczami... a potem zgiął się wpół i zaryczał ze śmiechu.

- Zawsze byłeś naiwny, ty ośle patentowany.

Gray ruszył przed siebie. Nie wiedział, dokąd zmierza, ale było mu to obojętne. Wiedział tylko, że musi iść, dokądkolwiek nogi go poniosą.

- Cieszę się, że tak cię to ubawiło. Żałuję, że cokolwiek ci powiedziałem. Nie powinienem był oczekiwać, że mnie zrozumiesz.

Damien dogonił go szybko.

- Ejże, a to już cios poniżej pasa. A poza tym, kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć, że nie można wierzyć we wszystko, co matce ślina przyniesie na język. Ta kobieta nadała słowu „okrucieństwo” zupełnie nowy sens.

Gray przystanął w pół kroku i zwrócił się twarzą ku bratu.

- A tobie mówiła kiedyś, że jesteś bękartem?

- Więcej razy, niż zdołałbym zliczyć.

- Ale w dosłownym sensie... że z nieprawego łoża...

- No... nie, ale...

- Tak też myślałem. - Gray zaczął iść dalej.

Damien złapał go za ramię i zatrzymał. Wyraz rozbawienia zniknął z jego twarzy.

- Oj, przestań już, Gray. Do tej pory musiałeś się zorientować, że matka dręczy, kogo tylko się da. Jej świat ległby w gruzach w dniu, w którym nie udałoby się jej doprowadzić kogoś do czarnej rozpacz. Z czasem nauczyłem się z tym żyć. Kto wie, jak sama była traktowana jako dziecko? Może nie zaznała niczego prócz podłości i inaczej po prostu nie potrafi.

Damien widział, że jego argumenty nie do końca brata przekonały. A niech diabli wezmą ich matkę! Ta kobieta była gorsza od zarazy.

- Gray, posłuchaj mnie. Jesteś moim bratem i zawsze nim będziesz. I nic na tym świecie nie przekona mnie, że jest inaczej.

- A jeśli naprawdę mamy innych ojców?

- No, ręce mi przez ciebie opadają... To nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia. Nie same więzy krwi czynią nas braćmi. Przede wszystkim to, co kryje się tutaj. - Damian poklepał się po piersi. - W sercu. Tylko to liczy się dla mnie i dla Nicka, i tylko to liczyć się będzie. Bo razem, bracie, wstrząśniemy posadami nieba. Więc jak - raptem zmienił temat - wkroczymy do jaskini lwa i uprowadzimy przyszłą oblubienicę? Wiesz przecież, że przepadam za porządną bijatyką.

Bonnie sprawdziła wszystkie tropy, które mogły doprowadzić do odnalezienia żebraka.

Prawie dwie godziny przetrząsała ciemne uliczki, pytając o niego napotkanych włóczęgów, wyłaniających się i znikających w ciemnych zaułkach niczym zjawy. Poszukiwań nie ułatwiał jej fakt, że za nią samą także rozesłano już ludzi, o czym dowiedziała się od piętnasto- czy szesnastoletniej dziewczyny, która sama Bonnie zaczepiła. Na domiar złego zaledwie godzina dzieliła Bonnie od ślubu z człowiekiem, który mógł się okazać mordercą.

Od rozmowy z tamtą dziewczyną Bonnie starała się jak najmniej rzuć w oczy, ale szukała dalej. Czas płynął nieubłaganie, ale wiedziała, że bez niepodważalnych dowodów nie zdoła przyprzeć Ewana do muru, a do tego potrzebowała żebraka, który znalazł dewizkę. Inaczej wszystko sprowadziłoby się do jej słowa przeciwko słowu Ewana.

Toteż w dalszym ciągu rozpytywała na prawo i lewo. Jednak zaledwie po kilku minutach zatrzymała się wpół kroku, gdyż wydało się jej nagle, że wokół panuje dziwne poruszenie. Omal nie krzyknęła, widząc, iż w jej stronę zbliżają się ludzie jej braci!

Błyskawicznie uskoczyła w głąb ciemnej alejki i wślizgnęła między drewniane skrzynie. Przykucnęła za jedną i ostrożnie zza niej wyjrzała. Strażnik był nie dalej niż jakieś dziesięć stóp od niej!

Rozmawiał z dziewczyną, która wcześniej uprzedziła Bonnie o pogoni.

Bonnie przyłgnęła plecami do ściany, kiedy zaczął się rozglądać. Czekala z duszą na ramieniu. Przyjdzie tu? Odprowadzi ją do braci? Do Ewana? Co się wtedy stanie? Och, gdyby tylko miała więcej czasu!

Usłyszała dwa słowa, „zbiegły morderca”, i zrozumiała, że to nie jej szukają.

I, choć jej sytuacja w niczym się nie zmieniła, ogarnęła ją bezbrzeżna ulga. Gray był wolny. Brat pojawił się w porę. Tak bardzo się martwiła, tak trudno jej było uwierzyć, że potężnie zbudowany mężczyzna, który śmiertelnie ją przestraszył podczas ich pierwszego spotkania, zdoła niepostrzeżenie dotrzeć do celi Graya. Wprawdzie powiedziała mu o sekretnych przejściach w zamku, ale czekała go rozprawa z Selwynem.

Najwyraźniej jednak przybysz, który przedstawił się jako Damien Sinclair, poradził sobie o niebo lepiej, niż skłonna była przypuszczać.

Marzyła o tym, żeby z nim pójść, być przy Grayu w chwili, gdy odzyska wolność, ale rozsądek zwyciężył, choć nigdy nie czuła się bardziej nieszczęśliwa. Spotkanie z Grayem niczego by nie ułatwiło, przeciwnie, zyskałaby jeszcze jedno palące wspomnienie, które nie pozwalałoby jej sercu się zagoić. Nie mogła dla niego zrobić nic więcej - oprócz jednej, ostatniej rzeczy - dowiedzenia jego niewinności, tak aby stał się naprawdę wolny.



Strażnik w końcu sobie poszedł. Bonnie wymknęła się ze swej kryjówki i zaczęła ostrożnie przemieszczać się wzdłuż uliczki. Czuła się tak, jakby ktoś miał zaraz się na nią rzucić. Wyrzała zza rogu budynku i stwierdziła, że ludzie jej braci zbierają się do odejścia. Zamknęła oczy i, słaniając się z ulgi, bezdźwięcznie pomodliła o to, by Gray bezpiecznie wrócił do siebie.

Pod osłoną cienia wyłoniła się z uliczki. Nie uszła więcej jak tuzin kroków, gdy nagle na jej ramieniu oparła się czyjaś dłoń. Okręciła się błyskawicznie, gotowa skoczyć do gardła samemu diabłu, gdyby to on ją zatrzymywał, ale ujrzała poważną twarz niedawno poznanej dziewczyny.

- Wiedziałam, że panienka tu jest. Patrzyłam, jak panienka ucieka, ale słówkiem zem nie pisnęła. Pomyślałam, widać panienka ma swoje powody, coby schodzić ludziskom z oczu.

Bonnie odetchnęła głęboko, żeby uspokoić mocno bijące serce, i odezwała się słabym głosem:

- Dziękuję ci.

- Przyszło mi do głowy, że panienka powinna wiedzieć, że na wolności jest morderca. Zbiegły więzień. Więc ostrzegam panienkę, niech panienka na siebie uważa.

- Mówili coś jeszcze o tym... hm... zbiegu?

- Nadziwić się nie mogom, jak udało mu się dać drapaka. Ponoć ktoś mu pomógł, ino nie wiadomo kto. Słowo daję, przepadł jak kamień w wodę.

Bonnie pozostawało jedynie trzymać kciuki, by Gray z Damienem znajdowali się wystarczająco daleko, by ujść pogoni.

- Niech panienka weźmie sobie moje słowa do serca. To niebezpieczny człek, bardzo niebezpieczny. Niech panienka ma oczy szeroko otwarte.

- Tak zrobię... i jeszcze raz dziękuję. Dziewczyna kiwnęła głową.

Bonnie ruszyła przed siebie. Zamierzała dalej szukać żebraka z zaułka, ale nagle przyszło jej coś do głowy. Zawróciła i podeszła do dziewczyny. Pomyślała, że nie zaszkodzi zapytać, czy nie widziała aby mężczyzny wyglądającego tak a tak. Opisała żebraka najlepiej, jak potrafiła, i po raz pierwszy od dawna do jej serca zakradła się nadzieja: dziewczyna przytaknęła skinieniem głowy.

- Ano, panienko. Chyba znam człeka, o którym panienka mówi. Stary Angus. Straszny z niego milczek, szwenda się to tu, to tam, ot, taki powsinoga. Unika ludzi jak ognia.

- Nie wiesz przypadkiem, gdzie mogłabym go znaleźć?

- A bo ja wiem... Czasem przemieszkuje w starym domu Duggana. Kupa gruzu i mnóstwo myszy. - Dziewczyna skrzywiła się z niesmakiem. - Właściwie to ciężko to nazwać domem, jeśli mnie panienka rozumie. Ale Angusowi najwyraźniej to nie przeszkadza.

- A gdzie to jest?

- Kawalek drogi za wioską. Zaprowadzę panienkę.

Bonnie ponownie popadła w zwątpienie, zaledwie dotarły do rozpadającej się chaty na obrzeżach wioski. Zostały kruszejące ściany, zapadnięty dach i stadko gryzoni bawiących się w berka na przegniłych drewnianych schodach.

W słowach dziewczyny nie było przesady, kiedy mówiła, że to istne gruzowisko, ruina niezdatna do zamieszkania. Wierzyć się nie chciało, by Angus traktował tę rudere choćby jako tymczasowe lokum.

Tylko głupiec zaryzykowałby spacer po tych rozklekotanych schodach i wejście do środka, nie wiedząc, co najpierw się zawali: ściany, sufit czy podłoga. Poza tym w środku panowała zupełna cisza, choć wielokrotnie wołały Angusa po imieniu. Dom wyglądał na całkowicie opuszczony. Bonnie westchnęła. Najwyraźniej zabrnęła w kolejną ślepią uliczkę. Skoro jednak już tu była, równie dobrze mogła zaryzykować i zajrzeć do środka.

Na czubkach palców ostrożnie wspięła się po schodkach. Drewniane stopnie trzeszczały złowieszczo przy każdym kroku. Kiedy po bucie dziewczyny przebiegła mała polna myszka, Bonnie cofnęła się tak gwałtownie, że omal nie straciła równowagi.

- Tylko spokojnie - upomniała się cicho.

Drżącymi palcami chwyciła klamkę, zwisającą z drzwi pod dziwnym kątem; została jej w ręce przy pierwszym szarpnięciu.

Popchnęła drzwi dłonią i uchyliła je o kilka cali. Wewnątrz ujrzała połamane meble, pajęczyny i grubą warstwę kurzu zalegającego na podłodze.

- Jest tu kto? - Cisza.

W domu panowała atmosfera miejsca nieodwiedzanego przez ludzi, jednak na byle jak skleconym stole Bonnie zauważyła poobijany cynowy talerz z do połowy zjedzoną porcją, co świadczyło o tym, iż ktoś niedawno tu przebywał.

Rozczarowana odwróciła się i szykowała do odejścia, bo uznała, że szkoda czasu na dokładniejsze oględziny. Miała właśnie zejść po schodach, kiedy w głębi domu rozległ się jakiś trzask

Podeksytowana odwróciła się i zajrzała do środka, przekonana, że w drzwiach zobaczy Angusa, niepokój i podejrzliwość bijącą z każdej głębokiej zmarszczki, złością jego steraną życiem twarz, ale nic takiego się nie stało.

Potem znowu coś zatrzeszczało.

Bonnie przełknęła ślinę i podeszła bliżej. Oddychała płytko, urywanie, dłonie jej powilgotniały. Popchnęła drzwi. Początkowo otwierały się opornie, protestując zgrzytliwie przeciw tej nowej torturze, by raptem ustąpić gładko, jakby ktoś właśnie przypomniał sobie o naoliwieniu zawiasów. Oczom dziewczyny ukazał się przerażający widok.

Na środku podłogi, w kałuży krwi sączącej się z potwornej rany z boku głowy, leżał bezwładnie człowiek, którego szukała. Angus.

Przerażenie na moment Bonnie sparaliżowało, troska szybko jednak przewyciężyła strach. Dziewczyna podbiegła do Angusa i uklękła przy nim.

- Angus? - Nie poruszył się. Potrząsnęła nim lekko. - Angusie, proszę, ocknij się.

Zajęczała podłoga... tuż za nią.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Zabiłem go.

Panika poraziła Bonnie nagle niczym błyskawica. Dziewczyna skoczyła na nogi. Potknęła się o połamane resztki jakiegoś mebla,

straciła ze stołu cynowy talerz i omal się nie przewróciła, kiedy, wykonawszy pełen obrót, napotkała wzrok zabójcy Angusa.

- Gdzie ona, do diabła, jest?

Gray szalał z niepokoju. Miał wrażenie, że razem z Damienem szukali Bonnie nie tyle kilka godzin, co całe dni, co chwila wymykając się z rąk ludziom klanu MacTavishów, których rój oblegał miasto na podobieństwo gigantycznych mrówek w kiltach. Jednak niebezpieczeństwo nie miało znaczenia wobec jego pragnienia, by odnaleźć Bonnie.

Nie raz i nie dwa Gray był już bliski tego, by powiedzieć sobie w duchu: pal sześć z ukrywaniem się, pora ucapić kogoś za gardło i ścisnąć, aż wszystko wyśpiewa. Ilekroć jednak gotów był wziąć się do działania, dłoń Damiena opierała się na jego ramieniu uspokajającym gestem.

- Cierpliwości, człowieku. Znajdziemy ją.

Gray modlił się, by słowa brata okazały się prorocze. Nie mógł się jednak wyzbyć poczucia, że coś się wydarzyło, że Bonnie ma kłopoty i że go potrzebuje. Przeciwnie, to wrażenie stawało się coraz silniejsze. Jeśli włos jej spadnie z głowy...

- Patrz, jaki typek spod ciemnej gwiazdy - odezwał się raptem Damien, nieznacznym ruchem ręki pokazując ciemną postać po przeciwnej stronie ulicy.

Gray zacisnął zęby, patrząc we wskazanym kierunku.

- Znam go.

- Tak...?

- Był na tej parodii, którą nazwali moim procesem - rzucił Gray, kiwnąwszy powściągliwie głową.

Wezbrała w nim głucha nienawiść, bo znowu sobie przypomniał, jak przebiegała „rozprawa” i jak go świerzbiły ręce, by udusić tego kłamliwego sukinsyna. Teraz to pragnienie znowu obudziło się do życia.

- No cóż, jeśli przeczucie mnie nie myli, a myli nader rzadko, powiedziałbym, że ta szuja coś knuje.

Gray podpisywał się pod tym stwierdzeniem obydwoma rękami. Ten przebiegły bękart najwyraźniej do czegoś się szykował, ale miejscowi byli zbyt zajęci zwoływaniem się na pościg za zbiegiem, by cokolwiek zauważyć.

Obiekt zainteresowania jego i Damiena pośpieszył w kierunku lasku na obrzeżu wioski. Oglądał się przez ramię, jakby chciał się upewnić, że nikt za nim nie idzie, po czym zniknął im z oczu. Gray czuł niewyjaśnioną pewność, iż ten trop zaprowadzi go do Bonnie.

- Chodźmy - rzucił, wtapiając się w zarośla.

- Jestem tuż za tobą, bracie.

Ze strachu ścisnęła się Bonnie w żołądku. Wpatrywała się ze zgrozą w mężczyznę stojącego nie dalej niż piętnaście stóp od niej. Z uśmiechu, który wykrzywił mu twarz, emanowało czyste zło, i pomyślała, iż nie opuści tego miejsca żywa.

Uczynił krok w jej stronę. Bonnie natychmiast odgrodziła się od niego stołem i zaczęła rozglądać za jakąś drogą ucieczki. Ale musiałaby najpierw dostać się do drzwi.

A między nią a wolnością stał morderca.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczyła diabła, dzierlatko.  
- Bo widzę - chciała odpowiedzieć, ale skończyło się na ochrypłym szepcie.

Cmoknął z niesmakiem.

- No, nie rób takiej zdziwionej miny. Myślałem, że domyśliłaś się wszystkiego już wtedy w alejce.

Krew odpłynęła jej z twarzy.

- Obserwowałeś mnie?

- Ano, mogłem cię zabić tam, gdzie żem poderznął gardło tamtej suce. Trudno o lepsze miejsce, nie sądzisz? Ale pojawił się tamten łachudra, potem za nim gdzieś pobiegłaś, stąd tych kilka godzin... zwłoki. A teraz sama żeś wlała w moją sieć. Pięknie ci za to dziękuję...

- Dlaczego to robisz?

- To nie ty miałaś być moją ofiarą. Polowałem na tego śmiecia. - Plunął na nieruchome, wyzute z życia ciało Angusa. - Wiedziałem, że dewizka jest u niego. Sarah zerwała ją, kiedy walczyła o życie. Ach, te kobiety są takie słabe, aż się serce kraje... Po prostu nie miała szans. - Potrząsnął głową w udawanym smutku. - Słyszałem, że ktoś idzie, i musiałem uciekać. Na moje szczęście winą za mój czyn obarczyłaś tamtego Anglika.

- Ale po co żeś zabił Angusa? Miał tę dewizkę tyle czasu i nic...

- Ano, pewnie, żem o tym wiedział, ale nie martwiłem się zbyt, bo przepadłaś gdzieś razem z tym twoim Anglikiem. Myślałem, żeście oboje zginęli, poza tym mało kto myślał już o Sarah i jej przedwczesnej śmierci. - Nienawistny uśmiech, który zdawał się

przecinać jego twarz na dwoje, rozmył się w grymas o wiele bardziej złowieszczy. - Ale ty musiałaś wrócić. Nie mogłem ryzykować, że staruszek Angus powie za dużo, jak sobie swoim zwyczajem trochę podchmieli. Trza z nim było zrobić porządek. Ale potem jakby zapadł się pod ziemię. Dopiero ty wywabiłaś go z ukrycia.

- Ja? - Bonnie nie mogła znieść myśli, że przyczyniła się do śmierci Angusa.

- Widać próbował się zebrać na odwagę, coby z tobą porozmawiać o tym, co wiedział o śmierci Sarah. Nie pojawił się dzisiaj przypadkiem. Śledził cię, a ja śledziłem jego. Szczęśliwie dla mnie zawsze był tchórzem podszyty i tak się ciebie wystraszył, że uciekł. Jego błąd polegał na tym, że zapomniał dewizki. A teraz wychodzi na to, że jego pomyłka skończy się dla ciebie nieszczęśliwym, śmiertelnym wypadkiem. - Wyciągnął zza pleców nóż. - Powiedzą, że Angus cię zabił, a potem tak go sumienie gryzło, że odebrał sobie życie.

Ścisnęło się jej w piersi tak mocno, że zaczęła się dusić. Z wysiłkiem zaczerpnęła powietrza. Ze strachu ledwie widziała na oczy.

- Nikt w to nie uwierzy.

- A ja myślę, że uwierzy. Angus zawsze trochę słabował na umyśle. Ludzie dośpiewają sobie resztę. Pomyślą, że to Angus zabił Sarah, a nie ten Anglik. Jakimś cudem odkryłaś jego zbrodnię, więc musiał sprzątnąć i ciebie. Parę słów szepniętych do tego ucha, co trzeba, i wszystko się uda. Udało się, kiedy chodziło o tego angielskiego bękarta. Niewiele było trza, coby twój klan wpadł w szal. Banda idiotów... - Mężczyzna zaśmiał się pogardliwie.



Bonnie nie wierzyła własnym uszom. Ale nie miała czasu, żeby przemyśleć to, co właśnie usłyszała, morderca bowiem zaczął skradać się w jej kierunku, krokiem wolnym od pośpiechu, z rozmysłem. Wiedział, że nie musi się spieszyć. Nikt ich nie znajdzie, nie usłyszy jej krzyków.

- No już, dziełatko. Nie utrudniaj tego bardziej niż to konieczne. Twoja śmierć i tak była już dawno przesądzona. Gdyby wszystko potoczyło się tak, jak powinno, już byś nie żyła.

Bonnie powoli okrążała stół, nie spuszczać oczu z napastnika. Miała nadzieję, że kiedy zrobią pełne koło wokół blatu, ona znajdzie się bliżej drzwi i zdoła pierwsza wybiec na dwór.

- Dlaczego to robisz?  
- Nosisz nazwisko MacTavish. To samo w sobie jest zbrodnią.  
- Przecież nasze klany zawarły pokój.  
- Pokój? - zakpił mężczyzna; to słowo zabrzmiało w jego ustach jak przekleństwo. - Jaki pokój? Ty i twoi jesteście bandą bękartów i złodziei. Wzięliście to, co słusznie należy do mojej rodziny.

Bonnie wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- To ty z powodu tej ziemi?

Zmrużył oczy tak, że zmieniły się w szparki. Wyglądał jak szaleniec.

- Myśleliście, że to wam ujdzie na sucho? Że możecie nas bezkarnie okradać? - Z każdym słowem podnosił głos.

- Niczego nie ukradliśmy! - odpaliła Bonnie, przez cały czas przesuując się w kierunku drzwi. - Zdobyliśmy te ziemie uczciwie.

- Uczciwie! - Morderca wpadł w istny szal. Na twarzy wystąpiły mu szkarłatne plamy. - Ukradliście i dobrze o tym wiesz!

Z uwagą śledził każde jej poruszenie. Bonnie mogła się tylko modlić, by zdołała uciec przed dom, zanim ugną się pod nią kolana.

W uszach słyszała szum własnej krwi, coraz bardziej podobny do głuchego ryku. Raptem mężczyzna rzucił się na nią. Bonnie krzyknęła i pomknęła ku drzwiom, ale złapał ją za włosy i szarpnął brutalnie. Wpadła na niego plecami i nieprzytomna ze strachu rozorała mu paznokciami grzbiet dłoni. A potem z całej siły rąbnęła go łokciem w brzuch.

Stęknął z bólu i na sekundę rozluźnił chwyt. Bonnie nie traciła ani sekundy. Śmignęła ku drzwiom. Zapomniała o brakującej klamce! Szarpnęła palcami za krawędź drzwi, te uchyliły się... a Bonnie z całym impetem wpadła na tego, kto właśnie w nich stanął.

Otworzyła usta do krzyku, ale w tej samej chwili spoczęła na nich ciężka ręka.

- Ciii, dziecisko. Nie spotka cię krzywda.

Podniosła oszalałe ze strachu oczu. Znajomy głos sprawił jednak, że przestała się szamotać.

- A teraz grzecznie wracamy do środka.

Potrząsnęła głową, próbując zderzyć z ust palce mężczyzny.

Nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia. Popchnął ją niezbyt delikatnie, wślizgnął się za nią i skrupulatnie domknął drzwi. Bonnie stwierdziła, że jest uwięziona między dwoma mężczyznami.

Seanem Cameronem, kuzynem i drużbą jej męża... a nowo przybyłym.

Jej narzeczonym we własnej osobie.

- Doliczyłem się tylko dwóch tych psubratów.

Gray ledwie słyszał słowa brata, tak dalece pochłonięty był potrzebą działania. Od pewnego czasu krążyli wokół samotnej rudery, zaglądając do środka przez jedyne brudne okno.

W chwili gdy Gray na drugim końcu izby ujrzał bladą, przerażoną twarz Bonnie, potworny lęk skrzył mu wszystkie wnętrzności.

Natychmiast rzucił się ku drzwiom, ale Damien chwycił go za ramię i mocno przytrzymał.

- Myśl, człowieku! - mitygował Damien ze złością. - Zbyt ni pośpiech możesz okupić życiem swoim i Bonnie. Musimy ich wywabić na zewnątrz.

Gray wiedział, że brat ma rację, ale nie myślał trzeźwo. Boże, tylko raz Bonnie powiedział, co do niej czuje, i to w chwili namiętności. Musi jej to wyznać, z całego serca, z dna duszy, pozwolić, by spojrzała mu w oczy i zrozumiała, że jego uczucia nigdy się nie zmieniają. Musi to wyrazić słowami.

- Jeśli włos spadnie jej z głowy... Damien ścisnął go za ramię.

- Wiem, bracie... wiem.

- Przykro mi, że musiało do tego dojść, moja droga - zapewnił Ewan nieszczerze i potrząsnął głową. - Chciałem cię zabić dopiero w noc poślubną: nieszczęśliwy upadek ze schodów w Belraine albo przypadkowe zażycie trucizny. Na nieszczęście wszystko ułożyło się inaczej, niżem to sobie planował. - Wbił w kuzyna pałające, pełne

jadu spojrzenie. - Bo ten skończony dureń wszystko schrzanił... znowu.

Sean wpatrywał się w Ewana z nienawiścią.

- Niczego nie schrzaniłem! Niby skąd miałem wiedzieć, że ta krowa Sarah podsłucha naszą rozmowę o tym, jak to chcemy sprzątnąć twoją żonkę?

- Gdybyś trzymał tę głupią sukę na smyczy, jak ci mówiłem, nie weszłyby tam, gdzie nie jej miejsce - syknął Ewan.

- Tak czy siak ją już mamy z głowy. Zabiłem ją, jak kazałeś.

- Ano, zabiłeś i zostawiłeś na miejscu zbrodni moją pieprzoną dewizkę, co by mógł ją znaleźć ten nygus, psia twoja mać!

- Niczego nie zostawiłem! To ta cholerna dziewczucha tak się jej uczepiła. Że brakuje dewizki, zauważyłem dopiero wtedy, jak żem poszedł do twojego pokoju odnieść zegarek.

Bonnie wpatrywała się w Ewana z poczuciem, że świat usuwa się jej spod nóg.

- Toś ty mu kazał zabić Sarah? - Sądziła dotąd, że Sean zamordował Sarah z sobie tylko wiadomych pobudek, teraz jednak zdała sobie sprawę, że Sean niczego nie robił z własnej inicjatywy. Zawsze był kukielką w rękach Ewana.

Ewan wysilił się na obojętny wyraz twarzy, patrząc na Bonnie.

- Nie mogłem dopuścić, co by popsła nam niespodziankę, to chyba jasne...? Nie przypuszczam, co byś się za mnie wydała, wiedząc, że nie przeżyjesz nocy poślubnej...? - Jego usta rozchyliły się w lubieżnym uśmiechu, spojrzeniem błędził po jej ciele. - Chociaż

zadbałbym o to, coby twoja ostatnia noc na tym świecie należała do przyjemnych, moja słodka, masz na to moje słowo.

Bonnie zebrało się na mdłości.

- Jesteś chory.

Ewanowi pobladły wargi. Nie podniósł rąk, ale bezwiednie zacisnął pięści.

- Nie. Jestem bardzo sprytny i zaraz ci wytłumaczę, dlaczego. Przez lata nienawidziłem mojego dziadka za to, że stracił nasze ziemie, przeklinałem jego nieudolność i życzyłem mu wieczności w piekle. Potem jednak odkryłem sposób, który pozwoliłby nam nie tylko odzyskać ziemie Cameronów, ale i zadać MacTavishom cios w samo serce, ukarać ich za to, że oszustwem pozbawili nas naszej spuścizny. Małżeństwo z tobą.

Bonnie na moment zaniemówiła. Nie pojmowała, jak Ewan mógł przez tyle lat skrywać w sobie takie morze nienawiści, jak to się stało, że sama niczego nie zauważyła.

- I dzięki temu odzyskałbyś te ziemie? Przecież to własność całego klanu, a nie tylko moja.

- Ach, ale to właśnie była cena, jaką twój klan musiał zapłacić, cobym poprowadził cię przed ołtarz, moja miła. Tyś o tym nie wiedziała? Twój brat, Aidan, włączył je do twojego posagu i jako twojemu ślubnemu małżonkowi przypadłyby mnie. Po tylu latach znowu trafiłyby w ręce człowieka, któremu prawowicie się należą. I tak się właśnie stanie. Skończy się klanowa wojna, która od lat uszczupla mój majątek, a co najlepsze, ukochana córunka tej świni, tego złodzieja, pożegna się z tym światem. I nikt się o niczym nie

dowie. Już cię chyba przekonałem, że nie jestem taki głupi, za jakiego mnie miałaś.

- Niedoczekanie twoje! Nigdy za ciebie nie wyjdę!

- I tu znowu jesteś w błędzie. Zrobisz to mimo wszystko.

- Tyś chyba oszalał!

- Jeśli tego nie zrobisz, dojdzie do masakry. Twój bracia i połowa twojego klanu pożegnają się z życiem, zanim zdążą się zorientować, co się dzieje. Wszyscy, których kochasz, pod jednym dachem... Pomyśl, jaka krwawa będzie rzeź, jeśli byś znowu chciała popробować sztuczek takich jak w Belrairie. Bardzo, ale to bardzo byś tego pożałowała. - Patrzył na nią z mściwym, zwycięskim uśmiechem. Bonnie zapragnęła mu odebrać bodaj cząstkę tego tryumfu.

- Nie.

- Jak to, nie? Powiedziałem, chodź tu... ino już!

- Wyjdę za ciebie, bo jestem do tego zmuszona, ale nie pozwolę ci się obmacywać. Nie będziesz mnie dotykał.

Ze wściekłości poczerwieniały Ewanowi twarz i kark.

- Chodźże tutaj, psiakrew!

Bonnie drżała na całym ciele, ale nie ugięła się pod naporem jego furii.

- Nie.

Ewan pochylił się groźnie i uczynił krok w jej kierunku, ale Sean go powstrzymał.

- Nie mamy na to czasu. Leć do tego kościoła, człowieku! Ewan rzucił Bonnie pałające nienawiścią spojrzenie i zgrzytnął zębami.

Bonnie nie przypuszczała, że ustąpi, nagle jednak warknął:

- Idziemy.

Sean chwycił Bonnie za włosy i popchnął w stronę kuzyna.

Ewan ścisnął dziewczynę za ramiona i syknął jej do ucha:

- Jeszcze pożałujesz, żeś mi się sprzeciwiła, obiecuję ci to.

Potem brutalnie złapał ją za rękę, aż się skuliła, i powłókł ją w stronę drzwi. Sean poczłapał za nimi.

Zaledwie zeszli po schodach, Bonnie kątem oka złowiła jakieś poruszenie. Rozległ się ogłuszający ryk i jakaś postać rzuciła się na Seana. Jęknął przeciągle i razem z napastnikiem stoczyli się z ganku na ziemię. Znikli z zasięgu jej wzroku.

Bonnie nagle znalazła się przed Ewanem. Posłużył się nią jak tarczą, ściskając ją za szyję zapaśniczym chwytem, tak silnym, że z trudem łąpała oddech.

- Puść ją - ozwał się mroczny głos, pełen najgorszego jadu, a zza rogu budynku wyłoniła się postać wysokiego, cudownego i... niebezpiecznego mężczyzny.

- Gray - wyszeptała Bonnie i zawisła wzrokiem na jego twarzy.

- Nie ruszaj się! - wykrztusił Ewan z wściekłością, mocniej ściskając ją za szyję. Bonnie wbiła mu paznokcie w przedramię, próbując zderzyć z siebie jego rękę. - Bo ją zabiję!

- Jeden włoszek spadnie jej z głowy, a nie ukryjesz się przede mną, choćbyś zaszył się w samym piekle - ostrzegł głucho Gray, przysuwając się nieznacznie w kierunku Ewana i dziewczyny.

- Ani kroku dalej, do diabła! - Ewan uniósł rękę i Gray zobaczył lufę pistoletu.

Bonnie wyczuwała panikę Ewana. Był jak pies, zagoniony w róg i rozpaczliwie szukający drogi ucieczki. Zrobiliby wszystko, żeby się uwolnić... wszystko... nie wyłączając morderstwa przy świadkach.

- Powiedz mu! - rozkazał jej Ewan. - Powiedz, żeby się cofnęła, bo zaraz będziesz trupem!

- Gray... proszę cię, nie. Po prostu pozwól mi odejść.

- Pozwolić ci odejść? - Gray potrząsnął głową. - To niemożliwe. Kiedyś naiwnie myślałem, że się na to zdobędę, że szczęście przyniesie mi błyszczący kamyk, że da mi wolność, ale to ty mi ją dałaś. Kiedy ojciec dawał mi ten pierścień, powiedział mi, że kiedyś znajdę to, czego szukam. I znalazłem, Bonnie... znalazłem ciebie. Ocaliłaś mnie... tyle razy, w tylu znaczeniach tego słowa. A teraz ja chcę ocalić ciebie i nic mnie nie powstrzyma. Chcę być twoim bohaterem, mężczyzną twoich snów. Chcę być dla ciebie wszystkim.

Oczy Bonnie zaszkliły się od łez.

- Już jesteś - szepnęła głosem, w którym brzmiała udreka. Silne ramię jeszcze mocniej zacisnęło się na jej krtani i dziewczyna poczuła, że się dusi. Ewan cofał się w kierunku lasu, tocząc wokół oszalałym wzrokiem. Gray zbliżał się nieubłaganie.

- Nie uciekniesz. Puść ją.

Ewan zatrzymał się i zaklął z wściekłością.

- Jesteś trupem, bękarcie - syknął, po czym szepnął do Bonnie szyderczo: - Patrz, jak twój kochaś umiera.

I nacisnął spust.



Bonnie krzyknęła przeraźliwie. W tej samej chwili kula przeszła pierś Graya: zatoczył się i padł na ziemię, a na jego koszuli wykwitła plama krwi.

- Nie! O Boże! Gray! Nie! - Szarpała się półprzytomna, zdzierając z siebie rękę Ewana. - Puszczaj mnie!

Równocześnie pojawił się Damien. Z dzikim, barbarzyńskim okrzykiem rzucił się w ich kierunku. Ewan ponownie uniósł pistolet i zawył, bo Bonnie z całej siły ugryzła go w rękę. Huknął kolejny strzał, ale kula świsnęła w powietrzu, nie czyniąc nikomu krzywdy. Ewan przesunął dziewczynę i przycisnął do swojego boku. Wycelował ponownie. Damien przypadł do ziemi i przetoczył się szybko. Gruchnął następny wystrzał. Kula wbiła się w ziemię w miejscu, w którym stał przed chwilą.

Bonnie na czworakach popęzła do Graya i położyła sobie jego głowę na kolanach. Odgarnęła mu włosy z twarzy i rozszłochała się z rozpaczą. Płakała, patrząc na koszulę szkarłatną od krwi.

- Och, proszę, nie umieraj... proszę cię... tak bardzo cię potrzebuję.

Zamrugał powiekami, po czym piękne, stalowe oczy zawisły na jej twarzy. Z ust wyrwał się jej ni to śmiech, ni to szloch.

- Bonnie...

- Ty suko! Wszystko zepsułaś! - Oszalały ryk Ewana całkowicie dziewczynę zaskoczył; zapomniała o nim, pochłonięta Grayem.

Spojrzała w górę; w jej głowę skierowana była lufa pistoletu.

- Czas ci umierać. - Ewan odwiódł spust. Gray podparł się na łokciu.

- Za tobą... - rzucił ochryple.

- Takie sztuczki jej nie uratują. Pożegnaj się z ukochaną...

Bonnie zamknęła oczy i przytuliła się do Graya. Następnym dźwiękiem, jaki usłyszała, nie był wystrzał, lecz głucho łupnięcie, któremu towarzyszył zdławiony jęk.

Błyskawicznie rozwarła powieki. Ewan leżał na ziemi, nieprzytomny... a zza krzaka wзираł rozradowany Prorok. W rękach dzierżył grubą gałąź. Potem spomiędzy liści zaczęły się wyłaniać inne znajome twarze. Mężczyźni z załogi Graya oraz Alpen.

Gray uśmiechnął się słabo do Proroka.

- Przecież... mówiłeś... że brzydzisz się przemocą. Prorok wzruszył ramionami i odpowiedział Grayowi wesołym uśmiechem.

- Przypomniało mi się czyjeś zdanie, że czasem starczy przyłożyć komuś pałką w głowę, żeby wybić mu głupie pomysły. Pomyślałem, czemu nie skorzystać z dobrej rady?

Gray zachichotał, ale zaraz skulił się z bólu.

- Psiakość... ależ to rwie.

- Nie ruszaj się - poprosiła Bonnie, delikatnie oglądając jego ranę.

Pociągnął lekko za kosmyk włosów dziewczyny.

- Nachyl się, muszę... ci coś powiedzieć.

- Cśś... Oszczędzaj siły.

- Nie. Muszę ci powiedzieć... coś ważnego. Nie mogę z tym... dłużej czekać.

Bonnie położyła mu dłoń na policzku.

- Co, mój kochany? Co masz mi do powiedzenia?

- Coś, co powinienem był powiedzieć... już dawno. Kocham cię,  
Bonnie... Kocham cię.

RS

## Epilog

- I oto już, kochane moje wnuczeta, cała opowieść o nieustraszonym poszukiwaczu skarbów.

- Ale, dziadku! - zaprotestował Liam, zeskakując z kolan Graya.

- Nie opowiedziałeś jeszcze, co się z nimi wszystkimi stało.

- No, tak. - Gray podrapał się po policzku. - Ehem... no, żyli długo i szczęśliwie, rzecz jasna.

- A ten zły człowiek? - spytała Maggie, wpatrując się w niego rozszerzonymi z podziwu niebieskimi oczami. - Czy Prorok go zabił? Gray zmierzwił jej włosy.

- Nie, szkrabie, skończyło się na nielichym bólu głowy.

- Powiesili go za to, że taki był niedobry? - dopytywał się Liam.

- Rzucili rekinom na pożarcie? Posłali do łóżka bez kolacji, jak mama mnie i Mags, kiedy jesteśmy niegrzeczni... chociaż zawsze przynosi później coś dobrego. Zrobili tak, dziadziu? Zrobili?

Gray odczuł pierwsze ukłucie niepokoju, gdyż tknęła go myśl, iż może znowu nieco przeholował ze swoją opowieścią. Przed oczami stanęła mu gniewna twarz Bonnie, strofującej go za to, że dzieci nabawia się przez niego koszmarów.

Niezbyt odległa wizja gniewu małżonki zmieniła się w rzeczywistość. Gray usłyszał niezadowolony głos żony:

- Ano, mężu, co się z nimi wszystkimi potem stało? Przełknął ślinę. Olaboga, a to się doigrał!

Z niemądrą miną podniósł się z fotela i okręcił na pięcie z entuzjazmem więźnia, który spodziewa się ujrzeć przed sobą pluton egzekucyjny. Kiedy się odwrócił, stwierdził, że obserwuje go nie tylko Bonnie, ale i cała reszta rodziny: ich cztery córki z zięciami oraz jego bracia i ich małżonki, przy czym wszyscy wydają się piekielnie rozbawieni.

Gray nie zaprzął sobie nimi głowy. Musiał udobruchać własną połowicę, a z jej miny odgadywał, że najbliższą noc przyjdzie mu spędzić z psem na jego posłaniu.

Posłał Bonnie niepewny uśmiech.

- Witaj, kochanie. Jak tam wieczera?

Znała go zbyt dobrze, by nie wiedzieć, co próbował wskórać zmianą tematu.

- Mniejsza o wieczere. Znowu nabijasz dzieciom główki swoim nedorzecznym bajdurzeniem, mężu? Chociaż wyraźnie prosiłam, cobyś więcej tego nie robił.

- Ee... ja... - Gray wbił wzrok w podłogę i przyznał niechętnie: - Sama mi kazałaś je czymś zająć.

- Ano, berkiem albo grą w ciupy.

Liam obiegnął kanapę i popędził w objęcia babci. Przechylił głowę i spojrzał na nią, mrugając swoimi wielkimi oczyma; zawsze ją to rozczulało i mały świetnie zdawał sobie z tego sprawę. Gray pogodził się z myślą, że przepadł z kretelem.

- To znaczy, że to, co dziadek nam opowiedział, to sama nieprawda, babciu?

Bonnie przyklęła przy Liamie i odgarnęła niesforny kosmyk włosów z jego drobnej twarzyczki.

- Oj, mój słodki berbeciu, przecież ci mówiłam, że dziadek umie opowiadać bajki, prawda?

- To nie rzuciłaś kozikiem i nie przyszpiliłaś dzikusa do drzewa?

- Ja? Kozikiem? - Bonnie skarciła Graya wzrokiem i zmarszczyła czoło. Wyraz dezaprobaty zdążyła opanować po mistrzowsku; w końcu ćwiczyła go na mężu od ponad ćwierćwiecza. Następnie ponownie skupiła uwagę na wnuku. - Nie, kochanie, nie rzuciłam kozikiem w żadnego dzikusa.

- I to nieprawda, że dziadzio byłby umarł na malarię? - spytała Maggie, zerkając na Bonnie z fotela.

- Na malarię! - zachnęła się Bonnie, rzucając kolejne gniewne spojrzenie pod adresem męża. - Nie, wasz dziadek nigdy nie chorował na malarię.

Gray zaczął się rozglądać za najbliższym wyjściem, Liam tymczasem wbijał do dziadkowej trumny kolejne gwoździe:

- I nie był oskarżony o morderstwo, i nie wykradł cię od wujka Aidana, i nie zabrał na zaginioną wyspę, i nie rozwiązał zagadki sprzed czterystu lat?

Bonnie na sekundę odebrało mowę.

- Jak to, wykradł? - obruszyła się znowu. - I na jaką zaginioną wyspę?

- A wujek Damien nie przyjechał go uratować? Damien uśmieł się setnie.

- Ja? Oj, chyba za mocno dałem kiedyś waszemu dziadkowi po głowie, kiedy byliśmy dziećmi. Pewnie dlatego wszystko mu się pomieszało.

Gray skrzywił się i łypnął na brata, obejmującego żonę ramieniem i wyglądającego wręcz promiennie - podobnie jak jego drugi brat Nicholas, którego małżonka imieniem Sheridan parsknęła właśnie śmiechem, dyskretnie zasłaniając usta dłonią.

- Chodźcie tutaj, moje gołąbeczki. - Bonnie kiwnęła na wnuczeta, które podbiegły szybko i ustawiły się po jej bokach. - Dziadek chciał dobrze. Zawsze lubował się w historiach o miłości i świetnie je opowiadał. - W jej oczach malowała się czułość, kiedy dodała, spoglądając na skruszonego męża: - Ma to po waszym pradziadku.

Gray odpowiedział uśmiechem, spokojny, że wszystko skończy się dobrze. Zatarł ręce.

- No, umieram z głodu. Zjedzmy coś!

Nadmiar fantazji został Grayowi wybaczony. Rodzina zgodnie przyklasnęła jego propozycji i udała się do jadalni. Gray jednak wyraźnie się ociągał.

- Bonnie...

Obejrzała się z pytającą miną. Gray nie odezwał się. Podniósł tylko wzrok: stał pod jemiolą. Jego żona pokręciła głową.

- O, nie, mężu. Ze mną nie tak łatwo. Gray uśmiechnął się szeroko.

- Chodź do mnie, ukochana.

Bonnie machnęła ręką, jakby chciała zaprotestować, ale niebawem westchnęła na znak, iż godzi się z losem, i podeszła do męża: dziś w jego oczach równie piękna jak przed wielu laty, kiedy się w niej zakochał.

A kiedy stanęła przed nim, spoglądając na niego swoimi niewiarygodnie pięknymi błękitnymi oczami, Gray zrozumiał, iż w Bonnie znalazł to, co przez całe życie wymykało mu się z rąk. Bezpieczną przystań.

Bezcenny skarb.

Pocałował żonę z bezbrzeżną miłością, po czym, trzymając się za rękę, poszli świętować z resztą rodziny.

Na choince paliły się kolorowe świece, ogień trząsał wesoło na kominku. I jeśliby ktoś spojrział na maleńką szopkę, która stała na półce nad kominkiem, mógłby zobaczyć, iż w dłoniach Dzieciątka Jezus połyskuje przepiękny czerwony brylant bez najmniejszej skazy. W końcu Boże Narodzenie to czas cudów...